

ELIZABETH THORNTON

Hiszpanka

Przełożył
Jan Paygert

Prolog

Hiszpania, grudzień 1812

Jakże pociągająco wyglądała. Siedziała przy stoliku przed kominkiem, całkowicie pochłonięta pracą. Marcus leżał bez ruchu na sienniku, udając, że śpi. Patrzył, jak kobieta zanurza pióro w inkauscie i pisze. Gdyby nie krople deszczu kapiące przez szpary w dachu i ściekające po osmalonych ścianach, gotów byłby uwierzyć, iż jest w Anglii. Majaczył. Budził się wielokrotnie, cierpiąc ból spowodowany ranami.

Mała cela mnicha mogłaby być salonikiem damy, która siedząc przy sekretarzyku, załatwiała korespondencję i odpowiadała na liczne zaproszenia. O tej porze roku mogliby świętować Boże Narodzenie we Wrotham: wystawne kolacje, bale, piękne damy o delikatnej cerze, z pachnącymi włosami, spowite w jasne, przezroczyste muśliny. Żadna z nich jednak, choćby najcudowniejsza, nie mogła się równać z kobietą siedzącą przy stoliku.

Deszcz bębniący o dach przemienił się w ulewę i przyjemne wizje zniknęły. To nie dom. Nie Anglia. To zapomniany przez Boga i ludzi, spalony klasztor na wzgórzu na granicy portugalsko-hiszpańskiej. On zaś znajduje się za liniami wroga. Szczęśliwie uszedł z życiem, odbity z rąk francuskiego patrolu przez El Grandę i jego partyzantów. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa dama przy stole, tak pochłonięta pisaniem, strzegła składu amunicji potrzebnej powstańcom w ich bezlitosnej wojnie przeciwko Francuzom.

Należała do guerrilli i była równie niebezpieczna co piękna. Ani pistolet leżący przy jej prawej dłoni, ani ostry sztylet przytroczony do skórzanego pasa nie stanowiły częściej ozdoby. Takie kobiety walczyły ramię w ramię ze swoimi mężczyznami, dorównując im bezwzględnością wobec nieprzyjaciela. Szczęściem dla niego Brytyjczycy byli sojusznikami partyzantów.

„Catalina”. Podobał mu się dźwięk tego imienia. Lubił brzmienie jej głosu. Nie wiedział, jak długo był uwięziony w tym miejscu, nieprzytomny i pogrążony we śnie, lecz rozumiał, że musi jej podziękować za pielęgnowanie w chorobie. „Catalina”. Kiedy czuł dotyk jej rąk, nie potrafił myśleć o niej jak o żołnierzu. Była delikatna i kobieca. Tęsknił za promieniującym od niej ciepłem.

Wciąż udając śpiącego, jęknął. Nie dlatego, że zranione ramię i udo bolały bardziej niż zazwyczaj; chciał, by do niego podeszła. Nie zbliżyłaby się do postania, gdyby był w pełni rozbudzony. Jeśliby ją zawołał po imieniu, opuściłaby pokój, a jej miejsce zająłby Juan.

Kiedy poczuł chłodną dłoń na czole, odważył się nieznacznie podnieść powieki, by lepiej widzieć pielęgniarkę. Warto było. Miała długie ciemne włosy, regularne ostre rysy. Piękne czarne rzęsy osłaniały głęboko osadzone oczy. Nosiła męską kurtkę i spodnie szerokie niczym spódnica; w takim stroju widywało się jedynie partyzantki. Męski ubiór nie maskował kobiecości, lecz jeszcze ją podkreślał. Marcus poznał wiele urodziwych kobiet, ale żadna nie miała tyle powabu. Kiedy tak na nią spoglądał, coś w nim drgnęło. Coś samczego i prymitywnego, co pchało go, by pochwycić ją w ramiona.

Zdumiała go ta reakcja. Jeśli tknąłby ją choć palcem, kobieta, zważywszy jego marną kondycję, rozprawiłaby się z nim w mgnieniu oka. Nie zawahałaby się wbić ostrego sztyletu pomiędzy zębra. Nawet gdyby się obronił, na jeden jej krzyk wpadłby Juan i dokończył dzieła. W Hiszpanii mężczyźni ryzykowali utratę życia albo kastrację, ośmielając się na swobodę wobec cnotliwej dziewczyny.

Do diabła! Czy coś takiego kiedykolwiek go powstrzymało?
Badała ranę na jego ramieniu, sprawdzając, czy bandaż nasiąkł krwią i ropą.

- Isabella? - wymamrotał cicho. Wiedział doskonale, że ma na imię Catalina.

Zamarła na chwilę. Po czym, zrozumiawszy, że nic jej nie grozi, mruknęła do niego uspokajająco i podciągnęła kołdrę, by nie uwłaczając obyczajności, sprawdzić opatrunek na udzie. Marcus niemal się uśmiechnął.

Uniosł ręce, jak tylko mógł najostrożniej, i oparł na jej talii. Oczy miał nadal zamknięte.

- Isabella, *querida*. Pocałuj mnie.

Myśląc najwyraźniej, że pacjent majączy, sięgnęła po cynowy kubek z wodą stojący obok siennika. Uniosła głowę chorego, przytknęła naczynie do jego warg. Marcus łykał powoli, bardzo powoli. Piersi pielęgniarki dotykały torsu rannego; kibić otoczona jego dłońmi była szczupła i gibka. Kiedy skończył pić, a ona chciała go zostawić, przytrzymał ją za głowę. Zaskoczona, nie broniła się. Szybko ją pocałował. Nie tak to miało wyglądać. Zaledwie niewinne musnięcie warg. A jednak zasłużył na policzek i był pewien, że zaraz go otrzyma. Nie uderzyła, więc cofnął się, oczekując na jej reakcję. W oczach kobiety była niepewność. Uświadomił sobie ze zdziwieniem, jak bardzo błękitne ma źrenice.

- Catalina? - wychrypiął, wypadając z roli.

Wtedy go spoliczkowała. Jęknął, teraz już naprawdę, a ona wyrwała się z jego objęć i szybko odskoczyła w drugi kąt pokoju.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu i ostrożnie dźwignął się na łokciu.

- Stokrotnie przepraszam, *señorita*. Pomyliłem panią z kimś innym. *Comprende?* Myślałem, że pani to Isabella.

Podparłszy się pod boki, zalała go potokiem hiszpańskich słów. Wzruszył ramionami na znak, że nie rozumie. Zacerpnęła głęboko powietrza i zaczęła od początku, tym razem łamanym angielskim.

- *Mądre de Dios!* To jest *Espana*. Hiszpania, *señor*. Jeśli mój brat... jeśli El Grandę... Nie wolno ci nigdy mnie dotykać ani całować. *Jamas!* Jeśli to zrobisz, zostaniesz ukarany. *Comprende?*

Marcus wiedział, że El Grandę należy się obawiać. Mimo że był jeszcze chłopcem, już stał się legendą. Niektórzy widzieli w nim syna hiszpańskiego szlachcica, inni utrzymywali, iż w chwili francuskiego najazdu na Hiszpanię był biednym studentem Uniwersytetu Madryckiego. Jego bohaterskie czyny napawały dumą hiszpańskich chłopów. Marcus przypuszczał jednak, że z czasem opowieści te stawały się coraz bardziej przesadzone. Żaden człowiek nie mógł być aż tak okrutny. Jedno było pewne: El Grandę niestrudzenie wojował z Francuzami, posuwając się czasem do ostateczności. Jeden z francuskich dowódców chciał podciąć mu skrzydła, nakazując egzekucję zakładników, ilekroć El Grandę zaatakuje jego żołnierzy. Przywódca guerrilli odwzajemnił się, rozstrzeliwując w odwecie za każdego zabitego Hiszpana czterech Francuzów. Napoleoński dowódca musiał spuścić z tonu.

Marcus usiadł, obdarzając kobietę swym ujmującym uśmiechem, lecz nie zdołał jej udobruchać.

- El Grandę mnie zabije. Czy o to chodzi?

Widząc, że nie traktuje jej poważnie, znów zawrzała gniewem.

- Zrobi coś znacznie gorszego - rzuciła.

- Tortury? Nie przypuszczam. Naprawdę się omyliłem.

- Coś gorszego od tortur - odparła po chwili milczenia.

Wyczuł szyderstwo w jej głosie i postanowił zarzucić przynętę.

- Co może być gorszego od tortur?

- Małżeństwo, *señor*. Czy to pana nie przeraża?

- Potrzeba do tego księdza, *senorita*.

Uśmiechnęła się bez przekonania.

- *Si*. Ksiądz. Nasz *padre* gra w karty z Juanem. Mam go panu przysłać?

- Punkt dla pani, *senorita*. - Marcus nie odwzajemnił jej grymasu.

Przyjrzała mu się uważnie, po czym zaczęła zbierać przybory do pisania.

- Nie, nie zostawiaj mnie - protestował Marcus. - *Por favor*. Zostań. Rozmawiaj ze mną.

Usiłował przypomnieć sobie te kilka hiszpańskich słów, które znał, lecz większość z nich posłyszał z ust dziwek ciągnących za wojskiem, toteż mogły być niewskazane w konwersacji z cnotliwą dziewczyną. Jak jest po hiszpańsku „mówić”?

- *Parler* - rzekł w końcu po francusku, lecz miał nadzieję, że zrozumie.

Zawahłała się, z wolna usiadła.

- O czym chce pan mówić?

- Cóż, na początek o bracie.

- *Si?*

- Chcę mu podziękować za ratunek.

- El Grandę tu nie ma. On jest... jak wy to mówicie... Robi wojnę z naszymi nieprzyjaciół.

- Kiedy wróci?

- Prędko, bardzo prędko, kiedy deszcze ustać. Rzeki...

- Bezradnie wzruszyła ramionami. - Zbyt niebezpieczna przeprawa.

- W takim razie kto tu dowodzi?

- Kto...? - Uniosła brwi.

- Kto jest kapitanem?

- A, tak. Juan.

- Juan? - zapytał z niedowierzaniem. - Moja niańka? Czy to jedyny mężczyzna?

Juan miał siedemdziesiątkę na karku, jeśli nie więcej.

Spuściła oczy i Marcusowi się wydawało, że sobie z niego dworuje. Kiedy jednak podniosła głowę, twarz miała poważną i jasne spojrzenie.

- Są kobiety-żołnierze, *senor*, jest *padre* i inni Anglicy.

- Jacy Anglicy?

- Żołnierze jak pan. El Grandę również ich uratował.

- Ilu?

Podniosła sześć palców.

- Tak wielu? Kto oni zacz? Gdzie są?

- Nie umiem powiedzieć. Nie wolno rozmawiać z Anglikami.

Mój brat zabronił. Przyślę panu Juana. On odpowie.

Podniosła się z gracją, wetknęła pistolet za pas, pozbierała przybory do pisania i zamknęła je w rzeźbionej komódce stojącej obok kominka.

Była już prawie przy drzwiach, kiedy Marcus zawołał:

- Poczekaj!

- *Senor?*

Zesztywniała, słysząc jego kategoryczny ton. Marcus, zmiarkowawszy to, momentalnie się pohamował.

- Odwiedzisz mnie jeszcze, prawda? Mimo że jestem Anglikiem.

- Przychodzę tu sama, *senor*, z powodu świecy i ognia. Prawda, również żeby pana pielęgnować, kiedy Juan nie może. Ale teraz, kiedy z panem dobrze, wie pan, jak jest. Mój brat zły, gdy się dowie, że tu jestem.

Marcus wpatrywał się w rzeźbioną komodę.

- To pani pokój, prawda? - Coś jeszcze wpadło mu do głowy. - Przychodzi pani tu pisać? - zapytał.

Skinęła poważnie głową.

- Co pani pisze?

- Jak wy to mówicie... to mój *jornal, diario*.

- Prowadzi pani dziennik?

- *Si*.

- I co pani w nim zapisuje?

- Sprawy drogie sercu kobiety.

- A co jest drogie twojemu sercu, Catalino? Marzysz o miłości?

- Czy nie jest to udziałem wszystkich kobiet? - Uśmiechnęła się tajemniczo.

- Nie. Niektóre marzą o pięknych strojach, drogiej biżuterii i wygodnym życiu. - Lekceważąco wydał wargi, zaczerpując powietrza. - Czy taka kobieta jak pani mogłaby śnić o kimś

takim jak ja, biednym żołnierzu, który nie ma nic do zaofiarowania prócz twardego życia?

- Mogłaby. Myślę, że na swój angielski sposób jest pan bardzo przystojny. - Przyglądała się jego czarnym włosom i ogorzałej twarzy.

- Niektórzy powiadają, że mógłbym uchodzić za Hiszpana.

- *Jamds!* Jest pan za wielki. Juan z trudem dobrał panu jakieś ubranie.

- Przypuszczam, że mój mundur został zniszczony przez francuskich lansjerów.

- I ta krew, tyle pan jej stracił. El Grandę mówił, że był pan bardzo dzielny.

- Pani zaś jest bardzo piękna.

Długo milczała, wpatrzona w Anglika. Potem, nie uśmiechając się, powiedziała jedynie:

- Pamiętaj, *senor*, żadnej więcej Isabelli. *Jamds! Comprendre?*

- *Jamas!* - obiecał Marcus. - Przyjdzie pani do mnie jutro? Jestem zupełnie niegroźny. Naprawdę.

- Zobaczymy.

Wysłała, delikatnie zamykając drzwi.

Przez następne trzy tygodnie stopniowo powracał do zdrowia. Im był silniejszy, tym bardziej chciał wstać, czymś się zająć. Moment był przełomowy: wojska Wellingtona zostały pobite pod Lizboną, Francuzi odzyskiwali utracone tereny. Gdy wreszcie powstrzymano ich pochód, Brytyjczycy stanęli wobec miażdżącej przewagi wroga. A on, doświadczony oficer kawalerii, tkwił tutaj, zatrzymany w pół drogi donikąd. Równie dobrze mógł być rozbitkiem na bezludnej wyspie.

Inni angielscy żołnierze, ocaleni przy różnych okazjach przez El Grandę, nie byli tak niecierpliwi. Najemnicy, jak to najemnicy, najbardziej twoszczyli się o siebie. Mieli tylko powierzchowne rany, toteż dowodzący nimi oficer, major Sheppard,

przydzielił ich do pomocy kobietom zostawionym na straży klasztoru. Marcus czasami dostrzegał owych Anglików przez wąskie okno wieżyczki wychodzące na dziedziniec. Było ich razem sześciu: trzech oficerów kawalerii, młody chorąży i dwóch zaciężnych, strzelców z dziewięćdziesiątego piątego. Gdyby Marcus nie został tak ciężko ranny, ukryto by go wraz z nimi w klasztornej krypcie. Tymczasem nie czuł się jeszcze na tyle dobrze, aby chodzić. Inni oficerowie wpadali do niego na pogawędkę.

Podczas tych wizyt Catalina trzymała się z daleka. Unikała wszystkich Anglików z wyjątkiem Marcusa. Przychodziła do niego co wieczór i zostawała, póki nie dopaliła się świeca. Czasem notowała coś w dzienniku, lecz najczęściej rozmawiali. Opowiadała mu o hiszpańskich chłopach, o straszliwych cierpieniach, których zaznali z rąk francuskich żołdaków. On z kolei mówił o Anglii, o życiu, do którego powróci, jeśli ujdzie cało.

Coś jednak zachował tylko dla siebie. Nie był zwykłym żołnierzem, za którego uchodził. Dziewczyna znała go jako kapitana Marcusa Lyttona z trzeciego pułku dragonów. W rzeczywistości zaś był angielskim lordem, earlem Wrotham, właścicielem rozległych włości. Choć w wojsku wszyscy o tym wiedzieli, nikomu nie pozwalał się tytułować. Nie znosił, kiedy ludzie schlebiali mu z racji szlachectwa. Bywało też na odwrót: z tej samej przyczyny odwracali się od niego współtowarzysze, których lubił i poważał.

Z kobietami było inaczej. Czasami Marcus bez skrupułów używał swojego bogactwa i tytułu, aby zaciągnąć jakąś piękność do łóżka. Przekonał się, że osobnikowi majątnemu, choćby sam był niewiele wart, łatwiej zawrócić niewiastom w głowie. Przeto nie miał o nich zbyt wysokiego mniemania. Uważał je za oportunistki gotowe sprzedać ciało za kilka bezwartościowych błyskotek.

Ta opinia nie dotyczyła jednak Cataliny. Podziwiał jej odwagę i godność. Wiodła ciężkie życie, lecz sama je sobie wybrała. Mając tak piękną twarz, świetną figurę, z łatwością mogłaby

znaleźć możnego protektora lub zostać żoną bogacza. Tymczasem związała się z partyzantami na dobre i złe. Marcus nie był jednak pewien, jak by się zachowała, wiedząc, kim on naprawdę jest. Nie chciał nic zmieniać w ich stosunkach. Wiedział, że się jej podoba. Kiedy się spotykali, atmosfera była przesycona erotyzmem. Czasami, kiedy się zapomniał, przerywała w pół zdania i nie bacząc na jego protesty, spokojnie wychodziła z pokoju. Zawsze jednak wracała i Marcus wiedział, że pragnie go nie mniej niż on jej.

El Grandę i jego oddział partyzancki powrócili do klasztoru w trzy dni po ustaniu ulewnych deszczy. Marcus obserwował ich przybycie z okna wieżyczki. Stanowili pstrokatą zbieraninę: niektórzy w chłopskich samodziałach, inni w kurtkach rozmaitych francuskich regimentów, złupionych zabitym nieprzyjacielem. Czarne konie prezentowały się lepiej niż dosiadający ich jeźdźcy. Mimo to Marcus nabrał dla nich jeszcze większego respektu.

Odwrocił powoli głowę, kiedy otworzyły się drzwi. Catalina podeszła do niego i też stanęła przy oknie. Była ubrana w długą białą suknię. Ciemne kędziory spływały jej na ramiona. Płakała, nie mogła się opanować. Marcus zapomniał o ludziach na dziedzińcu.

- Brody są już przejezdne - odezwała się. - Wyjedziesz wieczorem. Wszyscy Anglicy odchodzą.

Nie chciał jej przestraszyć, więc tylko chwycił jej dłonie i przycisnął do piersi.

- Posłuchaj, Catalino. - Mówił żarliwie, usiłując ją przekonać o szczerości swoich intencji, obawiał się jednak, że może mu zabraknąć słów. - To nie koniec z nami. Wymyślę coś, żeby do ciebie wrócić. Rozumiesz? Nawet gdybyśmy musieli czekać do końca wojny, odnajdę cię. Masz moje słowo.

- Raz, jedynie raz, chcę poczuć twoje usta. - Jej głos drżał. Złożył niewinny pocałunek. Było to tylko delikatne muśnięcie dwojga ust.

Nagle wgrzyła się dziko w jego dolną wargę. Szarpnął głową do tyłu i w tej samej chwili otrzymał policzek.

Nie był zły, lecz zaszokowany. Potem przypomniał sobie, że była dziewicą, i pomyślał, iż pewnie ją przestraszył.

- Catalino, nie bój się. Nigdy nie zrobię ci krzywdy.

Odsunęła się i zobaczył krew - własną krew, rozmazaną na jej wargach. Usłyszał zgiełk, tupot buciorów na schodach, wybuch śmiechu, męski głos wzywający dziewczynę. Catalina rozerwała na sobie suknie od kibici aż do samego dołu, obnażając udo. Marcus stał ogłupiały, nie rozumiejąc, co się dzieje.

Wykrzyczała coś bardzo szybko po hiszpańsku i po drugiej stronie drzwi zapadła cisza. Wyciągnęła sztylet, jakby chciała zagrozić Anglikowi.

- El Grandę cię zabije, kiedy zobaczy, że chciałeś mnie zgwałcić - wysyczała jadownicę.

Nagle jakby raził go grom. Wszystko zrozumiał. Nie była pierwszą kobietą, która usiłowała go skompromitować, ale jej pierwszej się to udało. Jego krwawiąca warga, podarte suknie, ślad po uderzeniu na policzku - dowody przeciw niemu były niepodważalne.

Zbliżył się do dziewczyny i właśnie w tej chwili drzwi wyłamano z zawiasów. Catalina odrzuciła broń i padła w objęcia mężczyzny, który przestąpił próg. Marcusowi wydał się młody, młodszy od niej. Miał ciemną twarz o surowych rysach. Za nim wpadło kilku uzbrojonych *guerrilleros*. Natarli na Marcusa, przyparli do ściany. Czuł taką wściekłość z powodu zdrady, że rzucił się na nich jak szalenciec. Zapomniał o bólu. Natężył wszystkie mięśnie, usiłując odeprzeć napastników i dopaść dziewczyny. Potrzeba było trzech ludzi, aby go obezwładnić. Uspokoił się dopiero, gdy z gardła, do którego przytknięto nóż, pociekła mu krew.

Nie rozumiał potoku jej wymowy, lecz dotarło do niego jedno słowo: „Wrotham”. Teraz pojął wszystko. W jakiś sposób dowiedziała się, kim on jest, i opracowała drobiazgowy plan, który realizowała aż do powrotu brata. Marcus czuł, że żółć go

zalewa. Nabrała go jak byle szczeniaka. Nie interesował jej jako mężczyzna. Chciała tego, co wszystkie: pozycji i pieniędzy.

Kiedy przestała wyrzucać z siebie słowa, El Grandę odsunął ją na bok i podszedł do Marcusa. W jego ciemnych oczach nie było śladu emocji. Akcent miał nienaganny.

- To tak Anglicy odpłacają za przyjacielską gościnę?

Marcus nie odpowiedział. Gorejący nienawiścią wzrok utkwiał w Catalinę.

- Ty kłamliwa dziwko! Powinienem być brać, coś mi oferowała, kiedy miałem okazję. *Putá!*

Cios El Grandę obalił go na kolana. Marcus połknął krew wypełniającą usta i wycedził przez zaciśnięte zęby:

- Nigdy się z nią nie ożenię. *Jamds!*

Otrzymał kolejny cios i Catalina wybuchnęła płaczem. Kiedy El Grandę ponownie uniósł pięść, dziewczyna zastąpiła mu drogę. Mówiła cicho i błagalnie, przysunawszy się nieco. Młodzieniec słuchał, nie przerywając.

Warknął jakiś rozkaz i Marcus szarpnięciem został postawiony na nogi. El Grandę odsunął się i uśmiechnął lekceważąco. Wyglądał jak niegroźny chłopiec. Marcus z trudem mógł uwierzyć, że stoi przed nim legendarny przywódca guerrilli, którego imię siało przerażenie w sercach wrogów.

- Masz szczęście, że moja siostra cię kocha. Poślubisz ją, *señor*, albo twoi angielscy towarzysze zapłacą za twoje grzechy.

Marcus spojrział w czarne, nie znające litości oczy. Wiedział, że został pokonany.

Ślub odbył się nocą, pod gwiazdami, w wypalanej nawie klasztornej kościoła. Nabożeństwo było krótkie, bo El Grandę pilno było pod osłoną ciemności zorganizować przerzut Marcusa i innych żołnierzy za linie brytyjskie.

Oblubienica i pan młody trzymali się sztywno, lecz wśród partyzantów zapanował świąteczny nastrój. Rozeszło się, że Catalina usidliła angielskiego lorda, i choć małżeństwo zawie-

rano w pośpiechu, Juan widział, że wszyscy, nie wyłączając pozostałych Anglików, są przekonani, iż młoda para jest w sobie zakochana. Nowożeńcy pocałowali się. Jedyne Catalina dostrzegła brutalność w oczach Marcusa. I tylko on dopatrzył się odrazy w jej spojrzeniu.

Wśród huku wiwatów złapał ją za nadgarstek i przyciągnął. Uśmiechnął się drwiąco.

- Należysz teraz do mnie, Catalino, nie do brata. Myśl o mnie, kiedy odjadę. Pewnego dnia policzę się z tobą, ty podstępna dziwko. Przekonasz się, że twoje zwycięstwo jest pozorne.

Potem ją pocałował, lecz nie tak jak dawniej, gdy szanował jej niewinność; zrobił to najokrutniej, jak potrafił, chciał upokorzyć żonę. Odchylił głowę i wsunął język w jej usta. Jęknęła bezbronna. Przesunął dłonie w dół pleców Cataliny, zadał ból, przyciągając ją i ściskając nogami. Partyzanci widzieli jedynie dwoje kochanków złączonych namiętną pieśczętą i gromko wyrażali aprobatę.

Gdy Marcus ją puścił, zatoczyła się, zasłaniając dłonią obolałe usta. Twarz miała bladą, oczy szeroko otwarte. Skinał głową, zadowolony z tego, co w nich dostrzegł.

- Zrobiłaś kiepski interes, lady Wrotham. Pamiętaj o tym, kiedy będziesz marzyć o moim majątku i tytule - powiedział cicho lodowatym tonem.

Odrócił się o pięcie i więcej już na nią nie spojrzął. PoruBa&fował ppmaędzy rozpromienionymi *guerrilleros* ku swytetoWarzyszora którym pilno było ruszać w drogę.

1

Anglia, sierpień 1815

Catherine westchnęła, wyprostowała się na krześle i roztarta knykciami bolący krzyż. Spinki wysunęły się z długich ognistoczerwonych loków i chwilę potrwało, nim upięła je w luźny węzeł. Zmięte kartki papieru walały się po podłodze, atrament powalał palce. Pisała już od wielu godzin i wciąż nie była zadowolona. Miała ochotę przerwać pracę, lecz musiała ciągnąć to dalej. Jej pracodawca, Melrose Gunn, właściciel „The Journal”, chciał mieć artykuł na swoim biurku najpóźniej jutro po południu. Catherine naprawdę potrzebowała pieniędzy. Nie dlatego, że klepała biedę. Posiadała niewielki dom i rentę z dóbr ojca, lecz te dochody z trudem jej wystarczały na pokrycie wydatków. Lekarze, szczególnie wojskowi, nie dorabiali się fortun.

Jeszcze raz westchnęła, zebrała zapisane papiery i szybko je przejrzała. Miał to być pierwszy z tekstów opisujących koszmarny warunki życia żołnierzy i ich rodzin, apel do rządu o przeprowadzenie radykalnych reform. Teraz, kiedy wojna właśnie się skończyła, a Napoleon został wygnany na Świętą Helenę była najlepsza pora, aby poruszyć ten temat. Catherine wiedziała, o czym pisze. Wszystko osobiście zaobserwowała, towarzysząc ojcu w Hiszpanii, gdzie służył w korpusie medycznym.

Dokładność. To była dewiza A.W. Eumana. Takiego pseudonimu postanowiła używać. Jeśli opisywała londyńska fstrgate.

czytelnicy mogli być pewni, że rzeczywiście zwiedziła więzienie. Poprawka: zwiedził. Kobiety traktowano poważnie jedynie wtedy, kiedy rozprawały o domowych błahostkach. Jeśli chciały wychylić nos poza własne cztery kąty i posłużyć się danymi od Boga talentami, narażały się na szyderstwo. Nikczemne stosunki, ale tak właśnie sprawy się miały. Gdyby się rozniosło, że A.W. Euman to kobieta, nikt nie traktowałby jej poważnie, nie czytał artykułów, a ona sama mogłaby zostać bez pracy.

Marszcząc brwi, skoncentrowała się na rękopisie. Coś było nie tak. Wreszcie zrozumiała. Niewłaściwy ton. Napisała zbyt serio, zbyt mentorsko. To nie był głos A.W. Eumana; on posłużyłby się dowcipem i ironią. Powinna to przeredagować.

Jęknęła i spojrzała na zegar na kominku. Artykuł musi poczekać. Niedługo zrobi się ciemno, a ona ma ważne spotkanie. Spotkanie? Może to niezbyt trafne określenie, bo siostra się jej nie spodziewa o tak późnej porze. Dwa razy próbowała dostać się do niej za dnia, lecz lokaj jej nie wpuścił. Pisała listy, które pozostawały bez odpowiedzi. Tym razem jednak nic jej nie powstrzyma przed zobaczeniem się z Amy.

Wstała, pieczołowicie ułożyła kartki w szufladzie biurka. Z innej szuflady wyjęła lśniący francuski pistolet, znaleziony przez ojca na szafkach Badajoz. Zawsze sobie wyobrażała, że należał kiedyś do kochanki francuskiego oficera i został wykonany w Paryżu na zamówienie, choć w gruncie rzeczy nie miała żadnych podstaw, by tak sądzić. Był lekki, znacznie lżejszy niż broń ojca. Nie naładowany. Z tej samej szuflady wydobyła wszystko, czego potrzebowała, aby nabić pistolet. Znała to eleganckie cacko. Jej ruchy były szybkie, wyćwiczone, robiła to mnóstwo razy. Ojciec ją nauczył.

Potrząsnęła głową, czując niestosowność swojego postępowania. Jak mogło do tego dojść? Kto mógł przewidzieć, że sprawy przybiorą taki obrót? Kiedyś - zda się, całe wieki temu - byli szczęśliwą rodziną. Mieszkali w małym domu na skraju Hampstead Heath - wioski oddalonej jedynie cztery mile od centrum Londynu. Nie mieli bogactw, ale o nic nie zabiegali. Ojciec,

miejscowy lekarz, cieszył się poważaniem. Matka również była wykształcona. Pracowała kiedyś jako guwernantka, zajęła się więc edukacją dwóch własnych córek. Ten szczęśliwy świat zachwiał się w posiadach, gdy mamę złożyła gorączka. Następnego dnia już nie żyła.

Catherine miała dwanaście lat, kiedy zamieszkała z nimi siostra ojca. Ciotka Bea była zdecydowanie surowsza od matki. Catherine łatwo się z tym pogodziła, lecz Amy stawiała okoniem. Osiemnastoletnia dziewczyna, znacznie ładniejsza od młodszej siostry, chciała chodzić na wieczorki, spotykać się z młodzieżą, pragnęła strojnych sukien, lekcji tańca - słowem, wszystkiego, do czego we własnym mniemaniu miała prawo. Wybuchły straszliwe kłótnie. Amy spędzała noce u przyjaciół, nigdy jednak nie zapraszała ich do swego domu, nie przedstawiała rodzinie. Ciotka Bea apelowała do brata, ale ten był bezradny. Martin Courtnay albo siedział pogrążony w *rozpaczy*, albo gdzieś popijał. Musiało upłynąć jeszcze wiele czasu, nim pogodził się ze śmiercią żony. A wtedy było już za późno.

Catherine zacisnęła palce na pistolecie trzymany w dłoni i znów zadała sobie to samo pytanie. Jak mogło do tego dojść?, Ona i Amy miały przecież tylko siebie, tymczasem równie dobrze Catherine mogłaby być sama na świecie.

Trzasnęły tylne drzwi, usłyszała cichy szmer głosów w kuchni. Nieco się odprężyła. Nie była sama, miała jeszcze McNallych. McNally był ordynansem ojca podczas kampanii hiszpańskiej. Jego żonie jako jednej z nielicznych kobiet pozwolono towarzyszyć mężowi w rejonie działań wojennych. Catherine płaciła jej oddzielnie za usługiwanie ojcu, choć ten wyraźnie tego zakazał. Teraz była zadowolona ze swego nieposłuszeństwa. W przeciwnym razie nie spędziłaby z ojcem ostatniego roku i nie miałaby McNallych. Byli służącymi, lecz także kimś znacznie ważniejszym. Wspólne doświadczenia wojennych niebezpieczeństw wytworzyły między dwiema rodzinami szczególnie mocną więź.

Wspomnienia kazały jej znów wrócić myślą do artykułu.

Małżonkowie McNally byli od niej zależni. Jeśli nie będzie mogła zapewnić im wynagrodzenia, to co się z nimi stanie? Czy podziela los innych ludzi powracających z wojny? O pracę ciężko, a McNally mieli swoje lata. Na jutro musi koniecznie skończyć ten artykuł.

Gotowa do działania, udała się do swojej sypialni na piętrze. Choć był sierpień, panował przenikliwy ziąb. Catherine włożyła brązowy płaszcz. Zauważyła nowe ciemne lamówki u dołu i na rękawach. Również czarne buty z cielecej skóry zostały podzelowane. Wszystko to było zasługą pani McNally. Niczym nie mogła jej odpłacić za takie poświęcenie. Była córką swojego ojca i dla McNallych tylko to się liczyło. Coś ścisnęło ją za gardło.

Modelując wysokie rondo budki, przyjrzała się sobie w lustrze. Długo, uważnie bardzo uważnie. Skończy niebawem dwadzieścia sześć lat. Czy to widać? Była podstarzałą panną. „Stara panna”. Nienawidziła tego określenia. Patrzyła zaniepokojona, lecz zaraz się zbeształa. Koncentrowanie się na wyglądzie jest poniżej godności kobiety, która szczyci się intelektem; ciotka Bea zawsze wbijała to siostrzenicy do głowy. A sama Catherine, nawet gdy już stała się kobietą, nie przywiązywała nadmiernej wagi do urody. I teraz by się tym nie przejmowała, gdyby nie spotkanie z Amy, piękną, wyrafinowaną Amy.

Włożyła kapelusz i nie widzącym wzrokiem wpatrywała się w lustro. Przypomniała sobie okoliczności, w których widziała siostrę po raz ostatni. Wraz z przyjaciółką Emily i jej mężem wybrała się do Teatru Królewskiego na *Bachusa i Ariadnę*. W przerwie przyglądała się lożom, a Emily wskazywała jej różne ważne osoby obecne tego wieczora. Catherine rzadko bywała w teatrze, toteż obserwowanie wytwornej publiczności sprawiło jej ogromną przyjemność. W jednej z łóż dostrzegła piękność otoczoną prywatnym dworem i admirowaną przez mężczyzn. Wyciągnęła szyję, by lepiej przyjrzeć się kobiecie powodującej takie zamieszanie, i serce w niej zamarło, gdy rozpoznała Amy.

- To jest pani Spencer - wyjaśniła Emily półgłosem. - Wiesz, najbardziej wzięta londyńska kurtyzana. Powiadają, że jednym z jej kochanków jest sam książę Walii.

Catherine była tak poruszona, że nie zareagowała. Zresztą i tak nie miałyby nic do powiedzenia. Amy... To zbyt bolesne, by o tym rozmawiać, nawet z najlepszą przyjaciółką.

Otrząsnęła się ze wspomnień. Wcisnęła budkę mocniej na głowę, starannie wsuwając pod nią okropne rude kosmyki. Te włosy na pewno by ją zdradziły, a nie chciała zostać rozpoznana przez lokaja Amy, zanim przestąpi próg. Zawięzała wstążki pod brodą, chwyciła torebkę i przewiesiła ją przez lewe ramię. Nie potrzebowała rękawiczek. W futrzanej mufce matki znacznie lepiej mogła ukryć pistolet.

Pojechali do miasta staroświeckim jednokonnym powozikiem ojca. McNally siedział na koźle, podniesiona buda chroniła Catherine przed mżawką. Zmierzchało. Wkrótce zrobi się ciemno i eleganckie towarzystwo wyruszy na bale i przyjęcia. Z rozmysłem wybrała tę porę.

McNally wiedział, że mają jechać do Teatru Królewskiego przy Haymarket. Jego pani wyprawiała się na takie dziwne eskapady. Pewnie ta, jak wiele innych, miała jakiś związek z pisaniną dla „The Journal”. McNally należeli do nielicznej grupki znającej tożsamość A.W. Eumana. Tym razem ordynans odetchnął, usłyszawszy, że Catherine wybiera się do stosunkowo spokojnej części miasta. Bywały już bowiem wyprawy do takich miejsc, że na samą myśl o nich włosy stawały mu dęba. Na przykład Newgate albo lupanary w Whitechapel. Wiedział doskonale, że dziewczyna nie jest „malowaną lalą”. Umiała zatroszczyć się o siebie. W Hiszpanii wykazała więcej odwagi niż niejeden doświadczony żołnierz. Zupełnie jak jego Mary. Mimo to nie przestawał się o nią martwić i modlił się żarliwie, by stała się jednak tą „malowaną lalą”. Bo właśnie one wychodziły za mąż.

Według niego Catherine nie powinna mieć trudności ze znalezieniem męża, gdyby tylko jej na tym zależało. Na przykład jej pracodawca, ten Melrose Guin. McNally widział, jak wodzi za nią oczami w zatłoczonym pokoju. A była tego warta - no, może powinna trochę o siebie zadbać. Nie zaszkodziłoby też, gdyby przyswoiła sobie maniery damy. Większość dżentelmenów woli panny uległe, skromne i posłuszne - Catherine stanowiła ich przeciwieństwo. Jego Mary wyrzucała ciotce panienek, że nie nauczyła młodszej dbać o urodę. Z kolei ojcu miała za złe puszczenie jej samopas - niewątpliwie, kiedy córka przyjechała do Lizbony, Martin Courtnay dał jej zbyt wiele swobody.

Tak czy inaczej, Catherine była niestety sawantką, jedną z tych kobiet, które nie zniżały się do tego, by podobać się mężczyznom. Jej ambicją było zmieniać świat. Parsknął, lecz chwilę później zachichota*. Jeśli komiśLotofk wda się tego dokonać, to właśnie jej.

Kiedy dotarli do Teatru Królewskiego, deszcz ustał. Catherine stała przez chwilę na trotuarze, napawając się widokami i łowiąc dźwięki. Haymarket była jedną z najbardziej zatłoczonych ulic. Niedaleko znajdował się Westminster, gdzie właśnie trwała sesja parlamentu, a także Carlton House - wspaniała pałac księcia regenta. Przy Haymerket mieściło się więcej kawiarni i restauracji niż w jakiegokolwiek innej części miasta.

Catherine uwielbiała to wszystko: unoszący się w powietrzu aromat kawy i piwa, hałas i turkot pojazdów po kocich łbach. Szczególnie jednak upodobała sobie widok wiecznie zabieganych ludzi. Dokąd zmierzali? Jakie mieli sprawy do załatwienia, o czym marzyli, w czym znajdowali przyjemność? Ta ostatnia refleksja wyrwała ją z letargu. Pozory myliły. Dość poskrobać po wierzchu, a odsłoni się kloaka. Ta dzielnica słynęła również z licznych burdeli.

McNally groźnie zmarszczył brwi, kiedy przeszła przez ulicę i zniknęła w Teatrze Królewskim. Nigdy nie zgadzała się na jego towarzystwo, gdy przeprowadzała wywiady. Twirdziła, że

żadna z tych osób nie powie nic w obecności świadka. Nie podobało mu się, że chodzi sama, lecz nic na to nie mógł poradzić. Zbyt długo była niezależna.

Jakiś stangret wrzasnął, że McNally tarasuje podjazd. Były ordynans bluznął w odpowiedzi takim stekiem wyzwisk, że fiaker osłupiał. Spojrzał wściekły na potężnego Szkota i odwrócił wzrok.

- Cholerny cudzoziemiec! - wymamrotał pod wąsem.

McNally ustawił powóz na właściwym miejscu i rozsiadł się wygodnie, przewidując długie oczekiwanie.

Kiedy Catherine znalazła się w westybulu, usłyszała oklaski i wiedziała, że zaraz zaroji się tu od widzów. Po minucie była z powrotem na ulicy; wyszła bocznymi drzwiami. W ten sposób postanowiła zwieść McNally'ego. Nie chciała, żeby się dowiedział, dokąd naprawdę idzie. A zmierzała do jednego z najbardziej znanych domów rozkoszy na Pall Mail.

Wszyscy słyszeli o Amy Spencer, cieszącej się największym rozgłosem londyńskiej kurtyzanie. Catherine też nieobce było to nazwisko, lecz dopóki nie zobaczyła siostry w loży teatralnej, nie powstało jej w głowie, że to jedna i ta sama osoba.

Pall Mail oświetlona była gazowymi latarniami. Blask bił również z okien licznych kawiarni i tawern, wciśniętych pomiędzy prywatne rezydencje. Dzięki temu była to najlepiej iluminowana ulica w mieście, a co za tym idzie - jedna z najbezpieczniejszych. Niemniej jednak samotna kobieta zawsze wydawała się łatwą ofiarą, toteż Catherine mocniej zacisnęła palce na pistolecie ukrytym w mufce i przyspieszyła kroku.

Była już prawie u celu, kiedy przed drzwiami domu siostry zatrzymał się powóz. Stała u wylotu alejki, obserwując trzy młode kobiety wysiadające wraz z eskortą z pojazdu. Widok był olśniewający: damy prezentowały najmodniejsze suknie z przezroczystego muślinu, z podniesionym stanem; na szyjach kobiet połyskiwała biżuteria. Nie miały na sobie nic, co chroniłoby je przed wieczornym chłodem. Dżentelmeni byli ubrani równie elegancko: z ciemnymi surdutami i czarnym

obuwie kontrastowały barwne szale i kamizelki, ujmując panom nieco dobrodziejstwa. Kawalerowie lekko się zataczali, wśród śmiechu i sprośnych żartów.

Gdy zniknęli w domu, Catherine odczekała pięć minut, rozprostowała ramiona, rozejrzała się i ruszyła. Stukając kołatką, czuła się całkowicie spokojna. Znała ten rodzaj spokoju z Hiszpanii. Zawsze przed bitwą żołnierze przeżywali najgorsze katusze. Kiedy zaczynała się walka, nerwy się uspokajały. Dlaczego więc drżały jej teraz kolana?

Drzwi otworzył ten sam dostojny lokaj w srebrzystej liberii, który już dwakroć odprawił ją z kwitkiem. Z piętra docierały odgłosy hucznej zabawy. Nie traciła słów po próżnicy. Podeszła służącemu pistolet pod nos i z satysfakcją obserwowała, jak z jego twarzy znika arogancja. Mężczyzna cofnął się. Weszła do środka, kopnięciem zamknąwszy za sobą drzwi. Jak dotąd całkiem nieźle.

- Proszę uprzejmie poinformować panią Spencer, że ma gościa. Nie musi pan podnosić rąk do góry. Nie zamierzam pana skrzywdzić. Jeśli pani Spencer odmówi widzenia się ze mną, proszę jej przekazać, że wypalę z tej broni i będę wzywała pomocy. Szczerze mówiąc, sądzę, że jej goście woleliby uniknąć skandalu, jaki to wywoła. Proszę jej powtórzyć moje słowa.

- John, kto to? - ze szczytu schodów dobiegł kobiecy głos. Głos Amy.

Catherine wskazała drzwi tuż obok wejścia do holu.

- Może pan powiedzieć pani Spencer, że będę tutaj.

Nie czekając na reakcję lokaja, weszła do środka.

Pokój oświetlały dwie świece ustawione na kominku. Catherine stanęła tyłem do światła; będzie mogła dokładnie przyrzeć się wchodzącej siostrze. Nie miała cienia wątpliwości, że tym razem Amy zechce się z nią spotkać. Co innego, kiedy była sama. Teraz dom wypełniali błękitnokrwieści dżentelmeni, których ciągnano by na przesłuchania do sędziego pokoju. Taki skandal byłby nie na rękę nawet najślynniejszej kurtyzanie Londynu.

Catherine nie musiała długo czekać. Drzwi się otworzyły i stanęła przed nią Amy, rozsiewając woń perfum. Piękna - to za mało, by ją opisać. Jej widok wprost zapierał dech w piersiach. Mnóstwo drobnych czarnych loków okalało twarz, brylanty błyszcząły na szyi. Miała wielkie ciemne oczy. Przezroczysta muślinowa suknia skrojona została tak, by podkreślić śmietankowobiały biust i wiotką kibić, a nie żeby coś ukrywać. Amy wyglądała jak Salome odrzucająca ostatnią zasłonę.

Efekt popsuł głos przybyłej, zimny i nieprzyjemny.

- Ośmieliłaś się wdrzeć do mojego domu?

- Owszem, bo chcę porozmawiać z moją siostrą. - Catherine przemogła się i powiedziała to spokojnie.

- Twoją siostrą? - Amy z gniewu drgały nozdrza. - O ile pamiętam, powiedziałaś mi w Lizbonie, że nie chcesz mnie nigdy więcej widzieć. Co tu więc, u diabła, robisz, Cat?

Od bardzo, bardzo dawna nikt nie nazwał jej Cat. Odpowiedziała chrapliwie, ze ściśniętym gardłem:

- W Lizbonie byłam wściekła. Wstrząśnięta. Oskarżałam cię o śmierć papy. Mówiłam rzeczy, które nie powinny zostać powiedziane. Pozałowałam tego niemal od razu. Lecz było już za późno. Nie mogłam cię odnaleźć. Nie winię cię o to, że stałaś się tym, kim jesteś. Winię o to mężczyzn, którzy cię dręczyli. Przykro mi z powodu tego, co się stało w Lizbonie, Amy. Bardzo mi przykro.

Amy wycodziła przez zęby:

- Zabieraj się do diabła z tymi swoimi napuszonymi przeprosinami! Precz z mojego domu! Kim ty jesteś, żeby mnie żałować? Rozejrzyj się, Cat. Kupiłam to za własne, zarobione pieniądze. Dom i każdy mebel, który się tutaj znajduje.

- Amy...

- Twoja siostra umarła. To właśnie powiedziałaś mi w Lizbonie. I to prawda. Amy, którą znałaś, nie istnieje.

- Nie mogę uwierzyć, że sprawy zaszły tak daleko. Teraz, kiedy cię odnalazłam, nie dasz mi ostatniej szansy?

Amy postąpiła kilka kroków.

- Czego chcesz ode mnie? - spytała opryskliwie.

Catherine wiedziała, że to, czego naprawdę chce, jest nierealne. Amy nigdy nie wróci do domu w Hampstead, nie po tym, jak zaznała luksusu. Ale przecież nie musiała być nadal kurtyzaną.

Młodsza siostra bezskutecznie usiłowała zebrać myśli i wyrazić je słowami. Starsza gniewnie parsknęła.

- Jeśli sądzisz, że uda ci się mnie przekonać, żebym to wszystko rzuciła - zatoczyła ręką krag - to wybij to sobie z głowy. Mam własną lożę w teatrze, własny ekwipaż. Wydaję bale, obracam się w najelegantszym towarzystwie. Suknie szyją mi najbardziej ekskluzywne krawcowe w Londynie. Te brylanty, które noszę na szyi, są prawdziwe. Mam mówić dalej?

Catherine po raz pierwszy odezwała się szorstko do siostry.

- Towarzystwo, w którym się obracasz, wcale nie jest eleganckie. To hulacy i rozpustnicy. Lecz nawet im nie postaloby w głowie, by się przedstawić swoim siostram. Baliby się, że je zbrukasz. Ten dom, mimo całej elegancji, cieszy się szczególną sławą. Masz prawie trzydzieści trzy lata. Jak długo jeszcze zdołasz to ciągnąć?

- Hulacy i rozpustnicy! - Amy roześmiała się. - Co ty możesz wiedzieć o hulakach i rozpustnikach? Wracaj do domu, Cat, tam twoje miejsce. Miałaś rację mówiąc, że nie masz siostry. Ja też jej nie mam. Jakby nigdy nie istniała.

Słyszac to, Catherine zsunęła mufkę, w której wciąż tkwił pistolet, i otworzyła torebkę. Wbiła wzrok w siostrę, a z jej ręki na wyłożoną dywanem podłogę posypały się suwereny.

- Przysłałaś mi je, nieprawdaż? Czemu, Amy? Dlaczego przysłałaś mi pieniądze?

Amy przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią. W końcu odrzekła, wruszając ramionami:

- Widziałam cię dwa dni temu z okna na piętrze. Wyglądałaś na zabiedzoną. Pomyślałam, że przydadzą ci się pieniądze. Jestem pewna, że ojciec nie zabezpieczył cię wystarczająco.

- Widzisz? - Catherine zareagowała z ożywieniem. - Tylko

udajesz twardą, bo za taką pragniesz uchodzić. Jesteśmy siostrami, Amy. To coś znaczy.

- Och, na miłość boską! Bierz po prostu pieniądze, zanim je weźmie ktoś inny.

- Nie chcę twoich pieniędzy. Chcę, żebyśmy znów były przyjaciółkami.

- Przyjaciółkami! - Okrzyk odbił się echem od ścian. Amy zniżyła głos. - Ty zawsze byłaś ta mądrzejsza, Cat, lecz nie miałaś za grosz zdrowego rozsądku. Jak widzę, nic się nie zmieniło. Idź do domu. Zapomnij o mnie. Nie chcę cię tu więcej widzieć.

- To napisz do mnie. Odpowiadaj na moje listy.

- Po co? Nie mam ci już nic do powiedzenia.

Nim Catherine zdobyła się na odpowiedź, ze schodów dobiegły nawoływania mężczyzn.

- Muszę iść - odezwała się Amy. - I ty też. Nie pokazuj się tu więcej.

Szybko ruszyła przed siebie; zawahała się w progu, lecz wyszła, nie oglądając się.

Kiedy trzasnęły za nią drzwi, Catherine się przygarbiła. W głębi duszy spodziewała się odprawy. Niemniej jednak było to bolesne. Rzeczywiście nie rozpoznawała swojej siostry w tej twardej, chciwej kobiecie, z którą właśnie rozmawiała. Nie, nie zbierało się jej na płacz. Chciała wybiec i wychłostać mężczyzn odpowiedzialnych za to, kim stała się jej siostra. Amy nigdy przedtem taka nie była. Romantyczna, rozmarzona dziewczyna przestała istnieć, kiedy wpadła w złe towarzystwo. Ciotka Bea nic nie mogła poradzić. Nie pomogły również wszystkie te niewybaczalne słowa, które padły w Lizbonie.

Catherine podniosła mufkę i torebkę, lecz nie pozbierała suwenerów. Ten sam lokaj otworzył jej drzwi: patrzył na nią nie jak na osobę wychodzącą, lecz jak na kogoś, komu zakazano wstępu. Trzymał jej łokieć w żelaznym uścisku - widać, musiano go ostrzec, by był przygotowany na wszelkie niespodzianki.

Z trudem przestąpiła próg i zacisnąwszy szczęki, zeszła ze schodów.

W tej samej chwili trzech mężczyzn w jedwabnych pelerynach wysiadło z dorożki. „Dzentelmeni” - pomyślała z drwiną i miała ochotę splunąć im w twarz. Zapomniała o ostrożności i natarła na nich. Pierwszy cofnął się o krok, tłumiąc przekleństwo. Drugi nie był na tyle uległy. Złapał ją w talii i okręcił dokoła.

- Hejże! - zawołał. - Po co ten pośpiech? Na przyjęcie to tędy, kochanie. Pomyliłaś kierunki.

Strasznie zionął alkoholem. Catherine odwróciła głowę.

- Marcus, zostaw ją - wtrącił się trzeci. - Ona nie jest jedną z przyjaciółek Amy. Od razu widać, że to dama godna szacunku.

- Skoro jest taka godna szacunku, to czemu wychodzi z tego domu? - zdziwił się Marcus.

Jego kompani wybuchnęli śmiechem i weszli na schody. Jeden z nich zaczął walić łaską w drzwi.

- Laleczko - odezwał się Marcus - chciałbym zobaczyć, co ukrywasz pod daszkiem tego kapelusika. Obiecuję, że cię nie ugryzę.

Catherine nawet nie drgnęła. Stała cicha i wyprostowana, starając się nie dopuścić do tego, by uniósł jej podbródek i zajrzał w twarz.

Mężczyzna był wysoki i szczupły, mimo to sprawiał wrażenie atlety. Wyglądał na Irlandczyka. Miał ciemne włosy, żywe niebieskie oczy i skóre do uśmiechu usta, które w tej chwili były jednak poważne.

Rozpoznała tę twarz. A miała nadzieję nigdy więcej jej nie oglądać.

Przed nią stał Marcus Lytton, earl Wrotham.

Jej mąż.

Otworzyły się drzwi. Światło padło na twarz dziewczyny.

- Marcus, idziesz wreszcie?

Nie było odpowiedzi, więc dwaj panowie weszli do środka.

Dłonie ściskające ją w pasie zadawały ból.

- Catalina! - warknął. - Catalina! Mój Boże, to ty?

2

Catherine wyswobodziła się z uścisku. Była przerażona. Z trudem łąpała oddech, jej pierś falowała. Pierwszy raz w życiu miała wrażenie, że stoi w obliczu człowieka zdolnego do mordu. Szarpnął się do przodu, uskoczyła więc w bok, wyciągając pistolet z muflki.

- Nie ruszaj się! - rozkazała. Głos drżał jej tak samo jak broń w ręce. Nadludzkiem wysiłkiem usiłowała nad tym zapanować.

Podobnej sceny nie wyobrażała sobie nawet w najkoszmarniejszych snach. Jej mąż powinien teraz być w Paryżu. Należeli do innych kręgów towarzyskich. Trzy lata minęły, odkąd widzieli się po raz ostatni. Nie mógł jej dokładnie pamiętać. Po prostu nie mógł. Zbyt wiele kobiet pojawiło się w jego życiu od tamtego czasu.

- Nie ruszaj się! - powtórzyła, bo wyglądało na to, że znów chce do niej podejść. Powoli uniośł ręce, a Catherine wybuchnęła: - Nie wiem, za kogo mnie pan bierze, lecz jest pan w błędzie. Widzę pana po raz pierwszy. Nie znam pana.

W oczach Marcusa pojawiły się zwątpienie i niepewność.

- Pani jest Angielką - stwierdził.

- Oczywiście, że tak. A czego się pan spodziewał?

- Moja żona jest Hiszpanką.

- Ma na imię Catalina?

Przytaknął.

- Nie jestem pańską żoną.
- Na to wygląda. - Opuścił ręce. - Niezmiernie mi przykro. Mam nadzieję, że pani nie wystraszyłem... Przepraszam ze szczerego serca. Teraz mogę lepiej się pani przyjrzeć i widzę, że nie jest pani Cataliną, choć bardzo ją przypomina.

Słowa mężczyzny wcale jej nie uspokoiły. Widząc, że zająście przyciągnęło gapiów, wetknęła pistolet w mufkę. Wciąż dygotała, starała się wyrównać oddech. Ogarnęła ją przemożna pokusa, by wziąć nogi za pas. To byłoby jednak najgorsze rozwiązanie. Musi zachowywać się naturalnie.

- Przeprosiny przyjęłam. Nic się nie stało. - Z uśmiechem skłoniła głowę.

Odwróciła się, a wtedy muskularna ręka chwyciła ją od tyłu, uniemożliwiając wołanie o pomoc. Jednocześnie druga dłoń przygwoździła mufkę do ciała. Catherine kopała i wrywała się, kiedy wleczono ją do powozu.

- Moja żona: miała ochotę uciec z lordem Berkeley - tłumaczył Julian zdumionym świadkom. - Pozwoliłbym jej na to, gdyby nie szóstka dzieci w domu.

Catherine zacisnęła zęby na kciuku prześladowcy. Jęknął i rozluźnił dłoń, która zasłoniła jej usta.

- To kłamstwo! Nie znam tego człowieka! - krzyknęła w stronę gapiów.

Z tłumu dobiegł groźny pomruk, lecz Marcus zaraz go uciszył.

- Nasze małżeństwo zostało zaaranżowane. Wysłała za mnie dla mojego majątku i tytułu. Teraz zaczyna tego żałować. - I zaraz dodał innym już tonem, tak że jedynie Catherine go usłyszała: - Czyż nie tak, moja droga żono?

Czując, że traci sympatię ludzi, którzy mogliby jej pomóc, krzyknęła w desperacji:

- Wezwijcie straż! Przekonamy się, kto mówi prawdę. Powtarzam wam: nie jestem jego żoną!

Słowa wywarły zamierzony efekt. Niektórzy z gapiów zaczęli pokrzykiwać:

- Zostaw ją pan, bo wezwiemy straż!

Marcus zignorował ostrzeżenie. Drzwi powozu były otwarte i już wpychał dziewczynę do środka, kiedy tłum ruszył, powalając ich na kolana. Ludziom chodziło o Lyttona, więc Catherine udało się jakoś odczołgać na bok. Stała na nogi i zaczęła zmykać niczym zając.

Spoglądając przez ramię, stwierdziła, że tłum się rozproszył. Marcusa ani śladu.

To tylko spotęgowało jej panikę. Skręciła ku tawernie, przez chwilę zawahała się w drzwiach. Gestem odprawiła oberżystę, który przed nią wyrósł, i dopadła tylnego wyjścia.

Zaułek na tyłach Pall Mail, zwany *mews*, różnił się od samej ulicy jak noc od dnia. Paliło się tam co prawda kilka latarń, lecz ich słabe światło podkreślało jedynie atramentową ciemność. Ruszyła ku poświacie w przejściu, lecz już po paru krokach ogarnął ją mrok. Pragnęła znowu znaleźć się w tawernie. Miała wrażenie, że napierają na nią ściany. Serce jej zamierało na każdy szmer. Usiłowała przyspieszyć. Potykała się o koński nawóz leżący przed stajniami; dopiero rano usuną go zamiatacze. Sięgnęła do kieszeni płaszcza po chusteczkę i przytknęła ją do nosa.

Kiedy dotarła do skrzyżowania, skąd można było dojść do Charing Cross, przystanęła, usiłując rozeznac się w sytuacji. Nie sądziła, by Marcus zaniechał pogoni. Był jak opętany. Sprawiał, że wpadła w panikę, a nieczęsto jej ulegała. Zdołała się jednak opanować i rozważała, czy nie poszukać straży.

Oparta plecami o ceglany mur, zastanawiała się, jakie ma możliwości. Żeby dostać się do McNally'ego, trzeba przejść przez ulicę. Jeżeli Lytton wciąż jest na Pall Mail, musi ją zauważyć. To zbyt ryzykowne. Lepiej nadłożyć drogi, skręcić w prawo, ominąć Charing Cross i wyjść na Strand. Tam zatrzyma jakiegos fiakra, który podwiezie ją na Haymarket.

Było jeszcze jedno wyjście. Gwardia konna stacjonowała na Whitehall, w najbliższym sąsiedztwie Charing Cross. Towarzyszyła jej milicja, która patrolowała ulice. Jeśli Catherine uda się tam dotrzeć, będzie mogła ich wezwać... Pomysł śmiechu wart!

Czyż milicja aresztuje Marcusa Lyttona, earla Wrotham? To ją przecież będą przesłuchiwać, jej będą zadawać kłopotliwe pytania, na które nie miała ochoty odpowiadać.

A zatem pozostaje droga okrężna.

Aby opuścić schronienie, które zapewniał zaułek, musiała natężyć całą uwagę. Upewniwszy się, że nic jej nie zagraża, śmiało ruszyła w prawo. Żwawo szła przed siebie, ignorując spojrzenia okolicznych łazęgów.

Zbliżając się do Whitehall, obejrzała się przez ramię i przystanąła w pół kroku. Marcus! Był jeszcze dość daleko, lecz sadił za nią potężnymi susami.

Teraz nie mogło być już mowy o dostaniu się na Strand. Podkasała spódnicę i puściła się ku Whitehall. Owładnęła ją jedna myśl: musi mu uciec! Z trudem łapiąc oddech, przebiegła ostatnie jardy dzielące ją od kwatery gwardii konnej i wpadła na dziedziniec. Ujrzała kilku gwardzistów w niebieskich mundurach. Oficer dowodzący wyszedł jej na spotkanie.

- Proszę mi pomóc - ledwo mówiła, nie mogąc złapać tchu. Wskazała za siebie drżącym palcem. - Jakiś człowiek mnie prześladowuje. To wariat!

Kapitanowi Haileyowi wystarczyło jedno krótkie spojrzenie, by się zorientować, że ma do czynienia z damą. Wpadając jej w słowo, warknął rozkaz i dwóch żołnierzy wyszło na Whitehall. Catherine cofnęła się do bramy wiodącej na plac parad po drugiej stronie budynku. Kiedy pojawił się Lytton, serce skoczyło jej do gardła i instynktownie skryła się głębiej w cieniu.

- Marcus! - Dowódca sprawiał wrażenie zaskoczonego. - Nie wiedziałem, że wróciłeś do Londynu. Przyszła tu jakaś pani, która twierdzi, że jesteś szalony.

Catherine przeklinała swojego pecha. Powinna była pamiętać, że jej mąż służył w gwardii. Ci wszyscy ludzie znali się nawzajem. Nie pomogą jej.

Wybuchnęli głośnym śmiechem. W końcu usłyszała głos Marcusa:

- Zgubiła torebkę. Chciałem tylko ją oddać. Gdzie jest ta dama?

- Ona... Gdzieś tu musi być.

Dziewczyna nie czekała już dłużej, przeszła przez bramę, przed nią rozciągał się piaszczysty plac parad, dalej był St. James Park. Zrezygnowała z ostrożności. Słyszac zbliżające się kroki, puściła się pędem. Dopadła wejścia do parku i odetchnęła z ulgą - było otwarte. W zasadzie o tej porze ogród powinien być zamknięty, lecz nie było tajemnicą, że po zmroku gromadzą się tu prostytutki i sutenerzy, rozbójnicy i złodzieje. Dla nich zamknięta brama to żadna przeszkoda. Bała się wejść, lecz jeszcze bardziej przerażało ją niebezpieczeństwo czające się za plecami.

Wśliznęła się do parku. W słabym świetle padającym z Whitehall dostrzegąta drzewa i poszycie. Zeszła z alejki, pochyliła głowę i osłaniając twarz mufką, wcisnęła się w gęste zarośla ostrokrzewu. Tam przyklekła. Narobiła tyle hałasu biegnąc przez plac, że Marcus z łatwością ją wytropi. Cała nadzieja w tym, że będzie trzymał się ścieżki, zapędzi się w głąb parku i oddali od niej. A wtedy ona umknie prześladowcy i wróci na Whitehall.

Ziemia była rozmiękła od deszczu i odzież nasiąkała wilgocią jak gąbka. Catherine wyciągnęła pistolet z mufki i ukryła broń w zgięciu lewego łokcia. McNally, dobry żołnierz, nauczył ją dbać o to, by proch zawsze był suchy. Niemal w tej samej chwili poczuła czyjaś obecność. Spodziewała się, że Marcus będzie hałaśliwie szedł przez park, tymczasem on też się skradał, wyczekiwał.

Strach ją paraliżował. Ogarnięta paniką wpatrywała się w ciemność. Minęta wieczność, nim cień się poruszył. Słyszała przyspieszony świszczący oddech, ostrożne kroki na ścieżce. Tylko wtedy, gdy stapał, odważała się sama zaczerpnąć powietrza. Wyteęzała słuch, usiłowała zlokalizować prześladowcę. Dochodziły ją jakieś dźwięki, lecz był to plusk wioseł, stłumiony śmiech, cykanie świerszczy i inne nocne odgłosy.

Nie miała pojęcia, jak długo tak kucała, nasłuchując. Uspokojona, że jest sama, cał po calu wycofywała się z zarośli. Odczekała długą chwilę, z wolna stanęła na nogi. Uważając, żeby nie narobić hałasu, przekradła się do wyjścia. Dotarła do placu defiladowego, co krok oglądając się przez ramię. Gdy doszła do bramy, napięcie stopniowo zaczęło ustępować.

Zaczerpnęła tchu - i właśnie wtedy zaatakował ją cień, który zmaterializował się w mroku. Zareagowała instynktownie. Uniosła broń i pociągnęła za spust. Huk był ogłuszający. Zaszachowała napastnika, lecz widać chybiła, bo wciąż trzymał się na nogach.

Rzuciła się do ucieczki. Mocne palce wbiły się w jej ramię, okręciły ją dokoła.

- Ty dziwko! - wychrypiął.

Otworzyła usta do krzyku, lecz mężczyzna był szybszy. Cios dosięgnął jej podbródka.

Catherine otoczyła czerwona mgia. Zemdlona osunęła się w jego ramiona.

Przebudziła się, jęcząc. Pomacała szczękę. Przypomniawszy sobie wszystko, chciała się zerwać na równe nogi. Marcus pochylił się nad nią i przytrzymując za ramiona, popchnął z powrotem na fotel.

- Proszę wypić. Zaraz lepiej się pani poczuje - odezwał się.

Nie miała siły z nim walczyć. Kręciło się jej w głowie, mdliło ją. Przełknęła kilka kropli brandy. Rozkaszała się i zakrztusiła, więc odstawił szklanekę.

Umysł Catherine pracował gorączkowo, lecz ona sama trwała w bezruchu. Oparta o zagłówek fotela, z półprzymkniętymi powiekami, obserwowała mężczyznę, usiłując dociec, na czym polega zmiana. Wreszcie do niej dotarło: przestał jej wygrażać.

Otworzyła oczy i rozejrzała się po małym pokoju.

- Gdzie jesteśmy? - spytała.

- W kancelarii na piętrze.

- W kwaterze gwardii konnej?

– Tak.

– A gwardziści?

– Pewnie wykonują swoje obowiązki. Powiedziałem im, że zaszła straszna pomyłka: śmiertelnie panią wystraszyłem i wyciągnęła pani pistolet w odruchu obrony.

- Ależ to prawda!

- Na to wygląda.

Nieufnie patrzyła, jak przysuwa ku niej krzesło i siada na nim. Uśmiechał się. Spoglądając na jego usta, można by pomyśleć, że jest zupełnie niegroźny. Wyciągnął ku niej rękę. Zrobiła unik i dłoń się cofnęła.

- Nigdy nie widziałem włosów takiego koloru - stwierdził. - Są naprawdę piękne.

Dotknęła ich. Opadały luźno na ramiona. Kapelusz, mufla i pistolet leżały na blacie biurka.

Rozpoczął *gwałtowną* przemowę:

- Jestem pani winien przeprosiny. Rzecz w tym, że przez chwilę naprawdę wziąłem panią za swoją żonę. Teraz, kiedy zobaczyłem panią wyraźnie, a zwłaszcza te rude włosy, zrozumiałem pomyłkę. Na domiar złego niemal doprowadziła pani do bijatyki. Mogłem przypuszczać, że rzeczywiście ma pani podstawy, by się mnie obawiać. A przy okazji, jestem Wrotham, pani...? - dodał swobodnie, zbyt swobodnie, by rozproszyć jej obawy.

- Jestem kobieta, którą śmiertelnie pan wystraszył - padła błyskawiczna riposta.

- *Touche.*

Zaczął się śmiać, lecz Catherine zachowała powagę. Gorączkowo rozmyślała, jak wybrnąć z tej sytuacji. Jedno niewłaściwe słowo mogło mieć fatalne konsekwencje. Co może mu powiedzieć? Że ma na imię Catherine? Że oboje byli w Hiszpanii, gdzie on poślubił Catalinę? Jej włosy rzeczywiście były rude, lecz istniały sposoby, by to zmienić. Nie, nie chciała, żeby czegokolwiek się o niej dowiedział. Była damą, a ten mężczyzna ją napadł. Tego trzeba się trzymać.

Wstała powoli, Marcus również.

- Może pan się wynosić do diabła wraz ze swoimi przeprosinami. Wezwę straż. Zamierzam złożyć skargę. Pan mnie napadł.

- Ja zaś mogę zeznać, że chciała mnie pani zamordować. Pani miała pistolet. Proszę usiąść. Jakoś dojdziemy z tym do ładu. - W jego głosie nie było groźby, tylko ogromna pewność siebie. - Nie, doprawdy - zaczął delikatnie - potrzebuje pani czasu, by ochłonać. A poza tym, czy nie zaciekawiłem pani troszeczkę? Bo pani mnie zaintrygowała. Proszę łaskawie usiąść.

- Wiem o panu tyle, ile powinnam - odparła cierpko, nie zapominając o odgrywanej roli.

- Co pani wie?

Wiedziała wszystko. Jakżeby inaczej? Przyglądała się jego karierze długo przedtem, nim zaciągnął się do wojska. Było powszechnie wiadomo, że los nie poskąpił mu urody ani fortuny. Jeszcze jako chłopiec odziedziczył wspaniały tytuł. Od kołyski mu pobłażano. Armia służących spełniała każdą jego zachciankę. Rezultat był wiadomy. Młodzieniec nabrał przekonania, że cały świat kręci się wokół niego. Potrafił wyzwać na pojedynki z powodu zgubionej rękawiczki, przechwalał się kochankami. Powiadano, że każda kobieta musi mu ulec, jeśli tylko jej zapragnie. Myślał jedynie o doraźnych przyjemnościach. Nawet do wojska trafił w rezultacie zakładu. W Hiszpanii sądziła, że spotkała kogoś wyjątkowego, lecz to był tylko wytwór jej wyobraźni. W rzeczywistości okazał się człowiekiem pozbawionym skrupułów i serca, o czym aż nadto przekonała się na własnej skórze.

Nie miała zamiaru siadać, lecz mimo to usłuchała. Marcus był dla niej zbyt wysoki i silny; bez pistoletu czuła się bezbronna.

- Pan jesteś Marcus Lytton, earl Wrotham. Słyszałam o pańskiej reputacji.

- Reputacji? - Uniósł brwi i sam usiadł. - Nie wiedziałem, że moje wojenne czyny są tak szeroko znane.

Rozzłościł ją jego szelmowski ton.

- O reputacji rozpustnika, to miałam na myśli. - Nie mogła się powstrzymać, by tego nie dodać.

- Pani mi pochlebia.

- Tak się panu tylko zdaje.

Zaskoczony, zamilkł na chwilę.

- *Touche* raz jeszcze, panno... Ach, tak, pani nie chce wyjawić swojego nazwiska. Nie przypuszczała pani przypadkiem, że nastawałem na jej cnotę? - odezwał się łagodnie.

- Nawet nie przyszło mi to do głowy.

- Doprawdy?

Ton Lyttona był prowokacyjny. Odpowiedziała mu w ten sam sposób.

- Jest pan, mój panie, mężczyzną żonatym, nieprawdaż?

Przestał się uśmiechać.

- Co pani wiadomo o mojej żonie?

Po krótkim wahaniu wzruszyła ramionami i odparła buńczucznie:

- Aż do dzisiejszego wieczoru wiedziałam jedynie to co wszyscy: służąc pod rozkazami Wellingtona w Hiszpanii, poślubił pan Hiszpankę.

- A czego się pani dowiedziała dziś wieczorem?

- Że tak bardzo jej pan nienawidzi, że gotów byłby ją zabić. - Tym razem nie zastanawiała się nad odpowiedzią.

Przewiercał ją wzrokiem. Wreszcie uśmiechnął się lekceważąco.

- Źle zinterpretowała pani sytuację. To moja żona chce mnie zabić. Może jej się to uda. Ach, niech to pani nie szokuje. Takie rzeczy zdarzają się w najlepszych rodzinach. Trudno jest uzyskać rozwód, dla katolickiej dziewczyny to wręcz niemożliwe. Widzi więc pani, że Catalina i ja jesteśmy związani, póki śmierć nas nie rozłączy. Nieznośna sytuacja. - Twarda nuta zabrzmiała w jego głosie, gdy wypowiadał ostatnie dwa zdania.

Miała w głowie kompletny zamęt. Chciała mu zadać setki pytań, lecz żadnego nie ośmieliła się wypowiedzieć. Nawet teraz był wobec niej podejrzliwy. Czuła to przez skórę.

- Jestem pewna, mój panie, że pan przesadza. - Starła się sprawiać wrażenie zaskoczonej.

- Doprawdy? Oby tak było.

Raptownie zmienił ton.

- Dość o mnie. Jestem tu pokrzywdzony. Nic o pani nie wiem i póki się czegoś nie dowiem, nie pozwolę pani odejść.

Powiedział to wesoło. Catherine jednak nie dała się wciągnąć w tę grę. Znała ciemne strony jego charakteru, wiedziała, że niebezpieczeństwo nie zostało jeszcze zażegnane. Miała nadzieję odejść stąd, nie mówiąc Marcusowi, kim jest ani gdzie można ją znaleźć. Oblizła wargi.

- Mój panie, zwracam się do pana jak do dżentelmena, prosząc by pozwolił mi pan odejść. Ktoś na mnie czeka. Jeśli dowie się o moim... nieszczęściu, to mogę się znaleźć w niezręcznej sytuacji.

W ciszy, która zapadła, było coś dziwnego. Zupełnie jakby ostatnie słowa nasunęły mu jakieś przypuszczenie.

- Ten dżentelmen, jak wnoszę, to ktoś, kogo spotkała pani dziś w domu pani Spencer. Miała tam pani schadzkę?

W jej głowie rozbrzmiały dzwonki alarmowe.

- Pani Spencer? Nie znam nikogo takiego.

- Doprawdy? Przysiągłbym, że widziałem panią wychodzącą dziś z jej domu. Cóż się stało? Pokłóciłyście się? Wyrzuciła panią na ulicę w tych łachmanach? Wiem, jaka potrafi być zazdrosna. Odbiła jej pani kochanka? Kto na panią czeka? Worcester? Berkeley? Cokolwiek by proponowali, potrafię ich przebić.

Jeszcze przed chwilą cała się trzęsła ze strachu. Teraz ogarnęła ją wściekłość. Ta indagacja była obraźliwa, każde pytanie bardziej upokarzające od poprzedniego. Celowo! Kiedy wstała, kolana już się pod nią nie uginały. Nazywa się Catherine Courtney i żaden mężczyzna nie będzie się do niej odzywał w ten sposób.

- Moje kontakty z panią Spencer to nie pański interes! - oświadczyła.

_ Więc była pani tam?

_ I co z tego?

Zrozumiała, że palnęła głupstwo, choć tak bardzo chciała tego uniknąć.

Poczerwieniał na twarzy, oczy mu załśniły. Pochwyciły ją silne, muskularne ramiona. Przycisnął Catherine do swojej potężnej piersi. Czuła, jak mosiężne guziki surduta wbijają się w jej ciało. Przytrzymał jej ręce wzdłuż ciała, otoczył ramieniem szyję, zbliżył usta do warg.

Jęknęła. Nie z rozkoszy, lecz z bólu. Szczeka wciąż paliła od ciosu, który jej zadał. Zesztywniała w oczekiwaniu na pocałunek kończący to wszystko, kładący kres cierpieniu.

Lytton wykorzystał jej bierność i przywarł do niej jeszcze bardziej. Catherine złapała oddech, czuła w ustach jego język. To nie miało nic wspólnego z tamtym wymuszonym, upokarzającym pocałunkiem po ich ślubie w Hiszpanii. Kosztował jej, smakował z delikatnością, o którą nigdy by go nie posądziła. Zaskoczona doznawaną przyjemnością, na moment straciła głowę i zwiotczała w jego uścisku. Zaraz jednak przypomniała sobie, kim jest ten mężczyzna, i wściekła ze wstydu kopnęła go w goleń. Puścił ją od razu.

Catherine zamachnęła się, lecz nie zdołała go uderzyć, bo złapał ją za nadgarstek. Śmiał się.

- Zatem nie jesteś jedną z przyjaciółek Amy. Musiałem to sprawdzić.

Próbowała znów zaatakować, lecz Marcus z łatwością odparował cios.

- Posłuchaj, przepraszam. W porządku? Gdybyś odpowiedziała na moje pytania, nie musiałbym przeprowadzać tej próby.

Nienawidziła jego triumfującej miny, brzydziła się błyskiem w oku, drażniły ją zmarszczki na policzkach, towarzyszące uśmiechowi. To była ostatnia, daremna próba przeciwstawienia się temu zuchwałemu diabłu. Tak czy inaczej, on dojdzie swego.

Pogrzebała w kieszeniach płaszcza. Dwie nieświeże chustki, wstążka, jakieś drobne... wreszcie to, czego szukała.

- Oto mój bilet wizytowy. Nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia.

- Panna C. Courtnay - czytał Marcus - Heath House, Hampstead. Czemu nie oszczędziła pani nam obojgu mnóstwa kłopotów i nie powiedziała tego, kiedy grzecznie pytałem?

Odwrociła się do niego plecami, podeszła do biurka, włożyła kapelusz, wzięła mufkę i pistolet, po czym ruszyła do wyjścia.

- Zapomniała pani tego - powiedział, trzymając jej torebkę. - Jest pusta. Jakie to dziwne! Większość znanych mi dam tu właśnie trzyma swój dobytek, nie w kieszeniach.

Wyrwała mu torebkę, nawet się nie zatrzymując. Lytton wyprzedził ją i szarmancko przytrzymał otwarte drzwi.

- To jednak prawda, co powiadają o rudowłosych. Faktycznie, ma pani charakterek.

Potraktowała ten docinek z całą pogardą, na jaką zasługiwał. Maszerowała korytarzem z wysoko uniesioną głową. Niech wezwie straż, niech ją aresztują za usiłowanie zabójstwa. Jeżeli zacznie grzebać w jej przeszłości, nie doszuka się żadnego związku z Cataliną.

Odkasznął.

- Wydaje mi się - odezwał się nieśmiało - że idzie pani w złym kierunku.

Zwolniła kroku.

- Wyjście jest tam - dokończył.

Zaczerpnęła oddechu, odwróciła się i ruszyła wraz z nim. Milczał aż do chwili, kiedy stanęli na trotuarze Whitehall.

- Jak pani zamierza się dostać do domu w Hampstead?

Traktując go jak powietrze, skinęła ręką i zatrzymała fiakra. Marcus przytrzymał drzwi powozu.

- Do Teatru Królewskiego - rzuciła woźnicy.

- Niech pani tylko nie mówi, że jest aktorką - powiedział Marcus, wsiadając za nią.

Catherine ostentacyjnie wyglądała przez okno, zdecydowana nie dać się wciągnąć w konwersację. Lecz jemu to nie

przeszkadzało. Zaczął niezobowiązującą pogawędkę, która nie wymagała od niej odpowiedzi. Urwał, kiedy zajechali przed teatr.

Pozwolił, by zapłaciła fiakrowi. Poczuli się tym rozczarowana; straciła szansę rzucenia mu w twarz jego pieniędzy. Najwyraźniej zdawał sobie z tego sprawę.

McNally odwrócił się ku nim. Pozwoliła Marcusowi, by nomógł jej wsiąść do powoziku, lecz nadal była lodowato zimna.

- Do domu, McNally - rzuciła.

- Chwileczkę. - Marcus podszedł do Szkota. - Panna Courtnay miała drobny wypadek. Nie, nic poważnego. Dopilnujcie, żeby w domu przyłożyła zimny okład na podbródek. A jeśli da się przekonać, podajcie jej odrobinę brandy.

- Tak jest, sir. - McNally rozpoznawał oficerów i dżentelmenów, nawet jeśli nie byli w mundurach. Spojrzał przez ramię na Catherine i napotkał jej zimne spojrzenie.

- Dowiem się za dnia, jak się pani miewa - zwrócił się Marcus do Catherine.

Zachowała kamienne oblicze.

- Jedź już, McNally - ponagliła.

Stangret spojrzał na oficera.

Lytton cofnął się o krok. Zastanawiał się przez chwilę, studiując beznamiętny wyraz twarzy dziewczyny.

- Ruszaj, McNally - zakomenderowała, szczerząc zęby.

Dopiero wtedy sługa emoknął na konia i ujął lejce.

Marcus obserwował, jak powozik jedzie wzdłuż Haymarket i skręca ku Piccadilly. Przestał się uśmiechać. Był prawie pewien, że to nie Catalina, lecz wciąż żywił drobne wątpliwości. Mimo wszystko podobieństwo było niesamowite. Miał też podstawy, by przypuszczać, że jego żona przebywa w Anglii.

Pokręcił głową, przypominając sobie konsternację, której doznał, gdy zdjął jej kapelusz i fala ogniście rudych włosów opadła na ramiona. Dostrzegł też inne różnice, które wcześniej mu umknęły: jasną karnację, piegi na nosie, delikatne, szlachetne rysy. Kiedy odzyskała już przytomność, zorientował się, że nie nia w sobie ani krzty powabu Cataliny. Pamiętał doskonale, jak

kusiła go nie rozbudzoną zmysłowością. Jak idiota dał się na to złapać. Myślał, że odnalazł miłość, która dotąd zawsze mu umykała.

Nie, panna Courtney to nie Catalina, jakkolwiek na swój sposób wywarła na nim wrażenie. Z pozoru niedostępna i chłodna, łatwo wpadała w gniew. Miał prawo się zastanawiać, czy była równie namiętna.

Nie żałował pocałunku. Kopnęła go w goleń - coś takiego jeszcze nigdy mu się nie przytrafiło. Na samą myśl o tym miał ochotę roześmiać się w głos. Jeszcze żadna kobieta tak go nie rozbawiła.

Pewne pytania wciąż go nurtowały. Nie zdradziła, co robiła w domu Amy. Nie wiedział, dlaczego wpadła w taką panikę na jego widok, czemu sama spacerowała po mieście o tak późnej porze, co najdziwniejsze - uzbrojona. Ten ostatni fakt najbardziej przemawiał za tym, że ma do czynienia z własną żoną.

Panna C. Courtney była zagadką, którą zamierzał rozwiązać.

Na początek postanowił zwrócić się do Amy. Wiele razem przeżyli. Kiedyś byli kochankami, teraz stała się jego dobrą przyjaciółką. Nie będzie nic przed nim ukrywać.

3

Marcus świetnie pamiętał te rojenia. Wylizywał się z ran w górskiej kryjówce El Grandę, rozmyślał o Anglii. Marzył o balach, pięknych angielskich dziewczętach odzianych w jasne przezroczyste muśliny, z pachnącymi włosami i delikatną skórą.

Teraz przeżywał to naprawdę. Podpierał kolumnę wspianiałej sali balowej lady Tarrington i był potwornie znudzony. Nic się nie zmieniło przez pięć lat jego nieobecności w Anglii. Wokół takie same nudne rozmowy. Takie same piękne dziewczęta zawisają mu na ustach, gdy tylko wypowie słowo. Takie same niesmaczne małżeńskie *affaires*. Zmieniły się jedynie nazwiska i twarze. Powinien odwrócić się na pięcie i uciec stąd. Problem jedynie w tym, że gospodyni była jego chrzestną.

„Witaj w domu, Marcus” - pożalił się w myślach, dolewając sobie szampana.

Pamiętał, że kiedyś takie wieczory były dlań czymś zupełnie innym. Już dawno minęły jego dwudzieste dziewiąte urodziny. Czuł się stary niczym Matuzalem. Wszystko już widział, wszystkiego dokonał, wszystko przychodziło mu zbyt łatwo. Nie było o co walczyć. O finanse troszczyły się najtęższe głowy, jakie mógł wynająć. Penniston, przyrodni brat, dbał o majątek Wrothamów z pieczołowitością, jakiej nie można by się spodziewać nawet po najlepszym zarządcy. W gruncie rzeczy Marcus nie musiał się nawet żenić. Gdyby przytrafiło

mu się coś złego, dziedzicem tytułu byłby któryś z dwóch przyrodnych braci. Pozostawał więc hazard, picie, dziwki. Miał wszystko, czego potrzebuje do szczęścia młody mężczyzna. Tyle że on, nie wiedząc czemu, nie był szczęśliwy.

Już nie pamiętał, kto pierwszy zaproponował zakład. Wiedział tylko, że było ich czterech. Niezbyt elegancko wymknęli się z balu u lady Castlereagh i wylądowali w jakimś wytwornym burdelu, gdzie obsługiwały ich najlepsze dziwki, jakie można mieć za pieniądze. „Najlepsze, jakie można mieć za pieniądze”. Ta myśl nie dawała mu spokoju. Raz w życiu zapragnął czegoś, czego kupić nie sposób. Powiedział to głośno. Ktoś inny rzucił uwagę o ciężkiej żołnierskiej doli i nim nastał świt, przyjaciele założyli się, że jeżeli Marcus wytrzyma w wojsku sześć miesięcy, to na jego cześć zjedzą swoje bobrowe okrycia. Poleją je sosem, który sam wybierze, i zjedzą.

Zakrawało to na żart. Nikt się nie spodziewał, że podejdzie do tego na serio. I rzeczywiście, zakład nie był tu najistotniejszy. Do wyobraźni Marcusa dotarło nagle, że żołnierskie życie jest czymś bardzo oryginalnym. Zadziałał pod wpływem impulsu.

Miał tego pożałować niejedną raz podczas pierwszego roku służby. Potem przestał się nad tym zastanawiać. Był żołnierzem. Miał zadanie do wykonania. Wypędzenie Francuzów z Hiszpanii stało się sprawą honoru. Dwa miesiące temu wszystko rozstrzygnięto się pod Waterloo i ojczyzna już dłużej go nie potrzebowała.

Wrócił jakby do punktu wyjścia, lecz był teraz starszy o pięć lat, nieco mądrzejszy. Nie chciał dawnego życia. Ocalał, gdy tysiące jego kamratów poległo. Bynajmniej nie stał się ascetą, lecz zmienił poglądy na świat i upodobania.

Zupełnie bez przyczyny pomyślał o rudowłosej jędry. Nie, Amy nic tu nie pomoże. Uśmieła się co prawda z niego setnie, kiedy opowiedział jej o dziewczynie, lecz zaznaczyła równocześnie, że kobiety z dobrych domów u niej nie bywają. Lytton nie wyjawiał przyjaciółce nazwiska młodej damy ani innych szczegółów, pragnąc oszczędzić pannie Courtnay kłopotów. Odczekał dzień i złożył wizytę w Hampstead.

Z początku nie chciała go wpuścić, ale oboje byli jednakowo uparci. W końcu machnęła ręką i pozwoliła mu wejść. Marcus siedział u niej miłą godzinę. Dowiedział się wiele, po prostu obserwując. Już sam dom o czymś świadczył. Chylił się ku upadkowi, utracił blask niczym podstarzała piękność. Widać było, że właścicielce się nie przelewa. Z pogaduszek ze służącą, która podawała herbatę i ciasteczka, dowiedział się, że panna Courtnay ma na imię Catherine, a jej ojciec, doskonały lekarz, brał udział w kampanii iberyjskiej. Córka przez krótki czas była z nim w Portugalii. Wróciła do kraju, kiedy doktor zginął na skutek nieszczęśliwego przypadku.

Widok dziewczyny poruszał jakoś Lyttona, choć przestał już podejrzewać, że to Catalina. Była nazbyt angielska, skromna i szczerą. Miała język cięty jak żmija, a oczy potrafiły zapłonąć jak rozżarzone węgle. Taki charakter. Zastanawiał się, co powinien zrobić, by wykrzesać z niego namiętność.

Nie było większego sensu rozmyślać na ten temat. Ich znajomość szybko się skończy. Po pierwsze, nie należeli do tego samego kręgu towarzyskiego. Po drugie, dała mu jasno do zrozumienia - patrząc nań tak, że nie miał wątpliwości, iż mówi prawdę - że earl Wrotham nie zalicza się do jej ulubieńców. Marcus był rozczarowany, ponieważ od bardzo dawna nie spotkał kobiety równie interesującej jak panna Catherine Courtnay.

Zapowiedź tańców ludowych wyrwała go z zamyślenia. Pojawił się lokaj z tacą pełną kieliszków szampana. Marcus kątem oka dostrzegł zbliżającą się matkę chrzestną. Towarzyszyło jej zjawisko odziane w różę: młoda, gamoniowata dziewczyna, osiemnasto- czy dziewiętnastoletnia. Dawniej uciekłyby przed taką nieśmiałą niezdarą podpierającą ściany. Wolał flirty bardziej ogniste, czyli - nazywając rzecz po imieniu - mężatki, których małżonkowie trwali w błogiej nieświadomości. „Starzeję się” - pomyślał Lytton i z czarującym uśmiechem odwrócił się, aby wypełnić towarzyski obowiązek.

Trochę później zajął do czysto męskiego sanktuarium - pokoju bilardowego. Nie chciał grać, pragnął tylko uciec od

konwersacji prowadzonych w sali balowej. Odpoczywał w towarzystwie mężczyzn - szczególnie takich, którzy jak i on sam mieli za sobą czynną służbę w wojsku.

Wyminął kapitana Gronowa, który raczył towarzystwo relacją o pełnych grozy chwilach pod Waterloo. Na tarasie kilku dżentelmenów paliło cygara. Ci, w przeciwieństwie do Gronowa uczestniczącego jedynie w ostatniej fazie wojny, byli prawdziwymi weteranami. Tak długo służyli pod rozkazami Wellingtona, iż zaczęli myśleć o sobie jako o zawodowych żołnierzach. Nie byli zbyt skorzy do opisywania własnych przeżyć.

Jeden z nich, Freddie Barnes, dostrzegł Lyttona i skinął w jego stronę. Starszy od niego o dwa lata, zawsze wyglądał na radosnego, nigdy nie lamentował ani nie narzekał. Marcus bardzo go lubił. Mieli ze sobą wiele wspólnego. Obaj zaciągnęli się na służbę u Wellingtona na początku kampanii, obaj służyli jako oficerowie obserwatorzy - szpiedzy w mundurach, którzy przenikali głęboko na terytorium wroga, by meldować o jego ruchach. Nie byli zamaskowanymi mężczyznami ze sztyletami ukrytymi w rękawach, mogącymi wmieszać się w tłum. Byli pierwszorzędnymi oficerami kawalerii, potrafili pędzić jak wiatr, a francuscy lansjerzy ścigali ich aż do linii frontu.

To właśnie podczas jednej z takich misji Marcus nadział się na wraży patrol i został potem uratowany przez El Grandę. Freddie przeżył podobną przygodę. Kiedy przywieziono Lyttona, był już w klasztorze. Jako jeden z oficerów odwiedzał rekonwalescenta, uczestniczył też w zaślubinach Marcusa i Cataliny.

Teraz skinął głową w stronę Gronowa.

- Słuchając go, można by pomyśleć, że był wszędzie. Ja widziałem pod Waterloo jedynie końskie zady i te cholerne czworoboki piechoty.

Posypały się zabawne anegdoty, jedna bardziej nieprawdopodobna od drugiej. Uciekali w ten sposób od rzeczywiście bolesnych wspomnień.

- Są jakieś wieści o twojej żonie, Marcus? Jest w Anglii czy

stała w Hiszpanii? - spytał Freddie, korzystając z chwilowej przerwy w ogólnej paplaninie.

Lytton musiał odpowiadać na to pytanie przez całą wieczór. Najwyraźniej wszyscy pragnęli poznać lady Wrotham. Pogłoski o jego ślubie wydawały się bardzo romantyczne, lecz z drugiej strony nie było w nich nic niezwykłego: wielu angielskich żołnierzy ożeniło się z Hiszpankami. Marcus starał się jak najmniej mówić na temat swojego małżeństwa. Jak mężczyzna ma się publicznie przyznać, że nie wie, gdzie jest jego małżonka? Nawet rodzinę utrzymywał w nieświadomości. Wiedział, co by nastąpiło, gdyby wyjawiał prawdę. Napastowałyby go rzesze dziewcząt podających się za Catalinę i ludzi twierdzących, że zdradzą miejsce jej pobytu w zamian za nagrodę. Postanowił odnaleźć ją sam.

- Ach, wciąż przebywa w Hiszpanii, lecz niebawem do mnie przyjedzie.

Aby zatuszować wymijający charakter odpowiedzi, przyjął cygaro od Petera Farrela i odwrócił się przypalając.

Taktyka gry na zwłokę poskutkowała i porzucono temat Cataliny. Lecz on nie mógł tak łatwo o niej zapomnieć. Rok temu, kiedy Napoleona wygnano na Elbę i nastąpiła przerwa w walkach, Lytton pojechał do Hiszpanii i próbował odszukać żonę. Od tamtej pory był prawie przekonany, że coś musiało się jej stać, że ona i jej brat zginęli. Jak inaczej mógł wytłumaczyć brak jakichkolwiek wieści? Pojechał do klasztoru, gdzie ongiś spotkał Catalinę. Zdziwił się bardzo, zastając mnichów zajętych odbudową przybytku.

Od jednego z nich, Juana, dowiedział się, że El Grandę to w rzeczywistości markiz de Vera el Grandę, hiszpański szlachcic. Jego rezydencja pod Madrytem legła w gruzach; z całej rodziny ocalali jedynie on i Catalina. Francuzom się wydawało, że zaszlachtowali wszystkich - drogo zapłacili za to przeoczenie. Niedługo potem El Grandę wypłynął jako legendarny dowódca partyzancki. Juan powiedział coś jeszcze: El Grandę eskortował Catalinę podczas podróży do Anglii.

Marcus nie wiedział, co myśleć o tym wszystkim. Znaczyło to przecież, że przybyli na wyspy prawie dwa lata temu.

Spodziewał się, że Catalina zamieszka u jego rodziny w Warwickshire lub przynajmniej będzie usiłowała wycisnąć z niego tyle pieniędzy, ile tylko zdoła. Wyobrażał sobie ich spotkanie i karę, jaką jej wymierzy za to, co uczyniła. Odkąd się rozstali, z lubością snuł plany zemsty za upokorzenia, których doznał.

Catalina była mądrzejsza, niż zakładał. Najwidoczniej nie chciała wpaść w ręce męża, który jej nienawidził.

Rejestry żeglugowe potwierdziły, że markiz de Vera el Grande i jego siostra przepłynęli do Anglii. Potem ślad się urywał. Jakby rozplynęli się we mgle. Dziwne, Catalina nie używała swojego nowego nazwiska. Co knuła? Kiedy pojawi się na scenie?

Parę tygodni po powrocie Marcusa do ojczyzny zdarzyło się coś, co kazało mu widzieć sprawę w jeszcze bardziej ponurych barwach. Dokonano nieudanej próby zamachu na jego życie. Uświadomił sobie nagle, że gdyby zginął, Catalina byłaby bardzo *bogatą* wdówką.

Z większą niż dotąd determinacją próbował ją odszukać. Musi być jakiś sposób, żeby wywabić Hiszpankę z kryjówki.

Usłyszał nazwisko, które wydało mu się znajome.

- Porucznik William Harris? Czy to nie ten młody chorąży, który był z nami w kryjówce El Grande? - zwrócił się do Freddiego.

- Ten sam. Cholearna historia.

- Co się stało?

- Przeżyć tę całą wojnę i zginąć w wypadku na łódce!
- Freddie przysunął się do Marcusa. - Nie czytałeś o tym w „The Journal”? To było nocą, kilka dni temu, w St. James Parku. Popijają z przyjaciółmi.

Lytton przypomniał sobie klasztor w Hiszpanii, gołowąsa, który siedział na biureczku Cataliny. Marcus i Freddie rozmawiali, a ten był tak zawstydzony, że odzywał się jedynie półgębkiem.

- No to zostało nas tylko dwóch. - Lytton na głos wypowiedział to, co chodziło mu po głowie. Zorientował się, że mimowolnie ściągnął na siebie uwagę wszystkich. - Z pięciu oficerów uratowanych przez El Grande żyjemy tylko ty, Freddie, i ja.

- Co stało się z pozostałymi? - spytał Farrel.
- Kiedy opuściliśmy kryjówkę partyzantów i usiłowaliśmy przekroczyć granicę portugalską, wpadliśmy prosto na zagon francuskiej kawalerii - wyjaśnił Freddie. - W potyczce zginął jeden ze strzelców, nie pamiętam jego nazwiska. Nie wiem, co się stało z drugim.

- Zapomniałem o tym strzelcu - wtrącił Marcus.

- Niedługo potem major Sheppard zastrzelił się przypadkowo, czyszcząc pistolet.

- A jeszcze później koń zabił kapitana Brinsleya, kopnięciem rozwalając mu czaszkę. To był potworny wypadek - uzupełnił Lytton.

- Brinsley, jak wnoszę, był z wami u El Grandę? - zainteresował się ktoś.

- Był - przytaknął Freddie.

- Marcus, słyszałem, że jakiś rzeźmieszek strzelał do ciebie w Hyde Parku? - Farrel zaciągnął się głęboko cygarem.

Lytton przyjrzał się pytającemu. Mierząc ponad sześć stóp wzrostu, sprawiał on wrażenie niezgrabnego, powolnego faceta. Marcus jednak wiedział, że to nieprawda: spośród wszystkich żołnierzy służących pod rozkazami Wellingtona, major Peter Farel był najczęściej wymieniany w rozkazach dziennych. Za męstwo w obliczu nieprzyjaciela.

- To prawda - potwierdził Lytton. - Jakiś cholerny głupek zestrzelił mi z głowy kapelusz, kiedy przechodziłem mostkiem nad Serpentine. Skoczyłem oczywiście do wody. To był piekielnie drogi kapelusz.

A co z tym El Grandę? Kim on właściwie jest? - spytał Farrel, kiedy już ucichły śmiechy.

- To markiz de Vera el Grandę, mój szwagier.

Freddie Barnes opuszczał rezydencję lady Tarrington zatroskany. Trochę skłamał, co napełniało go niesmakiem, lecz chodziło o coś znacznie poważniejszego. Nic wcześniej nie

wiedział o zamachu na Marcusa. Teraz jednak rozważał wszelkie ewentualności, usiłował ustalić jakąś logikę wydarzeń. Być może pomiędzy wypadkami Shepparda, Brinsleya, Harrisa i zamachem na Lyttona nie było żadnego związku. Wyglądało to jednak na dziwny i zatrważający zbieg okoliczności.

Kiedy pierwsze ciężkie krople deszczu spływały mu po twarzy, postawił kołnierz płaszcza i zatrzymał dorożkę. Mieszkał przy St. James, lecz nakazał woźnicy skręcić w Piccadilly i jechać na Bond Street. Wiedział, że go nie oczekiwano. Rozumiał doskonale, że powinni spotykać się jedynie przypadkowo, lecz okoliczności były wyjątkowe.

Już wchodząc do westybulu, usłyszał kobietę krzyczącą z rozkoszy i gardłowe dźwięki wydawane przez jej partnera. Zdenerwował się i od razu poczuł skurcze w żołądku. To dlatego jego kochanek nie chciał, żeby odwiedzał go nie zapowiedziany. Był niewierzącym libertynem pozbawionym zasad. Interesowały go jedynie pieniądze Freddiego Barnesa, dzięki którym mógł żyć dostatnio.

Freddie odwrócił się do wyjścia, gdy otworzyły się drzwi sypialni. Stał w nich jego kochanek w karmazynowym brokatowym szlafroku, oświetlony blaskiem bijącym z pokoju. Spojrzał na gościa i zatrzasnął za sobą drzwi.

- Freddie - odezwał się słodko - pomyślałem, że to możesz być ty. Nie powinieneś tak wpadać z nienacka.

- Wiem - odparł Barnes.

Nie potrafił opanować żalu. Na twarzy kochanka nie dojrzał cienia skruchy. Młodzieniec nawet się nie wysilił, by sprawić wrażenie zakłopotanego.

- Skoro tak - odezwał się Freddie - równie dobrze mogę ci to zostawić. - Oddał mu klucz.

Kochanek podszedł do Barnesa. Próbował go uspokoić.

- Czemu? Z powodu kobiety? Freddie, Freddie, wiesz dobrze, że ona nic dla mnie nie znaczy. Bez ciebie czułem się samotny. Ona była pod ręką. To wszystko. - Delikatnie objął Barnesa.

Choć sam czuł do siebie wstręt, zaczynał mięknąć. To miłość

tak działa na człowieka, czyni go słabym. A on był mężczyzną, prawdziwym mężczyzną, niezależnie od pogardy, z jaką spoglądaliby nań przyjaciele, gdyby znali jego sekretne życie. Był oficerem obserwatorem. Stawał twarzą w twarz z nieprzyjacielem dowodził ludźmi w bitwie. Tak, był mężczyzną, lecz nie na tyle, aby zdobyć się na rozstanie z młodym kochankiem, który robił z niego głupca. Czuł się zupełnie wyczerpany.

- Posłuchaj - zaczął - spotkałem dziś Wrothama. Nie, nie mu nie powiedziałem, jeszcze nie, i nie w tym rzecz. Dzieje się coś dziwnego. Może to nic takiego, ale powinienś wiedzieć. Zdarzyły się wypadki, napaści. Później ci wyjaśnię. Po prostu bądź ostrożny, dobrze?

- Nie rozumiem. To, co mówisz, nie ma sensu. - Młodzieniec rzucił okiem na drzwi za plecami. - Pozbędę się tej kobiety, będę u ciebie najszybciej, jak zdołam. Pogadamy. Czemu nie pojedziesz do domu i nie zaczekasz na mnie?

Freddiemu cisnęła się na usta gorzka riposta, lecz nie zdobył się na wypowiedzenie jej na głos. Zawahał się, skinął głową i odwrócił się na pięcie.

- Freddie? - Młodzieniec zawiesił głos. - Czy on wie o mnie?

- Nigdy bym nie zawiódł twojego zaufania. - Barnes zeszywniał.

- I za to cię lubię, Freddie. Jesteś człowiekiem honoru. Teraz już idź. Będę niedługo u ciebie.

Znużony Barnes przybył w końcu do własnego apartamentu. Czemu nie kazał kochankowi iść do diabła? Bo wtedy wszystko byłoby skończone, a tego nie mógłby znieść. Czy nie miał już dumy, godności? Czuł się do głębi upokorzony. Boże, co się z nim dzieje?

Nalał sobie szklaneczkę brandy, wypił dwoma potężnymi łykami. Usiadł z butelką w dłoni przed wygasłym kominkiem, zastanawiając się nad przyszłością. Trzydzieści pięć lat. Pora się ożenić, założyć rodzinę. Tego życzyłyby sobie matka. Ogamał go pusty śmiech, dołał alkoholu. Czasami chciałyby nie żyć. Zaciażyły mu powieki i zamknął oczy.

Śnił, że tonie. Wodorosty zaciskają się wokół gardła. Coraz

mocniej. Kiedy wreszcie dotarło do niego, że to nie sen, że naprawdę ktoś go dusi, było już za późno. Słaby opór na nic się nie zdał.

Bank Ramsoma znajdował się po wschodniej stronie Pall Mail, w pobliżu Charing Cross. Tuż po otwarciu przed drzwiami zatrzymał się wynajęty powóz, z którego wysiadł elegancki młody dżentelmen. Po rozmowie z panem Stevensonem, zastępcą kierownika działu, prędko zszedł wraz z nim do podziemia. Tam w pozbawionym okien pomieszczeniu, jednym z najlepiej strzeżonych w całym budynku, został wydany depozyt. Klienta pozostawiono, by mógł na osobności sprawdzić zawartość kasetki.

Skrzyneczka była niewielka, obciągnięta starą skórą, lecz najwyraźniej obchodzono się z nią troskliwie. Boki i wieczko miała zdobione mosiądzem; z tego samego stopu wykonano plakietkę z inicjałami P.R.L. Młody człowiek otworzył szkatułkę własnym kluczem. Nie po raz pierwszy kontrolował jej zawartość. Wszystko w należytym porządku - wszystko to, co miało zapewnić mu życie, o jakim marzył. Na drodze stała mu tylko jedna poważna przeszkoda. Kiedy ją usunie, jego cierpliwość zostanie nagrodzona. Czekał trzy lata i już czuł smak zwycięstwa.

Dotykał listów i dokumentów, natrafił na aksamitną sakiewkę pożółkłą ze starości. Wydobył ze środka bransoletę, zważył na dłoni.

Składała się z pięciu kamei w kształcie damskich główek, każda obramowana innymi szlachetnymi kamieniami. Jeden element był wspólny: filigranowe motywy winorośli i róży, wykonane w złocie. Wspaniałe okaz rękodzieła i co ważniejsze - przepustka do wygodnego, bogatego świata.

Odłożył do szkatułki kolejno bransoletę, sakiewkę oraz kilka listów, które wyjął z kieszeni. Przekręcił klucz w zamku i wezwał urzędnika, aby oddać mu depozyt.

W parę chwil później wyszedł z banku. Już niedługo - złożył sobie obietnicę - usunie przeszkodę ograniczającą jego ambicje.

4

Catherine nie potrafiła powiedzieć, czy pojechała do Hampstead Heath dla przyjemności, czy wręcz przeciwnie - żeby się umartwić. W sobotni poranek, jeden z najgorętszych tego lata, dosiadła po damsku słodkiej Vixen, która zapowiadała się na doskonałego wierzchowca, i zmusiła się, by wjechać po stoku statecznym kłusem. Naprawdę to chciała zapomnieć o wietrze, czepku i włosach w nieładzie. Pragnęła na łeb na szyję pogalopować aż na sam szczyt Wzgórza Parlamentu, najwyższego wzniesienia na tych wrzosowiskach.

Gdyby jednak sobie pofolgowała, dostałaby się na języki w Hampstead. Zaczęto by się zastanawiać, gdzie nauczyła się tak wspaniale jeździć, a McNally miałyby powód do słusznego gniewu. Damy się tak nie zachowywały. Wciąż miał jej za złe niewielką eskapadę, podczas której spotkała Marcusa.

Obejrzała się przez ramię i skinęła głową postawnej przyzwitce. McNally dosiadał Derby'ego, starego pony, którego zazwyczaj zaprzęgano do dwukółki. To wyjaśniało podły humor jeźdźca. Derby dawno temu powinien był odejść na końską emeryturę, lecz nie stać jej było na nowe zwierzę. Vixen natomiast należała do sąsiada, który wyjeżdżając płacił Catherine za utrzymywanie wierzchowca.

Odwróciła się, słysząc czyjeś pozdrowienie. Emily Lowrie, młoda czarnowłosa kobieta o miłej twarzy, kłusowała obok w grupie jeźdźców. Obie panie przyjaźniły się, odkąd Emily

sprowadziła się do Hampstead. Mimo że niedawno wyszła za mąż, nadal miały sobie wiele do powiedzenia.

- Nie zapomnij o czwartku! - krzyknęła Emily. - Będzie gość honorowy!

W każdy trzeci czwartek miesiąca państwo Lowrie podejmowali przyjaciół w domu na drugim krańcu Hampstead Heath. Catherine lubiła te nieformalne spotkania. Mąż Emily był parlamentarzystą, dopiero zaczynającym karierę. Wśród zaproszonych zawsze trafiali się ciekawi ludzie. Zazwyczaj był też gość honorowy, osoba o poglądach dających do myślenia. Wiele artykułów Catherine zostało zainspirowanych rozmowami przeprowadzonymi na tych wieczorkach.

- Nie opuściłabym spotkania za żadne skarby świata! - odkrzyknęła. - Kto tym razem będzie postacią numer jeden?

- Earl Wrotham - odpowiedziała Emily, szeroko się uśmiechając.

- Wrotham?!

Przyjaciółka była bardzo zadowolona z reakcji Catherine.

- Zachowałam się tak samo, kiedy mąż mi o tym powiedział. Gdzie nam do takiej grubej ryby! „Jesteś pewien, Williamie, że przyjął zaproszenie na tak mało znaczące spotkanie? - dopytywałam się. - Może źle go zrozumiałeś”. A on mi na to, że earl praktycznie sam się wprosił.

- Nie wiedziałam, że William zna Wrothama - powiedziała Catherine słabym głosem.

- Bo i nie znał aż do zeszłego tygodnia. Przedstawili ich sobie wspólni znajomi. Och, Catherine, czyż to nie cudowne? Jeśli Wrotham, który zna wszystkie odpowiednie osoby, zainteresuje się karierą Williama, to mój mąż może zająć Bóg wie jak wysoko. Powiedział co prawda, że bym dała sobie z tym spokój, ale wiesz, jaki William ma stosunek do protekcji.

Emily zakończyła rozmowę tym radosnym akcentem i pokłusowała podzielić się dobrymi wiadomościami ze wszystkimi, którzy zechcą jej wysłuchać.

„Wrotham!” Kiedy widziała go po raz ostatni, była już

niemal pewna, iż udało jej się przekonać go ostatecznie, że nie jest Cataliną. Przeklęty typ! Czy nigdy nie da za wygraną?

W pierwszym odruchu chciała się wykręcić od zaproszenia, po namyśle postanowiła stawić czoło wyzwaniu. Oczywiście, że wciąż go intrygowała. Musi więc zaspokoić jego ciekawość tak, by nie pozostał ślad wątpliwości, że naprawdę jest kobietą, za którą się podaje. Wtedy przestanie ją niepokoić.

Tego wieczoru ubrała się bardzo starannie. Obracając się na różne strony przed oprawnym długim lustrem, była zaskoczona zmianą własnego wyglądu. Pani McNally upięła jej włosy, a kapelusz przyozdobiła jedwabnymi pączkami róż. Cera wydawała się gładsza, lekko zarumieniona. A figura... To zasługa nowej wyciętej muślinowej sukni z podniesionym stanem, w kolorze kości słoniowej. Wzdrygnęła się na myśl, co powiedziałyby ciotka Bea, gdyby mogła ją teraz zobaczyć.

Nie z próżności chciała zaimponować nową kreacją. Pragnęła tylko wyglądać zupełnie inaczej niż Cataliną. Jak najbardziej z angielska.

Starła się nie myśleć o ciotce Bei, wzuwając nowe pantofelki na wysokich obcasach. Miała już na sobie białe jedwabne pończochy, które kosztowały ją dziesięć szylingów. Dziesięć szylingów za parę jedwabnych pończoch! Bardziej szokowało ją to niż cena sukni. Tę można przerobić i będzie służyć przez lata. A pończochy mogą nie przetrwać nawet jednego wieczoru. Tyle zachodu po to tylko, żeby zmylić Wrothama? Musi być szalona. Każdy, kto na nią spojrzy, dojdzie do wniosku, że zagina parol na earla.

Do drzwi zapukała pani McNally.

- Wygląda jak nowy - odezwała się, wchodząc do pokoju.

Wskazała na świeżo odprasowany płaszcz przewieszony przez ramię. Znalazła go, sprzątając strych, w kufrze ze starymi ubraniami, które nosiła niegdyś matka Catherine. Skrzynia stała tom przez cały czas rządów ciotki Bei. Pani McNally dobrze wiedziała dlaczego.

Beatrice Courtnay była reliktem ubiegłej epoki, purytanką przeklinającą wszelkie przejawy próżności. Dla siostrzenic nie powinny nawet istnieć ładne stroje, bale, tańce czy wyprawy do teatru. Zamiast tego: religia, ciężka praca, lektura. Ciotka nie widziała zastosowania dla ubrań matki Catherine. Kiedy małżonkowie McNally po raz pierwszy zawitali na strych, znaleźli tam mnóstwo rycin, luster, ozdób, pudeł z „niewłaściwymi” książkami, kufrów ze starą odzieżą. Niekiedy bardzo piękną, jak ten zielony aksamitowy płaszcz, który właśnie odprasowała.

Para służących dyskretnie porozmieszczała na powrót te przedmioty w całym domu. Catherine sprawiło to przyjemność. Powiadała, że panuje tu teraz podobna atmosfera jak za czasów jej matki. Słyszac to, pani McNally postanowiła przerobić trochę ubrań znalezionych w kufrze.

Patrzyła teraz na panienkę i coś chwyciło ją za gardło. To przecież śliczna, tryskająca życiem młoda kobieta. Martin Courtnay powinien się wytłumaczyć z niejednego błędu. Kiedy zmarła jego żona, powierzył córki kobiecie, która nie potrafiła im matkować. Wypłoszyła z domu jedną z dziewcząt, z drugiej usiłowała stworzyć swoją replikę. Na szczęście charakter Catherine ukształtował się na długo przedtem, nim pojawiła się ciotka - pruderyjna stara panna. Teraz, kiedy Bea odeszła, Catherine na powrót stawiała się sobą.

Pani McNally brakowało tylko jednego do pełni szczęścia. Pragnęła, żeby panienka znalazła właściwego mężczyznę, zdolnego docenić również zalety jej umysłu, lecz jednocześnie na tyle stanowczego, że powstrzyma dziewczynę przed lekkomyślnym odwiedzaniem miejsc, o których dama nawet słyszeć nie powinna.

Pomogła Catherine włożyć płaszcz, dopięła guziki. Cofnęła się o krok, zmierzyła dziewczynę wzrokiem od stóp do głowy i odezwała się ze swoim wyraźnym szkockim akcentem:

- Ach, śliczności, paninko, dło moich starych ócz. Szelma i gałgan, nigdy słówka nie piśtaś ni mnie, ni staremu. Późdz, czeko na ciebie.

Cathenne dźwięczała w głowie ta przemowa, kiedy opuszczała pokój. W połowie drogi omal nie spadła ze schodów. Na dole czekał na nią nie McNally, lecz Marcus.

- Jak widzę, sprawiłem pani niespodziankę. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

Wyglądała na wzburzoną i to mu dało czas, by samemu odzyskać równowagę. Oniemiał bowiem na jej widok.

W końcu przemówił:

- Nie ma sensu brać dwóch powozów, kiedy i tak muszę przejechać koło pani domu. Spotkałem McNally'ego i powiedziałem mu, żeby nie zawracał sobie głowy dwukółką. Nie ma pani nic przeciwko temu?

Jak na zawołanie zjawił się McNally. Rozpromienił się na widok swojej pani. Z podestu spoglądała jego żona, głupio się uśmiechając. Cathenne zeszła po schodach. Chwilę trwało, nim włożyła rękawiczki.

- Czy pańska żona jedzie z nami, lordzie Wrotham? - spytała chłodno, by uciąć wszelkie aluzje.

- Moja żona?

- Lady Wrotham - sprecyzowała Catherine. Spojrzała znacząco na McNallych. - Miałam nadzieję ją poznać.

- Cóż, może następnym razem.

Zapadła cisza. Catherine, zadowolona, że służący pojęli, w czym rzecz, wyszła z domu.

- Widziałem świetną klacz, którą McNally prowadził do pani stajni. Powiedział mi, że wynajmuje ją pani sąsiad, który udał się z wizytą do Ameryki - zagaił Marcus, gdy tylko znaleźli się w powozie.

- Trudno to nazwać wizytą. Admirał Collins będzie nieobecny przez rok, jeśli nie dłużej.

- Zatem klacz jest do pani dyspozycji?

- Czemu pan pyta?

- Pomyślałem, że czasem moglibyśmy pojeździć razem.

Nietrudno było zgadnąć, co zamyśla. Musiał widzieć ją na koniu w Hiszpanii. Wciąż ją sprawdzał, usiłując dociec, czy jest Cataliną,

- Mogę używać Vixen, ale obawiam się, że nie jestem zbyt zainteresowana przejazdami konnymi.

Przypomniała sobie poranną galopadę przez wrzosowiska, kiedy nikt jej nie widział. Musiała odwrócić głowę, by ukryć iskierki wesołości w oczach.

- Kto zatem trenuje klacz?

„Czy ten człowiek nigdy nie spocznie?”

- Głównie McNally, czasem ja zabieram ją na trochę. - I zaraz dodała, żeby przerwać dalsze indagacje: - Pan z rozmysłem wprosił się na przyjęcie, wiedząc, że tam będę.

- Owszem - zgodził się.

- Skąd pan wiedział, że państwo Lowrie są moimi przyjaciółmi?

- Wspomniała pani o nich mimochodem ostatnim razem, pamięta pani?

Przypomniała sobie i przekleła własną głupotę. Postarała się jednak zapanować nad wściekłością. Nie wolno jej go prowokować ani rzucać mu wyzwania. Przede wszystkim zaś nie może okazać, jak straszliwie go nienawidzi.

- Pan usiłuje mnie osaczyć, milordzie. Nie podoba mi się to. Czego pan ode mnie chce? - Przyjrzała mu się uważnie.

Uniósł brwi i parsknął śmiechem.

- Chcę więcej, niż oboje moglibyśmy się spodziewać, lecz chyba nie dążę teraz do celu najkrótszą drogą. Catherine, pani mnie zadziwia. Tyle pytań pozostało bez odpowiedzi. Nie mogę przestać o pani myśleć.

- Jeżeli odpowiem na te pytania, obiecuje pan zostawić mnie w spokoju?

Wzruszył ramionami i skrzyżował ręce na piersi.

- Jeśli pani sobie tego życzy... - zgodził się po krótkim wahaniu.

„Jak on może mieć jakieś wątpliwości?”

Skinęła głową, zaczerpnęła powietrza i zapytała spokojnie:

- Co chciałby pan wiedzieć?

- Czy spała pani kiedyś z mężczyzną?

Nie mógł się powstrzymać, usiłował zburzyć jej opanowanie.

To było jak smagnięcie biczem. Ujrzawszy grymas na jego twarzy, wybuchnęła:

- Ty chamie, idioto! Mogłam się czegoś takiego po tobie spodziewać! Nie wpojono ci żadnych manier!

Chwycił za przegub ręki sięgającej do klamki, przyciągnął z powrotem.

_ To była płonna nadzieja - wyjaśnił żartobliwie.

_ Płonna nadzieja? Cóż to ma znaczyć? - Odrzuciła jego rękę.

- Mieszka pani sama. Podróżuje bez przyzwoitki, w zamkniętym powozie, w towarzystwie dżentelmena o nadszarpniętej reputacji. W moich kręgach oznacza to zazwyczaj, że dama otwarta jest na... jak by to powiedzieć... pewne sugestie.

- Dzięki Bogu, nie obracam się w pańskich kręgach. Nigdy nie potrzebowałam przyzwoitki, póki nie spotkałam pana. Nie jestem damą wysokiego rodu, lordzie Wrotham. Jestem porządną, szanowaną dziewczyną, zarabiającą na życie, a dżentelmeni, którzy pojawiają się w moich kręgach, są również ludźmi przyzwoitymi i godnymi szacunku.

Puścił ją, pewny, że nie wyskoczy już z powozu.

- Nie będę przepraszał za to pytanie. To uprości sprawy między nami. - Raptem zmienił temat. - Powiedziała pani, że zarabia na życie. W jaki sposób?

„Uprości sprawy między nami”. Przestała się zastanawiać nad jego dziwnymi wyrażeniami. Bardziej martwiła się czym innym. Uwielbiał ją prowokować. Jeżeli da się wyprowadzić z równowagi, może zbyt wiele wygadać.

Uznała, że nie ma sensu ukrywać faktu, iż pisze dla „The Journal”. Im szybciej przekona Wrothama, że naprawdę jest tą, za którą się podaje, tym prędzej on zniknie z jej życia.

- Pracuję dla „The Journal”. Artykuły, eseje, tego rodzaju rzeczy.

- Obawiam się, że nie rozumiem.

Wyjaśniła mu przez resztę drogi do posiadłości Emily. Marcus był pełen podziwu, lecz równocześnie zaszokowany.

- A.W. Euman. Świetny. Świetna - miałem oczywiście na

myśli. Psiakrew, czytałem kilka pani artykułów. Nie wiedziałem, że kobiety interesują się takimi sprawami.

- Dziękuję - powiedziała jedynie. Gardziła tego rodzaju komplementami, lecz postanowiła trzymać buzię na kłódkę.

- „The Journal”! Jestem naprawdę pod wrażeniem! Musiało być trudno przekonać wydawcę, by potraktował panią na serio, nieprawdaż? Bez obrazy, w końcu jest pani kobietą.

- Wprost przeciwnie, to Melrose Gunn przekonywał mnie do publikacji moich esejów - odpowiedziała Catherine słodko.

- Pozna go pan dziś wieczór, to kuzyn gospodyni. Tam się właśnie po raz pierwszy spotkaliśmy - na jednym z czwartkowych wieczorów u Emily. Zdaje sobie pan sprawę, że mówię to panu w zaufaniu? Nikt nie powinien wiedzieć, że E.W. Euman to kobieta.

Jemu też by tego nie zdradziła, gdyby nie była taka zdeperowana.

- Czemuż to?

- Bo nikt poważnie nie traktuje kobiet.

- Melrose Gunn bierze panią jednak na serio, czyż nie tak?

- Melrose jest wyjątkowym mężczyzną - potwierdziła.

Gawędzili o dziedzinie dziennikarstwa, którą uprawiała.

- Wtedy w nocy, kiedy panią spotkałem, zbierała pani materiały do artykułu? - spytał w pewnym momencie.

- Tak - przyznała.

- I dlatego była pani w domu pani Spencer?

Amy napisała, że Wrotham zasięgał u niej języka, lecz powiedziała mu, iż nie zna damy, która odpowiadałaby jego opisowi.

- To był kawał. Ktoś rozmyślnie wysłał mnie pod niewłaściwy adres. To się czasami zdarza. Dlatego noszę pistolet.

Odpowiedziała na wszystkie pytania i parę takich, których nie zadał. Nie chciała, żeby znów się u niej zjawił, kiedy coś jeszcze przyjdzie mu do głowy.

Gdy zatrzymali się przed domem Emily, posłała mu swój najsympatyczniejszy uśmiech.

- Milordzie, w pełni zaspokoiliłam pańską ciekawość. Ufam, że pan dotrzyma swojej części umowy.

Pomógł jej wysiąść. Kiedy już miała odejść, złapał ją za nadgarstek.

- Układ - powiedział - polegał na tym, że nie zobaczymy się więcej, jeśli nie będzie pani tego chciała. Mam nadzieję, że nim wieczór dobiegnie końca, zmieni pani zdanie.

Uwielbiał ten spłoszony wyraz jej oczu. Jeszcze bardziej go bawiło, kiedy warczała na niego, szczerząc ząbki.

- Nie zakładałabym się o to - syknęła.

Wyrwała rękę i pierwsza ruszyła do drzwi.

Cathenne niepotrzebnie się obawiała, że komukolwiek wpadnie w oko jej wspaniały strój. Znalazła się w dobranej kompanii. Wyglądało na to, że na spotkanie z Wrothamem wszyscy ubrali się najlepiej, jak mogli. Niektóre damy były tak wystrojone, iż z trudem można je było rozpoznać. Dominowały jasne suknie z gazy, białe jedwabne pończochy - dziesięć szylingów para, wykwintne fryzury z powpinanymi kwiatami z jedwabiu. Czuła się więc całkiem na miejscu. Tymczasem dżentelmeni prezentowali najdziwniejsze kamizelki: jedne prążkowane, inne bogato haftowane i takie, których nie podjęłaby się opisać. Okazało się, że Marcus jest najbardziej konserwatywnie ubraną osobą z całego towarzystwa. Zezłościło ją to. Zupełnie jakby z rozmysłem zrobił durniów z nich wszystkich.

Catherine ulżyło, kiedy nadszedł Melrose Gunn i porwał ją, podając ramię. Zbliżał się do czterdziestki, miał wielce dystyngowany wygląd, ciemne włosy przetykane siwizną. W jej kręgach był najlepszym kandydatem na męża. Odnosił się z szacunkiem do intelektu Catherine, interesował się tymi samymi sprawami co ona, zachęcał do pisania o tych problemach. Znali się od prawie sześciu lat. Dwukrotnie prosił ją o rękę, lecz Catherine odmówiła. Nie tylko dlatego, że nie była wolna i nikogo nie mogła poślubić. W rzeczywistości chodziło

o to, że Melrose był zbyt potulny. Dowiedziawszy się, kim była jego wybranka, biedak pewnie wzięłby nogi za pas.

- Widzę, że przyjechałaś z Wrothamem - zagał.

Przyjęła od rozmówcy szklankę ponczu.

- Tak. Przywiózł mnie tu swoim powozem. Czyż to nie uprzejme z jego strony?

Gunn, wyczuwając coś dziwnego w jej głosie, spojrzął na nią ostro. Następnie skierował wzrok ku grupie otaczającej Marcusa.

- Przypuszczam, że kobiety uważają go za atrakcyjnego - powiedział ostrożnie.

- Za bardzo atrakcyjnego.

To nie było kłamstwo. Choć ani nie lubiła Marcusa, ani go nie szanowała, sama ulegała jego czarowi. Właśnie dlatego był taki niebezpieczny.

Melrose powoli popijał poncz.

- Powiadają, że z niego pies na kobiety. Jak jego ojciec.

Catherine gwałtownie chwyciła go za rękę.

- Melrose, jeśli chcesz ostrzec przed nim kobietę, to popełniasz błąd. Każda będzie uważać, że to właśnie ona go odmieni. Powinieneś jej natomiast przypomnieć, że jest żonaty. Na tym polega sztuczka.

Marcus obserwował rozbawioną parę w przeciwległym rogu pokoju. Nazbyt dobrze był wychowany, by okazać ciekawość, zbyt uczciwy, aby zaprzeczyć, że odczuwa ukłucia zazdrości godne zaborczego samca. Nim upłynęła godzina, wydobył dyskretnie od Emily wszystko, co wiedziała na temat Melrose'a Gunna i jego więzi z Catherine Courtney. Pani Lowrie opowiedziała, że dziewczyna jest jej najbliższą przyjaciółką, Melrose zaś kuzynem. Z niechęcią przyjmowała do wiadomości, że tych dwoje nigdy nie będzie parą; nazbyt długo pozostawali przyjaciółmi.

Usiłował wysondować przeszłość Catherine również i później. Dowiedział się, że straciła matkę mając dwanaście lat, usłyszał o ponurej, budzącej grozę ciotce, o tym, że siostra zbiegła z kochankiem i nigdy więcej o niej nie słyszano. Powiedziano mu również o przedwczesnej śmierci Martina Courtney a w Portugalii

Rozmyślał o innych znanych kobietach, próbował je sobie wyobrazić w sytuacji Catherine - żyjące samotnie, zarabiające na chleb. Nie potrafił. Był zdziwiony, że nie wybrała najprostszego wyjścia i nie poślubiła Gunna, który z całego serca pragnął tego związku.

Przez cały wieczór mógł zamienić z Catherine jedynie parę słów. Jako honorowy gość był stale w centrum zainteresowania. W przeciwieństwie do balów u jego matki chrzestnej, do tych wszystkich nudnych, monottonnych spotkań, tu rozprawiano o religii czy polityce z prawdziwym zaangażowaniem. Nawet dany miały wyrobioną opinię na każdy temat. Nim skończył się wieczór, pomyślał, że tamte nudziarstwa można by skwitować machnięciem ręki.

Wrotham nie zetknął się bezpośrednio z Melrose'em Gunnem aż do chwili, kiedy opuszczali przyjęcie. Dziewczyna ich sobie przedstawiła. Mężczyźni starannie ukrywali wzajemną niechęć, udało im się jednak zachować pozory. Marcus wiedział, że Gunn będzie nocował u Lowrieach, nie było więc kwestii, kto odwiezie Catherine do domu. Lytton niezbyt się z tego ucieszył: nie miał szansy nasycić się wywiedzeniem rywala w pole.

Wsiadł do powozu, zajął miejsce naprzeciw Catherine i zachichotał. Zabębnił w dach i pojazd dostojnie ruszył z miejsca.

- Cóż w tym takiego zabawnego? - spytała Catherine.

Włosy wymknęły jej się spod kapelusza i usiłowała zrobić z nimi porządek.

- Cóż? Ach, sprawa terytorialnej własności. Myślałem, że mam to opracowane.

- Nie rozumiem.

- Nie. I nie pojmie pani tego.

- Dlaczego?

- Bo jest pani kobietą.

Zapadła dziwna cisza. Coś zamigotało w jego oczach. Catherine przestała się zajmować kwiatkami we włosach. Marcus ciężko oddychał, a ona czuła jakiś ucisk w gardle.

- Co to dla pani znaczy? - spytał ciepło.

Przez cały wieczór nie mógł oderwać od niej oczu. Nigdy przedtem nie widział takiej kobiety. Nawet malarz nie potrafiłby oddać na płótnie ciepłej aureoli włosów, karnacji twarzy. Patrzył, jak Catherine się porusza, obserwował jej mimikę, gestykulację, kiedy rozmawiała na zajmujący temat. Zdawał sobie sprawę, że się zadurzył. Obudziła w nim rycerskość. Lecz teraz, kiedy był z nią sam na sam w zamkniętym powozie, drgnęły w nim jakieś ciemne i prymitywne struny. Zapraǳnął wyciągnąć ręce, posiąść tę dziewczynę. Tylko jedna kobieta rzuciła na niego taki urok. Catalina.

- Chyba oszalałem - wymamrotał do siebie. - Nie broń się - zwrócił się do dziewczyny. - Nie chcę cię skrzywdzić. Po prostu bądź i pozwól mi... pozwól...

Przyciągnął ją, pocałował.

Catherine również obserwowała go przez cały wieczór, usiłując nie ulec jego czarowi. Przyglądała się wyrazistym ustom, które często się uśmiechały, oczom błękitniejącym, gdy coś go rozbawiło. Starła się temu nie poddawać, naprawdę się starała, lecz teraz... rozczesywał i burzył palcami jej rude kędziory nad czołem, a czynił to gestem zapamiętanym z Hiszpanii, kruszącym jej opór. W zaciemnionym ciepłym powozie oddziaływało to jeszcze silniej. Nie czuła się już jak Catherine. Znów była Catalina, o on był Marcusem, tamtym Marcusem...

Wargi ustąpiły pod naciskiem jego ust, poddały się delikatnej penetracji języka. Palce mężczyzny buszowały we włosach Catherine, odczepiając szpilki i kwiaty; owinał sobie ręce cienkim jedwabiem i przyciągnął dziewczynę. Zapach, smak, dotyk tak nim owładnęły, że zapraǳnął się w nich zatracić.

Nie potrafiła myśleć ani oddychać. Nie była przygotowana na taką burzę zmysłów. Dudniło jej w uszach, serce waliło jak młotem, kręciło się w głowie. Jęknęła bezradna, zarzuciła Marcusowi ramiona na szyję, przytuliła się do niego.

Ręce mężczyzny błądziły pod jej płaszczem, ugniatwały taliC biodra, uda. Wciaż było mu mało. Chciał jeszcze więcej

Kolejny pocałunek: bardziej wilgotny, gorętszy. To wszystko było zbyt gwałtowne. Działo się zbyt szybko.

Odsunął się i przez chwilę, milcząc, wpatrywali się sobie w oczy. Powóz zakołysał i ten ruch popchnął ich ponownie ku sobie. Lytton przyciągnął ku sobie jej głowę, znów zaczął całować.

Zmusił dziewczynę, by położyła się na jego kolanach; ręce poznawały każdy szczegół ciała Catherine. Zwiotczała w jego objęciach, zezwalając mu na wszystko, czego zapragnie.

Earl wiedział, co to znaczy pożądać kobiety, lecz nigdy nie zdarzyło mu się coś takiego. To nie było proste ani przyjemne - to było szaleństwo. Pragnął ją wziąć tu, w tym powozie, posiąść całkowicie, aby się przekonała, że należy wyłącznie do niego. Że na zawsze będzie należeć tylko do niego.

Czuł się jak człowiek pędzący na złamanie karku ku krawędzi urwiska. Nie był sobą lub sam siebie nie rozumiał. Ona przecież nie zaznała jeszcze mężczyzny. Nie mógł jej posiąść z finezją godną rozjuszonego buhaja. Musiał nad sobą zapanować, zwolnić trochę. Dziewczynie się to należało.

Delikatnie wyswobodził szyję z jej rąk. Spoglądała na niego, trzepocząc długimi rzęsami. Usiłował zdobyć się na uśmiech.

- Catalino... - zaczął.

Rzuciła się w przeciwną stronę powozu, byle dalej od niego.

- Nie jestem Cataliną! Nie jestem twoją żoną! Nie jestem! - wykrzykiwała.

- Wybacz. To przejęzyczenie. Wasze imiona są takie podobne. Chciałem oczywiście powiedzieć „Catherine”.

Marcus zasłonił oczy dłonią. Nie był pewien, czy mówi prawdę. Wśród tych zarliwych uścisków Cataliną i Catherine złąły się w jego umyśle w jedną osobę. To była niewybaczalna gafa; nic takiego nigdy wcześniej mu się nie przydarzyło. Czuł^sC jak żółtodziób przyłapany z pierwszą kobietą.

- Nie powinienesz mnie całować. Boże! Jak mogłam ci na to Pozwolić! Zapomnieć, że jesteś żonaty! - Głos dziewczyny był Nen emocji, z trudem łapała oddech.

Marcus nie zamierzał teraz się nad tym zastanawiać.

- Nie masz sobie nic do wyrzucenia. Wina jest całkowicie po mojej stronie - oznajmił.

Łzy ciekły jej po twarzy, a on chciałby zamknąć ją w uścisku, scałowywać te słone krople. Mógł sobie jednak z łatwością wyobrazić, co by się stało, gdyby się teraz ośmielił jej dotknąć. „Do pioruna!” - wymamrotał do siebie. Zniecierpliwiony przeganiał ręką ciemne włosy nad czołem. Wpatrywał się w nią uporczywie, zaciskając pięści. Chciał znów całować, dotykać, dokończyć to, co zostało rozpoczęte. Pożądanie napinało mu mięśnie, wciąż było bolesne.

- Mamy coś do omówienia. Lecz nie tutaj. Porozmawiamy u ciebie w domu, pod opieką przyzwoitek. - Gwałtownie uniósł się z siedzenia, sięgnął do klamki.

Krzyknęła, kiedy rzucił się do drzwi, i po raz drugi, gdy się wyprostował. Przez jeden straszliwy moment sądziła, że wyrzuci ją z powozu na drogę. Kiedy szarpnięciem zatrzasnął drzwiczki, osunęła się na siedzenie, ukryła płonące policzki w dłoniach.

Był niebezpieczny, znacznie bardziej niebezpieczny, niż zapamiętała. Nawet nie próbowała dać mu odprawy. Była w jego rękach podatna jak glina. Jak mężczyzna może tak traktować kobietę? Nie był to jednak jakiś mężczyzna - to był Wrotham.

Przycisnęła dłoń do nabrzmiąłych warg. Wciąż dygotała, wspominając ten pocałunek. Jeszcze nikt nie doprowadził jej do takiego stanu. Nie chciała Wrothama. Bała się go i nienawidziła. Ale Marcus... Boże, jak bardzo była zmieszana!

Catherine usłyszała trzask bicia i powóz tak gwałtownie przyspieszył, że musiała uchwycić się ramy okna, aby zachować równowagę. Znow strzał z bicia, tętent kopyt. Kształty i cienie zostawały w tyle, w miarę jak zjeżdżali ku Heath House.

Kiedy wreszcie stanęli, otworzyły się drzwi i Marcus pomógł jej wysiąść. Dostrzegł, że w oczach Catherine znow tli się ogień. Gdyby byli sami, zrobiłby coś, żeby naprawdę go podsycić.

Ukrywał uśmiech, odprowadzając ją do drzwi.

5

Co pan chce, żebym zrobiła?!

Catherine była tak poruszona, że nie mogła opanować drżenia rąk i kilka kropel herbaty zaplamiło jej suknię. Odstawiła filiżankę i spodek. Wycierając rozlany płyn wyjętą z kieszeni chusteczką, wiedziała już doskonale, co powinna uczynić. Nie spuszczała oczu z Marcusa. Nie mogła uwierzyć, że usłyszała coś takiego. To było nazbyt dziwaczne.

Lytton podniósł się, kiedy wybuchnęła. Przez wzgląd na obyczajność zostawił otwarte drzwi; teraz je zamknął i wrócił na miejsce. Siedzieli w pracowni Catherine. Obsi krzesła przysunęli do paleniska.

- Chciałbym, żeby odgrywała pani rolę mojej żony - powtórzył.

Catherine skuliła się na krześle. Wpatrywała się w mężczyznę. W jej oczach było bezgraniczne zdumienie. W głowie zadźwięczały dzwonki alarmowe, z trudem łapała oddech. Zaledwie kilka minut wcześniej powiedział, że podejrzewa, iż żona chce go zamordować. A teraz jeszcze to! Jaką grę prowadził? Jak ona powinna zareagować? Wiedział czy nie, że ma do czynienia z Cataliną? Musiała się opanować i dalej odgrywać komedię, udając, że nie jest jego żoną.

- Czy pan postradał zmysły? Czy ja wyglądam na Hiszpankę? Wielkie nieba, nie znam nawet tego języka!

Marcus cierpliwie wysłuchał potoku pełnych niedowierzania zastrzeżeń. Dlaczego miałyby ją interesować jego problemy? Nie wie, czy ma mu wierzyć. Jacy partyzanci? Jaki El Grandę? Myślał, że żona chce go zamordować? To wszystko jest zbyt naciągane. Bardzo mu dziękuje, ale ma własne życie. Kardynalna zasada to nie wkraczać między męża a żonę. Czy to, co on proponuje, jest chociaż legalne? Zresztą ona ma swoją pracę. Musi pisać. Powinno się go zamknąć w przytułku dla obłąkanych już za same takie sugestie. Nigdy nie podejmie się podobnego zadania!

- Postaram się, by dobrze pani na tym wyszła. Pięć tysięcy funtów, Catherine - wtrącił spokojnie, kiedy umilkła na chwilę. Lekceważąco rozejrzył się po zaniedbanym pomieszczeniu.
- Nie mów mi, że nie masz na co wydać pieniędzy, bo to nieprawda. Po prostu mnie wysłuchaj, dobrze?

- Pięć tysięcy funtów to przyzwoita suma - odpowiedziała niezobowiązująco. Mimo iż naprawdę była zszokowana, chciała się dowiedzieć czegoś więcej.

- Myślałem, że panią to zainteresuje - odparł oschle.

Opowiadając, sięgnął po butelkę brandy przyniesioną przez McNally'ego, napełnił sobie kieliszek. Wyjaśnił, w jakich okolicznościach doszło do małżeństwa z Cataliną.

- Wyszła za mnie, licząc prawdopodobnie na to, że zginę, a ona odziedziczy większą część mojego majątku. Uszedłem z życiem i ma teraz problem, jak mnie wykończyć. Może się to udać, o ile nie znajdę jej pierwszy - Marcus zakończył swój wywód.

Catherine przez chwilę układała sobie to wszystko w głowie.

- Jest pan pewien, że tego małżeństwa nie można po prostu unieważnić? To wygląda na kompletnie wydumaną intrygę. Myślę, że taki związek nawet w Anglii nie jest prawomocny.

- I tu się pani myli - odparł Marcus. - Niech pani pamięta: to była wojna, strefa frontowa. Świadcami na ślubie byli angielscy oficerowie. Wielu żołnierzy zawierało małżeństwa z Hiszpankami w tak niezwykłych okolicznościach; to sa

całkowicie legalne związki. Czemu w moim przypadku miałyby być inaczej?

- A jeśli małżeństwo nie zostało skonsumowane?

Zadała to pytanie jedynie dlatego, iż sądziła, że Marcus go oczekuje. Sama oczywiście znała odpowiedź. Po powrocie do Anglii przeprowadziła rekonesans. Ku swemu przerażeniu dowiedziała się, że do rozwiązania takiego małżeństwa potrzebna jest cała armia prawników i sędziów. Nawet fakt, że używała fałszywego nazwiska, nie stanowił podstawy do anulowania związku. Naprawdę byli sobie poślubieni, chyba że parlament postanowi inaczej.

- Jak mógłbym to udowodnić? Poza tym, wbrew opinii większości, nawet nie skonsumowane małżeństwo pozostaje ważne. Dla człowieka z moją pozycją delegalizacja związku to bardzo delikatna sprawa. Jeśli werdykt będzie dla mnie niepomyślny, związę się z Cataliną na całe życie. A przecież muszę pomyśleć jeszcze o sukcesji. Oczywiście to wszystko nie będzie mieć znaczenia, jeśli wcześniej uda się jej mnie zamordować.

- Co więc należy zrobić?

- Uzyskać rozwód, Catherine. Nie, nie angielski. Znacznie łatwiej załatwić to w Szkocji. Dowiadywałem się. Można to przeprowadzić za zgodą Cataliny, lecz konieczne jest jej osobiste stawiennictwo.

Catherine zrozumiała w końcu, czemu Wrotham nie zrobił nic w celu unieważnienia związku zaraz po opuszczeniu bazy partyzantów. W Hiszpanii chciała go ukarać za to, co uczynił; zwiódł ją, pozwolił się zakochać w zwykłym oficerze kawalerii, tymczasem był earlem Wrotham. Earl Wrotham - nienawdziła tego człowieka z całego serca. To właśnie przez niego życie Amy legło w gruzach.

Chciała, żeby cierpiał, chciała dać mu nauczkę. Pragnęła, żeby się zastanawiał, czy i kiedy jego hiszpańska żona stanie w drzwiach. Nawet przez myśl jej nie przeszło, o co ją poprosi.

Ironia losu: karząc jego, ukarała samą siebie. Nie szło o jakieś romantyczne wyobrażenia na temat miłości czy też małżeństwa z tym jedynym, przeznaczonym jej mężczyzną.

Wproit przeciwnie: była dwudziestosześcioletnią kobietą pogodzoną z losem i ze staropanieństwem. Nie miała zamiaru sama sobie podcinać skrzydeł. A tak niewątpliwie by się stało, gdyby wyszł za męża. Tak naprawdę.

Wrotham był jej mężem i to mu dawało kolosalną przewagę. Uświadomiła to sobie dopiero teraz. Mężczyzna mógł uczynić z żoną co tylko chciał. Miał na to prawne gwarancje. Mógł jej zabrać dom, zabronić pisać, uwięzić w swoim zamku. A Wrotham tylko szukał okazji, by ukarać ją za to, co zrobiła w Hiszpanii.

Przeglądała mu się ukradkiem i zaczynała rozumieć zaangażowanie Amy. Mężczyzna jego pokroju, łądak już za szkolnych lat, wiedział, jak użyć wdzięku, by kobieta straciła głowę. Catherine też była na to podatna, dała się zaskoczyć. Zastawiała się, czy to samo przydarzyło się Amy.

Wspomnienie siostry ożywiło dawną nienawiść. Starła się stłumć to uczucie; wiedziała, że w obecności tego człowieka nie może sobie pozwolić na żadne emocje. Musi zachować absolutnie jasny umysł. Może Marcus również prowadzi grę, jeszcze bardziej złowrogą niż jej własna?

Ddała sobie wrzącej herbaty z chińskiego czajniczka, upiła łyk.

- Dlaczego pan sądzi, że żona nastaje na pańskie życie?
- spała.

Marus, patrząc na dziewczynę, zastanawiał się, co chciała powiedzieć, zanim skosztowała napoju.

- Zaatakowano mnie w Londynie. Konkretnie w Hyde Parku. Rozbójnicy zaczęli się na mnie w krzakach.

- Rzezimieszki? Co to ma wspólnego z pańską żoną? Napady w mieście zdarzają się nagminnie.

- Wypadkowe - tak. Mnie jednak zwabiono w pułapkę. Dostałem bilecik od damy, która chciała się ze mną spotkać na moście nad Serpentine. Okazało się, że ona go nie napisała.

- Może to po prostu głupi figiel albo - dodała słodko - jej mąż poczuł niechęć do pana.

- Nigdy się nie zadaję z zamężnymi damami. Nawet gdybym

to robił, dzentelmeni w moich kręgach załatwiają takie sprawy honorowo.

- W pojedynku!

Zignorował jej jadowity ton.

- To była zasadzka. Napastnikowi czy napastnikom bardzo zależało na tym, żeby mnie dopaść. Nawet nie miałem pistoletu. Mogłem zrobić tylko jedno: przesadzić poręcz, przepłynąć na drugi brzeg i zaszyć się w zaroślach.

Pokręciła głową.

- Ciagle nie rozumiem, czemu pan uważa, że za tym stała jego żona. Musi pan mieć innych wrogów. Czy nie mógł to być, powiedzmy, spadkobierca?

- Penniston? - Roześmiał się. - Mój przyrodni brat interesuje się jedynie końmi i uprawami. Nie, to wykluczone. - Chciała mu przerwać, lecz ją powstrzymał. - Nie twierdzę, że Catalina lub El Grandę pociągnęli za spust, ale mogli wynająć bandytów do odwalenia mokrej roboty.

- Czy nie było nikogo, kto mógłby panu pomóc? W Hyde Parku jest zazwyczaj tłoczno. - Nie chciała wystąpić w obronie Cataliny i El Grandę, aby nie wzbudzić jego podejrzeń.

- To było o zmierzchu, tuż przed zamknięciem parku. Na odgłos strażów zbiegli się ludzie, lecz nikt nikogo ani niczego nie zauważył.

- Wciąż trudno mi uwierzyć, że stała za tym pańska żona - bez przekonania zaprotestowała Catherine.

- Żona i szwagier. Proszę nie zapominać o El Grandę. Ostatnio zaś dowiedziałem się czegoś, co tylko utwierdza mnie w podejrzeniach.

Ze szklanką w ręku krążył po pomieszczeniu. Podszedł do oszklonych drzwi na taras, zza aksamitnej zasłony wyjrzał na wrzosowisko. Zbyt ciemno, nic nie widać. Tylko szyba odbija pokój za jego plecami. Odwrócił się do Catherine.

- Tydzień temu mój dobry przyjaciel został zamordowany w swoim apartamencie. Pułkownik Frederick Barnes. Słyszała pani o tym?

Przytaknęła. Informacja o tej zbrodni ukazała się na pierwszej stronie „The Journal”.

Oczy Marcusa zapłonęły jak rozżarzone węgle.

- On był jednym ze świadków na moim ślubie z Cataliną. W górskiej kryjówce El Grandę przebywało siedmiu Anglików: pięciu oficerów kawalerii ze mną włącznie oraz dwóch strzelców. Do tej pory przeżyłem tylko ja i jeden piechur. - Ścisnął szklankę, jakby chciał ją zgnieść. - Drugi poległ w bitwie. Czterech oficerów zginęło w podejrzanych okolicznościach, choć tylko w przypadku Freddiego nie ma wątpliwości, że to morderstwo. Nadaża pani za mną?

- Nie bardzo. Co to za podejrzane okoliczności?

- Wypadki. Lub coś, co wyglądało na wypadki. Bez żadnych świadków.

- Rozumiem. Proszę dalej.

- Łączyło nas tylko jedno: my wszyscy, angielscy żołnierze, byliśmy razem w kwaterze El Grandę. W tym samym czasie.

Jak przez mgłę pamiętała Anglików, którzy ukrywali się w klasztorze razem z Marcusem. Schodziła im z drogi, żeby jej nie zapamiętali i później nie rozpoznali twarzy. Tak samo zachowywały się wobec Lyttona, gdyby nie był tak ciężko ranny.

Marcus wyraźnie oczekiwał, że dziewczyna jakoś się do tego ustosunkuje.

- To mógł być zwykły przypadek - powiedziała.

- Jeszcze raz powtarzam, że nie. Napadnięto mnie. Musiałbym być głupcem, nie podejrzewając, że za dużo tych zbiegów okoliczności.

- Więc pan uważa, że El Grandę i Cataliną odpowiadają za śmierć... ilu?... czworga, pięciorga osób?

- Cóż, komendant kiedyś groził śmiercią moim kamratom, jeżeli nie ożenię się z jego siostrą.

- Groził?

Niejasno sobie to przypomiwała. El Grandę powiedział coś na ten temat, kiedy oskarżyła przed nim Marcusa o gwałt. Wrotham jednak zapamiętał tę scenę znacznie lepiej.

- Lecz ostatecznie poślubił pan jego siostrę. W końcu, jeżeli naprawdę tego chciał, mógł pańskich kamratów zabić od razu.

- Może to miało być ostrzeżenie na przyszłość.

Zdała sobie sprawę, że nic, co powie, nie złagodzi opinii rozmówcy na temat El Grandę. Zmieniła więc temat.

- Co z tym ostatnim ocalałym strzelcem? W jaki sposób udało mu się ująć z życiem, uniknąć napaści?

Marcus pociągnął ze szklanki, wrócił na fotel.

- Nie wiem, kto to jest ani gdzie go szukać. Może on również nie żyje.

- Lecz powiada pan, że razem z panem był w partyzanckiej kwaterze. Musi pan wiedzieć, kto to jest!

- To piekielna sprawa. Nigdy nie znałem tych strzelców. Wie pani, oni byli żołnierzami zaciężnymi, nie bratali się z oficerami. Ze względu na poważne rany umieszczono mnie oddzielnie. Dostałem pokój Cataliny. Kilka dni po śmierci Freddiego usiłowałem ustalić ich tożsamość, lecz nie figurują w żadnych dokumentach, a jedyne osoby, które mogłyby coś wiedzieć, nie żyją.

Zastanawiała się przez chwilę, aż w końcu zdobyła się na roztropną uwagę:

- Nie rozumiem, jak się to ma do tego, co usłyszałam poprzednio. Jeśli pańscy przyjaciele byli świadkami na ślubie, to czyż w interesie Cataliny nie leżałoby raczej zachowanie ich przy życiu? - Nagle coś jeszcze przyszło jej do głowy. - Myślę, że pan nie był jedynym wrogiem El Grandę. Może to on jest celem? Z tego, co słyszałam, w guerrillę zaangażowane były przeróżne osoby. A jeśli ktoś żywił do niego urazę?

- Proszę mi wierzyć, brałem pod uwagę wszystkie możliwości.

Wyraz twarzy Marcusa sprawił, że przeniknął ją dreszcz. Zaschło jej w gardle. Z trudem wypowiedziała następne zdanie:

- Powiada pan, że chciałby, abym odgrywała rolę pańskiej żony. Co zamierza pan w ten sposób osiągnąć?

Spojrzał na nią uważnie, lecz już nie tak chłodno jak przed chwilą.

- Otóż - odezwał się - zamierzam wywabić z kryjówki żon i jej brata. Śledziłem ich aż do Anglii, wiem, że są tutaj, mam nadzieję ich odnaleźć. Kiedy się zorientują, że ktoś podszywa się pod Catalinę, moją dawno zaginioną połowicę, będą zbijać z tropu i wyjdą z kryjówki. Najwyższy czas, żebym zdobył nad nimi przewagę. Zbyt długo tańczy, jak mi każą. Więc jak rozważy to pani? Będzie pani grać rolę mojej żony? Pół tysiąca funtów, Catherine, to suma nie do pogardzenia.

Zerwała się na równe nogi.

- Do czego mnie pan namawia? Oszalał pan czy może myśli, że to ja jestem niespełna rozumu? Nie będę udawać pańskiej żony nawet za całe złoto Anglii. Może to dziwne, ale nie mam zamiaru stracić życia. Niech pan wynosi się do diabła wraz ze swoją niedorzeczną propozycją. - Otworzyła drzwi, aby mógł się zastosować do jej życzenia.

- Spodziewałem się, że pani to powie - odparł.

I właśnie dlatego odezwała się w ten sposób. Gdyby potraktował ją dosłownie, musiałyby znaleźć jakiś inny sposób, by go zachęcić.

- Dziesięć tysięcy funtów, Catherine, jeśli ich dopadniemy. Wcale porządna suma, nawet dla kogoś z moją pozycją.

To była fortuna. Mogłaby przeżyć w luksusie resztę swoich dni. Zamknęła drzwi, wróciła na fotel.

- Niczego nie obiecuję... ale w porządku, niech pan wyjaśni swoją strategię. Może kiedy lepiej zrozumie...

Marcus był teraz zupełnie innym człowiekiem, zniknął cały jego wdzięk. Przypatrywał się dziewczynie z ledwie skrywaną pogardą. Co ona powiedziała, co zrobiła? Chwila - i na jego twarz wróciła poprzednia maska.

Pochylił się do przodu, łokcie oparł na udach. Szklanekę z brandy trzymał oburącz.

- Nie będzie pani grozić żadne niebezpieczeństwo z ich strony. Przecież gdyby przydarzył się pani jakiś przykry wypadek, wszelkie plany Cataliny dotyczące mojego majątku zostaną pokrzyżowane, bo wszystko wówczas świadczyłoby za tym, że ona nie żyje. Również moja śmierć nie przyniesie im

żadnych korzyści, pani jako wdowa będzie jedyną osobą mogącą rościć sobie prawa do majątku. Tak czy inaczej, przegrają.

- Ale El Grandę i Catalina mogą udowodnić, że jestem oszustką!

Do tego nigdy nie dojdzie. Catalina chce jedynie pieniędzy i gotów jestem hojnie zapłacić, żeby się jej pozbyć. Rozwód, Catherinę za wszelką cenę chcę rozwodu - uzupełnił, widząc uniesione ze zdziwienia brwi dziewczyny.

- Powiada pan, że dla ratowania własnej skóry spłaci pan morderczynię? A co z pańskim przyjacielem, Freddie Barnesem? Co z innymi pańskimi kolegami - oficerami, którzy zostali zabici? Dla nich nie będzie żadnej sprawiedliwości? - Mówiąc to, nie potrafiła ukryć pogardy.

- Łatwo pani tak twierdzić, skoro nawet słucha mnie pani jedynie z powodu pieniędzy. Jest pani wyrachowaną... wiedźmą. - Starał się mówić ogólnie.

- Pan, lordzie Wrotham, nie może się uważać za mojego przyjaciela. Nie jestem panu nic winna. Ma pan szczęście, że chociaż pana wysłuchałam.

Westchnął.

- Oczywiście ma pani rację. Także i w tym, że nie popuszczę tak łatwo Catalinie i El Grandę. Kiedy już ich dostanę, pani rola się skończy. Nie zamierzam rozwodzić się nad tym, co wtedy z nimi zrobię.

- A jeżeli jest pan w błędzie? Jeżeli El Grandę i Catalina są niewinni? Może kto inny stoi za tymi morderstwami? O ile rzeczywiście były to zabójstwa. - Mówiąc to, nie miała wielkiej nadziei, że go przekona.

- Jeżeli się mylę, nic nie tracę. Jeżeli nie, przekonam się przynajmniej, że istnieje jakaś sprawiedliwość.

Zamknęła oczy i oparła się o zagłówek fotela. Marcus był na fałszywym tropie lub odgrywał przed nią jakąś złowrogą komedię z sobie tylko wiadomych powodów. Ona nie mogła jednak sama podjąć decyzji. Chodziło także o innych, powinna zasięgnąć ich rady.

Lytton przypatrywał się dziewczynie w milczeniu. Nie wiedział, co o niej sądzić. A może nie wiedział, co sądzić o sobie samym. W powozie go oczarowała. Teraz nim gardziła. Była, jak wszystkie kobiety - do kupienia za odpowiednią cenę. Może jednak się mylił. Może była kochanką Melrose'a Gunna. To przypuszczenie go zirytowało, lecz jeszcze bardziej denerwująca była jego reakcja na obecność Catherine.

- Wracając do pieniędzy - odezwał się - będzie pani mogła zachować garderobę i biżuterię niezbędną do odgrywania roli mojej żony.

Catherine otworzyła oczy. Znowu używał tego tonu, ledwie maskując lekceważenie. Postanowiła później się nad tym zastanowić. Nim zdołała coś powiedzieć, Wrotham znowu zabrał głos:

- Mam wielką nadzieję, że pani to zrobi, bo to nic zdroźnego. Dostanie pani również pieniądze. To zajmie kilka miesięcy. Spędzimy trochę czasu w Londynie. Pokaże się pani, przekonamy wszystkich, że wróciła pani z Hiszpanii. To powinno napędzić stracha Catalinie i El Grandę. - Uśmiech na jego twarzy świadczył, że bardzo raduje go ta perspektywa. - Potem wrócimy do Wrotham, rodzinnej rezydencji.

- Wrotham?

- Moje posiadłości leżą w Warwickshire. Niech pani nie będzie taka przerażona. Nawet tam nie pojedziemy, dopóki nie nauczy się pani roli.

- To wszystko jest takie naciągane. Jak ja mogę odgrywać Catalinę? Co z włosami? Z językiem? Znam zaledwie kilka hiszpańskich słów.

- Poradzimy sobie z tym wszystkim.

- A moi przyjaciele? Przecież jeśli mnie zobaczą, rozpoznają, że to mistyfikacja.

- Oni nie obracają się w moich kręgach. Zresztą doświadczenie mnie uczy, że ludzie widzą to, czego oczekują.

- Dlaczego ja? Czemu nie jakaś naturalna brunetka? Dlaczego właśnie mnie wplątuje pan w swoje sprawy? - usiłowała go wybać.

- Pani ją przypomina. To może być ważne lub nie, ale ich na pewno przekona.

Zapadła długa cisza. Catherine westchnęła.

- Muszę mieć czas do namysłu.

- Jak długo to potrwa?

- Tydzień. I proszę nie wywierać na mnie presji, bo wówczas odpowiedź będzie brzmiała „nie”.

Był jej wdzięczny za te słowa. Czuł, że połowicznie już się zgodziła, i nie chciał przeciągać struny. Wychodząc, gestem odprawił McNally'ego, który chciał mu towarzyszyć do powozu.

- Melrose Gunn. Czy będzie z nim jakiś problem? - zapytał ostrożnie.

- A dlaczego miałyby być? Pisać mogę wszędzie.

- Nie o tym myślałem. Wydaje się pani bardzo nim zainteresowana - stwierdził to szczerze, bez emocji.

- Jestem. To inteligentny, otwarty mężczyzna, który poświęcił życie, aby innym wiodło się lepiej.

- Słyszałem dzisiejszego wieczoru, że się do pani zaleca.

- To żaden problem. Melrose i ja jesteśmy przyjaciółmi i tak pozostanie.

- Hmm - mruknął Marcus, otwierając drzwi. - Czy kobiety uważają takie cechy za pociągające?

- Jakie? - spytała zaintrygowana.

- No wie pani, mężczyźni tacy jak Gunn, inteligentni, otwarci, zaangażowani...

Powoli zaczynała rozumieć.

- Nie wszystkie, lecz takie, które cenią subtelniejsze strony natury mężczyzn. Bardzo trudno je odnaleźć.

Zadowolona z chmurnej miny Marcusa, powiedziała mu grzecznie dobranoc, zaniknęła drzwi i wróciła do pracowni.

6

Catherine prędko jednak zrzędała mina. Marcus dał jej wiele do myślenia. Byłoby znacznie prościej, gdyby mogli sobie wszystko wyjaśnić. Ale wtedy Lytton musiałby się wykazać pełną szczerością. Wzruszyła ramionami, mając na uwadze własną dwulicowość, przekraczając wszelkie oczekiwania.

Gapiąc się przed siebie, rozpamiętywała wszystko, co usłyszała od Marcusa. Czuła intuicyjnie, że mówił prawdę: rzeczywiście chciał odnaleźć Catalinę i przeprowadzić rozwód w Szkocji. Może po prostu mu powiedzieć, że to ona jest Cataliną? Ale to zbyt niebezpieczne. Marcus już i tak chciał ukarać żonę; byłby jeszcze bardziej wściekły, dowiedziawszy się, że oszukano go dwukrotnie. Nie, nie mogła sobie pozwolić na szczere wyznanie.

Próbowała robić notatki, tak jak zawsze to czyniła po przeprowadzeniu wywiadu. Lecz już po dziesięciu minutach odłożyła pióro. Oparła się łokciami o biurko, trzymając się dłońmi za głowę. Trzeba o wszystkim poinformować majora Carruthersa. I oczywiście El Grandę. Czy go to zainteresuje? Skłoni do powrotu między żywych? Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać: musi napisać do nich obu. Jeszcze długo, długo siedziała bez ruchu, rozmyślając o El Grandę i roku spędzonym z partyzantami.

To wszystko zaczęło się w Lizbonie, niedługo po pogrzebie ojca, kiedy rozważała powrót do Anglii. Wtedy zgłosił się

major Carruthers. Brytyjski wywiad przeżywał kryzys, brakowało jednego oficera zwiadowcy, którego należało wysłać za linie nieprzyjacielskie z zadaniem zbierania informacji o wojskowych obiektach wroga. Wellington chciał uniknąć przykrych niespodzianek, kiedy rozciągnie swoje armie. Major widział kiedyś kilka z jej szkiców, robionych ot tak, dla przyjemności, przed odwrotem z Madrytu. Uznał, że dziewczyna nadaje się do tej misji. W ten sposób została zwerbowana jako agentka.

Poznała El Grandę podczas pierwszej misji. On i jego chłopcy towarzyszyli jej w drodze do celu. Był nim most, który Brytyjczycy zamierzali wysadzić, aby zabezpieczyć swoje pozycje. Wtedy właśnie zmieniła wygląd, upodabniając się do Hiszpanki, a komendant zaczął rozgłaszać, że jest jego siostrą. Tak często używali tego fortelu, że wszystkim rzeczywistość pomieszała się z fantazjami.

Misja następowała za misją. Większość czasu Catherine spędzała z partyzantami. Małżonkowie McNaJJy, zdziwieni jej nieobecnością, zadawali zbyt dużo kłopotliwych pytań. W końcu powiedziała im, że wraca do Anglii w towarzystwie starszej damy poznanej w Lizbonie. Tylko w ten sposób mogła wytłumaczyć roczną nieobecność.

Z początku czuła się zagubiona, nie troszczyła się specjalnie o przyszłość. Wychodziła z szoku spowodowanego nagłą śmiercią ojca i straszną kłótnią z Amy. Z czasem wciągnęła ją walka powstańców przeciwko Francuzom. Nauczyła się hiszpańskiego, dzieliła z partyzantami trudy ich życia.

Nie upłynęło wiele czasu, a naprawdę stała się jedną z nich. Już się nie ograniczała do szkicowania wojskowych obiektów. Uznała sprawę powstańców za własną. Nauczyła się strzelać, jeździć konno i walczyć równie dobrze, jak oni wszyscy. Nie znosiła wojny, ale uważała ten okres za najwspanialszy w życiu. Zdawała sobie sprawę, że takiej wolności doświadczyło bardzo niewiele kobiet, a już zwłaszcza angielskich dam. Ach, pogalopować znów z El Grandę i jego ludźmi, rozbić obóz pod gwiazdami, spędzać czas przy ognisku, słuchając opowieści! Były też ciemniejsze strony - walka i rozlew krwi, lecz tego nie

pamiętała tak dokładnie. Zresztą mężczyźni, najszybciej jak mogli, postarali się trzymać kobiety z dala od takich spraw.

W przeciwieństwie do tego jej życie w Anglii było bezbarwne i spokojne, choć myślała, że i tak powodzi się jej lepiej niż większości. Była panią samej siebie, chodziła, dokąd chciała. Praca w „The Journal” zagnała ją w wiele miejsc, w tym także zupełnie zakazanych. Nadal pragnęła działać dla innych, lecz jakże brakowało jej tego poczucia wspólnoty losu, doświadczonego wśród partyzantów!

Uniosła głowę i usiłowała rozmasować zdrętwiały kark. Jej wzrok spoczął na gablocie z książkami, z pozoru nie różniącej się od innych.

Zbliżyła się do niej, trzymając lichterz z zapaloną świecą. Powiodła ręką po ścianie w poszukiwaniu ukrytej zapadki. Nacisnęła - i biblioteczka, wydając cichy trzask, bez kłopotu dała się odsunąć od ściany.

Schówek był znacznie mniejszy od nie oszklonej gabloty. Dawnymi czasy ojciec trzymał tu - poza zasięgiem dziecięcych rączek - specyfiki i trucizny. Teraz jednak miejsce flakoników i słoiczków zajęły szkice z Hiszpanii. Catherine nie chciała, żeby ktoś ciekawski miał do nich dostęp.

Rzuciła okiem. Nie było tego wiele: rząd otwartych przegródek, kilka portfolio, stare dzienniki, dziwna kolekcja pudełek zawierających papiery, dokumenty i pamiątki po dniach spędzonych z El Grandę. Wzięła pod pachę jedną z teczek i wróciła do biurka.

Jej zawartość nie była bogata. Prawie wszystkie hiszpańskie szkice szły bezpośrednio do brytyjskiego wywiadu. W portfolio były więc jedynie prywatne rysunki, w większości portrety partyzantów i wieśniaków, rysowane podczas misji. Zapis roku spędzonego z powstańcami, rodzaj ich testamentu. Wielu z tych twarzy nigdy już nie zobaczy.

Kartkowała papiery, aż natrafiła na to, czego szukała. Czarno-biały portret Marcusa. Jeszcze raz ją uderzyło, jak bardzo wygląda na Irlandczyka. Łajdak, ale dający się lubić, nie wyrządzający prawdziwej szkody. Rysowała go z pamięci zaraz

po epizodzie z „Isabellą”, kiedy ją pocałował. Ale on nie okazał się miłym szelmą. Niewart był nawet pogardy.

Kapitan Marcus Lytton - tak wtedy o nim myślała. Zakochała się w nim - to oczywiste, ale zakochała się w kimś, kto nie istniał. Pamiętała jeszcze doskonale szok i mdłości, kiedy odkryła, że ukochany mężczyzna jest w rzeczywistości earlem Wrotham. Wiedziała o nim wszystko. Należał do tłumu otaczającego Amy. Zapewniał ją o miłości i Catherine uważała siostrę za najszczęśliwszą dziewczynę na świecie. Aż do momentu, kiedy znalazła ją w stajni, oszalałą, zakrwawioną, przerażoną, że ciotka ją nakryje. Catherine dowiedziała się wtedy, że Wrotham zgwałcił jej siostrę. Wkrótce po zejściu Amy uciekła z kimś innym. Później, dużo później, Catherine doszły słuchy, że została kochanką Wrothama. Pewnie przez cały czas miał na celu jedynie doprowadzenie dziewczyny do upadku.

W kwaterze głównej El Grandę, kiedy usłyszała to nazwisko z ust młodego chorążego wraz z kpiącym przypuszczeniem, że siostra dowódcy dojrzała do zbioru, ogarnął ją morderczy gniew. Chciała ukarać earla za to, co zrobił; nie tylko Amy, ale i jej samej. Igrał z nią - tyle znaczyły dla niego ich przyjemne pogawędki. A ona była coraz bardziej zakochana.

Ukarała go w imieniu Amy oraz swoim i nie żałowała. Nie chciała odczuwać żalu.

Schowała portret Marcusa, wyjęła inny rysunek. Profil młodego mężczyzny: rasowa twarz o ciemnej karnacji i rysach znamionujących namiętność. Kiedy go szkicowała, za głowę przywódcy wyznaczona była nagroda: gigantyczna suma tysięcy francuskich koron. Lecz żaden z partyzantów ani wieśniaków nie pomyślałby nawet o zdradzie. Zwolennicy El Grandę byli mu fanatycznie oddani.

Teraz nie było już zwolenników, bitew do stoczenia, wygasły namiętności. El Grandę odstawił ją do Anglii i wycofał się ze świata. Spodziewała się, że wróci do Hiszpanii, lecz było to ostatnie miejsce, w którym chciałaby się znaleźć. Oświadczył jej,

że nie wie, czy kiedykolwiek tam powróci. Catherine nie miała pojęcia, co się z nim dzieło.

Inne wspomnienia cisnęły się jej do głowy, lecz nie chciała ich teraz rozpamiętywać. To była długa noc i od myślenia rozboleła ją skronie. Niestety, jeszcze się nie skończyła. Trzeba napisać te listy.

Rysunki przejrzała dokładnie. Oprócz Marcusa nie było na nich żadnego innego angielskiego żołnierza przebywającego wtedy w klasztorze. Zresztą trzymała się od nich z dala i pewnie żadnego nie rozpoznałaby przy ponownym spotkaniu.

Wzdrygnęła się. Przecież i tak żadnego już nie zobaczy: wszyscy, oprócz Marcusa i jednego ze strzelców, nie żyją. Boże, co to wszystko znaczy?

Zamknęła teczkę i umieściła ją w schowku. Uspokoiła się, patrząc na resztę pamiątek z minionego życia. Były tam jej partyzanckie ubrania: spódnica udająca spodnie, krótka pelisa należąca kiedyś do francuskiego żołnierza. Spędziła sporo czasu, przyglądając się tym przedmiotom. Uśmiechnęła się, wyjęła z włosów spinki utrzymujące i tak już zburzoną fryzurę. Z prawdziwą przyjemnością potrząsnęła warkoczem opadającym na ramiona. Zaczęła zdejmować muślinową suknię.

Nie zapalała latarni w stajni, lecz Vixen znała jej zapach. Cicho zarzała, rozumiejąc, jak i jej pani, potrzebę konspiracji. Catherine błyskawicznie uporała się z siodłaniem i kilka minut później wjeżdżała na trakt prowadzący ku wrzosowisku. Jechała po męsku. Delikatnie ściągając wodze, powstrzymywała klacz. Kiedy już była pewna, że wokół nikogo nie ma, zmusiła wierzchowca do przyspieszenia i przejścia w cwał. Kiedy wyjechali pomiędzy drzew, jeszcze popuściła cugli.

Klacz pognęła pędem ze zbocza, przeskoczyła strumień. Podkowy dzwoniły o kamienie, lecz koń nie zmylił kroku. Potem wspinały się coraz wyżej i wyżej, aż na szczyt wrzosowiska. Mocno powiało i Catherine zwolniła tempo. Roześmiała się i popatrzyła na gwiazdy.

7

Amy Spencer, właściwie Courtney, rozstaczała wdzięk, odprowadzając do drzwi ostatnich gości. Wszyscy byli pod wrażeniem, że umówiona jest na spotkanie z pewnym wybitnym dżentelmenem pragnącym zachować anonimowość. Sama dbała, by myśleli w ten sposób. Dla kobiety z jej pozycją styl, uroda i inteligencja to za mało. Zawsze musi sprawiać wrażenie obleganej, wyjątkowej: zdobyczy, o którą warto się pokusić. Dla nagrody.

Kiedy tylko lokaj zamknął drzwi za wychodzącymi, uśmiech zniknął z twarzy gospodyni. Dziś były jej urodziny, lecz nie miała nikogo, z kim chciałyby je świętować. Jeszcze wczoraj w łoży teatralnej tłoczyli się młodzi arystokraci gotowi całować jej palce, napawać się ciepłym uśmiechem. Dziś też nie było inaczej. Ale nie obchodziła ich jako osoba. Nawet jej nie znali. Była ostatnim krzykiem mody: pokazanie się w jej towarzystwie na przejażdżce po parku lub w teatrze było wielkim osiągnięciem. A otrzymanie zaproszenia na któryś z wieczorków Amy - to już godne pozazdroszczenia wyróżnienie.

I tym właśnie była. Wyróżnieniem. W swoim świecie nie mogła zająć wyżej. Nie uznawało jej „kulturalne” społeczeństwo, co nie przeszkadzało jego męskiej części dobijać się do drzwi. Teraz na przykład mogła wybierać między sześciora utytułowanymi dżentelmenami oferującymi swoją protekcję. Lecz

żaden z nich jej nie kochał. Chcieli jedynie się wyróżnić, ogłosić, że Amy Spencer jest ich kochanką. Szczęściem sama sobie była panią: nic jej nie obchodziła ta świta i chwilowo całkiem ją zadowalało, że wie dzie życie zakonnicy.

Weszła do saloniku na tyłach domu, gdzie zazwyczaj, kiedy nie było gości, przesiadywała Eliza, jej zaufana pokojówka. Tym razem salonik był pusty. Amy podeszła do kredensu, nalała sobie solidną porcję madery i usadowiła się na jednej z wyściełanych sof ustawionych koło kominka.

- Wielu szczęśliwych powrotów, Amy - powiedziała sama do siebie i upiła z kieliszka spory łyk.

Nie było prezentów, listów z życzeniami. Nikomu nie powiedziała o urodzinach. Rocznicę zawsze ją deprimowały, przestała więc liczyć czas, kiedy skończyła dwadzieścia sześć lat. Postanowiła, że to świetny wiek dla kobiety, i chciała tak myśleć przez resztę życia.

„Masz prawie trzydzieści trzy lata. Jak długo jeszcze zdołasz to ciągnąć?”

- Znacznie dłużej, niż ci się wydaje, Cat - odezwała się w pustym pokoju.

Uświadomiwszy to sobie, odstawiła jednak kieliszek z maderą. Nie mogła sobie folgować jak inne kobiety. Twarz i figura stanowiły jej fortunę. Młodość. To było takie nudne, lecz tego właśnie mężczyźni oczekiwali od kobiety. Każdego ranka poświęcała kilka godzin na zabiegi przed lustrem, aby osiągnąć oczekiwany efekt. Z roku na rok potrzeba było na to coraz więcej czasu.

Ta myśl zwarzyła nastrój Amy. W rzeczywistości od chwili, kiedy Cat wtargnęła tu bez zaproszenia, była niespokojna i poirytowana. Ta jej pruderyjna siostrzyczka gotowa faktycznie pomyśleć, że ona prowadzi tu burdel! Wydawała przyjęcia, zabawiła, przedstawiała „przyjaciółki” dżentelmenom, którzy szukali czegoś innego niż afektowane panienki i żony zajmujące się umacnianiem swojej pozycji towarzyskiej. Co przyjaciele robili, kiedy stąd wyszli, to już nie jej problem.

Miała trzydzieści trzy lata. Mogła delektować się sukcesem. Ciężko na niego pracowała, począwszy od dnia, kiedy kochanek, którego miała nadzieję poślubić, zostawił ją bez pensa przy duszy. Wiele kobiet w takiej sytuacji skończyłoby jako dziwki w St. James Parku, sprzedając się za szylinga. Ona jednak, dobierając starannie kochanków i mając na uwadze przyszłość, dotarła na szczyty w swojej profesji.

Dążąc do zabezpieczenia sobie przyszłości, nie miała skrupułów. Nauczyła się właściwie używać pieniędzy. Wiedziała, kiedy zaoszczędzić, a kiedy się postawić. Przyjęcia nigdy nie kosztowały jej ani pensa. Zawsze następnego ranka po balu lokaj przynosił na tacy koperty: w każdej banknot pięćdziesięciofuntowy i wizytówka ofiarodawcy. Pisała potem do wszystkich panów, że taki podarek nie był konieczny, lecz przyjmuje go, doceniając hojność.

Jej własne pieniądze szły przede wszystkim na stroje, płace dla służby, utrzymanie domu i ekwipażu. Wszystko musiało być na poziomie. Pozwolić sobie na niedociągnięcia oznaczało katastrofę. Jeśli ludzie by pomyśleli, że się zaniedbuje, jeśli rozeszłaby się taka pogłoska, porzucono by Amy dla innej wschodzącej gwiazdy.

Dziś miała urodziny. Gdzie, u diabła, są jej przyjaciele?

Zaśmiała się gorzko. Co też przychodzi jej do głowy? Sama była swoją najlepszą przyjaciółką i wiedziała o tym od lat.

Sięgnęła po maderę i wypłała do dna.

- Za Amy Spencer! - Zabrzmiało to jak wyzwanie.

Weszła panna Collyer, zaufana pokojówka, przystojna kobieta zbliżająca się do czterdziestki. Nie powiodło się jej w ciężkich czasach i pracowała tu od ponad roku. Amy było jej żal, lecz jednocześnie ją bawiła. Ta biedna istota miała nadzieję złowić bogatego męża w koterii panów zaprzyjaźnionych z domem. Przekonała się już, że starsi mężczyźni uganiają się raczej za młodszymi i ładniejszymi kobietami.

- Jest tu pani Bryce. Zechce pani się z nią zobaczyć?

- odezwała się służąca.

- Czemu nie? - odparła Amy. - Przecież Julia jest moją najbliższą przyjaciółką.

„Lub osobą mogącą uchodzić za przyjaciółkę w naszych kręgach” - dodała w myśli.

- Nie, nie podejmę jej w salonie. Tu jest przytulniej. Wprowadź ją.

Dama, która weszła chwilę później, ubrana była według najnowszej mody. Kiedy całowały się w policzki, Amy nie mogła nie spoznać, że jej rywalka nie jest w szczytowej formie. Bo też tym właśnie była Julia - jej rywalka. Lub przynajmniej pragnęła nią być. Wynajmowała dom na Charles Street, łożę w teatrze. Nie osiągnęła jednak jeszcze takiej popularności, by na jej balach bywała śmietanka towarzyska. Tak samo jak Amy pragnęła być ekskluzywną damą. Pracowała nad tym.

Kiedy panna Collyer wyszła przygotować herbatę, rozmawiały o wspólnych znajomych. Amy czuła, że jest jakiś powód tej wizyty, coś szczególnego. Julia sprawiała bowiem wrażenie roztargnionej i podenerwowanej. Dopiero jednak kiedy podano herbatę i znów zostały same, przeszła do rzeczy.

- Wrotham chyba mnie opuszcza. - Roześmiała się srebrzyście. - Prawdę mówiąc poszłam w odstawkę.

Ten śmiech działał Amy na nerwy. Lord Melbourne komplementował kiedyś Julię i widać nie zapomniała uwagi, że jej śmiech jest czarujący.

- Mężczyźni zawsze są zmienni - odezwała się Amy.

- Więc ty coś wiesz! - powiedziała Julia, przyglądając się badawczo gospodyni. Afektowanym gestem potrząsnęła głową, czarne kędziory zafalowały. - Wszyscy mówią, że poznali się pod twoimi drzwiami. Kim ona jest, Amy? Kim jest moja rywalka?

- Nie wiem o żadnej rywalce, chyba że... może lady Wrotham przybyła z Hiszpanii?

- Ach, nie, to nie to. Krążą plotki, że umieścił kochankę w małym domu w Hampstead. Nigdzie jej nie zabiera. Sam

również nie bywa. Wysłałam mnóstwo bilecików do jego domu przy Cavendish Square. Nie odpowiedział na żaden. To takie niesprawiedliwe. Zostawiłam Leinstera, bo byłam pewna, że mam Wrothama w garści. Teraz wszyscy się śmieją, że łowią fby przed niewodem.

Ta niezwykła wiadomość przyprawiła Amy o ból żołądka.

- Hampstead? Spotkali się u mnie na progu? - upewniała się.

- To ty nic nie wiesz? - spytała Julia.

Amy nie dosłyszała pytania. Przypomniała sobie, jak Marcus opisywał Catherine, usiłował się dowiedzieć, kim ona jest i dlaczego wychodziła właśnie z tego domu. Przyjął jej wyjaśnienia, nie naciskał, pozwolił uwierzyć, że stracił zainteresowanie tamtą kobietą. Przebiegły, bardzo przebiegły ten Marcus.

- Kto ci powiedział o tym domu w Hampstead? - przerwała monolog Julii, nie bacząc na dobre maniery.

- Bertie Lamb, wczoraj wieczór w teatrze. Usłyszał to od swojego woźnicy, a ten z kolei od woźnicy Wrothama.

Amy postanowiła położyć temu kres, nim sprawa wymknie się spod kontroli. Wiedziała, jak pokierować Julią Bryce.

- Bertie Lamb jest jak stara baba. Najbardziej lubi stwarzać kłopoty. Widziałam, jak na ciebie patrzy. Nie zdziwiłoby mnie, gdyby sam chciał się tobą zająć. Nie widzisz, że jest mu na rękę, jeśli zerwiesz z Wrothamem? Wtedy mogłabyś zwrócić na niego uwagę.

Kwaśna mina zniknęła, w ślicznych zielonych oczach zapaliły się isierki.

- Bertie? Myślisz, że on się mną interesuje?

- Oczywiście, że tak. Czyż nie jest normalnym mężczyzną?

- Ale on nie ma pensa przy duszy! - Znów rozległ się srebrzysty śmiech.

- Ani manier, ani skrupułów. Trzymaj się lepiej Wrothama.

- Ale dlaczego Wrotham nie odpowiada na moje bileciki?

- Może być wiele powodów. Tylko on sam potrafi to wyjaśnić.

Julia spuściła wzrok, zamieszała herbatę srebrną łyżeczką. Kiedy uniosła głowę, w jej oczach znów pojawił się chytry błysk.

- Ty i Wrotham byliście kiedyś bardzo blisko, nieprawdaż?

Fakt był powszechnie znany, toteż Amy nie zamierzała zaprzeczać.

- Byłam kiedyś, ponad dziesięć lat temu, jego kochanką. Rozstaliśmy się w przyjaźni, utrzymujemy dobre stosunki.

- Wiesz, co w tobie podziwiam, Amy? W ogóle nie jesteś zazdrosna. Na twoim miejscu wydrapałabym oczy każdej kobiecie, na którą spojrzaliby Wrotham. - Julia zapomniała o swoim wspaniałym śmiechu i zarechotała. - Jest jeszcze odwrotna strona medalu, nieprawdaż? Kobiety, które nie mogą od niego oderwać oczu.

- Zazdrość - odrzekła Amy chłodno - to coś, na co kobiety z moją pozycją nie mogą sobie pozwolić. Jedynie żonom wolno okazywać to uczucie. Pamiętaj o tym, nim zaczniesz rozpuszczać plotki na temat Wrothama. Nie chcesz chyba zrobić sobie z niego wroga?

- Oczywiście, że nie.

Wkrótce Julia wyszła. Bardziej już przypominała samą siebie. Można by nawet rzec, że w pełni wróciła do formy.

Amy z okna na piętrze obserwowała odjeżdżający powóz. Potem natychmiast zasiadła przy sekretarzyku w sypialni i zaczęła list do Catherine. Miała jednak chaos w głowie. Kiedy podejmowała już piątą próbę, lokaj wniósł dużą paczkę, którą właśnie doręczono. Zawierała oprawioną akwarelę przedstawiającą Hampsted Heath. I notatkę: „Wszystkiego dobrego z okazji urodzin, Amy. Ucałowania - Cat”.

Wpatrywała się w obrazek i karteczkę, czując, że zaraz serce jej pęknie. Kiedy już jako tako się opanowała, kazała lokajowi przygotować powóz. Prędko jednak przez innego służącego odwołała polecenie. Do tej podróży wołała wynająć fiakra. Pragnęła zachować anonimowość.

8

Catherine w milczeniu przypatrywała się, jak El Grandę dokłada węgla do kominka w jej pracowni. Major Carruthers usadowił się na biurku; machinalnie bębnił w blat palcami, usiłując uporządkować fakty. Naradzali się od ponad godziny. Omawiali wypadki prawie tak samo dokładnie, jak Catherine z Marcusem tydzień wcześniej.

Z Carruthersem odbyła już jedną rozmowę parę dni temu - w pomieszczeniu na tyłach sklepu z damską odzieżą. Lecz z El Grandę spotkała się teraz po raz pierwszy od bardzo dawna. Wiedziała, że Marcus wyjechał na parę dni do wiejskiej posiadłości przyjaciela, gdzie zamierzał łowić ryby. W domu nie było służby. Zachęciła McNallych do odwiedzin u córki w Twickenham. Mieli wrócić dopiero za kilka dni.

El Grandę pochwycił spojrzenie Catherine i uśmiechnął się.

- To angielskie lato nie zasługuje na swoją nazwę. - Wskazał płonącego ogień.

- Zbliży się jesień - odparła.

Był od niej o rok młodszy, lecz nie wyglądał już tak jak wtedy, kiedy dowodził partyzantami. Teraz pozostał z niego tylko cień człowieka. Bardzo ją martwił jego wygląd; na domiar złego nie wiedziała, jak mu pomóc.

Major przestał bębnić. Odwrócili się w jego stronę. Czterdziestośmioletni oficer wyróżniał się władcą postawą, której

nie było w stanie osłabić cywilne ubranie. Mierzył około sześciu stóp wzrostu, miał rasową twarz i ani śladu siwizny w gęstych kasztanowatych włosach.

- Interesujące - odezwał się. - Czy mówiłem wam, że Wrotham ma wspaniałą wojenną kartę? Wszyscy w jego regimencie wyrażają się o nim jak najlepiej.

- Sądzi pan więc, że mówi prawdę? - spytała Catherine.

- Tego nie powiedziałem. Pozory mogą mylić. Muszę teraz trochę pogrzebać, znacznie więcej posprawdzać, biorąc pod uwagę to, czego się dowiedziałem. Pułkownik Barnes został zamordowany, to nie ulega wątpliwości. Co do innych zgonów, to szczerze mówiąc, nie wierzę, że to były wypadki. Zgadzam się z Wrothamem, że nazbyt to wszystko uładzone i doskonałe. Nie ma też świadków. Jakie więc możemy wysnuć z tego wnioski? Powiem wam.

Jego rozumowanie pokrywało się częściowo z tym, które Catherine przeprowadziła wspólnie z Marcusem. Major wracał wciąż do jednego: skoro wszyscy ci ludzie zostali zamordowani, to logiczne jest przypuszczenie, że sprawcą może być jeden z dwóch ocalałych - Marcus albo strzelec.

- Lecz gdyby Wrotham był mordercą, to po co robiłby szum wokół śmierci tych mężczyzn? To nie ma sensu - powiedziała Catherine.

- A jak lepiej zatrzeć ślady? Gdyby tylko on pozostał przy życiu, ludzie zaczęliby zadawać pytania. Ale póki nie dowiemy się więcej, możemy tylko spekulować - zareplikował Carruthers. I nagle bez ostrzeżenia zaatakował dziewczynę: - Nie zapominajmy o tobie, Catherine. Masz motyw, żeby się pozbyć Wrothama.

Oblała się rumieńcem. Podczas ostatniego spotkania wyjawiała majorowi, że jest kobietą, którą Marcus poślubił w Hiszpanii. Powiedziała, że zrobiła to w gniewie, bo Lytton z niej zakpił, i przypuszczała, że małżeństwo zostanie unieważnione tuż po wojnie. Nigdy by jej nie przyszło do głowy, że Carruthers mógłby ją posądzić, iż z zemsty gotowa była posunąć się aż do morderstwa.

Dostrzegła jednak w oczach oficera wesołe błyski i przypomniała sobie, że major uwielbiał wprawiać ludzi w zakłopotanie. Już odprężona, powiedziała:

- Pewnie zaraz pan doda, że zaangażowałam w to brytyjski wywiad jedynie dla zmylenia tropu.

Spojrzała na El Grandę i odwzajemniła jego uśmiech. Przez moment zobaczyła dawnego komendanta, człowieka, który był kiedyś jej przyjacielem i mentorem.

Carruthers zerknął na swoje palce, które znów zaczynały bębnić w blat biurka. Zacisnął dłoń.

- Nie mogę przeprowadzić śledztwa w sprawie strzelca, bo nie znam jego tożsamości. A jak już wam mówiłem, wtedy nie powinno tam być żadnych strzelców. To zapewne dezerterski, który miał pecha wpaść na francuski patrol. Możemy tego nigdy nie ustalić. Tak czy inaczej - kontynuował, bacznie przyglądając się Catherine - jedynym naszym punktem zaczepienia jest Wrotham. Nieistotne, czy wie, że jesteś Cataliną. Chcemy, byś przyjęła jego propozycję i wybrała, o co naprawdę mu chodzi. Jeżeli w ogóle ma jakiś plan. Zbierz jak najwięcej informacji. Z kim się spotyka. Gdzie bywa. Zdobądź jego zaufanie, wysonduj, co wie. Jeśli jest niewinny - w porządku. Wtedy się upewnimy, że za wszystkim stoi ten strzelec. Ale na razie nie zakładajmy z góry, że Wrotham nie ma nic na sumieniu. Tak będzie bezpieczniej. Jeżeli jest mordercą, pamiętaj, że uderzał wielokrotnie. Nie muszę mówić, byś podjęła wszelkie środki ostrożności. Umiesz zatroszczyć się o siebie - dokończył.

- Rozumiem i zgadzam się - odparła.

Gdy tylko wypowiedziała te słowa, poczuła, że krew zaczyna żywiej krążyć w żyłach. Znow zlecono jej misję, znow należało wyteżyć umysł, wykazać się zdolnościami. Pragnęła nieco urozmaicenia w życiu, choć może nie aż w takim stopniu.

- Nigdy nie opuszczaj gardy. Zawsze spodziewaj się najgorszego. Przez cały czas. Słyszałem, że Wrotham jest czarującym dżentelmenem ze świetną prezencją, wie, jak postępować z kobietami. Trzymaj go na dystans - pouczył ją major Carruthers.

- Proszę mi pozwolić przypomnieć sobie jedno: wiem, kim jest Wrotham, i pogardzam nim.

Spojrzała na El Grandę, lecz on tym razem nie odwzajemnił uśmiechu. Powiedział tylko:

- Jeżeli zdradzisz się ze swoją niechęcią, może nabrać podejrzeń.

- Wiem i o tym, znam się na rzeczy - odrzekła.

- Zuch dziewczyna. - Major wstał. - Barnes był jednym z moich najlepszych obserwatorów, w dodatku spokrewnionym z ministrem. Jestem pod presją, muszę wyjaśnić sprawę do końca. Pozostało jeszcze parę szczegółów do obgadania - kontakty i tak dalej.

- Co z Robertem? Nie ma dla niego zadania? - Catherine i El Grandę zawsze pracowali razem.

- To nie wchodzi w rachubę. On ci wytłumaczy dlaczego. Myślę, że chcecie zostać przez chwilę sami. Mam na ciebie poczekać, Robercie?

- Dziękuję, nie. Trafię do domu.

- Jak sobie życzysz.

Kiedy Catherine, odprowadziwszy majora Carruthersa, wróciła do pracowni, El Grandę poderwał się z fotela i otworzył ramiona. Dziewczyna padła w nie bez namysłu.

- Och, Robercie, ja... - Była zbyt przejęta, by powiedzieć coś więcej.

- Też za tobą tęskniłem. Masz się dobrze? Jesteś szczęśliwa?

- Odsunął ją na odległość wyciągniętych rąk.

- W porządku. A ty?

- Nie wiem już koszmarów i ojciec Mallory powiada, że to postępek. Lecz dlaczego ty, Catalino, podjęłaś się tej misji?

Wyswobodziła się z uścisku.

- Ponieważ major Carruthers ma rację. To doskonała okazja, żeby rozwiązać zagadkę. Nikt inny nie dotrze tak blisko Wrothama jak ja. Nikt nie odegra roli Cataliny.

El Grandę potrafił tak spojrzeć na człowieka, że ten podawał

w wątpliwość słusność swoich myśli, słów, uczuć. Zawsze ją to przerażało.

- Czy nadal pragniesz ukarać Wrothama za to, co zrobił twojej siostrze?

- Nawet nie wiem, czemu opowiedziałam ci o Amy - próbowała się wykręcić.

- Z tego samego powodu, dla którego ja mówiłem o mojej rodzinie. Jesteśmy przyjaciółmi.

- Nieprawda. Zawsze miałaś talent do wydobywania z ludzi najbardziej ponurych sekretów.

- Nie odpowiedziałas na moje pytanie.

- To nie z zemsty. Ze wszystkich tych przyczyn, które ci przedstawiłam i... - Prychnęła ze złością, lecz w końcu się roześmiała.

- I...?

- Nie wiem, jak to wyrazić słowami. W moim życiu czegoś brak. Nie, nie mężczyzny. Właściwie to mąż mógłby wszystko tylko popsuć, odebrać mi wolność. Życie z czasem staje się takie monotonne. Czy to, co mówię, ma sens? - Bezradnie wzruszyła ramionami.

- Biedna Catalina. Wojna nas odmieniła. Widać, że oboje czujemy na swój własny, odrębny sposób. - Dotknął jej policzka.

Nie chciała drażnić tego tematu, bo zaprzętało ją coś innego.

- Robercie, ty chyba nie sądzisz, że Wrotham jest mordercą.

- Nie. Pamiętam groźbę, którą zmusiłem go do małżeństwa z tobą.

- On również o tym wspominał. Groziłeś śmiercią wszystkim jego towarzyszom.

- To znaczy, że gdyby pragnął ich śmierci, mógłby powołać się na mój blef.

Potrząsnęła głową.

- Ty i Wrotham myślicie jednakowo. On uważa, że mówięs¹⁰ poważnie i że na niego nastajesz.

- *Dios!* Dlaczego miałbym to robić?

- On chce się tego właśnie dowiedzieć.

Uśmiechnęli się oboje.

- Chciałabym - powiedziała Catherine - żebyśmy mogli to przeprowadzić razem, jak za dawnych czasów.

- Carruthers zabronił mi brać w tym udział. Wie, że moja kariera agenta jest skończona.

Kiedy zaczęła protestować, uciszył ją.

- Sama rozumiesz, że nie zaangażowałbym się całym sercem. Nie jestem tym człowiekiem, którym byłem kiedyś. Nie jestem El Grandę, lecz kimś, kto w niczym nie znajduje wielkiego sensu. Nie byłbym ci pomocny. Popełniałbym błędy mogące doprowadzić do katastrofy. Major wie o tym i dlatego mi nie pozwolił.

Nim zdażyła coś odpowiedzieć, usłyszeli kołatkę przy drzwiach. Chwilę trwało, nim Catherine uświadomiła sobie, że w domu nie ma służby i musi sama otworzyć.

Oboje wstali.

- Omówiliśmy już wszystko, czyż nie tak? - powiedział ze zwykłą dla siebie powagą.

- Nie, nie odchodź, tak dawno się nie widzieliśmy. Pozbędę się gościa, kimkolwiek jest, i pogawędzimy o dawnych czasach. Zgoda?

Nigdy jej nie odmawiał.

- Zaczekam w ogrodzie - odparł.

9

Catherine odprowadziła wzrokiem Roberta wychodzącego przez oszklone drzwi, po czym pobiegła otworzyć od frontu. W pierwszej chwili nie poznała damy stojącej w pofogu - jej twarz zasłaniała czarna woalka z gęstej koronki. Kobieta przepchnęła się do środka i dopiero teraz Catherine zorientowała się, z kim ma do czynienia.

- Amy!

Nie wiedziała, o co chodzi siostrze, lecz szorstki ton rozwiął jej nadzieje.

- Chciałam z tobą porozmawiać prywatnie, Cat - odezwała się Amy niskim, melodyjnym głosem.

Obrzuciła hall szybkim spojrzeniem, jakby upewniając się, czy nikt jej nie obserwuje, i nim Cat zdążyła ją zatrzymać, wkroczyła do pracowni.

Mimo późnej pory świece nie zostały jeszcze zapalone, a przytulny blask kominka sugerował intymny nastrój. Amy skoncentrowana była jednak wyłącznie na celu wizyty i nie zwracała uwagi na szczegóły. Weszła do pokoju, uniosła woalkę i oświadczyła bez ogródek:

- To nie jest wizyta towarzyska, nie muszę być podejmowana w salonie. Tego, co chcę powiedzieć, lepiej wysłuchać w zaciszu twojej pracowni. Pragnę pomówić z tobą o Wrothamie.

Usłyszawszy to nazwisko, Catherine postanowiła mieć się na baczności. Spytała tylko:

- O co chodzi z tym Wrothamem?

Amy zniecierpliwiła się.

- Nie urodziłam się wczoraj, Cat. Wiem, kiedy mężczyzna smali cholewki do dziewczyny, a on upatrył sobie ciebie. Widziałam jego twarz, kiedy cię opisywał. Jak daleko to zaszło? Tego chcę się dowiedzieć.

Catherine zamarła. Przemknęło jej przez myśl, że Amy wie lub podejrzewa, iż poślubiła Marcusa.

Milczenie gospodyni wyrwało potok słów z ust jej siostry:

- Ty mała kretynko! Wiesz, że igrasz z ogniem? On się z tobą nie ożeni, poślubi kobietę z własnej sfery. Oni zawsze tak postępują.

- O czym ty mówisz? - dopytywała się Catherine, zupełnie zdezorientowana. - Małżeństwo z Marcusem nigdy nie przyszłoby mi do głowy.

Na policzkach Amy pojawiły się rumieńce. Zaczepnęła głęboko powietrza:

- Nawet nie wiesz, co mówisz. Nie nadajesz się na czyjaś kochankę. Nie masz pojęcia, co się dzieje z dziewczyną, kiedy znudzi się mężczyźnie. Wiem, co mówię. Chcesz skończyć jak ja? Jeśli tak, to jesteś na najlepszej drodze. Jeden fałszywy krok, Cat, i na zawsze zaprzepaścisz szansę. - Twarz Amy przybrała surowy wygląd. - Pomyśl o tym, Cat: ani męża, ani domu, ani dzieci. Jedyne darowizny od protektorów. Czy tego właśnie chcesz? Nie bądź głupia. Żaden mężczyzna nie jest wart takiego wyzreczenia.

Nie kontrolowany potok wymowy nie ustawał. Catherine powoli ochłonęła z oszołomienia, zaczynała rozumieć; nawet znacznie więcej, niż wypowiedziała siostra. Jej oczy rozbłyły, lecz nie potrafiła znaleźć słów oddających stan ducha.

- Amy - odezwała się w końcu, przerywając orację - jesteś

w błędzie. Wrotham nic dla mnie nie znaczy. Zobaczył mnie wychodzącą z twojego domu i wziął za kogoś, kogo zna. Zaciekawiałam go. To wszystko.

Amy przez chwilę milczała, zastanawiając się nad tą odpowiedzią.

- Nie kochasz go?
- Ledwie go znam.
- Nie okłamuj mnie, Cat. Nie w tej sprawie.
- Nie kłamię.

Wydawało się, że Amy nie ma ochoty dalej się sprzeczać. Nagle jednak, rzuciwszy okiem na siostrę, jak błyskawica dopadła drzwi ogrodowych.

- No już, Marcus, włącz do środka. Znalazłam cię. Nie musisz ukrywać się jak złodziej.

Nie było żadnej reakcji, więc chwyciła za klamkę i rozwarła na oścież oszklone drzwi. Mężczyzna, który wszedł do środka, był wysoki i ciemnowłosy, lecz słabe światło uniemożliwiało rozpoznanie rysów jego twarzy. Kiedy podszedł bliżej, Amy przekonała się, że to nie Marcus. Był młody, mniej więcej w wieku Cat. Jego ubiór sugerował, że jest wiejskim kauzyperdą lub nauczycielem.

Spojrzała w twarz nieznanego i pomyślała, że to najprzystojniejszy mężczyzna, jakiego widziała. Nie uśmiechał się, lecz jakaś wewnętrzna energia zdawała się docierać od niego wprost do niej. Oczy przysłonięte długimi rzęsami były prawie zupełnie czarne. Zastanawiała się, jak wiele podsłuchał z jej rozmowy z Catherine, i oblała się rumieńcem.

- Pani musi być siostrą Catherine - odezwał się. - Przepraszam, że nie przedstawiłem się wcześniej. Nie chciałem podsłuchiwać.

Catherine podchwyciła spojrzenie siostry, na poły pytające, na poły oskarżycielskie. Postanowiła powiedzieć część prawdy. Została przecież przyłapaną sam na sam z przystojnym młodym mężczyzną. Bez przyzwoitki.

- Robert jest księdzem - powiedziała.

Amy została jeszcze przez pół godziny. Nie miała takiego zamiaru, lecz Catherine wyciągnęła butelkę sherry i placek ze śliwkami, aby uczcić urodziny siostry. Oczywiście była poruszona tą gościnnością, lecz tak naprawdę to pragnęła stąd uciec, schować się gdzieś. Młody ksiądz, ojciec Robert, zdawał się przenikać na wylot jej odczucia. Jakby była ze szkła. Nie podobało jej się to.

Miała nadzieję spokojnie zamienić słówko z Cat na temat jej planów dotyczących Marcusa, lecz obecność księdza uniemożliwiła rozmowę. zaproponował ponadto, że będzie jej towarzyszył w podróży powrotnej do miasta. Nie było żadnych racjonalnych powodów, aby mu odmówić. Nie rozumiała, czemu w jego obecności czuje się niezręcznie. Nie wtrącał się do jej rozmowy z Cat, odzywał się niewiele. Lecz przez cały czas czuła jego wzrok.

Teraz ona pozwoliła sobie na niego spojrzeć. Siedzieli naprzeciw siebie w powozie, który wynajęła, by dotrzeć do Hampstead. Jej własny pojazd zbyt rzucił się w oczy; obawiała się, że ktoś może go łatwo rozpoznać po żółtych atłasowych zdobieniach i zacząć zadawać pytania odnoszące się do siostry. Sama nie dbała o to, co mówią ludzie, nie obchodziły jej plotki. Lecz Cat to co innego.

Mężczyzna wyglądał przez okno, miała więc okazję dokładnie mu się przyjrzeć. Był zupełnie inny niż ci, których spotykała na co dzień. Młody, znacznie młodszy od niej. Wytarte ubranie. Akcent bez zarzutu, lecz nie był londynczykiem. Uznała go za Irlandczyka. Ksiądz. Niewinny, cnotliwy, posiadający cechy, o których ona już zapomniała. Nie wiedzieć czemu, coś dąwiło ją w gardle, kiedy przyglądał się jej tak otwarcie.

- Nie czuje się pan zażenowany w towarzystwie takiej kobiety jak ja?

- A kim pani jest, Amy? - spytał łagodnie.

Spiorunowała go wzrokiem.

- Ojciec doskonale wie, kim jestem. Stojąc na tarasie, słyszał ojciec moją rozmowę z Cat. Wiedział, kim jestem,

zanim otworzyłam usta. Sądzę, że Catherine opowiadała o mnie. Kim ojciec jest, jej spowiednikiem?

- Czemu pani jest tak zdenerwowana?

- Nie znoszę ludzi, którzy mnie osadzają. Spowiedników.

Pozwolił sobie na nieznaczny, dziwny uśmieszek.

- Proszę uwierzyć, jestem ostatnią osobą upoważnioną do wydawania sądów o kimkolwiek.

Zabrzmiało to szczerze i Amy nie mogła się powstrzymać, aby nie drażyć dalej tego tematu. Mężczyzna z początku wzruszył ramionami.

- Ludzie mają dziwne wyobrażenia na temat księży. Myślą, że jesteśmy święci, a to nieprawda. Jesteśmy mężczyznami z krwi i kości, wystawionymi na te same pokusy co wszyscy inni. Catherine wprowadziła panią w błąd; ja byłem m duchownym, dawno temu. Teraz już nim nie jestem. Zrozumiałem, że nie mam powołania, na szczęście nie zdążyłem złożyć ślubów, odbywałem dopiero nowicjat. - Rozłożył ręce. - Tak naprawdę to nie byłem nawet postulantem. Jestem świeckim bratem w opactwie.

Zapadła długa cisza i Amy zastanawiała się, co ma powiedzieć. W końcu odezwała się:

- Jak brat poznał Catherine?

- Przebywam u benedyktynów jako *coadiutor temporalis*. Zajmuję się dobroczynnością. Catherine wielokrotnie nas wspomagала. Dawała pieniądze, odzież, czasami nawet schronienie nędzarzom.

Amy wyjrzała przez okno.

- To podobne do Catherine - oznajmiła.

- Wciąż liczymy na dobroczyńców. - Robert roześmiał się. Nie zareagowała, więc dodał poważniejszym już tonem: - Na świecie jest tyle cierpienia, tyle należy zrobić. Mógłbym też walce poświęcić całe życie, a i tak ledwo byłoby widać efekt.

Spojrzała na niego zimno.

- Proszę mnie zostawić w spokoju, bracie Robercie. Proszę znaleźć innego dobroczyńcę. Wcale nie mówiłam o pieniądzach.

- Ja również nie to miałem na myśli - odparł.

„Za późno, żeby cofnąć wskazówki zegara". Amy powtarzała sobie to zdanie niczym litanie, chodząc tam i z powrotem wzdłuż łóżka i rozcierając dłońmi ramiona. „Za późno, żeby cofnąć wskazówki zegara".

Przerwała spacer. Poczowała się lepiej; nie była pewna, czy to zasługa krótkiej pogawędki z Cat, czy rozmowy w powozie. Pewnie i tego, i tamtego. Biorąc pod uwagę ten dziwny niepokój, który prześladował ją przez cały zeszyły rok, znajdowała się na równi pochyłej. Czemu jest taka nieszczęśliwa? Ma przecież wszystko, czego chciała.

Kątem oka dostrzegła swoje odbicie w lustrze. Odwróciła się, bo nie musiała się sobie przyglądać. Wiedziała, że jest piękna. Od tego zaczęły się wszystkie jej kłopoty.

Cat uważała ją za kogoś niewiele lepszego od zwykłej prostytutki; może i miała rację, ale ona sama nie myślała o sobie w ten sposób. Opiekowało się nią do tej pory czterech czy pięciu protektorów, miała wielu kochanków. Lecz - może z wyjątkiem tego pierwszego - nie byli to mężczyźni pospolici.

Zaczął się od Ralpa. Uciekła z nim, sądząc, że ją poślubi. Obiecał jej to, lecz nie dotrzymał słowa, porzucił. Nie wszyscy byli tacy jak on. Marcus okazał się bardzo uprzejmy, nigdy jej nie okłamywał. Clive... prawie się w nim zakochała.

Majora Clive'a Barrona poznała w Lizbonie, gdzie armia brytyjska traciła czas, czekając na pieniądze i zaopatrzenie umożliwiające wyruszenie do boju. Amy miała tam mały dom. Idylla trwała do chwili, kiedy ojciec rozpoznał ją wysiadającą z powozu. Rozpoczęła się potworna kłótnia. Clive bronił jedynie przyjaciółki i popchnął ojca, nie wiedząc nawet, kim on jest. Skończyło się tragicznie: tata runął na chodnik, uderzył się mocno w głowę. Usiłował się podnieść, lecz już nie zdołał.

O śmierci ojca musiała powiadomić Catherine, z którą nie widziała się od lat. Jej słowa zabołały bardziej niż najcięższa chłosta. Stosunki pomiędzy siostrami nigdy już nie wróciły do normy.

Boże, czemu to wszystko się tak fatalnie potoczyło? Przecież

jako młoda dziewczyna pragnęła tylko być kochaną. Poznała Ralpa i uważała się za najszczęśliwszą kobietę na świecie. Przebudzenie z tego snu było okropne i brutalne. Dała mu wszystko, a on porzucił ją, nie zostawił nawet pensa. Nie mogła sobie pozwolić na drugą taką pomyłkę. Teraz głównym jej zadaniem życiowym była troska o siebie samą. Nie pozwoli, żeby Cat lub jakiś oderwany od świata duchowny odwiedli ją od tego zamiaru.

 Za późno, żeby cofnąć wskazówki zegara.

 Zdjęła suknię, zdmuchnęła świecę, weszła do łóżka. Zapomnienie, które niesie sen, nie nadchodziło. Amy przewracała się z boku na bok.

Scandalous

10

Tydzień po tym, jak zgodziła się odgrywać rolę żony Marcusa, Catherine znalazła się w wynajętym domku myśliwskim nieopodal Stamford na pustkowiach Leicestershire. Dopiero teraz pojęła prawdziwe konsekwencje podjętej decyzji.

Spodziewała się oczywiście, że rola będzie wymagać przygotowań. Marcus chciał, żeby nauczyła się hiszpańskiego przynajmniej w takim zakresie, by przekonać innych, że rzeczywiście jest osobą, za którą się podaje. Temu samemu miały posłużyć lekcje jazdy konnej i strzelania z pistoletu. Niełatwo było udawać głupka, skoro we wszystkich tych dziedzinach uchodziła za mistrzynię.

Najbardziej bała się jednego. Dotąd nie przebarbowała włosów na czarno, była więc pewna, że Marcus wierzy, iż ma do czynienia z Catherine. Ostateczna próba nastąpi jednak wtedy, gdy zmieni swój wygląd przed wyjazdem do Londynu. Stapała po bardzo kruchym lodzie; z jednej strony musiała przekonać wszystkich, że jest Cataliną, z drugiej zaś Wrothama, że to nieprawda.

- *Me llamo Cataliną Lytton* - odezwała się z akcentem wykształconej Angielki.

Nauczyciel, señor Matales, powtórzył to zdanie kilkakrotnie, usiłując poprawić intonację uczennicy. Utrzymywano go w przekonaniu, co zresztą nie było dalekie od prawdy, że Catherine jest aktorką szlifującą przy pomocy męża najnowsza rolę.

Służbie, która przyjechała do myśliwskiego domku, powiedziano to samo co seniorowi Matalesowi: pan i pani Lytton są ludźmi teatru, spędzą tu, z dala od londyńskiego zgiełku, tydzień, najwyżej dwa. Kiedy stąd wyjadą, nikt ich już więcej nie zobaczy.

Rodzina Marcusa z kolei była przekonana, że pojechał do Hiszpanii, aby przywieźć żonę. Dużo trudniej było wytłumaczyć zniknięcie Catherine. Posłużyła się w końcu tą samą nie istniejącą wdową, która dostarczyła jej alibi na czas rocznego pobytu u partyzantów. Powiedziała McNallym i przyjaciołom, że pani Wallace wybiera się w długą podróż na kontynent, a że pokrywa wszystkie wydatki i w Europie panuje pokój, postanowiła przyjąć jej zaproszenie.

- *Me llamo Catalina Lytton* - odezwał się nauczyciel.

- *Me llamo Catalina Lytton* - powtórzyła, naśladowując jego intonację, lecz niezbyt dokładnie. Nie chciała, żeby ktokolwiek się zorientował, jak doskonały jest jej hiszpański.

- *Buenas noches, mi esposo* - zagał senior Matales.

- *Buenas noches, mi esposo*.

Było coś jeszcze, czego nie przewidziała. Marcus winien uchodzić za jej męża. Już na samym początku upewniła się, że będzie miała własną sypialnię, do której on nie wejdzie bez pozwolenia. Lecz przecież nie mogła trzymać go na dystans w obecności osób trzecich. Lytton nalegał, aby udawali szczęśliwe stadło. W konsekwencji bez przerwy jej dotykał, kradł całusy, dokuczał niemiłosiernie. Był tak swawolny jak podczas incydentu z „Isabella” w Hiszpanii. Tego ranka podczas śniadania w jadalni przytulił ją do siebie i pocałował akurat wtedy, kiedy do pokoju weszła pokojówka z dzbankiem świeżo zaparzonej herbaty. Catherine chciała go uderzyć, a błysk w jego oczach upewnił ją, że on o tym wie. Nie mogła go wyróżnić w obecności służącej, a w chwilę później straciła już na to ochotę. Przycisnęła dłoń do warg, wspominając pocałunek.

W progu stanął Marcus. Zatrzymał się na chwilę, by przyjrzeć się Catherine, nim ona go zauważy. Patrzył na nią i patrzył

przez cały zeszyły tydzień i przekonał się z żalem, że przypomina mu żonę bardziej, niż mógł sobie tego życzyć.

Dziewczyna płoszyła się na każdym kroku, usiłowała trzymać go na dystans. W nim wyzwalało to myśliwego. Tylko Catalina rozbudzała tę prymitywną część jego natury. A teraz Cat robi to samo.

Pod pewnymi względami te kobiety były jednak zupełnie inne. Catherine, ze swoją inteligencją, szerokimi zainteresowaniami, szczególnym poczuciem humoru, była kimś wyjątkowym, umiała mu czas. Tego samego nie mógłby powiedzieć o Catalinie. Nawet chłód Cat, jej onieśmialające spojrzenia sprawiały mu przyjemność. Może jeszcze nie zdawała sobie z tego sprawy, lecz pragnęła go. Pod zimną powłoką wyczuwał osobę lekkomyślną, żądną przygód. Chciał być tym, który wyzwoli tę inną stronę jej natury.

Ponieważ był żonaty, a ona nie chciała wyjść za mąż, jedynym rozwiązaniem pozostawało uczynić z niej kochankę. Zorientował się już, że jest również chciwa, postanowił więc szczerze zapłacić za przywileje, które pragnął uzyskać.

Wpierw trzeba było jednak dać jej czas na oswojenie się z jego dotykiem, pocałunkami. Narastała w nim żądza.

Wkroczył do pokoju.

- *Buenos dias, mi esposa.*

Głos męża sprawił, że uczennica gwałtownie się obejrzała. Marcus ubrany był w obcisłe irchowe bryczesy, czarne wysokie buty z wywinietą cholewą i szarą jeździecką kurtkę. Wydawał się zupełnie nieświadom swojej elegancji.

Catherine wciąż mu się przyglądała. Uśmiechnął się nieznacznie, co pozwoliło jej zapanować nad sobą.

- *Buenos dias, mi esposo* - odpowiedziała cierpko na pozdrowienie.

- Już czas na lekcję jazdy konnej - stwierdził Marcus.

Skrzywiła się, lecz przeprosiwszy nauczyciela hiszpańskiego, wyszła za mężem z pokoju.

Ta nauka była jej zupełnie niepotrzebna, lecz nie mogła się do tego przyznać, bo jak wytłumaczyłaby to Marcusowi?

Jedynie konie, które były w posiadaniu jej rodziny, to spokojne pony zaprzęgane do jednokonnej dwukółki. Wiejski lekarz nie mógł sobie pozwolić na utrzymywanie stadniny i Lytton zdawał sobie z tego sprawę. Wiedział również, że Vixen była na jej wiktie dopiero od paru miesięcy.

Catherine nauczyła się jeździć w Hiszpanii, pod okiem El Grande, wiedzona instynktem samozachowawczym. Każdy opanowałby tę sztukę, wiedząc, że od niej może zależeć jego życie. I tak się zdarzało. Nawet nie pamiętała, ile razy. A teraz marzyła jej się galopada...

Kiedy stajenny przyprowadził Daisy, klacz, którą earl wybrał dla żony, Catherine zaczęła odgrywać swoją rolę. Odkąd przybyli do domku myśliwskiego, urządziła już mnóstwo przedstawień. Udawanie stało się jej drugą naturą. Cicho, tak że tylko mąż mógł ją usłyszeć, płaczącym głosem zapytała:

- Czy to naprawdę konieczne? Wiesz przecież, że w tak krótkim czasie nie zrobisz ze mnie doskonałej amazonki.

- Wiem o tym. Zależy mi jedynie na tym, żebyś lepiej dosiadała konia, zgrabniej trzymała się w siodle, i tak dalej.

Zaczynała się niecierpliwić.

- Wiem, jak się jeździ konno! Spytaj McNally'ego. Spytaj Emily Lowrie. Dosiadałam Vixen.

- Biedna Vixen. - Marcus roześmiał się. - Pewnie uważasz się również za wybranego strzelca?

Nawiązywał do sytuacji, kiedy ustawił cel i kazał jej w niego trafić. Kolejna komedia do odegrania. Załadowała doskonale broń, tak jak nauczył ją McNally, lecz bardzo się pilnowała, by pudłować. Marcus wybuchnął wtedy śmiechem.

- Wiem, jak strzelać - odcięła się. - Działasz mi na nerwy, tylko dlatego tak to wyszło.

- Ach, to nic nie szkodzi. Gdybyś była doskonałym strzelcem, zabiłabyś mnie tamtego wieczoru, kiedy się poznaliśmy. Catalina nie chybiłaby.

- Catalina, Catalina, ciągle Catalina! Czy jest coś, czego ta wspaniała kobieta nie potrafi?

To stwierdzenie go zaskoczyło.
- Co masz na myśli?
- Wygląda mi na to, że wciąż jesteś w niej zakochany
- odparła.

Twarz mężczyzny pociemniała z gniewu.

- Nie bądź idiotką. Catalina Cordes jest podstępą dziwką, która zawsze dopnie swego. Może teraz, jeśliś taka łaskawa, wróćmy do lekcji jazdy konnej?

Uśmiechnęła się, aby ukryć pogardę. A więc to tak on postrzegał biedną Catalinę. Nie, nie żałowała swojego hiszpańskiego małżeństwa ani trochę i prędzej będzie smażyć się w piekle, nim pomoże Marcusowi wypłatać się z tego związku.

Chwytną ją w tali, podsadził na siodło.

- Nie trzymaj wodzy tak kurczowo - pouczał - bo wybijesz klaczy górne zęby. - Pokazał, nie po raz pierwszy, właściwy chwyt. - Spokojnie, Daisy jest łagodna jak baranek.

Nie chcąc przesadzić, zastosowała się do instrukcji, lecz wydawało się, że jest jej bardzo niewygodnie.

- Dotąd jedziemy? - spytała.
- Sądziłem, że do tych sztucznych ruin świątynki.
- Świątynki?
- Pamiętasz ten domek górujący nad doliną?
- Ach, ten - skojarzyła.

To nie był dom, raczej schronienie dla kogoś, kogo zaskoczy nagła burza. Do tego najlepszy punkt widokowy w okolicy.

- Dotrzemy tam krótkim galopem - zaproponował Marcus.

Zastanawiała się, jak by zareagował, wiedząc, ilu patrolom francuskiej kawalerii umknęła na hiszpańskich wzgórzach.

- Spróbuję - wymamrotała.

To była nudna, powolna jazda i Catherine nie żałowała, że już dotarli na miejsce. Była w bardzo niezręcznej sytuacji, czując na sobie wzrok towarzysza. Nie podobał jej się sposób, w jaki jej dotykał, poprawiając uchwyt lejców lub korygując pozycję w siodle. Przecież teraz nie obserwowali ich służący.

Czego on oczekiwał? Był rozpustnikiem, a ona kobietą.

Szukał następnej kandydatki do łóżka. Męski tupet! Dokładnie tego się spodziewała.

– O co chodzi, Catherine? O czym myślisz? – Zsiadł i przywiązywał wierzchowca.

Coś w jego wzroku przypomniało Catherine o ostrożności. Z łatwością czytał w jej myślach i to czyniło go podwójnie niebezpiecznym.

– Obawiam się spotkania z twoją rodziną. Byłabym głupia, gdybym się nie bała.

Stanął koło niej, popatrzył spod przymkniętych powiek.

– Połóż mi ręce na ramionach – zakomenderował.

Zsadzil ją z siodła, postawił na ziemi, lecz nie puszczał. Serce zaczęło jej łomotać. Przytulał do siebie, wpatrywał się w wargi. Kiedy zaczął się ku niej nachylać, Catherine szybko zaczerpnęła oddechu.

– Twoja rodzina, Marcus... Jak oni przyjmują fakt, że ożeniłeś się z hiszpańską dziewczyną? – Wyswobodziła się z uścisku.

– Opowiedz mi o nich więcej. Będę lepiej przygotowana do spotkania.

– Czy to naprawdę obawa przed moimi krewnymi tak wpłynęła na wyraz twojej twarzy? – Uśmiechnął się nieznacznie, przywiązując jej wierzchowca.

– Co masz na myśli?

– Myślę, że działam na ciebie obezwładniająco – odrzekł i zachichotał.

Odpowiedziała mu najbardziej afektowanym tonem:

– Może trudno ci to zrozumieć, ale naprawdę nie jestem twoją żoną. My odgrywamy przedstawienie, Marcus. – Podniosła głos. – Gramy! Jeśli przekroczysz granicę, wracam natychmiast do domu w Hampstead. Masz na to moje słowo. Pojąłeś?

– W zupełności – odparł, lecz wciąż się uśmiechał.

Odwrociła się od męża i udawała, że podziwia widok.

– Jestem zdenerwowana spotkaniem z arystokracją, nie mówiąc już o tym, że będę musiała odgrywać rolę hiszpańskiej dziewczyny.

Podszedł do niej od tyłu, otoczył ręką ramiona.

- Moja macocha nie pochodzi z arystokracji, to córka krawca. Nie jest przyjmowana w towarzystwie. Myślałem, że wszyscy o tym wiedzą.

- Nie jest przyjmowana? - Catherine nie mogła ukryć zaskoczenia.

- Rozumiem, że nie znasz nikczemnej historii mojej rodziny?

- Nie - odparła. Znała jedynie jego nikczemną historię.

- Ojca prawie nie pamiętam - zaczął. - Umarł, kiedy byłem małym chłopcem, lecz wszystko wskazuje na to, że niewiele straciłem. Nawet gdy poślubił moją matkę, nadal był niepoprawnym cudzołóżnikiem, uganiającym się za młodymi kobietami. Kiedy matka zmarła dając mi życie, przestał zachowywać pozory, zapomniał zupełnie o przyzwoitości. Helen Shore, moją macochę, zobaczył na londyńskiej ulicy. Miała wtedy osiemnaście lat - on blisko czterdzieści. Kompletnie stracił dla niej głowę. Helen nie chciała mieć z nim nic do czynienia, ale to nie powstrzymało ojca. Po prostu ją porwał i wywiózł do zamku w Warwickshire.

- Cóż za czarujący człowiek - powiedziała Catherine ironicznie, myśląc równocześnie: „Jaki ojciec, taki syn”.

Marcus zdobył się na słaby uśmiech.

- Nie był pierwszym arystokratą, który uważał, że stoi ponad prawem. To się zdarzyło w zeszłym stuleciu, a dokładnie w roku tysiąc siedemset osiemdziesiątym piątym. Teraz jest inaczej. Catherine, nie patrz tak na mnie. Nigdy nie porwałem młodej kobiety. Opowiadam o moim ojcu i macosze. Zapewniam cię, że w niczym nie przypominam swojego rodzica.

- Może więc powinieneś zacząć porównywać się z kimś innym - odparła oschle.

- Z kim na przykład? Z Melrose'em Gunnem?

Zmarszczyła brwi:

- Powiedz mi, Marcus, co się stało po tym porwaniu?

- Pobrali się w kaplicy Wrodram. Z czasem urodziła mu dwóch synów i córkę. - Ogień w jego oczach powoli przygaszał. Zamilkł na chwilę, po czym kontynuował: - To nowe małżeń-

stwo nie zmieniło charakteru ojca. Dalej był niewierny. Zginął w pojedynku o żonę innego mężczyzny.

- Twoje dzieciństwo musiało być bardzo nieszczęśliwe.

- Bynajmniej. Zaletą mojego ojca było to, że prawie nigdy nie widywano go w domu. Tak że kiedy zginął, właściwie nie odczułem straty.

Catherine zrobiło się straszliwie żal Marcusa. Kiedy umarła jej matka, dziewczynie się wydawało, że świat się skończył.

- Czemu twoja macocha nie jest przyjmowana w towarzystwie? - spytała.

Stał do niej profilem i zdawał się pochłonięty krajobrazem. Przed nimi rozciągała się dolina, przez którą płynęła rzeka. Drzewa mieniły się kolorami.

Odwrócił się ku Catherine.

- Ludzie nie chcieli uwierzyć, że on ją poślubił - ja, córkę krawca. Woleli widzieć w niej kochankę. Toteż kiedy zapraszał przyjaciół, ich żony zostawały w domach.

- Ależ to okrutne!

- Oczywiście. Byłem zbyt mały, żeby zrozumieć, o co chodzi.

- Ale twój ojciec rzeczywiście ją poślubił?

- Och, tak. Helen miała doskonałego świadka w osobie kapelana ojca. Małżeństwo zostało odnotowane w rejestrach kościelnych.

- No to jak ktoś mógł je kwestionować?

- Jest taka bransoleta, ślubna bransoleta Wrothamów, rodzinna scheda przechodząca na każdego kolejnego earla. Nosiła ją moja matka, ale ojciec nigdy nie dał jej swojej drugiej żonie i nikt nie wie dlaczego.

Zapadła długa cisza, kiedy przetrawiała jego słowa. W oczach Marcusa pojawiło się rozbawienie.

- Co to? Nie ma więcej pytań?

Catherine spojrzała na niego ostro:

- Muszę to wszystko wiedzieć, jeśli mam udawać twoją żonę. Teraz chcę usłyszeć o twoich przyrodnych braciach i siostrze. Nic mi o nich nie mówiłeś.

- Nie ma potrzeby się w to zagłębiać. Poznasz ich wszystkich w swoim czasie. Pamiętaj, że przez ostatnie sześć lat prawie nie bywałem w domu, wojowałem. Jesteśmy sobie niemal obcy. Nie martw się, Cat, nie będziesz miała problemów z moją rodziną. Ty potrafisz poradzić sobie ze wszystkim.

Przeszkadzało jej, że zaczął zwracać się do niej „Cat”. To zbyt poufałe, za dużo w tym ciepła. Jedyne Amy tak na nią kiedyś wołała. Nie wyjawiała mu jednak swoich zastrzeżeń, wiedząc, że je zlekceważy.

- Nie ja, Marcus. Catalina. Obawiam się, że mogę nie spełnić twoich oczekiwań.

- Ty i Catalina jesteście tak różne.

To właśnie pragnęła usłyszeć.

- Wreszcie na to wpadłeś - zakpiła.

Nie zaprotestowała, kiedy położył jej dłonie na ramionach. Pewna była, że nic nie podejrzewa, lecz jednocześnie wzmogła czujność. Nie może sobie pozwolić na fałszywy ruch.

- Twój wygląd jest mylący. Z pozoru sprawiasz wrażenie bardzo przyzwoitej damy. Nikt by nie odgadł, że jesteś A.W. Eumanem, najlepszym komentatorem „The Journal”, że biegasz po mieście z pistoletem ukrytym w mufce. Wygląd Cataliny także wprowadzał w błąd. Nikt by nie podejrzewał, że jest w partyzantce i potrafi walczyć jak mężczyzna.

Z największą obojętnością, na jaką potrafiła się zdobyć, Catherine uwolniła się z uścisku Lyttona. Nie wiedziała, co bardziej ją przeraziło: podziw w jego oczach czy łatwość, z jaką dodawał dwa do dwóch, nie zdając sobie nawet sprawy, jak bliski jest prawdy. Zdobyła się na wesoły śmiech.

- Jeśli mam sprawić się jak Catalina, to lepiej zajmę się już Daisy i poćwiczę jeszcze trochę.

Podeszła do uwiązanych koni. Marcus podążył za nią.

- Wiesz, przemyślałam to - odezwała się - i zastanawiam się, czy zabieramy się do tego we właściwy sposób. Nigdy nie nauczyłam się jeździć jak hiszpański partyzant. Czy nie możemy

wymyślić jakiegoś dobrego pretekstu, że niby muszę się trzymać z dala od koni?

Nie mówiła tego z powodu zdenerwowania, lecz dlatego, że chciała utwierdzić go w przekonaniu, iż zupełnie nie przypomina Cataliny.

- Jakiego pretekstu? - spytał.

- Jestem pewna, że jeśli razem się tym zajmimy, na pewno coś wymyślimy. Zastanowię się nad tym samym w odniesieniu do języka. Nie zamierzam powiedzieć ani słowa po hiszpańsku, jeśli nie będę musiała. Oznajmię wszystkim, że miałam angielskie guwernantki i dlatego tak dobrze i z takim świetnym akcentem mówię w tym języku.

- Angielski Cataliny był bardzo kulawy.

- Ale nikt nie musi o tym wiedzieć, nieprawdaż? Marcus, jeśli sądzisz, że sobie z tym nie poradzę, to może dajmy spokój całej sprawie.

Niemal się uśmiechnął, dostrzegając wyraz nadziei w oczach dziewczyny. Dać spokój całej sprawie? Nigdy, póki on ma coś do powiedzenia. Nie myślał już teraz tylko o sprowadzeniu El Grandę i Cataliny przed oblicze sprawiedliwości. Pragnął mieć Catherne pod swoim dachem przez następne kilka miesięcy. To było dla niego głównym wyzwaniem.

Chwyając ją w pasie, podsadził na konia.

- Jestem całkowicie przekonany, że sobie poradzisz - powiedział. - Nie rozumiem, czego się boisz. Jesteś urodzoną aktorką.

Jeszcze tego samego wieczoru Catherne uzupełniła notatki, szczerze używając proszku osuszającego atrament. Choć przeznaczone były dla majora Carruthersa, nie musiała ich ukrywać. Każdy wzięłby je za strony kobiecego pamiętnika. Jutro, kiedy nadarzy się okazja, niby przez zapomnienie zostawi je w ciepłarni. Do rana już ich tam nie będzie. Gdyby potrzebna była jej pomoc, wystarczyło posłużyć się hasłem. W razie

niebezpieczeństwa mogła liczyć na Crewe'a, jednego z ogrodników umieszczonych tutaj jeszcze przed jej przybyciem.

Do tej pory wszystko szło całkiem gładko, lecz prawdziwą próbą będzie przefarbowanie włosów. Musi być jakiś sposób, żeby wywieść Marcusa w pole. Zapatrzyła się przed siebie: myślała, planowała, knuła intrygę.

Ze zgrozą przypatrywała się swojemu odbiciu. Z lustra znów spoglądała na nią Catalina. Jej włosy były ciemne, choć nie tak jak w Hiszpanii. Wszystko pójdzie na marne! Marcus tylko rzuci na nią okiem i już będzie wiedział. Właśnie zapukał - chciał wejść i ocenić efekty jej zabiegów. Miała ochotę nie otwierać, nie pokazywać mu się w takim stanie.

- Catherine?

Musi go wpuścić, przejść przez to. Cóż innego jej pozostało? Wzięła miseczkę i zachlapała resztą farby do włosów narzuty i swoje ubranie. To należało do jej planu, lecz teraz wydawało się rozpaczliwie niewystarczające.

- Catherine, wpuść mnie.

Zanurzyła ręce w naczyniu, po czym wytarła w ręcznik. Kiedy zawołał ją po raz trzeci, zaczerpnęła głęboko powietrza, przeczesła palcami szybko wysychające włosy i ruszyła otworzyć drzwi.

Na jej widok uśmiech zniknął z twarzy Marcusa. Przez chwilę zamarło w niej serce, zamknęła oczy.

Zwyciężył jednak instynkt.

- Mogłabym cię za to zabić! - krzyczała i wymachiwała rękoma. Podeszła do lustra. - Tylko spójrz, jak ja wyglądam! - lamentowała. - Mogłabym wystąpić jako wiedźma w *Makbecie*. Nie jestem sobą. Nigdy, nigdy nie przypuszczałam... Kiedyś byłam ładną dziewczyną. A teraz patrz! Boże, co ja zrobiłam!

Marcus doszedł do siebie. Minał elektryzujący moment rozpoznania. Catherine miała rację, ciemne włosy nie pasowały do jej urody.

- Wiedźma? Nie posuwałbym się aż tak daleko. - Gdy zobaczył, co się dzieje w pokoju, zaczął się śmiać. - Cat, co za diabeł tutaj buszował? To wygląda niczym jakaś jatka!

Dziewczyna spiorunowała go wzrokiem:

- Tak, łatwo ci się śmiać! Ta potworna mikstura wszędzie się porozlewała. Powinnam farbować włosy podczas mycia, ale przecież nie w umywalce! Marcus, z tego nic nie będzie. Nie wyglądam na Hiszpankę. Wszystko, co mogę zrobić, to stać się na powrót okropną Angielką.

- Nie jest tak źle.

- Czy tak wyglądała twoja żona? - spytała z lekkim niedowierzaniem, bo naszła ją pewna refleksja.

Ujął ją pod brodę, drugą ręką za łokieć, przypatrywał się.

- No i? - Prawie nie oddychała.

Potrząsała głową.

- Kiedy teraz myślę o Catalinie, nie mogę sobie przypomnieć dokładnie jej twarzy. Widzę tylko twoją buzię.

- Mało to dla niej pochlebne.

- Pamiętam jednak, że miała tu pieprzyk. - Dotknął kącika jej ust.

- Pieprzyk? - Nic takiego nie istniało. Czyżby wystawiał ją na próbę?

- Może i nie. Po prostu nie pamiętam.

Odwróciła się ku niemu.

- Z tego wynika, że żona nie zrobiła na tobie wielkiego wrażenia. - Sama nie wiedziała, czemu jest tak wściekła.

- Czy jakkolwiek kobieta wywarła na tobie wrażenie, Marcus?

Uśmiechnął się złośliwie.

- Ty, Cat.

Wziął ją w ramiona. Catherine przeciągnęła dłońmi po jego surducie, oparła rozczapierzone palce o jego pierś.

- Do diabła! - Uwolnił ją z uścisku, odstaąpił o krok. - Twoja suknia jest cała mokra! - Spojrzał na swoje poplamione ręce.

Catherine ciężko westchnęła.

- Masz farbę na koszuli, na surducie. Nie, nie dotykaj, to paskudztwo łatwo rozmazać.

Zmoczyła ręcznik i zaczęła ścierać z jego ubrania ślady swoich rąk.

- Na litość boską, Cat! Paskudzisz jeszcze bardziej!

Ruszył do wyjścia.

Włosy Catherine przypominały wiecheć sterczący we wszystkie strony.

- Musisz zrobić coś z głową. Użyj nafty, nie wiem zresztą czego. Zrób cokolwiek. Nie zapominaj, że ruszamy jutro z samego rana.

Kiedy za Marcusem zamknęły się drzwi, Catherine westchnęła ciężko i padła na łóżko.

Scandalouis

11

Następnego ranka Marcus i Catherine wyruszyli do Londynu. Przybyli do domu na Cavendish Square jako earl i hrabina Wrotham.

Dziewczyna została przedstawiona towarzystwu podczas skromnego obiadu, wydanego przez matkę chrzestną Marcusa w ogrodzie domu przy St. James Square. W pojęciu lady Tarrington „skromny” oznaczało, że na przyjęciu będzie około trzydziestu osób.

- Nie denerwuj się - uspokajał Marcus - wszędzie dasz sobie radę.

Puścił ją przodem, pomógł wejść do powozu.

- Nie mogę się nie denerwować - odparła Catherine.
- W Londynie mam przyjaciół. Co będzie, jeśli ktoś z nich mnie rozpozna?

- Na przykład kto?

- Moja przyjaciółka Emily, jej mąż, Melrose Gunn - odpowiedziała, myśląc o siostrze.

- Nie bywają na przyjęciach tego rodzaju. W teatrze zaś lub jakimś innym miejscu publicznym będą cię widzieć z daleka i zobaczą to, co chcą ujrzeć: moją żonę. - Mylnie interpretując jej milczenie, ciągnął dalej: - Już o tym rozmawialiśmy. Najlepszy sposób, aby rozpuścić wici, że moja żona przybyła z Hiszpanii, to pokazać cię wszystkim. To powinno dać El

Grandę i Catalinie do myślenia. Potem zaszyjemy się we Wrotham.

Marcus uważał, lub przynajmniej tak utrzymywał, że znacznie łatwiej kontrolować sytuację w majątku, gdzie wszystko, co niecodzienne, każdy obcy - od razu rzuca się w oczy. Nie chciał pozostawiać inicjatywy Catalinie i El Grandę; jego celem było, aby to oni przyszli do niego.

- Ja to rozumiem - odezwała się - lecz wciąż jestem roztrzęsiona, kiedy pomyślę, że mam udawać twoją żonę. A jeśli ktoś przejrzy tę grę? Przecież mam niebieskie oczy. Nie wzięłeś tego pod uwagę?

- Za bardzo się przejmujesz. Catalina też miała niebieskie oczy. A jeśli idzie o odgrywanie jej roli, to wielekroć sam byłbym w stanie uwierzyć, że naprawdę jesteś moją żoną, choć wiem, iż to mistyfikacja.

- Naprawdę? - Uśmiechnęła się.

- Mówię zupełnie poważnie. - Skrzywił się. - Dopóki się nie odezwiesz. Twój hiszpański pozostawia wiele do życzenia i jestem pewien, że sama doskonale zdajesz sobie z tego sprawę.

- Mówię po hiszpańsku tak jak ty, a właściwie to lepiej - przedrzeźniała jego wymówki.

- No tak, ale to niewiele znaczy.

Kiedy wyczerpali już tę kwestię, nie pozostało nic innego, tylko stawić czoło próbie, której tak bardzo się obawiała. Ledwo Marcus odstąpił ją na krok, dopadła Catherine lady Tarrington wraz z gronem przyjaciół, chłonąc każdy jej gest i słowo. Unikali niezręcznych pytań, choć było publiczną tajemnicą, że młodzi spotkali się w niezwykłych okolicznościach. Jako że trwał sezon myśliwski, wielu znajomych Marcusa przebywało w wiejskich posiadłościach. To też ułatwiało odegranie przedstawienia.

W następnym tygodniu poszli do teatru. Catherine dostrzegła Amy otoczoną wielbicielami. Marcus uklonił się jej siostrze, lecz nie zostawił żony, aby złożyć hołd znanej osobistości, co czyniła większość mężczyzn. Szacowne damy po prostu ig-

norowały to, co wyczyniali mężowie tuż pod ich nosem. Marcus miał rację: Amy często przypatrywała się Catherine, lecz nawet ona jej nie rozpoznała.

Mijał dzień za dniem, a Catherine dziwiła się, że tak dobrze jej idzie. Łatwo było połączyć fantazje z rzeczywistością. Był tylko jeden problem: nie mogła zapomnieć, że ma do wypełnienia zadanie. Wciąż musiała pamiętać o Marcusie, zastanawiać się, czy on również nie odgrywa przedstawienia.

Major Carruthers również nie siedział z założonymi rękami. Przeprowadzał śledztwo, badał wszystkie okoliczności innych wypadków, usiłował ustalić, co może łączyć te wydarzenia oprócz faktu, że ofiary przebywały w bazie El Grandę w tym samym czasie. Catherine złapała się na tym, że ma nadzieję, iż szybko zdołają oczyścić Marcusa z podejrzeń. Co innego ukarać go za to, co uczynił Amy, co innego zobaczyć go na szubienicy. Jej nienawiść nie była aż tak wielka. Oczywiście, o ile jej mąż nie dopuścił się tych zbrodni. Trochę się obawiała, że zbytnio zaczyna go lubić.

Prawie każdego popołudnia, jeśli tylko pogoda dopisywała, Catherine i Marcus odbywali przejażdżkę kariolką. Nigdy nie byli sami, bo zawsze podążał za nimi jadący wierzchem stajenny. Cat wiedziała, że jest uzbrojony. Skrupulatnie doniosła o tym przełożonemu, dodając, że może to potwierdzać wersję Marcusa. Otrzymała zwięzłą odpowiedź: może Lytton chce odwrócić od siebie podejrzania, chyba że rzeczywiście tymi łajdakami są ona i El Grandę.

Rozważała te słowa, kiedy skręcali do Hyde Parku.

- Widziałem, że dziś rano przed śniadaniem rozmawiałaś z jednym z ogrodników. O czym, jeśli można wiedzieć?
- odezwał się Marcus.

Tym ogrodnikiem był Crewe, człowiek Carruthersa.

- Ogromnie go lubię. Czy wiedziałeś, że brał udział w kampanii iberyjskiej? - odparła swobodnym tonem.

- Tak, wiedziałem i dlatego go zatrudniłem.

Utkwiła wzrok w zaprzęgu kasztanów, zastanawiając się, czy powodem wszczęcia tej błahej rozmowy nie była po-
dejrzliwość męża.

- Ponieważ jestem Hiszpanką - tym razem ona zainicjowała banalną pogawędkę - pomyślał, że powinnam się dowiedzieć o jego wojskowej przeszłości. Naturalnie podziękowałam mu za wyzwolenie mojego kraju spod francuskiej okupacji.

- Dobrze zrobiłaś. - Marcus uśmiechnął się do niej, a Catherine nieco się odprężyła.

Chwilę później ściągnął lejce i zatrzymał pojazd.

- Tristram! - krzyknął.

Catherine odwróciła się i dostrzegła młodego człowieka posiadającego dorodnego gniadosza. Odłączył od grupy innych jeźdźców i podjechał do nich. Można było poznać od razu, że jest spokrewniony z Marcusem, choć nie był tak silnej budowy jak on. Przypomniała sobie, że tak miał na imię młodszy brat przyrodni jej męża.

- Catalino - odezwał się Marcus - pozwól sobie przedstawić mojego brata Tristrama.

Ostry ton Lyttona sprawił, że młodzieniec oblał się rumieńcem. .

- Jestem zaszczycony. To znaczy: witamy w Anglii, chciałem powiedzieć...

- Rozumiemy, co masz na myśli - przerwał mu Marcus. - Ja tylko chcę wiedzieć, co ty tu robisz. Właśnie zaczął się nowy semestr. Czemu nie jesteś w Oxfordzie?

- Jak się masz, Tristram? Oczekiwałam spotkania z tobą - wtrąciła się Catherine, wyciągając do niego dłoń obleczoną w rękawiczkę.

Tristram zrozumiał, czego się od niego oczekuje, toteż rumieniąc się jeszcze bardziej, z pełnym szacunkiem pocałował dziewczynę w rękę.

Marcus spojrzał na żonę i natychmiast wrócił do przerwanej wątku:

- A więc?
- Rzecz w tym, Marcus - zaczął wyjaśniać młodzieniec, poprawiając kołnierzyk - że nie rzuciłem uniwersytetu. - Zająknął się. - Łacina i greka... po prostu nie mogę się w tym połapać.
- Rozumiem, że oblałeś egzaminy semestralne. Cóż, muszę z tobą później pogadać. Dlaczego nie pokazałeś się na Cavendish Square? Jak długo jesteś w mieście?
- Ach, tydzień czy coś koło tego. Po prostu myślałem... cóż, może nie chciałeś mieć towarzystwa - nie wtedy, kiedy właśnie... to znaczy... myślałem, że może przez chwilę chcesz być sam. Marcus parsknął.
- Jaki domyślny - powiedziała Catherine z uśmiechem.
- Gdzie się zatrzymałeś? - indagował Wrotham.
- W Carillon. Z kuzynem Davidem. Jest gdzieś tutaj.
- Z nadzieją obejrzał się przez ramię. - W każdym razie przyjechał z Irlandii kupić zwierzęta do swojej stadniny. Byliśmy w Tattersalls i, ech, wszędzie. To nie takie łatwe... - przerwał i wykrzyknął z ulgą: - Oto i on!

Mężczyzna, który się do nich zbliżył, był starszy niż Tristram, na oko dobiegał trzydziestki. Miał jasne długie włosy opadające na kołnierz. Choć jego ubiór był konserwatywny, nosił się z pewną gracją. Catherine odwzajemniła jego uśmiech.

- Cieszę się, że znów cię widzę. Ile to już lat... - dwanaście?
- odezwał się Marcus, kiedy dokonano prezentacji.
- Och, więcej - zaoponował David. - Twoja macocha twierdzi, że piętnaście.
- Byłeś we Wrotham?
- Tak, zanim przyjechałem do miasta. Dobrze wiedzieć, że ta gałąź Lyttonów ciągle należy do rodziny. - Roześmiał się.
- Miałem okazję przyjrzeć się twoim koniom, lecz nie mogłem się dogadać z Pennem. Po tym, co zobaczyłem w Tattersalls, zrozumiałem, że proponował niezły interes.

Marcus uśmiechnął się.

- Może zaoferuję ci nawet lepszy. Jesteś w końcu moim kuzynem. Jakie macie plany?

David położył dłoń na ramieniu Tristrama.

- To głównie podróż w interesach, a chłopak jest dla mnie wielką pomocą. Wie wszystko o koniach i najlepszych hodowcach.

- Tak, Tristram z pewnością zna się na koniach - odparł Marcus z przekąsem. - Musimy jakoś się spotkać, powiedzmy na obiedzie, nim wyjedziemy z Cat do Wrotham.

- Wspaniały pomysł - zgodził się David i skłonił się. Zwracając się do Catherine, zagadał coś po hiszpańsku.

- Tris, oczekuję cię jutro rano - wtrącił się Marcus.

- Przepraszam? Ach, tak, oczywiście będę.

- Liczę na to.

Kiedy panowie odjechali, Marcus zaciął konie i zaprzęg ruszył galopem. Catherine patrzyła gdzieś w bok, myślała o Tristramie i czekającej go rozmowie z przyrodnim bratem. Nie powinna się wtrącać, więc postanowiła zachować neutralność.

- Bardzo długo nie widziałeś się ze swoim kuzynem.

- David mieszka w Irlandii.

- Irlandia nie leży na końcu świata.

- Nie jesteśmy bliską rodziną.

- Rozumiem.

- Co on ci mówił po hiszpańsku?

Catherine posłała mężowi figlarne spojrzenie.

- Powiedział, że jestem najpiękniejszą kobietą, jaką spotkał, że jestem czarująca, inteligentna i dowcipna, a ty powinienes się uważać za wielkiego szczęściarza.

- Żartownisia! Nie wymówił więcej niż trzy słowa.

- Taki jest właśnie hiszpański. Można wyrazić bardzo wiele za pomocą paru słów.

Marcus przyglądał się Catherine spod zmrużonych powiek: flirtowała z nim. W jej oczach zapaliły się iskierki, policzki delikatnie poróżniewały. Czepek skrywał brązowe włosy. Odpowiadało mu to, gdyż nie zachwycał go ten kolor. Żałował płomiennej aureoli.

Kierując spojrzenie z powrotem na konie, fantazjował, że

wyciąga spinki z jej włosów, układa wspaniałe kędziory na poduszce. Potem zaczyna ją rozbierać. Nie spieszy się, jest bardzo uważny, nie robi nic, co mogłoby ją spłoszyć. Każda meszczota bardziej intymna od poprzedniej. Potem, kiedy ona jest już gotowa, pokazuje, do czego prowadzi taki flirt. Wreszcie wchodzi w to wspaniałe ciało, sprawiając rozkosz - wpierv jej, dopiero potem sobie.

Znów spojrział na żonę, ich oczy się spotkały. Prawie wyczuwał falowanie jej biustu. Jego własny oddech stał się chrapliwy, rosło napięcie w lędźwiach.

- Tak naprawdę to powiedział: „Do zobaczenia następnym razem” - odezwała się Catherine.

Dobłą chwilę trwało, nim zapanował nad odruchami. Jeszcze więcej wysiłku kosztowało go oderwanie się od tych marzeń. W końcu przemówił:

- Nie powinienem nigdy ci ulegać, Cat.
- Nie wiem, co masz na myśli. - Odwróciła wzrok.
- Nie wiesz? Myślisz, że nie zdaję sobie sprawy z tego, co teraz czujesz? - Przerwał zaprzątnięty powożeniem, kiedy kariolka musiała przecisnąć się pomiędzy dwoma stojącymi pojazdami.
- Inaczej oddychasz. Twoja skóra jest rozpalona. Pragniesz poczuć moje ręce na swoim ciele. Wiem, co mówię, bo sam czuję to samo.
- Nie chcę tego więcej słuchać! - wykrzyknęła.
- Cat...
- Proszę, Marcus, przestań!

Posłał Catherine spojrzenie. Dostrzegł strach w jej oczach. Tętnica na szyi pulsowała przyspieszonym rytmem.

- Do diabła! - skwitował sytuację.

Do domu wracali w milczeniu. Wysadził ją od frontu, a sam zajechał do stajni. Catherine zatrzasnęła drzwi, zamknęła na klucz, oparła się o nie. Dygotała, była rozbita, rozbita...

Potrząsnęła głową. Miała misję do wypełnienia. Marcus jest głównym podejrzanym. Major Carruthers ostrzegał ją, czego może się spodziewać. Jej mąż to rozpustnik, który ma swoje sposoby na kobiety.

Opóźnili wyjazd do Wrotham o jeden dzień, ponieważ kreacje, które Marcus zamówił dla Catherine, nie były jeszcze gotowe. Uczynił to, kiedy przebywali w rezydencji na Cavendish Square. Catherine właściwie w tym nie uczestniczyła: miała jedynie stać i pozwolić wziąć miarę. Wszystko załatwiali Marcus z modystką; dziewczyna była zadowolona z takiego obrotu sprawy.

Wcześniej oprowadził ją po sklepie odzieżowym, lecz tam ubiory były znacznie skromniejsze. Stateczne matrony, najlepsze klientki madame, nigdy by nie włożyły tego, co przygotowywano dla pani Lytton. Marcus powiadał, że te suknie mogą jej się przydać w ciężkich czasach.

Teraz, kiedy Catherine dotykała tych błękitnych i srebrnych fatałaszków, śliska napływała jej do ust. Podniosła następną kreację, w której tkwiły jeszcze powpinane szpilki. Białe jedwab z wyhaftowanymi białymi różyczkami na wciętych staniku i wzdłuż rąbka trenu. Dotykając materiału, westchnęła z prawdziwą przyjemnością.

Niemal równocześnie przypomniała sobie ciotkę Beę czytającą o niebezpieczeństwach, jakie niosą ze sobą zmysły. To dlatego jej opiekunka zawsze ubierała się na czarno. Catherine nie zgadzała się ze wszystkimi poglądami ciotki, lecz nie mogła stłumić obaw, przywołując w pamięci zasady starszej pani.

To absurd! Była przecież dorosłą kobietą i sama powinna wyrobić sobie pogląd na to, co jest dobre, a co złe.

Marcus obserwował huśtawkę jej nastrojów: ożywienie, rezygnacja, bunt. Zastanawiał się, co dziewczynie chodzi po głowie.

- Czemu jej nie przymierzysz? - zapytał.

Przyjrzała się mężowi. Nie układało się pomiędzy nimi najlepiej, odkąd uwodził ją w kariołce. Nie kłócili się; raczej krążyli wokół siebie jak dwa czujne psy. Zobaczyła, że minął mu zły humor, więc sama się doń uśmiechnęła.

- Czemu nie? - odparła i pozwoliła madame zaprowadzić się do przymierzalni.

Kiedy wróciła, Marcus siedział w głębi salonu na wyściełanym fotelu ze złoceniami. Sama była oszołomiona zmianą swego wyglądu i miała nadzieję, że mąż obdarzy ją jakimś komplementem. Madame za jej plecami klasnęła w dłonie, wyrażając aprobatę.

- Nie stój tak, Cat, podejdź do mnie - powiedział Wrotham.
- Zobaczymy, jak się ruszasz.

Nigdy wcześniej nie nosiła sukni z trenem. Choć nie było to wygodne, radziła sobie całkiem nieźle, drobiąc małymi kroczkami. Uniosła brwi, widząc, że Marcus zakrywa usta dłonią.

- Madame, czy byłaby pani uprzejma zostawić nas samych na chwilę? Muszę coś powiedzieć żonie - odezwał się.

- O co chodzi? - spytała Catherine, kiedy za krawcową zamknęły się drzwi.

- Cat, masz uchodzić za Hiszpankę, a wyglądasz jak przerażona angielska panna wiedziona na stracenie. - Nie potrafił ukryć rozbawienia. - Jesteś Cataliną, Hiszpańską dziewczyną, która stąpa z kocią gracją. One robią to rozmyślnie, aby przyciągnąć uwagę mężczyzn. Cataliną była w tym najlepsza.

- Nie wiem, czy dobrze cię rozumiem. Może mógłbyś mi to zademonstrować? - Uśmiechnęła się pod nosem.

- Ach, nie, nigdy nie oddam tego właściwie. To potrafią jedynie kobiety. Moje biodra się do tego nie nadają. - Spojrzał na żonę złośliwie.

- A co mają do tego biodra?

- Hiszpanki, idąc, kołyszają nimi. Spróbuj, Cat.

Cataliną nigdy nie kołysała biodrami, nosiła spódnicę zastępującą spodnie.

Catherine zakasała tren i przemaszerowała przez pokój tak, jak zrobiłaby to prawdziwa Cataliną.

Marcus pokręcił głową.

- Jakoś niezręcznie. Spróbuj jeszcze raz.

Zaciskając zęby, zaczęła kręcić pupą w sposób podpatrzony u Juanity, prostytutki, która pewnego razu, kiedy ścigali ich Francuzi, udzieliła jej i El Grandę schronienia.

- Nieżle - pochwalił Marcus. - Szkoda tylko, że jesteś taka szczupła. Catalina miała znacznie bujniejsze kształty.

- Kształty Cataliny... - W samą porę ugryzła się w język. Najwyraźniej był z siebie wielce zadowolony.

- Potrafiła tak spojrzeć na mężczyznę, że ten padał na miejscu trupem - kontynuował.

Ledwie panowała nad sobą.

- Marcus, spotykałam hiszpańskie dziewczęta. One są nieśmiałe. To wszystko.

Spojrzał na nią ze zdumieniem.

- Cat, one nie są nieśmiałe, masz na to moje słowo.

- Musiałeś poznać Juanitę.

- Kogo?

W odpowiedzi zaczęła krążyć wokół niego, kręcąc biodrami i trzepocząc rzęsami. Marcus przyglądał się temu z namysłem.

- To coś więcej niż tylko sposób poruszania się. Catalina emanowała...

- Czym?

Wzruszył ramionami.

- Cokolwiek to było, nie da się tego nauczyć. Nie martw się, Cat, będziesz doskonała.

Wiedziała, że poddaje ją próbie, lecz nie ukrywała rozczarowania. Mógł przecież powiedzieć coś miłego na temat jej wyglądu.

Z zadartą wysoko głową wymaszerowała do przymierzalni, wołając madame.

Od drzwi powiało chłodem. Catherine obróciła się w tamtą stronę, aby zobaczyć, kto przyszedł. W progu stała piękna młoda kobieta w modnej niebieskiej pelisie.

Nadbiegła madame Demeurs. Spoglądała na przybyłą z nieukrywaną konsternacją.

- Pani Bryce - odezwała się słabym głosem.

- Julio - powitał ją Marcus. - Co za diabeł cię tu przygnał?

Kobieta wybuchnęła perlistym śmiechem i pospieszyła do Lyttona. Słyszała coś niecoś o jego oblubienicy i te wieści na nowo obudziły w niej nadzieję.

Jej przyjaciółka, Harriet Harding, widziała, jak Wrothamowie przyjechali do miasta. Utrzymywała, że młoda Hiszpanka jest równie podniecająca jak słodkie zsiadłe mleko. Earl weźmie sobie nową kochankę - to tylko kwestia czasu. Julia postanowiła nie ustępować bez walki. Nie widziała Catherine przyglądającej się jej z przy mierzalni.

- Ach, Marcus! - wykrzyknęła z zachwytem. - Jak mam ci dziękować? I oczywiście madame także. To najpiękniejszy strój, jaki kiedykolwiek miałam.

Wykonała piruet, po czym rzuciła się w ramiona Lyttona i pocałowała go w usta.

Catherine patrzyła to na jedno, to na drugie. Choć inicjatywa należała do kobiety, Marcus nie stawiał wielkiego oporu. Prawdę powiedziawszy, nie stawiał go wcale.

Madame załamywała ręce, że pani Bryce przyszła nie zapowiedziana.

- Co za niespodzianka - powiedział Wrotham, uwalniając się z objęć Julii.

Szybkie spojrzenie za siebie upewniło go, że Catherine wszystko widziała i doskonale wie, o co chodzi. Z ogłupiałym wyrazem twarzy podszedł do żony i powiedział:

- Poczekaj. Zaraz wracam.

Zmierzyła go lodowatym wzrokiem.

Klnąc pod nosem, wrócił do Julii, podał jej ramię i wyprowadził z zakładu.

12

Marcus powiedział swojemu woźnicy, że zaraz wraca, i poprowadził Julie Baker Street. Zatrzymał fiakra.

- Skąd wiedziałaś, gdzie mnie znaleźć? - zapytał.

Opierała się, kiedy usiłował wsadzić ją do pojazdu.

- Widziałam cię z okna domu Harriet Harding. O co chodzi, Marcus, dokąd mnie zabierasz?

- Muszę ci coś powiedzieć na osobności, najlepiej w dorożce.

Czuła, że zostanie odrzucona. Nie chciała powtórnie do tego dopuścić, zwłaszcza po tym, co usłyszała o jego żonie. Marcus był wymagającym, porywczym kochankiem. Gdyby żona знаła go od tej strony, uciekłyby do domu, płacząc za swoją przyzwoitką.

- Nie usiłuj mi wmówić, że mnie nie pragniesz, bo w to nie uwierzę. Kiedy cię pocałowałem, stwardniałaś jak skała - odezwała się, kiedy tylko ruszyli.

Obrazowe sformułowanie sprawiło, że zawrzała w nim krew i stało się dokładnie to, o czym przed chwilą mówiła. Uśmiechnęła się łagodnie, wyrozumiale, położyła dłoń na jego udzie.

- Pamiętasz, Marcus, co się zdarzyło, kiedy ostatnio jechaliśmy powozem? Podwoziłeś mnie na bankiet. - Widząc żar w jego oczach, potrząsnęła głową. - Nie dostaniesz od innych tego, co ja ci mogę dać. A już na pewno nie od potulnej zoneczki. Przyznaj, że ona się nawet do mnie nie umywa.

Blask w jego oczach przygasł, spojrział na nią chłodno i naprawdę poczuł odrazę. Była całkowicie inna niż Cat. Wiedziała, jak usidlić mężczyznę, lecz każdym jej uśmiechem i gestem rządziło wyrachowanie. Prawdopodobnie namiętność też była udawana. Znał to z własnego doświadczenia; nie był lepszy od Julii.

Zaklął i strącił jej rękę z uda.

- Z nikim nie dyskutuję o mojej żonie. Powiem tylko jedno: Catalina nigdy mi się nie znudzi.

Kiedy wreszcie dotarł do niej sens tego, co usłyszała, wściekłość wykrzywiła jej twarz.

- Chciałeś mnie uczynić swoją kochanką! Chciałeś, żebym żyła na wysokiej stopie!

I to bolało ją najbardziej. Zdażyła już stać się obiektem zazdrości wszystkich znajomych. Wybrała modną rezydencję w Kingsbridge, spędzała godziny nad gablotami u Rundella i Bridge'a, wybierając kosztowne błyskotki.

- Ach, nie. Nie mówiłem, że chcę, byś została moją kochanką. Chodziło mi jedynie o *affaire* i dobrze o tym wiesz.

- Przez ciebie straciłam Leinstera - wyrzucała mu.

- A ja hojnie wynagrodziłem ci stratę. Pieniądze... Tylko na nich ci zależy, czyż nie tak? Skąpstwo nie leży w moim charakterze. Powiedz mi, ile jestem ci winien, to zastanowimy się nad uregulowaniem naszych rachunków.

- Jest jeszcze ktoś inny. Przyznaj, że mam rację. - W jej oczach można było wyczytać twarde wyrachowanie.

- Julio, jestem żonaty.

- Nigdy przedtem nie myślałeś o żonie. - Kiedy wzruszył ramionami, dodała mściwie: - Nie wyobrażaj^o sobie, że po tym wszystkim przyjdiesz jeszcze do mnie na klęczkach. Nie chcę cię więcej widzieć.

- Wyjęłaś mi te słowa z ust.

Podniosła się i szarpnęła sznurek sygnalizacyjny, dając znak do zatrzymania powozu. Marcus otwierał usta, pragnąc rozładować tę paskudną sytuację, kiedy otrzymał tak siarczysty

policzek, że zęby mu zadzwoniły. Julia wysiadła, nim zdążył ją zatrzymać.

Już prawie się podnosił, aby ją gonić, lecz uświadomił sobie, że są na Oxford Street. To bardzo ruchliwa ulica i Julia może się tam czuć całkowicie bezpieczna. Poza tym z rozciętej wargi leciała mu krew, którą usiłował zatamować za pomocą chusteczki. Mógłby wpaść w furję, gdyby to wszystko nie było tak absurdalne. Mieli *affaire* i to wszystko; *affaire*, którą zakończył wkrótce po poznaniu Catherine. Do tej pory sądził, że rozstali się po przyjacielsku. Co za diabeł wstąpił teraz w tę kobietę? Potrząsnął głową, konstatuując, że zrozumienie procesów myślowych niewiasty jest poza zasięgiem przeciętnego mężczyzny.

Julia przeszła przez ulicę i zatrzymała fiakra. Kiedy wsiadła, polecił woźnicy wieźć się z powrotem na Portland Square. Wtedy zobaczył postać, która wydała mu się uderzająco znajoma. Po drugiej stronie ulicy stał młody człowiek i patrzył na Marcusa tak, jakby również nie mógł go dokładnie skojarzyć.

Rozpoznali się w tym samym momencie. El Grandę zmierzył Marcusa zimnym, ostrym wzrokiem, odwrócił się i zniknął w alei. Lytton wyskoczył z pojazdu, krzyknął do woźnicy, żeby czekał, i przebiegł ulicę, lawirując między powozami i jeźdźcami.

Pędził aleją jak sprinter, którym był za czasów oksfordzkich. Wypadł na Soho Square. Kręciło się tam mnóstwo ludzi, lecz nie zauważył poszukiwanego. Puścił się wzdłuż Fritii Street, lecz prędko uznał, że to bezcelowe. Skręcił w prawo, dotarł do Oxford Street i z ulgą się przekonał, że woźnica wciąż czeka.

- Jedź Charing Cross Road, potem na Piccadilly - zakomenderował. - Pospiesz się.

Przeklinał samego siebie, że nie zabrał jednego ze stangretów. Dwóch myśliwych lepiej sobie radzi niż jeden.

Stał się ostatnio bardzo nieostrożny. Zbyt dużo uwagi poświęcał Catherine, zamiast pamiętać, dlaczego ta odgrywa rolę jego żony.

Ta trzeźwa refleksja sprawiła, że wy dobył z kieszeni pistolet i zaczął się nim bawić.

Kiedy lokaj zaanonsował, że pan Robert Cordes czeka na lole, Amy nie była zbyt zachwycona. Ten ksiądz, czy kimkolwiek on był, już trzeci raz w ciągu miesiąca chciał się z nią zobaczyć. Za każdym razem słyszał, że Amy nie ma w domu, nimo to ją nachodził. Postanowiła ostatecznie położyć temu cres.

- Wprowadź go - poleciła służącemu.

Jej towarzyszka, panna Collyer, w muślinowym czepeczku na głowie, siedziała opodal, robiąc na drutach. Zaczynała się niepokoić. Amy pewnie by się roześmiała, gdyby nie była tak zdenerwowana. Panna Collyer za każdym razem przyglądała się z okna na piętrze, jak odprawiano pana Cordesa, i głupie wykrety, którymi go raczono, sprawiły, że poczuła do niego sympatię.

- Panno Collyer. czy mogłaby pani zaczekać w saloniku?

- poprosiła Amy.

- Czy podać herbatę i ciasto?

- Ach, nie, pan Cordes nie zabawi długo.

- Nie?

Amy uśmiechnęła się. Tak wielkie rozczarowanie wyrażone ednym słowem.

- Panno Collyer, on jest księdzem czy też mnichem. Nie wiem dokładnie, na czym polega różnica, lecz nie może pani sobie nic obiecywać. Nie chodzi tylko p to; on jest na tyle młody, że mógłby być... no cóż, jest o wiele młodszy od pani czy ode mnie.

- Ten przystojny młody człowiek jest księdzem?

- Tak zrozumiałam.

- Cóż za strata!

- Rzeczywiście. Zawołam panią, jeśli będę czegoś potrzebowała.

Zaufana pokojówka wyszła i w chwilę później zaanonsowano pana Cordesa. Amy przywitała się z nim chłodno, poprosiła, by usiadł.

- Wypije pan ze mną kieliszek sherry. A może madery?

- Madery - zadysponował. - Czemu jest pani taka zdziwiona?
Podeszła do kredensu, napełniła winem dwa kieliszki.

- Miałam bardzo religijną ciotkę. Zawsze mówiła, że trunki są diabelskim wynalazkiem. Nie sądziłam, że księża pijają coś mocniejszego od kawy czy herbaty.

Przyjął podany mu kieliszek.

- Mówiłem już, że ma pani bardzo dziwne wyobrażenie o księżach. Powiedziałem też, że nie jestem księdzem ani zakonnikiem i że nigdy nie zostanę żadnym z nich. - Upił madery. - Kiedy opuściłem opactwo, wiodłem zupełnie inne życie. Kiedyś pani o tym opowiem.

To już stawało się nazbyt poufale jak na gust Amy, więc przerwała mu gwałtownie:

- To wszystko bardzo interesujące, ale czemu zawdzięczam pańską wizytę?

- Mam dla pani list od Catherine. - Podał go Amy, a ta złamała pieczęć.

- Czemu przesyła go przez pana?

- Obawiała się, że jeśli skorzysta z poczty, odeśle pani list nie otwarty.

Nie odpowiedziała, lecz usiadła i szybko przebiegła wzrokiem dwie stroniczki, które jej przyniósł. Potem przeczytała uważnie. Patrząc na posłańca, odezwała się:

- Pisze, że wyjechała do Francji z jakąś wdową. Wiedział pan o tym?

- Tak, wiedziałem.

- Cóż, to przynajmniej utrzyma ją z dala od Wrothama przez miesiąc czy dwa. Choć właściwie nie wiem, czemu jestem taka niespokojna. Jego żona przyjechała z Hiszpanii, więc on też będzie zajęty.

- A pani nie jest przywiązana do lorda Wrothama?

Coś przykuło uwagę Amy w tonie tego pytania. Patrząc na Roberta z ukosa, odpowiedziała:

- Marcus, to znaczy lord Wrotham, był moim dobrym przyjacielem, bardzo bliskim. Lecz to nie oznacza, że chcę, aby

moją siostrą straciła dla niego głowę. Dziewczyna taka jak Catherine... powinna wyjść za męża i założyć rodzinę. Marcus nie jest już wolny i w tym rzecz.

Spojrzał na nią dziwnie.

- Amy, pani potrzebuje kogoś, kto się panią zaopiekuje.

- A więc o to chodzi! Catherine przysłała pana, żeby ocalił moją duszę.

- Dobrze pani wie, że to nieprawda.

- W takim razie przysłała pana na przeszpiegi.

Zerwała się gwałtownie, podeszła do kredensu i pokazała mu tacę, na której leżał tuzin weksli - wszystkie wystawione na nazwisko pani Amy Spencer.

- To powinno ucieszyć Cat - odezwała się. - Ona myśli, że jestem dziwką. Cóż, oczywiście jestem nią, a te papiery tego dowodzą. Teraz przyszło mi do głowy, że Catherine uważa, iż prowadzę tu burdel. Czemu nie rozejrzy się pan po domu, aby móc jej powiedzieć, że się nie myliła?

- Skąd ma pani te kwity? - zapytał jedynie.

Spoglądał na nią w taki sposób, jakby chciał ją nakłonić do wyjawienia najmroczniejszych sekretów. Czowała ciężar tego spojrzenia. Chciała powiedzieć coś nonszalanckiego, lecz nic takiego nie przychodziło jej do głowy.

- Wydaję przyjęcia - odezwała się w końcu - a dżentelmeni płacą za przywilej bycia moimi gośćmi.

- Przyjęcia, na których mężczyźni spotykają się z kobietami?

- Przyjęcia, na których poznają moje przyjaciółki. Nie odpowiadam za to, co dzieje się później.

- Doprawdy?

Nagana w jego głosie sprawiła, że oblał ją rumieniec.

- Mówi pan zupełnie jak moja ciotka Bea. Ona zawsze odbierała innym radość.

- To naprawdę dostarcza pani radości? - spytał z niedowierzaniem. Zatoczył szeroki gest, obejmujący znacznie więcej niż tylko pokój, w którym się znajdowali.

Raptem łzy napłynęły jej do gardła. Zezłościła się, bo już od

lat nie doznawała tego uczucia. Chciała odprawić go tak samo jak Cat, mówiąc o wytwornych strojach i biżuterii, o zabezpieczeniu finansowym. Nie mogła jednak wymówić ani słowa.

- Nie jestem taki jak pani ciotka Bea. Ona nie wiedziała, jak żyć. Ma pani rację, odbierała innym radość. Nie powinno się obarczać jej odpowiedzialnością za dwie młode dziewczyny. Ale to już przeszłość. Jest pani dojrzałą kobietą, może pani sama decydować o swoim życiu.

- Tak jak Cat, to ma pan na myśli?

- Owszem, tak jak Catherine. Czemu nie?

- Pana i Cat łączy, widać, wielka zażyłość. Nie potrzeba mi pańskiej litości, Robercie Cordes. Niczego od pana nie chcę. A teraz, jeśli pan wybaczy, jestem trochę zajęta.

- Nie odchodź, Amy. Proszę, czy nie możesz ze mną porozmawiać?

Chciała wybiec z pokoju i sama nie wiedziała, co ją zatrzymało.

- Porozmawiać? A o czym mielibyśmy rozmawiać?

Bezradnie wzruszył ramionami.

- O niczym. A może o wszystkim. Nie znam Londynu zbyt dobrze. Pomyślałem, że mogłaby mnie pani oprowadzić. Może w następnym tygodniu? W najbliższym czasie mam rekolekcje: będę umacniał ducha za pomocą ćwiczeń zaleconych mi przez duchowego przewodnika.

„Ćwiczenia ducha? Duchowy przewodnik?” Te słowa ją przerażały. Potrząsnęła głową.

- Czemu to ma służyć?

Obrzucił ją jednym z tych swoich spojrzeń, które sprawiały, że czuła się wewnętrznie obnażona, straszliwie, straszliwie winna. Potem uśmiechnął się i to przywróciło jej równowagę.

- Czy sądzisz, że Bóg ma poczucie humoru? - spytał.

Popatrzyła na niego pustym wzrokiem. Robert wstał i znalazł się z nią twarzą w twarz.

- Myślałem, że nie zaznam już radości. A jednak - wszedłem do pokoju, a tam byłaś ty. Wiesz, modliłem się o jakiś znak, że

Bóg naprawdę istnieje. Moje modły zostały wysłuchane. Straciłem wiarę, a On mi ją przywrócił. Nie, nie bądź taka przestraszona. Nadażasz za mną? Przepraszam, nie wiem, jak należy zalecać się do kobiety. Musisz mnie tego nauczyć, Amy.

- Nie jestem przestraszona. Jestem przerażona. Wiesz, czym się zajmuję. Poza tym mam już swoje lata. Nie pasujemy do siebie. Między nami nic nie może się zdarzyć. Daj mi spokój, Robercie Cordes. Poszukaj kogoś w swoim wieku, kogoś takiego jak Cat.

Tłumiąc szloch, odwróciła się na pięcie i wybiegła z pokoju.

Kilka minut później El Grandę wyszedł z domu. Zaskoczył lokaja, bo skorzystał z tylnych drzwi. Rozejrzył się szybko po zabudowaniach gospodarczych, zanim wyszedł na zewnątrz. Od czasu do czasu zatrzymywał się, sprawdzał, czy nikt za nim nie idzie.

Na chwilę wywietrzały mu z głowy myśli o Amy, skoncentrował się na Cat i jej zadaniu.

Zaniechał ostrożności. Nigdy by się nie spodziewał, że nadzieje się na Wrothama. Carruthers powiedział, że earl i Catherine udają się do Warwickshire. Coś musiało opóźnić ich wyjazd. Następnym razem, nim przyjedzie do Londynu, upewni się, gdzie oni są naprawdę.

Dotarł do Charing Cross, zatrzymał fiakra. Nie dostrzegł śladu pościgu. Rozparł się wygodnie na siedzeniu i pogрузzył w rozmyślaniach o Amy.

13

Marcus wrócił do domu rozzłoszczony. Nie dość, że El Grandę mu się wymknął, to jeszcze Catherine nie zaczekała na niego u krawcowej. Dla jej własnego bezpieczeństwa powinien zawsze wiedzieć, co ona porabia. Doskonale zdawała sobie z tego sprawę.

Wszedł od frontu i usłyszał śmiech Cat, dobiegający z salonu na piętrze. Poczuł ulgę, lecz po chwili gniew powrócił.

Pokonując po dwa stopnie naraz, usłyszał męski głos odpowiadający na jakąś kwestię Catherine. Jeszcze jedna zasada została złamana - nie powinna przyjmować gości pod jego nieobecność.

Wszedł do salonu i zastał żonę w towarzystwie Tristrama i kuzyna Davida. Wszyscy troje dzierżyli w dłoniach kryształowe kielichy. Rzut oka na odkorkowaną karafkę stojącą na stoliku upewnił go, że towarzystwo raczy się jego doskonałą sherry. Nikt nie zauważył wejścia Marcusa. Tristram nie odzywał się; z głupią miną pożerał wzrokiem Catherine, która pochłonięta była flirtem z Davidem.

- Irlandia musi być fascynująca - odezwała się z ledwo zauważalnym hiszpańskim akcentem. - Nie mieści mi się w głowie, że Marcus nigdy tam nie był. Oczywiście spróbuję go przekonać, by przyjął to uroczne zaproszenie. Może jeszcze trochę ciasta?

David odmówił, lecz Tristram skinął głową, więc Cat podniosła się i podeszła do stolika przy ścianie. Marcus nie mógł oderwać od niej oczu. Nie tyle szła, co wirowała, kręciła biodrami jak ulicznica. Spojrzał na brata i kuzyna. Oni też wpatrywali się w dolną część ciała jego żony.

- Marcus! - wykrzyknęła Catherine i wszystkie głowy zwróciły się ku przybyszowi.

Lytton przywitał się serdecznie z kuzynami, lecz Catherine obdarzył wymownym spojrzeniem. Zignorowała to. Zatrzepotała rękami, podając Tristramowi talerzyk z ciastem. David sprawiał wrażenie zakłopotanego; widać, rozumiał co nieco z tego, co rozgrywało się pomiędzy mężem a żoną.

- David zaprosił nas właśnie do Irlandii. Czy to nie urocze z jego strony? - odezwała się Catherine.

- Obawiam się, że teraz to niemożliwe. Zbyt wiele jest do załatwienia we Wrotham - odparł oschle Marcus.

- W takim razie - Catherine zwróciła się do Davida - to ty musisz odwiedzić nas.

- Oczywiście, nie omieszkam - odpowiedział, uśmiechając się do gospodyni. - Trzymam Marcusa za słowo. Obiecał, że z nim ubiję lepszy interes niż z Pennem.

- Marcus nigdy nie cofa danego słowa - wtrącił się Tristram.

Lytton nalewał sobie sherry. Odkrycie, że w karafce zostało ledwie pół kieliszka, nie poprawiło mu humoru. Spojrzał na brata.

- Czy przypadkiem, kiedy rozmawialiśmy ostatnio, nie ustaliliśmy, że skoncentrujesz się na studiach, tak byś w połowie roku mógł wrócić na uniwersytet?

- No tak, muszę to zrobić. I dopnę tego.

- W takim razie co tu porabiasz?

- Składałam hołd Catalinie.

- Marcus, jak możesz być taki surowy! - wpadła im w słowo Catherine i uśmiechnęła się promiennie do Tristrama. - Kto by się przejmował greką i łaciną, kiedy na dworze jest tak pięknie?

- To są sprawy rodzinne, Cat. - Marcus zgrzytnął zębami.

- Radzę ci się nie wtrącać.

Wyraz rozbawienia znikł z twarzy Davida. Tristram spojrział na brata z naganą. Catherine była wściekła na męża.

Żałując, że dał się ponieść emocjom, Marcus zaproponował:

- Czemu nie mielibyśmy pojechać razem do Wrotham jutro albo pojutrze? Tristram ma rację, ja zawsze dotrzymuję obietnic. Z przyjemnością pokażę ci moją stadninę.

Mimo wysiłków gospodarza, który chciał ratować sytuację, rozmowa się nie kleiła. David i Tristram prędko zebrali się do wyjścia. Marcus ponowił zaproszenie i ustalono, że wszyscy wyruszą do posiadłości następnego ranka.

Po wyjściu gości zapadła długa cisza. Wreszcie odezwał się Wrotham:

- Czy przyszło ci do głowy, jak się czułem, wróciwszy do krawcowej tylko po to, aby się dowiedzieć, że gdzieś sobie poszłaś?

- Ach! Mogłeś o tym pomyśleć, kiedy wyprowadzałeś stamtąd tę kobietę. Nie jestem jakimś pakunkiem, który możesz porzucać i odbierać, gdy przyjdzie ci na to ochota.

- Zostawiłem cię w miejscu, gdzie byłaś bezpieczna. Kazałem cię pilnować lokajowi i stangretowi.

- Pilnować przed czym?

- Przed El Grandę. I faktycznie widziałem go z okna powozu. Ścigałem go, lecz uciekł.

Napięcie paraliżujące jej umysł zelzało.

- Widziałeś El Grandę i zgubiłeś go? Kiedy? Gdzie?

Marcus opowiedział żonie, jak to było.

- Widzisz więc - zakończył - jakie niebezpieczeństwo ci groziło. Chciałbym się też dowiedzieć - dodał ostrzejszym tonem - czemu przyjmujesz gości wbrew moim wyraźnym zakazom.

- Davida i Tristrama trudno nazwać gośćmi. To rodzina. Jak miałam się ich pozbyć?

To stwierdzenie jeszcze bardziej go rozwścieczyło.

- A czy musisz się prowadzić jak labirynda z Haymarket?

- spytał.

- Możesz wyjaśnić tę uwagę? - Zmusiła się do uśmiechu
- Trzepoczesz rzęsami, kręcisz tyłkiem, bałamucisz biednego Tristrama. Widać wyraźnie, że się w tobie zadurzył. Sprawia ci to przyjemność? Bo mnie nie. Zrobiłaś z siebie widowisko. Nie spodziewałem się, że moja żona zachowa się jak kobieta rozwiązała.

- Robię tylko to, co mi kazałeś! Mówiłeś, że mam się wczuć w rolę *incomparable* Cataliny. Źle wywiązuję się z tego zadania? Zacisnął pięści.

- To była tylko taka gra, drażniłem się z tobą - odpowiedział.

- Wcale mnie to nie bawi. - Przyglądała się uważnie swoim paznokciom. - Myślałam, że to David jest mną zainteresowany. Powiadasz, że Tristram też?

Tego było już za wiele. Podeszedł do żony z zamiarem wiania jej oleju do głowy. Zdziwił się jednak, tak jak i ona, kiedy zamiast tego zarufiała ją w mocnym *uścisku i zacza/* fapczywie całować w usta.

Nie broniła się, nie walczyła. Postanowiła okazać mu całkowite lekceważenie, stosując bierny opór. A mogła to zrobić zawsze, bo wiedziała, że nie odczuwa tej samej przyjemności co on.

Marcus szybko się połapał, że Catherine się nie broni, i rozluźnił uścisk. Jego wargi teraz smakowały, drażniły; wędrowały po powiekach, gardle, policzkach, by w końcu powrócić do ust. Otworzyła je ponaglana pieśczołą. Wsunął tam język. Pocałunek. Delikatny. Wilgotny. Powściągliwy. Całował, a mała sekutnica miękła w jego ramionach.

Odsunął Catherine na odległość wyciągniętych rąk, żeby lepiej się jej przyjrzeć.

- Cat, powiedz mi, co czujesz - zapytał niskim^ ochryłym głosem.

Zmieszanie. Otepienie. Przerażenie. Te ręce, takie zręczne, wędrujące od jej talii do biustu. Tak powoli, że stawało się to torturą. Utrudniało oddychanie. Skóra robiła się tak wrażliwa, że Catherine uwierał dotyk odzieży.

Szarpnęła się nerwowo w jego uścisku.

- Jestem... oszołomiona - szepnęła i przywarła mocniej do męża. Pokój zaczął wirować. - Co...?

Marcus podniósł żonę i posadził na sofie stojącej przed kominkiem. Usadowił się obok, mocno ją przytrzymując; na nic zdały się mizerne próby oswobodzenia.

- Poczuj, co robisz ze mną - powiedział i wpatrując się w nią, zaczął rozpinąć guziki koszuli. Położył dłoń dziewczyny na swojej piersi.

Poczuła uderzenia jego serca. Ciepłe męskie ciało przeżyło się pod palcami. Jej puls gwałtownie przyspieszył. Zaczynała drżeć, sama go pożądała.

Potrząsnęła głową.

- Nie powinnam tego robić. Nie powinieneś mi na to pozwolić. - Westchnęła, kiedy ręce Marcusa dotknęły jej biustu.

- Wszystko w porządku - uspokajał dziewczynę. - Po prostu chcę cię całować, przytulać, dotykać. Sprawia ci przyjemność to, co robię?

Miała wrażenie, że jej szyja zwiotczała. Oparła głowę na ramieniu męża.

- Nie. Tak. Sama nie wiem. Nie mogę myśleć, kiedy dotykasz mnie w ten sposób.

Westchnęła, gdy zaczął całować jej piersi poprzez cienki materiał sukni. Znow zajął się guzikami przy staniku; chciała go powstrzymać, lecz stłumił protest kolejnym pocałunkiem. Zaczynała mu ulegać. Marcus zdawał sobie sprawę, że dziewczyna poddaje się naporowi jego ciała. Krew zaczęła szybciej krążyć mu w żyłach.

Nie mogąc się już opanować, przygniótł ją do poduszek, sam położył się obok. Jego ręce wędrowały po ciele żony; powoli, z rozmysłem pieściły jędrne biodra i giętką kibić. Pocierały kciukami jej sutki. Szarpnęła się, lecz on nie ustawał.

Załkała, gdy uniósł brzeg spódnicy i zaczął pieścić wewnętrzną stronę ud.

- Spokojnie - napominał. - Spokojnie.

Odczekał chwilę, by mogła się oswoić z jego dotykiem, po czym rozsunął jej kolana. Nie wykonała żadnego gestu, aby go powstrzymać. Zaciśnął zęby, tracąc nad sobą panowanie. Odnalazł drogę w głąb jej ciała, wsunął tam palce. Oddech miała płytki, świszczący: była gotowa na jego przyjęcie, a on dostatecznie podniecony, by skorzystać z zaproszenia.

Catherine nie mogła być spokojna po tym, co się jej przytrafiło. Wszystkimi zmysłami odczuwała na sobie wargi męża, dotyk jego dłoni. Chciała... Sama dobrze nie wiedziała, czego chce.

- Marcus, ach, Marcus - błagała go.

- W porządku - odpowiedział, nie bardzo zdając sobie sprawę z tego, co mówi. - Zadbam o wszystko, nawet jeśli Catalina nigdy nie zgodzi się na rozwód.

- Co mówisz? - Głos ledwo się wydobył z jej ściśniętego gardła.

- Będę o ciebie dbał, cokolwiek się przydarzy.

Catherine raptem pozbierała rozbiegane myśli. Co on sugeruje? Czy dobrze rozumiała jego słowa?

- Jak chcesz o mnie zadbać?

- Ulokuję cię w jakimś małym domu.

- Jako swoją kochankę?

- To dla nas jedyne wyjście.

Walnęła go na odlew. Nie zdążył się nawet zastępnąć. Po raz drugi tego popołudnia zadzwoniły mu zęby. Na chwilę oboje znieruchomieli zszokowani. Potem Catherine, łkając spazmatycznie, wyrwała się z uścisku i skoczyła na równe nogi. Nie tracąc czasu na zapinanie sukni, wygładziła odzież. Odwróciła się ku Marcusowi. Z wypiętą piersią i rękami na biodrach przyglądała mu się z góry. Mężczyzna jęczał, mając nadzieję, że zdoła rozewrzeć usta; masował obolałą szczękę. Wreszcie spojrzął na żonę.

- Za co, do diabła? - zdołał wymamrotać.

Oczy dziewczyny miały gromy. Nie mogła uwierzyć, że znów była o włos od katastrofy. Jej ciało się skręcało, płonęło, tęskniło do tego mężczyzny. Mimo że wiedziała, kim on jest.

„Kochanka”. To jedno słowo spowodowało otrzeźwienie. Poślubił Catalinę - lub przynajmniej tak myślał - lecz to nie powstrzymało go od napastowania innych kobiet. Uprzytomniła sobie, że była dla niego jedynie potencjalną kochanką.

- No więc? - dopytywał się Marcus.

- Nie zadaję się z żonatymi mężczyznami.

- Do diabła, Cat! Wcale się za takiego nie uważam. Nie widziałem żony od trzech lat.

- To nie ma znaczenia! Jestem przyzwoitą kobietą. Jeśli mnie uwiedziesz, żaden mężczyzna mnie nie zechce.

- Ja cię zechcę. - Jego twarz wyrażała upór.

- Doprawdy? - Nozdrza jej drżały. - Tak jak zechciałeś Julię Bryce?

- Nie, do cholery! Ona nie ma tej klasy co ty. Nie myślę o tobie w ten sposób.

- A czy ona nie była też kiedyś cnotliwą dziewczyną?
- spytała zimno.

- Sama wybrała sobie styl życia i niedoczekanie, jeśli pozwolę ci obwiniać mnie o jej grzechy. Kobiety takie jak Julia sprzedają swoje wdzięki za pieniądze. Jesteś zbyt niedoświadczona, Cat, żeby to zrozumieć.

Kiedy się podniósł, szarpnęła się w tył.

- Cat...

- Nie!

Gdyby jej teraz dotknął, rzuciłaby się na niego z pięściami. Zbierało jej się na płacz: nie nad sobą, lecz nad biedną Amy. Więc to tak uwiódł jej siostrę - nie miała żadnej szansy. Sama myśl o Marcusie i Amy w takiej sytuacji sprawiała, że Catherine kuliła się ze strachu. Szkoda, że nie przyszło jej to do głowy, zanim pozwoliła się pocałować.

- Natychmiast decyduj - rzekła - czy będziemy dalej ciągnąć naszą komedię. Nie zamierzam odgrywać roli Cataliny, dopóki nie przysięgniesz, że nie będziesz więcej próbował mnie uwieść. Mówię poważnie.

- Uważasz to za uwiedzenie? Jeśli tak, to chciałbym wiedzieć,

kto kogo uwodził. - Przeczesał palcami włosy. - Byłaś tak samo rozpalona jak ja.

Zignorowała złośliwą uwagę.

- To jeszcze nie wszystko.

- Tak? - Spojrzał na nią uważnie.

- Mam uchodzić za twoją żonę. Powiedziałaś, że mamy udawać kochającą się parę.

- No tak, i co z tego?

- Ano to, że nie chcę być upokarzana przez męża, który ugania się za innymi kobietami. Nie życzę sobie, żeby się ze mnie wyśmiewano lub litowano nade mną, nawet jeśli odgrywam tylko czyjaś rolę.

- Rozumiem - powiedział. - Nie mogę mieć ciebie i nie mogę mieć żadnej innej kobiety.

- Właśnie.

- Życzysz więc sobie, abym żył jak mnich? Jak długo ma to trwać?

- A jak długo mam udawać twoją żonę?

Nie padło już ani jedno słowo, lecz dziewczyna zorientowała się, że dotarło do niego to, co powiedziała. Wyszła z pokoju.

Marcus powoził z brawurą, nie zważając na zacinający deszcz i gęstniejący zmrok. Obok stangret James usiłował osłonić się przemoczoną opończą. Pewnie uważał, że jego pan wytrąbił butelkę brandy po sprzeczce z żoną. Służącym nic innego nie przychodziło do głowy. Mieli rację, że żaden trzeźwy džentelmen nie jeździłby w taką głuchą noc jedynie dla przyjemności. Lecz nigdy nie wpadliby na to, że za tą szaleńczą jazdą do Hampstead kryła się też rozterka, że ów pęd pomaga zapomnieć o nie zaspokojonych pragnieniach. Tylko zmaganie się z żywiołami mogło przynieść ukojenie.

„Catherine”. Nie chciało mu się wierzyć, że tak bardzo pomylił się w jej ocenie. Myślał, że za fasadą damy kryje się dziewczyna odważna i śmiała. Sądził, że ma w sobie ducha

przygody. No bo kto inny zgodziłby się pomagać mu w zastawianiu pułapki na żonę i El Grandę? Nie wiedział, co o niej myśleć. Jedno tylko było jasne: pragnęła go tak samo jak on jej. Przekłeta kobieta! Co sprawiało, że tak go pociągała?

Próbował przypomnieć sobie twarz Cataliny, lecz bez powodzenia. Prawdziwa żona coraz bardziej stawała się jedynie cieniem. To przez Catherine. Ilekroć chciał pomyśleć o Catalinie, widział twarz Cat, jej ruchy, gesty, spojrzenia. O żonie zapominał.

Trzasnął z bata i zaprzęg kasztanów pognał w dół. James zamknął oczy, przygotowując się na spotkanie ze Stwórcą.

Scandalous

14

Stanęli na nocleg „Pod Sokołem” w Stratford-upon-Avon, dwanaście mil od Wrotham. Następnego ranka, kiedy już mieli wyruszać, Tristram i David postanowili, że dalej pojadą wierzchem, by wypróbować konie. Tak powiedzieli, w rzeczywistości jednak mieli dość przebywania pod jednym dachem z parą, która ledwie się do siebie odzywała.

Catherine żałowała, że odjechali. Siedziała teraz w powozie sam na sam z Marcusem. Długie przerwy w rozmowie stały się jeszcze bardziej męczące. Następne dwanaście mil to było najdłuższe dwanaście mil w jej życiu. Lytton zabrał książkę i zagłębił się w lekturze, nim jeszcze wyjechali ze Stratford. Ona musiała się zadowolić jedynie własnymi myślami.

Świetnie. Zacznie od analizy charakteru tego gburą siedzącego razem z nią w powozie. Rozpustnik, z którym mało kto mógłby konkurować, Amy, Julia Bryce, Catalina, a teraz Catherine Courtnay. Z pewnością były jeszcze inne, o których nie słyszała. Nie żałowała ani trochę, że schwytała go w sidła, zmuszając do małżeństwa. Przeciwnie, była z siebie dumna. Roztrąbi sprawę na prawo i lewo: wszystkie kobiety dowiedzą się teraz, że ten człowiek jedynie się z nich naigrawa. Dlaczego zatem o mały włos byłaby mu uległa? Niebezpieczeństwo wynikało stąd, że to bardzo doświadczony łajdak - tak doświadczony, że kobieta w jego obecności zapominała, jak się nazywa.

Spojrzała na męża spod przymrużonych powiek. Nietrudno było wyobrazić go sobie jako żołnierza. Tacy mężczyźni podświadomie zachowywali się jak dowódcy. Major Carruthers powiedział, że Marcus ma piękną wojenną kartę. Od tej strony nie miała mu nic do zarzucenia. Nawet Francuzi uważali szpiegów w mundurach za ludzi honoru, tak więc nie spotkałaby go żadna krzywda, gdyby został pojmany.

Inaczej rzecz się miała z nią i El Grandę. Oni byli szpiegami ukrywającymi tożsamość, ukradkiem wypełniającymi misję. Myślała o przyjacielu i coś ścisnęła ją za gardło. Gdyby to był El Grandę z dawnych lat, mógłby pokierować tą operacją. Nie pozwoliłby, aby Marcus miał decydujący głos. Nakreśliłby własny plan; przeciwnik musiałby się odstąpić. Robert nie był lekkomyślny, nigdy jednak nie wahał się przed podjęciem skalkulowanego ryzyka.

Oboje zawsze zachowywali ostrożność. Catherine ostrzegła El Grandę, że wyjazd do Wrotham został przełożony o dzień. Wiedziała, że nie spędza on całego czasu w klasztorze, lecz sporo przebywa wśród londyńskich nędzarzy. Czemu więc chciała, by jeszcze przez jeden dzień trzymał się na uboczu?

Znała odpowiedź. Jej zaangażowanie w misję stało się nazbyt osobiste. Wcześniej przydarzyło się jej to tylko raz - w Hiszpanii, z kapitanem Marcusem Lyttonem.

„Karty na stół, Catherine - napomniała samą siebie surowo. - Przyznaj się! Bez względu na wszystko czujesz pociąg do tego chama siedzącego naprzeciw. Jesteś zazdrosna o Julię Bryce i Catalinę. Dlatego tak się ciskałaś, chciałaś i w nim wzbudzić zazdrość, kiedy zastał cię z Davidem i Tristramem. Myślałaś jak kobieta, a nie jak agentka. Wystawiłaś misję na szwank. Nawet to długie milczenie spowodowane jest zranioną dumą. Jesteś agentką, a Marcus pierwszym podejrzanym o serię zabójstw. Masz robotę do wykonania. Bierz się do niej”.

Westchnęła i spojrzała na towarzysza.

- Marcus - zaczęła łagodnie. Kiedy podniósł wzrok znalazł

lektury, ciągnęła dalej: - Przepraszam. Zachowuję się jak głupia pensjonarka.

- Doprawdy, Cat? - Odłożył książkę i uśmiechnął się ponuro.

Wychodziła mu naprzeciw, po prostu żeby dać do zrozumienia, że mogłaby... Tymczasem zaprzętały ją problemy innej natury: jeśli on zamknie drzwi powozu, opuści w oknach zasłony, a potem...

- Nie powinnam była cię prosić, żebyś nie zadawał się z innymi kobietami, bo to małżeństwo nie jest prawdziwe. Zresztą poślubiłeś Catalinę już ponad trzy lata temu. Ludzie się zmieniają. Nie sądzę, żeby ktoś był zaszokowany, jeśli weźmiesz sobie kochankę. Wprost przeciwnie: będą się bardzo dziwić, że tego nie zrobiłeś.

No i masz! Mało nie udławiła się swoimi słowami.

- Dziękuję ci, lecz ja mam więcej skrupułów niż ty. Jak śmiesz sugerować, że tak nikczemnie traktuję swoją żonę? - odezwał się niskim, nabrzmiałym wściekłością głosem.

- Zamierzałeś ze mnie uczynić swoją kochankę, nieprawdaż? Jaka to różnica? - Do głosu doszła jej kobieca natura.

- Jeżeli ty tego nie rozumiesz, to ja nie potrafię ci wytłumaczyć.

- Ale...

- Nie, Cat. Rozegramy to po mojemu. Będziesz co do joty wypełniała polecenia i wtedy będę zachwycony.

- Nie jestem pewna, czy potrafię być aż tak dobrą aktorką.

- To spróbuj.

Zapadła głucha cisza. Dziewczyna gapiła się w okno, a on sięgnął ponownie po książkę.

Zanim zobaczyła zamek, usłyszała ujadanie psów.

- Psy we Wrotham są już od czasów Normanów - odezwał się Marcus. - Służyły do polowań na jelenie, lecz teraz uganiają się wyłącznie za lisami. Penn wprowadził znów zwierzynę płową do parku, lecz na razie jest ona pod ochroną. Póki stado się tam nie zadomowi.

Wyrzała przez okno: jeźdźcy przeskakiwali przez żywopłoty, psy się przez nie przedzierały, a wszyscy pędzili polami. Trwało polowanie.

- Czemu ci ludzie ubrani są na żółto? - spytała.

- Bo to barwa Wrothamów. A oto i Wrotham - oznajmił.

Catherine odwróciła się, aby podziwiać nowy widok.

Masywna, topornie wyglądająca budowla obronna wznosiła się ponad osadą.

- Stąd - objaśniał Marcus - wygląda to, jakby miasteczko zostało zbudowane wokół zamku. Ale to pozory. W rzeczywistości zamek znajduje się po drugiej stronie Wrotham i jest znacznie starszy niż ta miejscowość.

- Z którego stulecia pochodzi?

- Zaczął go budować mój przodek, Robert FitzBrant, w tysiąc sto pięćdziesiątym trzecim. Przez wieki kolejni lordowie Wrotham dobudowywali baszty i blanki. Zamek tak naprawdę nie jest naszą główną siedzibą - traktujemy go raczej jako punkt wypadowy do polowań.

- Gdzie więc jest wasza główna siedziba?

- W Lytton, w Worcester. To tylko rezydencja, lecz znacznie bardziej komfortowa. Zamki, jak sama wkrótce się przekonasz, stają się kosztownymi i nieprzytulnymi miejscami.

Zamilkła, wpatrując się w budowlę ze zwartych głazów, która strzegła doliny od przeszło sześciu stuleci. Widząc ten namacalny dowód zamożności Marcusa, poczuła się kimś zupełnie nieważnym.

Miasteczko może i nie było tak stare jak zamek, lecz nie wyglądało również zbyt nowocześnie. Miało charakter elżbietański, przypominało wszystkie osiedla i wsie mijane po drodze. Licowane gliną, pokryte strzechą budynki z pruskiego muru stały wzdłuż wybrukowanych ulic.

- Kościół parafialny we Wrotham - odezwał się w pewnej chwili Marcus, wskazując normańską budowlę na północ od miasteczka. - Warto zajrzeć. Leżą tam moi przodkowie.

Catherine nie mogła przestać myśleć o własnej rodzinie

Dziadek ze strony ojca gospodarzył na kilku akrach w Hampshire. Ojciec matki był wikarym. O poprzednich generacjach wiedziała jedynie tyle, że brały udział w jakichś wojnach.

- O czym myślisz? - zainteresował się Marcus.

- Twoich i moich przodków łączyło przynajmniej jedno - odrzekła z większym przekąsem, niż zamierzała.

- Cóż takiego?

- Wszyscy kończyli na cmentarzach.

Wokół oczu utworzyły mu się zmarszczki. Uśmiechnął się z zadumą.

- Trafnie to ujęłaś - skomentował.

Wtedy i ona się uśmiechnęła.

Droga do zamku prowadziła przez gęsto zalesiony teren. Drzewa nie miały teraz liści, tu i ówdzie widać było spłowiełe pola i dobrze utrzymane farmy. Marcus sypał anegdotami, kiedy mijali *co bardziej interesujące miejsca*. Przejechali obok wiejskiego domu, który okazał się psiarnią i stajnią właściciela zamku. Potem już, zbyt szybko jak dla Catherine, minęli strzegącą wjazdu ogromną kamienną basztę, na której wyryto herb Wrothamów, i zatrzymali się przed wejściem do głównego budynku. Dziewczyna wysiadła z powozu, uśmiechnęła się do grupki osób zgromadzonych na kamiennych stopniach. Jedna ze stojących tam pań była wedle jej przypuszczeń hrabiną wdową.

Catherine spodziewała się kogoś w rodzaju Heleny trojańskiej kobiety, której oblicze sprawia, że tysiące okrętów wypływają z portu i ruszają do boju. Dama, która podeszła, aby się przywitać, miała bardzo miły wygląd, lecz z pewnością nie była mityczną Heleną. Dość tęga, o miłej twarzy i czarnych, mocno przetykanych siwizną włosach.

Słuszcy podeszli, by wyładować bagaże.

- Chodź, Helen, poznasz swoją nową przybraną córkę odezwał się Marcus.

Płonące brązowe oczy spoczęły na Catherine.

- Catalino - odezwała się hrabina Wrotham - czekałam na tę chwilę całe długie trzy lata. - Serdecznie uściskała dziewczynę.

Catherine odpowiedziała na tę serdeczność i przeraziła się, bo zaczęły piec ją oczy. Nie była już kobietą ani brytyjską agentką, lecz małą dziewczynką, która potrzebuje matki, bo ma złamane serce. Z największą niechęcią wyswobodziła się z uścisku. „To nie dzieje się naprawdę - napominała sama siebie -ja tylko udaję”.

- Proszę - odezwała się nieco zachrypniętym głosem - mów mi Catherine. Chcę być Angielką, poznać angielskie obyczaje.

- Och, Marcus, ona jest taka kochana! - stwierdziła wdowa, przytulając również pasierba.

- A to Samantha - Marcus dokonał prezentacji.

Catherine wiedziała, że siostra męża jest starsza od Tristrama, lecz dziewczyna, która przed nią dygnęła z nieśmiałym uśmiechem, wyglądała raczej na pensjonarkę.

- I wreszcie - odezwał się dżentelmen, czekający, aby go przedstawiono - czarna owca w rodzinie. Jestem Penniston, lecz wszyscy mówią na mnie Penn. Jak się masz, Catherine?

Drugi z przyrodnich braci Marcusa - i jego spadkobierca. W przeciwieństwie do Samantha wyglądał na więcej lat, niż miał w istocie. Był uderzająco podobny do Marcusa i Tristrama, lecz hulaszczy tryb życia wycisnął piętno na tej szlachetnej twarzy. Był wstawiony. Nie wyczuwała nic w jego oddechu, lecz pamiętała ojca w takim stanie. Uśmiech Pennistona był odrobinę zbyt ciepły, postawa i ruchy zanadto rozluźnione.

- Jak się masz? - kurtuazyjnie spytała Catherine.

- Gdzie Tristram i David? - zainteresował się Marcus.

- Wypróbowują te nowe konie andaluzyjskie, które kupiłem od pułkownika Herriota - odparł Penn. - Ale ostrzegam cię, Marcus, nie chcę, żeby David je dostał. Umawiaj się z nim, jak chcesz, ale andaluzyjczyki pozostaną we Wrotham.

Na chwilę zapadła cisza. Przerwała ją wdowa.

- Jedlicie śniadanie? - spytała. - Catherine i Marcus zamieszkają w komnacie lorda, przeniosłam swoje rzeczy do błękitnego pokoju. Jak się jechało?

Catherine wyczuwała jakieś podskórne napięcie i zastanawiała się, czy nie są to jej własne urojenia.

Ruszyli za wdową, znaleźli się w Wielkiej Sieni - długim, ciemnym pomieszczeniem, wysokim na dwa piętra, o gołych kamiennych ścianach przyozdobionych gobelinami i głowami jeleni. Każda alkowa, a było ich tam wiele, wydawała się strzeżona przez ducha rycerza odzianego w zbroję.

- Ojciec - objaśnił Marcus - miał dwie pasje: polowanie i kolekcjonowanie zbroi.

- Miał jeszcze inną namiętność, lecz o tym nie mówi się w dobrym towarzystwie. - Penn wymamrotał to zdanie wprost do ucha Catherine.

- Cóż takiego masz na myśli? - spytał chłodno Marcus, lecz dziewczyna poczuła, że coś się w nim kotłuje niczym zdradziecki podwodny wir.

- Pokazywałem portret ojca. - Penn z uśmiechem wskazał obraz. Wisiał nad gzymsem kominka, stanowiąc dominujący akcent w pomieszczeniu. Piąty earl, uczestnik królewskiego polowania, stał z nogą opartą na karku byka patrzącego na widza szklistym wzrokiem. Wokół zgromadziła się sfera psów należąca do myśliwego, szpada ociekała krwią.

- Powiadają - wygłosił Penn - że synowie uczynieni są na podobieństwo swoich ojców.

Catherine gwałtownie zaprzeczyła:

- Mam nadzieję, że nie.

Wszystkie głowy zwróciły się w jej stronę.

Marcus załagodził niezręczną sytuację.

- Chodźmy, Cat - powiedział. - Szybko się rozlokujemy i oprowadzę cię po okolicy.

Rozstali się z rodziną u podnóża schodów. Catherine nie oglądała się, lecz czuła na plecach spojrzenie trzech par oczu.

Weszła do lordowskiej sypialni. Napięcie powoli zaczęło z niej opadać. Dopiero teraz uświadomiła sobie, jak bardzo bała się spotkania z rodziną Marcusa.

Lytton odczekał, aż lokaje ustawią toboły na środku podłogi. Odprawił ich, zrzucił płaszcz i rozwalił się w staromodnym fotelu przed kominkiem. Catherine zdjęła czepek i pelisę. Pokój

był ogromny i płonący ogień tylko nieznacznie podnosił temperaturę. Wyrzała przez okno. Z tej perspektywy nie sposób było uwierzyć, że znajduje się w murach średniowiecznego zamczyska. Łąki ciągnęły się aż do brzegów rzeki Avon, gęsto porośniętych wierzbnami. Niedaleko znajdowało się miasteczko Wrotham. Wyziwy z licznych kominów unosiły się nad nim niczym kłęb brudnej bawełny.

Odwróciła się od okna i zapytała męża:

- Czemu twoja rodzina nie trzyma się razem? Mam rację, nieprawdaż?

- To nie z powodu Helen. Ona nie jest macochą wiedźmą.

- Zauważyłam. Ale cała reszta nie wygląda na bardzo zżytych z tobą. Sądzę, że jedynie Tristram może mieć powody; nie dałeś mu szansy wytłumaczyć się. A co z Davidem? Jeśli miałabym kuzyna mieszkającego w Irlandii, to nie czekałabym piętnaście lat na spotkanie.

- Wydaje mi się, że nie różnimy się od innych rodzin z naszego kręgu. Nie jesteśmy ani lepsi, ani gorsi. My, chłopcy, spędziliśmy większość czasu w nudnych szkołach, wracaliśmy do domu tylko na wakacje. A ja dodatkowo byłem jeszcze sześć lat w wojsku.

- No dobrze, ale kiedy byliście dziećmi...?

- Wtedy tutaj nie mieszkałem. Po śmierci matki przenieśliem się do ciotki. Ojciec czasami mnie odwiedzał. Lecz Helen i jej potomstwo zobaczyłem po raz pierwszy dopiero na jego pogrzebie.

- Ale to... takie smutne.

Spojrzał na nią z zaciekawieniem.

- Nie musisz mnie żałować. Ciotka była dla mnie jak matka. Ciebie też wychowała ciocia, czyż nie tak?

- Ciotka Bea - odparła, bardzo zgorzozona tym, że Marcus sobie żartuje. Po chwili jednak sama się roześmiała.

- Twoja przyjaciółka Emily powiedziała mi, że ciotka była bardzo pruderyjna - badał ją ostrożnie.

- Nie, idziesz złym tropem. - Spojrzała na niego ostro.

- W niczym nie przypominam mojej ciotki.

- Kogo chcesz o tym przekonać: mnie czy samą siebie?
- To nie z powodu ciotki odrzuciłam twoją obraźliwą propozycję. Jesteś żonaty, ale nawet gdyby było inaczej, też nie zostałabym twoją kochanką.
- Nie myślałem o tym - oznajmił zirytowany.
- Zatem o czym myślałeś?
- Myślałem, że patrząc na ciebie widzę więcej niż jedną kobietę. Jest w tobie coś, co chcesz zachować w tajemnicy.
- To nie ma sensu... - Miała nadzieję, że wrażenie, jakie wywarły na niej słowa męża, niezbyt się uwidoczniło.
- Pasjonujesz się jakimiś sprawami, jesteś lekkomyślna, nawet za bardzo... Potem maska znów opada i stajesz się zimna jak lód.

- No cóż, odgrywam przecież rolę, to oczywiste.
- Ale jaka jesteś naprawdę?

Rozmowa stawała się nazbyt szczerą. Catherine nie było to na rękę, więc pomyślała, że pora zmienić temat. Wodziła wzrokiem po kufrach i skrzyniach. Marszcząc brwi, zapytała:

- Gdzie jest twój pokój, Marcus?
- Ach, tak. Mój pokój. A co ty na to, gdybym ci powiedział, że jest taka tradycja u Wrothamów, iż lord zawsze dzieli komnatę ze swoją małżonką?
- Figa z makiem. Nic mnie nie obchodzi ta tradycja.
- Nie wiem dlaczego, ale przypuszczałem, że to powiesz.
- Podniósł się i podszedł do drzwi.
- Marcus?
- Tak?
- Co zamierzasz im powiedzieć?
- Jeżeli ktokolwiek będzie o to pytał, odpowiem, że moja żona wychowała się w klasztorze i jest nazbyt skromna, by dzielić pokój z mężczyzną, nawet z własnym mężem. To chyba nie jest dalekie od prawdy?

Wyszedł. Kwestia pozostała nie rozstrzygnięta.

15

Penn ostatni pojawił się w jadalni. Widząc Marcusa zajmującego jego miejsce u szczytu stołu, wymamrotał coś pod nosem i usiadł koło matki. Catherine wystarczyło spojrzeć na Penna; znów był pijany, znała te symptomy. Minęło stadium wylewności - teraz milczał. Jej ojciec na następnym etapie albo wybuchał płaczem, albo powracał do tego, co było mu w życiu najdroższe, i wyżalał się przed córkami. Kiedy przyrodni brat męża jednym haustem opróżnił kieliszek wina napełniony przez przywołanego lokaja, dziewczynie zrobiło się ciężko na sercu.

- *Tus ojos son azules.*
 - *Que?* - zapytała wystraszona Catherine.
 - Twoje oczy są niebieskie - powtórzył nienagannym hiszpańskim David Lytton, siedzący po jej prawej stronie. Uśmiechnął się. Rzuciła okiem na Marcusa. Tego obawiała się najbardziej
 - konfrontacji z osobą mówiącą biegle po hiszpańsku. Mąż sprawiał wrażenie, że nie dosłyszał kuzyna.
 - *Si* - odpowiedziała więc po prostu.
 - Skąd u Hiszpanki niebieskie oczy i taka jasna cera?
 - David zagał znów po hiszpańsku.
- Odpowiedziała z właściwym akcentem; przyswoiła go sobie debiutując w roli Cataliny.

- To zasługa moich angielskich przodków. Proszę mówić po angielsku, *señor*. Chciałabym podciągnąć się w tym języku.

- Gdzie nauczyłeś się hiszpańskiego? - przerwał im Marcus. Zapadła cisza. David wpatrywał się w talerz. Gdy podniósł głowę, zorientował się, że jest ośrodkiem zainteresowania. Widać było wyraźnie, że pytanie kuzyna wprawiło go w zaskopowanie.

- Jeden z moich przyjaciół ożenił się z hiszpańską dziewczyną - odpowiedział wykrętnie.

- Ach, tak! - parsknął Penn. - Jeden z twoich przyjaciół! Marcus, jak możesz być tak nietaktowny? Jak się nauczyłeś tego języka? Założę się, że nie brałeś lekcji.

- Penn - wtrąciła się wdowa, usiłując załagodzić sytuację - czemu nie opowiesz Catherine o koniach, które dla niej przygotowałeś?

Spojrzała z niepokojem na żonę pasierba. Catherine gwałtowniej zabiło serce; pamiętała doskonale próby uspokajania ojca w takich sytuacjach. Czuła się bezradna.

- Niech Marcus jej opowie. To są jego konie, a moje zdanie się nie liczy - odpowiedział Penn.

Marcus zignorował kuzyna. Przywołał lokaja i szepnął mu coś do ucha.

Wdowa patrzyła znacząco na syna, więc w końcu Penn się odezwał:

- To ognista źrebica, pochodzi z twoich stron. Ma na imię Magazin.

- Andaluzyjka? - spytała Catherine, udając zadowolenie. Spodziewała się takiej propozycji i uzgodnili z Marcusem, jak z tego wybrnąć.

- To wierzchowiec dla panienek! - włączył się Tristram. Założę się, że Catherine wolałaby coś lepszego. Z radością pożyczę jej Charona - też andaluzyjczyk, ale nie taki potulny jak Magazin. To naprawdę najlepszy koń we Wrotham.

- Ach, nie mogę się zgodzić na takie wyrzeczenie - odpowiedziała Catherine. - Sam na pewno chcesz jeździć na Charonie.

- Będę zajęty nauką łaciny i greki z panem Reevesem, naszym kapelanem. - Tristram skrzywił się.

- Nadal uważam, że powinnam dostać żrebicę, niemniej jednak dziękuję za propozycję.

- Obawiam się, że nie mogę ci na to pozwolić, Cathenne - wtrącił się Marcus. - Wiesz, że doktor zabronił.

- Spodziewasz się dziecka! Co za wspianiała nowina! - Wdowa rozpromieniła się.

- Ach, to nie to.

Nikt nawet nie mrugnął. W twarzach, które się w nią wpatrywały, nie drgnął żaden mięsień. Równie dobrze mogły być wykute w kamieniu.

Catherine oblała się rumieńcem po czubek czoła i zwróciła o pomoc do męża:

- Marcus?

- To nic innego, jak tylko stary uraz odniesiony podczas jazdy konnej. Odzywa się od czasu do czasu. - Marcus okazał lekkie zniecierpliwienie.

- Moje biodro - wtrąciła szybko Catherine. - Boli zawsze przy zmianie pogody. Nie na tyle, żebym kulała, lecz wystarczająco, by popsuć mi przyjemność z jazdy wierzchem.

Jeszcze przez chwilę trwała głęboka cisza, po czym wszyscy zaczęli mówić jeden przez drugiego. Catherine spojrzała na Marcusa, który nieznacznie wzruszył ramionami. Nikt im nie uwierzył. Dalsze tłumaczenia mogły tylko pogorszyć sprawę.

Penn rozglądał się za lokajem, chcąc ponownie napełnić kieliszek winem. Nie było ani służby, ani żadnych butelek czy karafek. Odwrócił się do Marcusa. Wstał, mocno wsparty o stół.

Bracia mierzyli się spojrzeniami. Penn przegrał próbę. Z wściekłym warknięciem kopnął krzesło i zataczając się, wyszedł z jadalni.

- O co chodzi? - Catherine zdziwiona spytała szeptem Davida.

Ten wpatrywał się z uwagą w swój talerz.

- Marcus kazał lokajom zabrać cały alkohol. Penn właśnie to odkrył.

Trzy przygnębione damy udały się do salonu, panowie zaś pozostali w jadalni. Catherine zastanawiała się, czy Marcus poczęstuje ich poobiednim porto i brandy; doszła do wniosku, że nie. Kiedy Penn mierzył się z nim wzrokiem, jej mąż wyglądał na twardego i nieustępliwego. Chciał za wszelką cenę wyrwać brata z nałogu, choćby oznaczało to potłuczenie wszystkich butelek z alkoholem, jakie były w domu. Lecz nie tędy droga. Pijak zawsze wie, gdzie znaleźć następnego drinka.

Wdowa usiłowała uśmiechnąć się do Catherine, lecz niezbyt jej to wyszło.

- Świetne powitanie we Wrotham, Catherine, nie ma co. Tak mi przykro. Penn nie zawsze się tak zachowuje. Jest po prostu zły na Marcusa, że ten zaproponował Davidowi rasową klacz na lepszych warunkach.

Samantha odezwała się po raz pierwszy, odkąd zasiedli do stołu:

- Nie winię Penna, że jest wściekły. Marcus powinien wiedzieć jedno: to Penn orientuje się najlepiej, jak gospodarzyć we Wrotham. W gruncie rzeczy Marcus jest tu gościem!

- Samantha!

- Cóż, taka jest prawda, mamo. - Dziewczyna oblała się rumieńcem. Choć jej słowa zabrzmiały jak wyzwanie, szukała wzrokiem wsparcia u Catherine.

- Tak, Marcus nie rozegrał tego dobrze - odezwała się Catherine. Zrobiła pauzę, szukając właściwych słów. - Ja to rozumiem, naprawdę rozumiem. - I była to prawda w znacznie większym stopniu, niż obu paniom mogłoby się wydawać.

Teraz Catherine miała wreszcie okazję lepiej poznać Samanthę. Pierwsze wrażenie było mylące. Z początku zaklasyfikowała ją jako cichą myszkę, lecz dziewczyna w potrzebie potrafiła zachować lojalność. To było nawet coś więcej niż lojalność. Dziewczyna kochała Penna i jeśli Marcus nie będzie zważał na swoje postępowanie, siostra może z myszki przemienić się w lwicę.

- Grasz w wista? - spytała wdowa.

- Nie, milady. - Wedle ciotki Bei karty były szatańskim

wynalazkiem. Zresztą przypisywała ona diabłu autorstwo niemal wszystkiego. Czy to możliwe, że Catherine podświadomie ciągle jeszcze była pod pantoflem ciotki? - Ale zamierzam się nauczyć - dodała.

- Wspaniale! - Wdowa rozpromieniła się.

- Do licha! - wykrzyknęła Samantha. Rozpostarła gazetę na wieku pianina i przeglądała ją dokładnie.

- Co się stało kochanie? - zainteresowała się matka.

- Znów nie ma kolumny A.W. Euman w „The Journal”. Ona musi być wciąż na wakacjach.

Catherine właśnie podnosiła pierwszą z kart rozdawanych przez teściową, lecz upuściła ją z powrotem na stół.

- A.W. Euman? Przecież to mężczyzna.

- Ja też tak sądziłam - odparła Samantha - lecz mama mnie przekonała, że to kobieta.

Catherine była tak zdziwiona, że nie potrafiła tego ukryć. Wedle jej rozeznania nikt nawet się nie domyślał, że to kobieta ukrywa się pod tym pseudonimem.

- Skąd taki pomysł? - spytała hrabinę.

- To tylko takie odczucie - odparła wdowa. Widząc, że dziewczyny karty tak naprawdę nie interesują, położyła je na stole. - Czytujesz A.W. Eumana?

Catherine przytaknęła.

- Zwróciłaś uwagę, że ona patrzy na wszystko oczami kobiety? Czasami mam wrażenie, że moimi oczami.

- Doprawdy? - zdziwiła się Catherine. - Ale przecież ona... on... był w Newgate i w takich dzielnicach Londynu, gdzie nie odważy się pokazać żadna przyzwoita dama.

Nie mówiąc już o burdelach, których wciąż przybywało w Covent Garden i jego okolicach.

- Ta dama nie jest konwencjonalna - powiedziała wdowa z entuzjazmem. - Za to właśnie ją lubię. Jest nieustraszona i nieobliczalna. Nie pozwala, aby cokolwiek stanęło jej na drodze. Kiedy zwęszy temat, rusza jego tropem. Nie dziwi mnie, że występuje pod męskim pseudonimem.

Sama chciałyby być kimś takim, lecz nie było jej na to stać.
- I nie jesteście tym zaszokowane? - zdziwiła się Catherine.
- Zazdroszczę jej. - Wdowa odwróciła oczy. - Przypuszczam, że żyje sama. Cóż, musi tak być, bo mężczyźni nigdy nie daliby jej tyle swobody, nie pozwoliliby na odwiedzanie tak różnych miejsc. - Wydawała się zafascynowana. Po chwili milczenia ciągnęła dalej: - Taka kobieta wie, jak się o siebie zatroszczyć. W niczym nie powinna być zależna od mężczyzny.

- Myślę, milady, że masz fałszywe wyobrażenie o A.W. Eumanie - odrzekła Catherine, nie do końca przekonana, czy przedstawiony wizerunek był dla niej pochlebny.

- Nie pochwalasz tego? - zdziwiła się Samantha. - Byłaś kiedyś w partyzantce. Myślę, że powinnyście mieć z A.W. Euman sporo wspólnego.

W oczach dziewczyny malował się podziw. Catherine chciała coś powiedzieć, lecz rozmyśliła się. „Piekło i szatani” - jak mawiał McNally. Znalazła dwie bratnie dusze, i to akurat tu, we Wrotham.

- Owszem, pochwalam - odpowiedziała. - Jakkolwiek nie chciałabym, żeby Marcus o tym wiedział.

Od drzwi rozległ się śmiech i czyjś głos zapytał:

- Czegóż mam nie wiedzieć, *mi esposa*?

Mężczyźni, z wyjątkiem Penna, wkroczyli do salonu.

David zajął miejsce obok Catherine. Mrugnął do niej porozumiewawczo.

- Kompletna posucha w tym domu.

- Helen tważy, że A.W. Euman jest kobietą. - Udawała, że nie zrozumiała pytania męża.

- A.W. Euman? Ten facet, który pisuje dla „The Journal”? Spotkałem go raz czy dwa.

- Znasz go? - zdziwiła się macocha. - To nie kobieta?

- Ach, jest zniewieściałym mężczyzną. Prawdę powiedziawszy, przypomina mi starą pannę.

Wdowa i Samantha nie mogły ukryć rozczarowania.

Catherine lepiej maskowała swoją złość.

- Nie poprzestawaj na tym, powiedz nam coś więcej - odezwała się do męża.

- Bardzo pruderyjny, porządny. Nie pije, nie gra w karty, nie szlaja się... Powiedzmy, że po prostu jest niezwykle moralny.

- Marcus zachowywał powagę.

- Nie widzę w tym nic złego, skwitowała Catherine, a panowie zachichotali.

Podano herbatę i rozmowa zesłała na ogólniejsze tematy. Mężczyźni uzgodnili, że rankiem ruszą na polowanie, lecz pod warunkiem, że Tristram nadrobi stracone godziny nauki. Obecni jeden po drugim prosili o wybaczenie i udawali się na spoczynek.

Gdy Catherine wstała, mąż odprowadził ją do drzwi.

- Poczekaj na mnie na górze - poprosił.

Spojrzała na niego zaskoczona, lecz skinęła głową i wyszła z jadalni.

Marcus odnalazł Penna w biurze rządcy, mieszczącym się w kompleksie stojącym za murami zamku. Brat stał przy pulpicie, przeglądając księgi rachunkowe. W ręce trzymał pustą szklaneczkę, obok postawił otwartą butelkę brandy. Ujrawszy Marcusa, napełnił naczynie po brzegi.

- Za powrót z Portugalii! - wzniosł kpiący toast, pociągnął spory łyk i otarł usta rękawem.

- Przykro mi z powodu Davida - rzekł Marcus. - Zaskoczył mnie. Lecz skoro już przyrzekłem, nie mogę cofnąć danego słowa. Obiecuję, że to się więcej nie powtórzy.

Widać było po Pennie, że z pewnością nie to chciał usłyszeć.

- Przeprasiny przyjęte - skwitował.

- Kiedy twój nawyk picia przeszedł w nałóg? - spytał Marcus, opierając się o framugę drzwi.

- Nie jesteś moim ojcem i nie będziesz mnie pouczał. Poza tym nie wpadłem w nałóg.

- Jestem twoim bratem i czuję się za ciebie odpowiedzialny-

- Przyrodnim bratem - poprawił Penn. - I od kiedy to

poczułeś się za mnie odpowiedzialny? Nigdy nie darzyliśmy się miłością. Byłem twoim totumfackim, zarządzałem włóściami, kiedy wyruszyłeś na wojnę. Czy zarzucasz mi, że źle kieruję majątkiem?

- Oczywiście, że nie. Wykonałeś doskonałą robotę. Ale co z przyszłością, Penn? Nie możesz tak dalej egzystować. Musisz się pozbierać i zrobić coś ze swoim życiem. Myślałem... Przypuśćmy, że obejmiesz naszą posiadłość w Kornwalii. Sceduję ją na ciebie. Możesz tam robić, co zechcesz. Myślę, że takie wyzwanie powinno sprawić ci przyjemność.

- Nie potrzebuję twojego miłosierdzia.

Marcusowi zaczął drgać policzek.

- Spodziewałeś się, że nigdy nie wrócę, co, Penn? Myślałeś, że zginę w Hiszpanii, a ty wszystko odziedziczysz?

Penn zaczął się śmiać, lecz zaraz śmiech uwiązał mu w gardle.

- Nie spodziewałem się, że kiedykolwiek coś takiego -*ańysię* z twoich ust. - Znów łyknął brandy. - Nie pod moim adresem.

Marcus przekonał się, że właściwie nie ma najmniejszego znaczenia, co powie. Czy chciał pochwalić brata, czy go obrazić - jego słowa nie wywoływały żadnego efektu.

- Ta rozmowa do niczego nie prowadzi. Chcę wyjaśnić tylko jedno: nie będę tolerował pijaństwa w swoim własnym domu. Wszystkie butelki z alkoholem znalazły się pod kluczem, którym ja dysponuję. - Penn milczał, więc Marcus ciągnął dalej: - Jeśli nie myślisz o sobie, pomyśl o matce. Nie widzisz, że łamiesz jej serce?

- Niech cię szlag! Nie jestem pijakiem! Nie jestem! Mogę przestać, kiedy tylko zechcę.

- Jesteś tego pewien? - Marcus spojrzał ostro na brata.

Penn popatrzył na szklankę w swojej dłoni.

- Mogę przestać, kiedy tylko zechcę.

Widok, jaki zobaczył Marcus wchodząc do komnaty lorda, przykuł jego uwagę. Dziewczyna siedziała przy małym stoliku naprzeciw ognia, maczała pióro w atramencie, pisała i była tak

tym pochłonięta, że nie zwróciła uwagi na mężczyznę, który stał za nią jak zahipnotyzowany. Przebrała się w strój nocny: miała na sobie coś delikatnego i ciemnego, bardzo kobiecego, coś, co podkreślało jej figurę. Ciemne włosy upięte w ciężki węzeł podkreślały ostre rysy twarzy. Przez moment, przez mgnienie, wydało mu się, że cofnął się w czasie i znów jest z Cataliną w tamtej małej celi mnicha, w hiszpańskiej kryjówce El Grandę.

Lecz oczywiście to nie Catalinę wspominał. Twarz Cat tak wryła mu się w pamięć, że nie mógł już sobie dokładnie wyobrazić tamtej dziewczyny.

- Co robisz? - spytał łagodnie, kiedy zapanował nad oddechem.

- Zapisuję wrażenia na temat twojej rodziny, domu - odparła trochę nieprzytomnie.

- Prowadzisz dziennik? Pamiętnik?

Pióro przestało skrzypieć. Gdy w końcu na niego spojrzała, miała uśmiech na twarzy.

- Nie, Marcus, to nie dziennik. Po prostu notatki. Jestem pisarką. My, pisarze, nigdy nie ufamy pamięci. Kto wie? Może znajdę tu jakąś inspirację do artykułu dla „The Journal”.

- Wskazała mu krzesło po drugiej stronie stołu. - Co chciałeś mi powiedzieć?

Skorzystał z zaproszenia i usiadł.

- Nic konkretnego. Ach, nie zaczynaj na mnie patrzeć tym swoim wzrokiem! Udajemy małżeństwo. Co pomyślą inni, jeśli nie będziemy spędzać trochę czasu sam na sam? Nie zostanę długo.

To wydawało się logiczne, więc skinęła głową.

Wyciągnął nogi, stopy oparł o mosiężną osłonę kominka.

- Przepraszam za tę scenę z Pennem. Wiedziałem, że czasami przesadza z piciem, ale nigdy nie widziałem go tak agresywnego po alkoholu. Kazałem służącemu zamknąć wszystkie butelki w komórce. Klucz do niej jest teraz w mojej kieszeni.

- Nie odczułam jego zachowania jako napaści. Żał mi chłopa. - Zabrzmiało to jak wymówka wobec męża.

Zareagował natychmiast.

- Właśnie przeprosiłem Penna, że nie skonsultowałem się z nim w sprawie tej klaczy, którą chce David. Do licha, Cat! Miałem prawo. Ja tu jestem panem.

- Penn z pewnością o tym wie. Nie chcę cię krytykować, ale...

- Mów dalej. Domyślam się, że chcesz coś jeszcze powiedzieć.

Nie widziała twarzy męża, bo patrzył na jej notatki, lecz jego słowa były wystarczającą zachętą do wypowiedzenia własnych uwag.

- Wydaje mi się, że zabierasz się do tego w niewłaściwy sposób. Upokorzyłeś go publicznie, każąc służbie usunąć butelki i karafki. Teraz, kiedy trzymasz je pod kluczem, wzmagasz tylko jego upór. Póki sam nie przyzna, że jest pijakiem, nic nie da się zrobić. Może gdybyś postarał się być mu przyjacielem...

- Przyjacielem? Cat, my jesteśmy braćmi.

- Tak, ale sam mówiłeś, że nie jesteście bardzo zżytą rodziną. Może stąd bierze się część problemów.

Podniósł głowę i płonącymi oczami spojrzął na żonę. Co innego samemu przyznać się do grzechu, a co innego usłyszeć to od drugiej osoby, a już szczególnie od niej.

- Jesteś pod moim dachem niecałe dwadzieścia cztery godziny i tak po prostu - strzelił palcami - uważasz, że wiesz lepiej ode mnie, jak mam postępować z rodziną?

- Pytałeś mnie o zdanie. A ja naprawdę wiem, co mówię. Kiedy jeden z członków rodziny jest uzależniony od alkoholu, cierpią wszyscy.

- Przed chwilą powiedziałaś, że zapisujesz wrażenia z mojego domu i że ci to potrzebne do artykułu dla „The Journal”. Jakiego? - zagadnął ostrożnie.

- Wiejskie impresje, tego rodzaju sprawy. - Bezwiednie przykryła notes dłonią.

- Mogę zobaczyć notatki?

Potrząsnęła głową i odpowiedziała lekkim tonem:

- Nikomu nie pozwalam ich czytać. Musisz poczekać, aż to będzie gotowe i ukaże się w „The Journal”.

- Pokaż mi swoje notatki, Cat. - Jego głos był lodowaty.
- Nie są jeszcze gotowe. - Musiała zwilżyć wargi językiem. Gwałtownie rzucił się do przodu, wyrwał jej notatnik.
- *Postępujące pijaństwo* - odczytał na głos tytuł.

Posiniał z wściekłości, zerwał się na równe nogi i pochylił nad żoną, która skuliła się na krześle.

Widząc jej strach, cofnął się trochę, lecz dalej patrzył jej prosto w oczy. Każde słowo wymawiał wolno i wyraźnie.

- Moja rodzina nie będzie dostarczać tematów dla tej pretensjonalnej kolumny, którą prowadzisz w „The Journal”. Czy wyrażam się jasno?

- Ale ja nie...

Przerwał jej gestem dłoni. Wiedział, że reaguje przesadnie, lecz nic na to nie mógł poradzić. Właśnie stał się z Pennem i był bardzo rozczarowany postawą chłopaka. Ponadto - w jego odczuciu - wytykając wady brata, wytykała tym samym jego własne błędy.

Pełna ciepła, oddana i troskliwa kobieta nie może się tak zachowywać. Lecz ona była zimną, nieczułą wiedźmą, interesującą się jedynie tym, co napisze do „The Journal”.

Dotarło do niego wreszcie, jak głęboko się zaangażował, i ta myśl sprawiła mu ból. On jej nie interesował. Wszystko wskazywało, że nawet namiętność była udawana. Najwyraźniej nigdy nie sprawiało jej kłopotu wycofać się w porę, nim sprawy zajdą za daleko.

- Sądziłem, że jesteś inna, lecz byłem w błędzie. Ludzie są dla ciebie tylko potencjalnymi obiektami do analizy; zbierasz na ich temat dokumentację, by wszyscy mogli sobie o nich poczytać. Może opisywanych to rozweseli, a może wybuchną płaczem. Tobie jest wszystko jedno, póki zadowolasz gusty czytelników. Cóż, nie uda ci się ta sztuczka z moją rodziną. Dobrze płacę za twój czas, każda sekunda należy do mnie. Póki jesteś u mnie zatrudniona, masz zapomnieć o pisaniu. I jeszcze jedno: kiedy już wrócisz do swojego życia w Hampstead, będę czytał „The Journal” od deski do deski. Jeżeli znajdę coś, co

wprawi w zakłopotanie kogokolwiek z mojej rodziny, doprowadzę do bankructwa nie tylko ciebie, ale również twój wydawcę. Zrozumiałaś?

- Marcus! - krzyknęła. - Ja nie pisałam o Pennie. Chodziło mi o każdego, kto pije zbyt dużo. Widzisz...

- Nie kłam. W twoich notatkach pojawia się jego imię.

- Nie chcę pisać konkretnie o nim.

- Nie, ale wyprowadzasz swoje wnioski na jego przykładzie.

Spojrzał na trzymane w ręce papiery i cisnął je na stół. Zaklął paskudnie i wybiegł z pokoju.

Catherine czuła się zdruzgotana. Nigdy nie odnosił się do niej z taką pogardą. Ale on nic nie rozumiał. Troszczyła się o ludzi, nawet bardzo, lecz nie zawsze w dostatecznym stopniu. Nic na to nie mogła poradzić, że przede wszystkim była człowiekiem pióra. Może nie uczyniła zbyt wiele dobrego, ale zawsze było to lepsze niż bierne przyglądanie się nędzy tego świata.

Patrzyła na rozżarzone węgle w palenisku i zastanawiała się, czemu w ogóle obchodzi ją opinia Marcusa.

16

Tydzień później Catherine spacerowała po południowej stronie murów obronnych. Przychodziła tu, kiedy nie mogła znaleźć towarzystwa. Tego ranka Marcus i David polowali z miejscowymi dzentelmenami, Tristram zajęty był nauką. Helen ku jej zazdrości jeździła gdzieś po wrzosowiskach. Co porabiali Penn i Samantha - tego Catherine nie wiedziała. Lady Wrotham mogłaby wybrać się gdzieś dalej z uzbrojonym lokajem, lecz oboje z Marcusem zgodzili się, że wyglądałoby to dziwnie. W każdym razie lubiła te samotne przechadzki po murach.

Chmury zakryły słońce. Zdziwiona, zadarła głowę. Kiedy wychodziła z domu, niebo było zupełnie czyste. Choć jesień miała się ku końcowi, przez ostatnie kilka dni można było nacieszyć się ciepłem. A teraz te gromadzące się czarne chmury. Jakby odbicie tego, co działo się w jej duszy. Z daleka słychać strzały - to pewnie panowie, którzy wyruszyli na polowanie. Położyła skrzyżowane ramiona na blance, wsparła na nich podbródek. Gdziekolwiek sięgnąć wzrokiem, na mile dokoła, wszystko należało do Marcusa. Przez wieki mieszkańcy tych ziem uiszczali opłaty dzierżawne. Póki nie przyjechała do zamku, nigdy nie myślała o Marcusie jako o panu na włościach. Widziała w nim żołnierza, pozbawionego skrupułów łajdaka bądź złośliwego gbura. Teraz przekonała się, jak bardzo po pańsku potrafi zachowywać się jej mąż.

Od czasu kłótni skończyły się sympatyczne pogawędki. Przystał przychodzić do jej pokoju: wszystko zostało już powiedziane. Nie dokuczał jej, nie usiłował rozgniewać. Grzeczny, lecz na dystans, kiedy byli sami, w towarzystwie zaledwie uprzejmy. Choć wściekała się na siebie, to musiała przyznać, że tęskniła za dawnym Marcusem.

Jeśli nawet ktoś zauważył, że nie są idealnym małżeństwem, to nie robiono na ten temat żadnych uwag. Wszystkich zaprzętały nieprzewidywalne nastroje Penna. Śmiał się i żartował, jakby na niczym mu nie zależało, a już w następnej chwili szukał jedynie powodu do zwady. Rodzina oddychała z ulgą, kiedy wychodził popracować w zabudowaniach gospodarczych.

W domu nie było ani kropli alkoholu. Penn nie narzekał ani nigdy o tym nie wspominał, lecz wszyscy wiedzieli, że gdzieś ukrywa własne zapasy. David twierdził, że Marcusowi udało się jedynie ukarać niewinnych.

Catherine żał było Davida. Nie miał zamiaru pozostawać we Wrotham dłużej, nie czuł się tu dodrze, lecz gospodyni nie zamierzała go prędko wypuścić. Za parę dni miał być wydany bal na cześć Marcusa i jego oblubienicy - David koniecznie musiał w nim uczestniczyć, toteż z gracją przyjął zaproszenie. Catherine przyszło do głowy, że na jego miejscu wymyśliłaby jakąś starą ciotkę na łożu śmierci, pragnącą ostatni raz ujrzeć siostrzeńca.

No, może nie byłoby to całkiem w porządku. Zaczynała lubić rodzinę Marcusa, chyba nawet więcej niż lubić. Nie wyłączała Penna. Czasami we wzroku chłopaka dostrzegała coś takiego, że chciała go przytulić. Do wdowy i Samantha po prostu nie sposób było nie czuć sympatii. Zawsze chętnie słuchały opowieści o damach w Hiszpanii i w Londynie, o najnowszej modzie, o przyjęciach, na których bywała. Najbardziej zagorzałym wielbicielem młodej lady był jednak Tristram.

Z drugiej strony Marcus uważał ją jedynie za zimną, wyrachowaną awanturnicę, z którą zawarł układ. Gdyby znał prawdę, myślałby o niej jeszcze gorzej.

To było niebezpieczne. Major Carruthers byłby przerażony, poznawszy jej rozterki. „Nie pozwól nigdy, aby uczucia przeszkodziły ci w pracy” - zawsze to powtarzał. Miała nadzieję, że i on wykonuje swoją robotę, bo sama zaczynała się czuć jak dzika kaczka na polowaniu.

Spadły pierwsze krople deszczu. Po chwili schroniła się na klatce schodowej w baszcie. Zatrzymała się w ciemności, zafascynowana niezwykłością tego miejsca. Tu nigdy nie docierało zbyt wiele naturalnego światła. Otwory strzelnicze były wąskie. Zawsze paliły się lampy oświetlające schody na każdej kondygnacji. Jedna z latarni właśnie zgasła. Bardzo ją to zaniepokoiło. Choć schody były niebezpiecznie, strome, zaczęła schodzić, ufając jedynie własnym stopom. Usłyszała słaby odgłos: ktoś inny właśnie wszedł do baszty lub ją opuścił. Przez jeden z otworów wpadł podmuch wiatru, niosąc ze sobą kroplę deszczu. Prawie nie zwróciła na to uwagi, machinalnie sięgnęła do kieszeni po pistolet.

Minuty płynęły, a ona wciąż stała bez ruchu. Wyczuwała, że coś złego wisi w powietrzu. Wpierw te latarnie, teraz jeszcze to. Ale co właściwie ją zaniepokoiło? Już wie! Zawiasy drzwi do baszty były zardzewiałe; nie dało się ich otworzyć, nie powodując skrzypienia przypominającego zgrzyt starych dzwonów. A teraz otwierały się bez problemu, jakby zawiasy zostały... naoliwione.

Schodziła po jednym stopniu, przyciskając się do ściany. Wpatrywała się w ciemność, zatrzymywała i nasłuchiwała. Nagle pośliznęła się; szarpnęła do tyłu, żeby nie spaść na dół. Z głuchym łoskotem wylądowała na schedach, lecz nie wypuściła pistoletu. Usłyszała, że coś, grzechocząc, spada po schodach. Potem dobiegł ją brzęk tłukącego się szkła.

Uderzyła o schody plecami, lecz bolał ją lewy łokieć; tak bardzo, że z trudem łapała oddech. Wyprostowała się; kołysząc się w przód i w tył, czekała, aż jej przejdzie.

Usiłowała wstać i znów poczuła, że się ślizga. Dotknęła zelówki: rękę miała pobrudzoną olejem.

Schowała pistolet do kieszeni, wytarła buty spódnicą. Ruszyła dalej, wymacując drogę rękami. W pewnym miejscu przekroczyła kałużę oleju i potłuczone szkło. Wyglądało to tak, jakby latarnia spadła ze ściany, a jej zawartość rozlała się na schodach. Wszyscy by tak pomyśleli, dla niej jednak nie była to przekonująca interpretacja.

Znów usłyszała daleki odgłos otwieranych drzwi. Uniosła głowę.

- Catherine?! Jesteś pewien, że ona tam jest? - To był głos Marcusa.

- Widziałem ją na murach niecałe dziesięć minut temu.

- Tym razem odezwał się Tristram.

- Catherine?!

Usłyszała, jak obaj zaczynają wspinać się po schodach.

- Tu jestem. Nie wchodźcie. Idę do was.

- *.Szukałem *cię* na *sowach*, *kiedy* wróciłeś? z *polowania*,
lecz nikogo nie dostrzegłem. Gdzie byłaś?* - spytał Marcus,
kiedy już do nich dotarła.

Nigdy nie przyszłoby jej do głowy, aby mu powiedzieć, że ktoś z rozmysłem usiłował ją zranić lub nawet zabić. Marcus zważyłby wtedy wszystko na Catalinę lub El Grancie. Niemniej jednak ktoś dokonał na nią zamachu i nie wiedziała, co o tym myśleć.

- Schroniłam się przed deszczem, usiadłam na stopniu, zatopiłam się w rozmyślaniach i zapomniałam o bofym świecie. Przepraszam. Jedna z latarni spadła, rozbiła się, a szkło posypało się na schody. - Starła się, żeby jej głos nie odradził, jak bardzo jest roztrzęsiona.

- Poślę lokaja, żeby się tym zajął - odezwał się Tristram.

Marcus dokładnie przyjrzał się żonie.

- Cat, wszystko w porządku? - spytał łagodnie. - Jesteś bardzo blada.

Chciała wierzyć, że troska w jego głosie jest autentyczna, lecz w jej umyśle zakiełkowało podejrzenie, że właśnie on usiłował dokonać na nią zamachu. Była odrętwiała z przerażenia.

Może przez cały czas wiedział, że ma do czynienia z Cataliną, a ona wlaźła wprost w zastawioną pułapkę? Trzęsły jej się ręce. Musi jakoś ukryć swoje podejrzenia, bo inaczej czekają przegrana.

- Cat?

- Wszystko w porządku. Naprawdę. Nie wiem, o co tyle krzyku.

Tristram przytrzymał jej drzwi. Dziewczynie udało się przeciągnąć palcami po zawiasie. Tak jak podejrzewała - został naoliwiony.

- Może nie zauważyłaś, ale zanosi się na burzę - odezwał się szorstko Marcus. - Dowiedziałem się, że spacerujesz po murach, i przyjechałem cię stąd zabrać. Czy nie wiesz, że to najbardziej niebezpieczne miejsce, kiedy wała pioruny? Myślałem, że masz więcej rozumu.

Teraz dopiero zobaczyła, że mąż ma przewieszony przez rękę jej płaszcz. I w tej samej chwili, zupełnie jakby Marcus komenderował niebiosami, błyskawica rozdarła niebo, przetoczył się grzmot, popłynęły strumienie deszczu.

Narzucił jej płaszcz na ramiona i we trójkę pędem pokonali dziedziniec.

Ponieważ Cataliną była katoliczką, nikogo nie dziwiło, że od czasu do czasu spowiada się w małym kościele na skraju miasteczka. Kapłan czasami odwiedzał ją na zamku. Nikt jednak nie wiedział, że ojciec Granger jest człowiekiem majora Carruthersa i przekazuje mu raporty Catherine.

Wysiadła z powozu w zaułku i sama, bez eskorty, weszła do kościoła. W środku był jedynie ojciec Granger. Zwrócony do niej plecami, napełniał węglem żeliwny piec, używając do tego szufli. Ochłodziło się i Catherine miała na sobie ciepłą pelisę z sobolowym kołnierzem pasującym do muftki. Przyglądała się marmurowym figurkom, witrażom w oknach, świecom na ołtarzu. Zanurzyła palce w święconej wodzie, przeżegnała się i podeszła do konfesjonału. Ojciec Granger już po chwili znalazł się na swoim miejscu.

Twarz spowiednika pozostawała w cieniu, lecz Catherine słyszała jego oddech. Nadszedł czas opowiedzieć o zamachu. Będą oczywiście przypuszczać, że stoi za tym Marcus. Na to właśnie czekali: na znak, że cały czas kłamał i że to on zamordował wszystkich tych angielskich żołnierzy. Oznacza to również, że rozpoznał w niej Catalinę. Zamach miał być częścią skomplikowanego planu wywabienia El Grandę z kryjówki po to, by zabić również jego. Kiedy złoży taki raport, nie będzie mogła już o niczym decydować. Nie jej sprawa, jakie wynikną stąd konsekwencje dla Marcusa.

- O co chodzi, dziecko?

Głos księdza sprowadził ją z powrotem na ziemię. Ogarnięta paniką, wpatrywała się w kratkę. Zdawała sobie sprawę, że powinna myśleć logicznie, dedukować. Dodawać dwa do dwóch i wyciągać właściwe wnioski. Zauważyła jednak, że kiedy chodziło o Marcusa, nie potrafiła się zdobyć na logikę. Wszystko w niej wzdragało się przed domniemaniem, że to on jest mordercą. To nieprawda. To po prostu nie mogła być prawda. Gotowa była zaryzykować życie, aby tego dowieść.

- Nie mam nic do zameldowania.

Chwila ciszy.

- I to wszystko, co masz do powiedzenia?

To było wszystko, co miała mu do powiedzenia. Gdyby tu tył El Grandę, to co innego. Jej przyjaciel nie przypominał majora, potrafił dotrzeć do sedna sprawy. Wiedziałyby, dlaczego nie może wydać Marcusa, zaufałyby jej instynktowi. Za tym zamachem stał ktoś inny i gdyby był tu Robert, mogliby razem poskładać fakty.

Przychodziły jej do głowy różne osoby, lecz natychmiast je wykluczała. Nie mogła uwierzyć, że ktoś z rodziny Marcusa chciał ją skrzywdzić. W takim razie kto...?

- Moje dziecko... - odezwał się ksiądz.

Catherine zebrała myśli.

- To wszystko, co mam do powiedzenia - odrzekła.

17

Był bardzo wczesny ranek, a Amy Spencer przenigdy nie wstawała z łóżka przed południem. Podobnie jak wszyscy jej przyjaciele. Mimo to była już na nogach, wkładając najwykleszy płaszcz i czepek. Wszystko po to, by mogła nie rozpoznana pojawić się w mieście w towarzystwie człowieka, który przewrócił jej życie do góry nogami. Przestała wydawać przyjęcia. Rzadko bywała w teatrze. Jej powóz z charakterystycznymi ozdobami nie opuszczał powozowni. W rezultacie jej popularność spadała, lecz wydawało się, że Amy o to nie dba.

Wyjrzała przez okno - padało. Może nie przyjdzie po nią. Tak byłoby lepiej. Pomiedzy nią a Robertem nie mogło do niczego dojść, a ona nawet nie spróbowała mu o tym powiedzieć. Była dla niego za stara, zbyt doświadczona, sterana życiem. Ponadto dowiedziała się, że jest Hiszpanem, a nie - jak początkowo przypuszczała - Irlandczykiem. Byli tak różni od siebie, nie mieli nic wspólnego. Czemu więc, do wszystkich diabłów, znów z nim wychodzi? To mogło zakończyć się jedynie zawodem miłosnym.

Wcale się tym nie przejmowała. W końcu i tak miała już złamane serce; wiedziała o tym. Ten mężczyzna sprawiał, że czuła się może nie tyle młodsza, ile niedostępna wszelkiemu plugastwu, z którym zetknęła się w życiu. Powiedział, że niebawem wraca do Hiszpanii, by ułożyć sobie tam życie od

nowa. To było najlepsze wyjście, lecz póki ten dzień nie nadszedł, chciała wspólnie z nim nacieszyć się czasem, który im pozostał.

To zupełnie nie w stylu Amy Spencer. Co za diabeł w nią wstąpił?

- Jest tu. - Panna Collyer wetknęła głowę do pokoju i wypowiedziała to głosem zadyszanej pensjonarki.

Nie tylko pannie Collyer brakowało tchu w obliczu Roberta.

Czekał na Amy w westybulu. Znała wielu przystojnych mężczyzn, lecz żaden nie mógł się nawet z nim równać. Oczywiście wygląd nic dla niej nie znaczył - wiedziała lepiej niż ktokolwiek, że uroda nie uszczęśliwia. To był Robert - mężczyzna, który uwiódł ją pięknymi i mądrymi oczami. Czasem miała wrażenie, że wie o życiu znacznie więcej niż ona sama.

- Myślałem, że pojedziemy na piknik - odezwał się. Nim zdążyła wciągnąć rękawiczkę, ucałował jej nadgarstek.

Kolejna niewinna pieszczota, która ją rozpaliała. Boże, przecież ona igra z ogniem! Nie dbała o to, że sama spłonie, lecz powzięła niezłomne postanowienie, że Robert powróci do Hiszpanii, nie ponosząc żadnego uszczerbku.

- Na dworze leje jak z cebra, nie zauważyłeś? - Uśmiechnęła się do niego. - Jak mamy jechać na piknik?

- Trochę wiary we mnie, Amy. Wiem, co robię.

Potrafił przejść w rozmowie od rzeczy błahych do poważnych, głębokich.

- Nie mówmy teraz o tym - odrzekła serio. - Cieszymy się po prostu kilku wspólnie spędzonymi godzinami.

Wyszli razem z domu.

- Wynająłem powóz, który zawiezie nas do Chelsea. Piknik możemy urządzić w środku, a i tak będziemy widzieć łodzie na rzece.

To był zamknięty powóz. Amy miała świadomość, że wybrał go nie tylko ze względu na deszcz ~ oboje pragnęli zachować anonimowość. On nie chciał jej powiedzieć, jakie racje nim powodują; ona z kolei nie życzyła sobie żadnych wrednych plotek na temat Roberta i jego klasztorного życia.

Ruszyli. Zdjął jej rękawiczkę, ich palce się spłotyły.

- Nie bądź taka przestraszona - uspokajał.

Spojrzała na złączone ręce i poczuła, że całe jej ciało przeszywa dreszcz - jego dotyk emanował niezwykłą siłą. Nie doświadczyła dotąd czegoś podobnego.

- Robercie, chyba nigdy nie byłeś z kobietą w ten sposób... Mam na myśli...

- Wiem, co masz na myśli. I odpowiedź brzmi: nie. - Spostrzegła, że się do niej uśmiecha. - Księża z reguły nie mają takich doświadczeń. A kiedy wystąpiłem z seminarium, nie spotkałem kobiety, którą chciałbym poślubić.

- Więc według ciebie najpierw małżeństwo...

- Albo małżeństwo, albo nic. - Uśmiechnął się.

To było to, czego najbardziej się obawiała. Był poza jej zasięgiem. Wróci do Hiszpanii i pozna jakąś miłą młodą dziewczynę, z którą będzie żył długo i szczęśliwie. Nie mogła znieść takiej myśli.

- Teraz moja kolej. Powiedz mi, dlaczego wasze drogi, twoja i twojej siostry, tak bardzo się rozeszły.

Nie miała nic przeciw temu pytaniu. Zabrzmiało bardzo naturalnie, jakby znali się od dziecka i powierzali sobie najbardziej intymne sekrety. Podczas poprzedniego spotkania Robert opowiedział jej, czemu utracił wiarę. Kształcił się na księdza, a Francuzi wymordowali wszystkich członków jego rodziny, torturując ich uprzednio. Wtedy został partyzantem. A potem, kiedy wojna już się skończyła, miał dość samego siebie. Nie mógł przebywać w Hiszpanii. Zbyt wiele bolesnych wspomnień łączyło się z tym krajem.

Na jego pytanie odpowiedziała całkiem rzeczowo:

- W domu nie byłam szczęśliwa. Wpadłam w złe towarzystwo, bardzo rozbawione. Pewnego razu jeden z tych niby-przyjaciół zgwałcił mnie. A ja sądziłam, że go kocham! Potem przeproszał, tłumaczył, że poniosły go zmysły. Żeby to naprawić, zaproponował mi małżeństwo, lecz z jakichś skomplikowanych przyczyn miało ono zostać utrzymane

w tajemnicy. Wciąż go kochałam, wybaczyłam i uciekliśmy razem. Ale kłamał - nie zamierzał się ze mną ożenić. Zamiast żoną zostałam jego kochanką. W ten sposób Amy Spencer rozpoczęła swoją karierę.

- Wrotham! - wtrącił pogardliwie.

Zaskoczyła ją ta uwaga.

- Nie, dlaczego? To nie był on.

- To czemu Catherine tak go nienawidzi?

Przypatrywał się jej uważnie, nie odzywał się, nie potepiał. I wtedy opowiedziała mu tę całą plugawą historię.

- Pewnego razu spotkałam Marcusa w Vauxhall Gardens. Byłam w towarzystwie. Rozmawialiśmy - no wiesz, jak to jest - wszyscy uważali, że to świetnie poznać taką znakomitość. Poza tym był młody, bogaty, z tytułem. To się stało tej samej nocy, kiedy wróciłam do domu. Straszliwie pokłóciłam się z ciotką. Wygadywała o mnie potworne rzeczy: że nigdy do niczego nie dojdę i tak dalej. Na odczepnego rzuciłam jej pierwsze nazwisko, które przyszło mi do głowy. „Earl Wrotham jest we mnie zakochany! - oznajmiłam. - Zostanę hrabiną”. Im bardziej ciotka ze mnie szydziła, tym bardziej ubarwiałam swoją opowieść. Niebawem zaczęłam okłamywać również Cat.

- Przycisnęła dłoń do oczu. - To ona mnie znalazła wtedy, kiedy zostałam zgwałcona. Nie wyglądałam pięknie. Siostra chciała koniecznie wiedzieć, czy zrobił to Wrotham. Nie mogłam zdobyć się na to, by jej powiedzieć, że to sprawka mężczyzny, którego kochałam. Naciskała i naciskała, aż w końcu na odczepnego powiedziałam jej, że tak, to był Wortham. Wtedy wydawało się to najprostszym wyjściem z sytuacji.

Robert ujął Amy pod brodę, przyjrzał się jej uważnie.

- Musisz powiedzieć Cat prawdę.

- Dlaczego muszę? To stare dzieje. Marcus nic dla niej nie znaczy, przynajmniej ona tak twierdzi. - Amy wyprostowała się. - Sugerujesz, że mnie okłamała?

- Niczego takiego nie twierdzę. Mówię jedynie, że powinnaś powiedzieć jej prawdę, bo tak należy postępować.

W jego oczach nie było ani niechęci, ani potępienia - jedynie współczucie. Rozpłakała się, sama nie wiedząc czemu.

- Powiem jej.

- Zaczniemy nasz piknik już teraz. Kiedy będziemy w Chelsea, pospacerujemy nad rzeką. - Robert uśmiechnął się.

- Pospacerujemy? W takim deszczu?

- Wypogadza się. Trochę wiary, a będziesz mogła przenosić góry. Zaufaj mi.

Mylił się. Wciąż padało, kiedy dotarli do Chelsea.

- Ostrzegałam cię. - Była zadowolona, że może mu dokuczyć.

To nie powstrzymało Roberta. Lamentowała i protestowała, lecz wyciągnął ją z powozu.

- Idziemy - zarządził.

I szli tak przez deszcz. Amy nigdy przedtem nie zaznała takiej radości. Wszystko ich bawiło, sprawiało im przyjemność.

- Chyba oszaleliśmy - powiedziała w pewnej chwili, śmiejąc się.

- Nie. Po prostu jesteście w sobie zakochani.

- Chciałabym, żeby to było takie proste, Robercie. - Uśmiech zniknął z jej twarzy.

Piskliwy męski głos zagłuszył odpowiedź jej towarzysza.

- To ona. Mówię ci, że to ona. Amy! Amy! Nie pamiętasz mnie?

Czterech młodych niesfornych elegantów wysiadało z powozu, który zatrzymał się na Chelsea Road. Wyglądało na to, że przebalowali całą noc, a teraz wracają do domów.

- Nie pamiętasz mnie, Amy? - To był Harry Simpson. - Mój kuzyn zabrał mnie kiedyś na jedno z twoich przyjęć. - Czknął.

- Przyłącz się do nas, pogadamy o starych czasach.

Ta ostatnia propozycja wywołała aplauz jego przyjaciół. Dwaj z nich zaczęli wlec kobietę do powozu.

- Zostawcie ją! - rzucił El Grandę głosem, który momentalnie ostudził zapędy nachalnych młodzieńców.

- Dobry Boże! - wykrzyknął Simpson przyglądając się

Robertowi, jego siermiężnemu, znoszonemu ubraniu, które z pewnością nie wyszło spod ręki londyńskiego krawca. - Kim ty jesteś? Lokajem? Idź w swoją stronę, człowieku, zanim dzielę cię batem.

Amy szarpała się i protestowała, lecz nie była specjalnie przestraszona. Wiedziała, jak sobie radzić z młodymi byczkami, którzy wypili o kilka kolejek za dużo. Nie było jej jednak dane tym razem oczarować ich swoim szatańskim wdziękiem. Potknęła się i przewróciła. Wstała - już nie tak dostojnie - i zaczęła krzyczeć.

El Grandę, rycząc z wściekłości, runął na prowadzyciela bandy. Roztrzaskał mu pięścią twarz, aż krew bryznęła na obu mężczyzn. Wszyscy na moment zamarli, lecz Amy zauważyła kątem oka, że koledzy pobitego ruszyli na odsiecz. Jeden miał w rękę laskę. We trzech przewrócili Roberta i zaczęli go kopać.

Amy wrzasnęła i rzuciła się mu na ratunek. Silny cios powalił ją na kolana. Krzycząc histerycznie, znów skoczyła na napastników. Jeden ją odciągnął, reszta pastwiła się nad El Grandę. Przyglądała się temu ze zgrozą. Każdy kolejny cios przewyższał zajadłością poprzedni. Trwało to wszystko zaledwie sekundy, ale były to najdłuższe sekundy w życiu Amy. Kiedy wreszcie odstępili, Robert usiłował uklęknąć, lecz runął na plecy.

- Zapłacisz za to! - wrzeszczała Amy, straciwszy zupełnie panowanie nad sobą. - Poznałam cię, Harry Simpson! Podam cię do sądu!

- Zrób to! - odpowiedział jej szydyczko. - Jaki sąd cię wysłucha? Jesteś tylko starą kurwą.

Zatrzymał się jakiś powóz, wyskoczył z niego mężczyzna i pognął w ich stronę nabrzeżem. W rękę trzymał pistolet.

Napastnicy wycofali się i wrócili do swego pojazdu. Amy chwiejnie ruszyła za nimi, usiłując ich zatrzymać.

- Bydlaki! Nie wykręcicie się z tego! Nie wykręcicie! Przysięgam!

- Stara kurwa! - usłyszała w odpowiedzi.

Reszta podjęła to jak refren piosenki i za chwilę już wszyscy wyśpiewywali:

- Stara kurwa! Stara kurwa! Stara kurwa!

Ich powóz potoczył się Chelsea Road.

Szlochając rozpaczliwie, ukłękła koło Roberta. Nieznajomy, który przyszedł z pomocą, pochylił się nad leżącym.

- Nie jest poważnie ranny. Kości są całe - odezwał się.

- Ale... czy pani jest Amy Spencer?

Zagadnięta przytaknęła, lecz nadal wpatrywała się w El Grandę. Jego twarz była wymazana krwią i kurzem. Przystało padać, lecz Amy nawet nie zwróciła na to uwagi. Wyjęła chusteczkę i zaczęła ocierać mu oblicze. Kiedy wreszcie otworzył oczy i spojrzął na nią, znów wybuchnęła nie kontrolowanym szlochem.

Za to, co się wydarzyło, obwiniła siebie. Wiedziała, że igra z ogniem, ale nie spodziewała się czegoś takiego. Gotowa była zapłacić za wszystko jakąś cenę, ale nie taką, nie taką. Czuliła się obnażona, zbrukana z powodu swoich uczynków. „Stara kurwa”. Wciąż dźwięczały jej w uszach te obrzydliwe słowa. Nie wolno dopuścić, aby to się powtórzyło.

- Amy? - wymamrotał Robert, unosząc się na łokciu.

- Proszę złapać mnie za szyję - odezwał się ich wybawca.

Woźnica zeskoczył z kozła, kiedy zobaczył, że się zbliżają, i zaczął im pomagać. Niestety, nie widział walki, stał za rzędem wierzb.

W powozie El Grandę powoli przychodził do siebie.

- Jak się czujesz? - spytała Amy.

Rozmasował szczęki.

- Jakby przejechał po mnie powóz. Wyszedłem z wprawy, a oni mnie zaskoczyli. - Zobaczył wyraz jej twarzy i zamilkł.

- To może mnie zrujnować - odezwała się Amy. - Nie musisz mi pomagać. Siedzę w kieszeni u takich młodych ludzi jak Harry. Jutro wieczór wydaję przyjęcie, a tylko Bóg jeden wie, czy w ogóle przyjdą jacyś goście. Simpson może na to nie wygląda, ale ma spore wpływy.

- Chcę się z tobą ożenić i zabrać cię do Hiszpanii - powiedział cicho.

- Do Hiszpanii? - Roześmiała się, choć śmiech prawie uwiązał jej w gardle. - Cóż ja bym robiła w Hiszpanii?

- Byłabyś moją żoną. Mielibyśmy dzieci. Pomogłabyś mi odbudować to, co straciłem.

- Wszystko, czego mi potrzeba, mam tu na miejscu. Myślałam, że to rozumiesz.

„Boże, przebac mi” - pomyślała.

- Słyszę twoje słowa, Amy, ale nie wierzę, że płyną z serca.

- Robercie, gdybyś znał mnie naprawdę, wiedziałbyś, że nigdy nie pozwalam, by uczucia wzięły górę nad rozumem.

Zajechali pod jej dom. Wskoczyła z powozu, nim zdążył ją zatrzymać.

- To pożegnanie, Robercie.

Nic więcej już nie dodała. Wiedział, że Amy w tej chwili naprawdę tak myśli.

18

Catherine stała na galerii Wielkiej Sieni i spoglądała na tłum kłębiący się poniżej. Przyjęcie wydane na jej cześć było w pełnym toku; ziemiaństwo z rezydencji odległych nawet o całe mile przybyło, by złożyć lady Wrotham wyrazy szacunku. Obok dziewczyny stał Tristram, plotąc coś o hodowli koni.

Wodziła oczami za Marcusem. Tancerze rozstąpili się i spostrzegła męża z piękną kobietą ubraną w zwiewną biało-złotą tkaninę. Już po raz drugi była partnerką Marcusa.

- Tristram - nie zauważyła nawet, że przerwała chłopakowi w pół zdania - kim jest ta kobieta tańcząca z Marcusem?

Spojrzał na tancerzy, oko mu rozbliżyło.

- To - odezwał się - jest lady Elizabeth Proudfoot. - Zorientował się, że nic jej to nie mówi, i zacisnął usta.

- Ale kim ona jest? - spytała podejrzliwie.

- Och, to kobieta, która porzuciła Marcusa. Myślałem, że wszyscy o tym wiedzą - zająknął się.

- Ach! - Nic więcej nie przyszło jej do głowy. Musiała się odwrócić się, aby ukryć zaskoczenie.

- To się zdarzyło lata temu - zaczął opowiadać Tristram. - Marcus był wtedy w moim wieku, zaręczyli się. Elizabeth go porzuciła, kiedy trafiła się jej lepsza partia.

- Lepsza? - Nie mogła sobie wyobrazić lepszej partii od Marcusa.

- Książę - wyjaśnił Tristram, przeklinając się za to, że nie trzyma języka za zębami. - Lecz nie wyszła za niego; sędziwy książę jeszcze przed ceremonią dostał ataku. W końcu poślubiła jednego z naszych sąsiadów.

- Który z panów jest jej mężem?

- Ach, stary Proudfoot umarł wiele lat temu. Catherine, nie patrz tak na mnie. Jeśli Marcus kimś gardzi, to właśnie kobietami takimi jak Elizabeth. Sam słyszałem, jak ją nazwał wyrachowaną... hmm... wiedźmą.

Dziewczyna roześmiała się, lecz po chwili śmiech uwiązał jej w gardle. Od czasu wypadku na schodach w baszcie bezustannie powtarzała sobie, że nie może ufać nikomu. Tymczasem znowu brała wszystkich i wszystko za dobrą monetę.

Spojrzała kątem oka na Tristrama. Nie wyobrażała go sobie jako mordercy. Lecz to samo mogła powiedzieć o wszystkich pozostałych mieszkańcach zamku. Znalazła się w impasie, nie potrafiła podjąć decyzji. Prowokowała katastrofę.

Zdała sobie sprawę, że chłopak przygląda się jej zaintrygowany.

- Nie sądziłam, że tak wiele osób przyjdzie życzyć nam szczęścia - wybrnęła z kłopotliwego położenia.

- Tak, Marcus może być dumny. Ostatnio widziałem taki tłum z okazji pełnoletności brata. Byłem wtedy małym chłopcem, ale pamiętam.

- A od tamtej pory wydawano jakieś bale?

Przestępował z nogi na nogę.

- Wiesz, jak to jest z moją matką. Gdyby nie chodziło o Marcusa, połowa tych ludzi znalazłaby jakąś wymówkę, żeby nie skorzystać z zaproszenia. Lecz nie tylko w tym rzecz - dodał lojalnie. - Mama też nie dba zbyt wiele o to towarzystwo.

- Ależ ona jest taka promienna! - powiedziała Catherine z emfazą, spoglądając na wdowę.

Tristram również dostrzegł matkę wirującą z Pennem w tańcu ludowym.

- To dlatego, że Penn jest dziś w najlepszym ze swoich nastrojów, a Samantha zrobiła wrażenie na miejscowych kawalerach - wyjaśnił Tristram.

Taniec się skończył. Marcus ruszył po schodach w kierunku Catherine. Nie patrzył dziewczynie w oczy; kiedy się przed nią zatrzymał, serce zabiło jej żywiej.

- Następny będzie walc. Chciałbym go zatańczyć z moją żoną. - Nie uśmiechał się. Był bardzo poważny i bardzo, bardzo przystojny.

Ujął jej dłoń. Oboje mieli rękawiczki, lecz mimo to dziewczyna poczuła bijące od męża ciepło. Jeśli to tylko wytwór jej wyobraźni, to bardzo realistyczny. Była tak świadoma jego bliskości, że z trudem łąpała oddech.

Na parkiecie, kiedy trzymał ją w ramionach w oczekiwaniu, aż zabrzmie muzyka, było jeszcze gorzej. Słyszała tuż przy swej piersi uderzenia serca Marcusa, na policzku czuła gorący oddech. Wpatrywał się w nią z poważną, skupioną intensywnością. Zaczęła drżeć. Pamiętała to spojrzenie. Rozmawiali po cichu w celi mnicha w bazie El Grande, aż nagle przychodził taki moment, że nie mieli już sobie nic do powiedzenia. Spoglądał wtedy jej w oczy tak samo jak teraz, a dziewczynie zasychało w ustach. Wiedziała, że mężczyzna myśli o tym samym co ona. Chciała znaleźć się w jego ramionach, kochać się z nim.

Usiłowała powrócić do rzeczywistości. Nie mogła. Lękała się tej myśli, lecz mimo największych wysiłków nie udawało się jej odpędzić: jest w nim zakochana. To dlatego była zazdrosna o Elizabeth Proudfoot. To dlatego jej raporty dla majora Carruthersa nie zawierały żadnych znaczących informacji. To dlatego była tak pogrążona w żalu, że czasem nie chciało jej się wstać z łóżka. Zakochała się w Marcusie.

Orkiestra zagrała, zaczęli wirować. Przytulał ją mocno, zbyt mocno, lecz czy to za jego sprawą, czy też za sprawą muzyki, nie zamierzała się temu przeciwstawić. Suknia ocierała się

o nogi partnera, Catherine czuła jego płynne ruchy, kiedy ją prowadził. Równie dobrze mogli być sami na parkiecie. Wszystko stało się odległe, nie słyszała nawet muzyki. Dla niej istniał jedynie wysoki, ciemnowłosy mężczyzna, który rozpałał ją wzrokiem.

Muzyka w końcu ucichła. Wypuścił ją ze swych ramion. Kilka chwil trwało, zanim złapała oddech. Po raz pierwszy od dawna uśmiechał się do niej; śmiały się również jego oczy.

- Wiesz co, musimy porozmawiać. Przyjdę wieczorem do twojego pokoju - oznajmił.

Była zbyt oszołomiona, by odpowiedzieć od razu, lecz nim przyszła do siebie, Marcus przekazał ją następnemu partnerowi.

Reszta wieczoru przypominała sen. Z jednej strony Catherine miała świadomość, że sprytnie wywiązała się z zadania. Równocześnie jednak w jej umyśle panował zamęt. Po raz drugi w życiu zakochała się w Marcusie i to ją przerażało.

Aż do rozejścia się gości nie opuszczała jej panika, nie mogła opanować drżenia. Wiedziała jedno: musi rozluźnić więzy łączące ją z Marcusem.

Gdy mąż do niej przyszedł, wymówiła się migreną. Otaksował ją wzrokiem, zawrócił na pięcie i zniknął we własnym pokoju, trzasnąwszy drzwiami.

Pozwoliła pokojówce przygotować się do spania, lecz kiedy została sama, wstała i włożyła ciepłe okrycie. Jakakolwiek czynność, nawet chodzenie wokół własnego łóżka, uspokajała.

Chciała przestać rozpamiętywać uczucia, którymi darzyła Marcusa, lecz to było niemożliwe. Zrozumiała teraz, że nigdy nie przestała kochać tego człowieka. Jak można kochać kogoś, kim się pogardza?

W tym właśnie leżał problem: nie czuła do niego pogardy. Krok po kroku zaczynała go podziwiać, wątpić w słowa własnej siostry; nie mogła uwierzyć, że ją zgwałcił. Równocześnie nie

mieściło jej się w głowie, że Amy mogłaby ją okłamać. Nie wiedziała, czego się trzymać.

Goniła w piętę. Teraz musiała tylko obmyślić plan wywikłania się z tej koszmarnej sytuacji. Misja była skończona. Należało się stąd wydostać.

Wyrzała przez okno. Za podmokłymi łąkami widniało miasteczko; jego światła mrugały do niej. Dalej były torfowiska - najlepszy teren do jazdy konnej w trzech hrabstwach, jeśli dać wiarę Tristramowi. Marzyła, żeby dosiąść Vixen, pogalopować przez wrzosowisko, poczuć wiatr we włosach. Zbyt długo przebywała już w zamknięciu - więźniarka odgrywanej przez siebie roli.

Przeprowadziła własne dyskretne śledztwo, aby się dowiedzieć, gdzie znajdowali się wszyscy mieszkańcy zamku podczas jej przechadzki po murach obronnych. Żaden z mężczyzn, nawet Tristram, nie miał alibi. Jego nauczyciel, kapelan, został wezwany do łoża śmierci jednego z parafian. Myśliwi się rozproszyli, toteż nie mogli ręczyć za Davida i Marcusa. Jedynie Helen i Samantha nawzajem potwierdziły swoje miejsce pobytu.

Zastanawiała się, czy może być w to zamieszany któryś ze służących. Lecz oni wszyscy pochodzili z tych okolic i od lat pracowali dla wdowy. Nie mogła więc się dopatrzeć niczego podejrzanego. I tak koło się zamknęło. Kto inny oprócz męża chciałby wyrządzić jej krzywdę?

Położyła się na łóżku, aby to jeszcze raz przemyśleć, lecz wszystko wydawało się coraz bardziej pogmatwane. Musi się zdrzemnąć i dopiero kiedy dojdzie do siebie, kiedy będzie miała jasny umysł, zadecyduje, co trzeba robić. Może wymyślić jakiś pretekst, pojechać do Londynu i skontaktować się z majorem? Powie mu, że wszyscy, z El Grandę włącznie, muszą zaufać Marcusowi. Powinni wyłożyć karty na stół. A potem - nie wiadomo jeszcze jak - ona się przyzna, że jest Cataliną. Wspólnie zadecydują, co dalej.

Szybko wstała, podbiegła do okna. Przeczesawała palcami włosy, gładziła się po twarzy, wyobrażając sobie gałopadę po wrzosowiskach.

Długo gapiła się przez okno. Niespodziewanie znalazła wyjście z sytuacji i zaczęła się ubierać.

Marcus ściągnął wodze. Wierzchowiec stanął dęba, potężne przednie nogi przez chwilę młóciły powietrze, lecz jeździec opanował zwierzę, dotykając ostrogami jego boków, i pomknęli naprzód. Przesadzili ogrodzenie, nie bacząc na ciemności. Marcus znał tu każdą piędź ziemi, każdą szczelinę, głąz i kamień. Wielokrotnie pokonywał na Tarquinie tę trasę.

Dotarli na szczyt i kasztan z przyzwyczajenia skręcił w lewo, lecz jeździec osadził konia w miejscu. Marcus spoglądał na dolinę: z jednej strony światła miasteczka, z drugiej zamek, w nocy niezbyt widoczny. Droga powrotna wiodła przez stary kamienny most nad rzeką Avon, gęste lasy i żyzne pola leżące teraz odłogiem. Za nim rozciągały się torfowiska. To jego dominium, jego dom. Przyjemne uczucie.

Trochę niżej dwóch stajennych, siedząc na wspaniałych koniach ze stadniny Wrothamów, cierpliwie czekało na Marcusa. Pozdrowili go tylko. Przywykli już do tego, że ich pan ma dziwny zwyczaj jeżdżenia późną nocą. Marcus przypuszczał, że uważają go za hazardzistę bądź dewianta. Albo za obu równocześnie. Może i mieli rację. Wiedział jedno: jeśli nie zagoni sam siebie do upadłego, to przez pół nocy nie zmrúży oka. Rozbudzony, zniecierpliwiony, będzie cierpiał z powodu nie zaspokojonego pragnienia. Przykry stan dla mężczyzny, który zazwyczaj mógł mieć prawie każdą kobietę.

Miał wystarczające doświadczenie, żeby wiedzieć, że i Catherine może być jego. Nie chciał jej jednak uwodzić. Pragnął, żeby sama do niego przyszła i nie żałowała swojego wyboru. Jeśli udałoby się odnaleźć Catalinę, jutro wzięłyby rozwód w Szkocji - potrafiłyby ją do tego nakłonić. Nic nie szkodzi, że

Cat wiedziała o tym wszystkim. Nigdy nie zadawałaby się z żonatą mężczyzną, miała swoje zasady.

Problem polegał na tym, że choć szanował jej skrupuły, nie łagodziło to jego charakteru. Frustracja czyniła go twardym, chłodnym, zdystansowanym; powodowała, że za każdym razem zwał na nią winę. Wpadł we wściekłość, kiedy się dowiedział, że chciałyby napisać artykuł oparty na obserwacji Penna. Przemyślawszy sprawę, uświadomił sobie, że tak naprawdę to lękał się, żeby i on sam nie stał się pierwowzorem którejś z opisywanych przez nią postaci. Nie dbał szczególnie o to, że poświęcała uwagę Pennowi jako bohaterowi reportażu, póki on, Marcus Lytton, interesował ją jako mężczyzna.

Obserwując ją dziś wieczór podczas walca, nabrał pewności, że się co do niej nie pomylił. Kochali się na parkiecie, na oczach setki ludzi. Catherine w jego ramionach była uległa, reagowała na każdy ruch. Nie myślała o tańcu, tylko o łóżku, i zdawała sobie z tego sprawę. Powietrze pomiędzy nimi było naelektryzowane. Na moment stracił poczucie rzeczywistości, wrócił do celi mnicha w hiszpańskim klasztorze. Pamiętał, jak Catalina urwała w pół zdania i niezwłocznie wyszła z pokoju, kiedy zapomniał o powściągnięciu swoich uczuć.

Niepokoili go zakłopotanie, którego doświadczał wobec Cat i Cataliny. Tylko te dwie kobiety zdołały poruszyć w nim tę prymitywną stronę natury, która nakazywała sięgać i brać. Nie tak zwykł zabierać się do rzeczy. Może nie był najbardziej moralnym człowiekiem na świecie, ale miał swój kodeks honorowy. Na tym też polegała różnica pomiędzy Cat a Catalina: pierwsza jest honorowa, druga to podstępna mała dziwka.

Myśl o Catalinie na nowo podsyciła jego gniew. Cierpliwość zaczynała się wyczerpywać. Minał już ponad miesiąc od czasu, kiedy wprowadził Cat do towarzystwa; najpierw w Londynie, później we Wrotham, lecz ani Catalina, ani El Grandé nie próbowali się z nim skontaktować.

Czas przejść do następnego etapu planu: Catherine jako Catalina musi wysunąć roszczenia do posiadłości El Grandę. Marcus nie przemyślał jeszcze wszystkiego do końca. Powinni jednak zatrudnić prawników, aby dziewczyna nie musiała jechać do Hiszpanii. Jeśli to nie wypłoszy tamtych dwojga z kryjówki, to sam już nie wiedział, co innego mogłoby odnieść skutek.

Delektował się zimnym podmuchem, który mierzwił mu włosy. Tarquin tańczył pod nim, szarpał wędzidło. Marcus roześmiał się, popuścił wodzy, koń runął naprzód. Stajenni zaklęli pod nosem, spoglądając na oddalającego się jeźdźca.

Scandalous

19

Catherine bez trudu wydostała się z zamku. Kręciło się tam mnóstwo ludzi, głównie dostawców i służących, toteż w znoszonych odzieży, w płaszczu z kapturem zakrywającym pół twarzy doskonale wtopiła się w tłum. Odźwiernemu przy bramie powiedziała, że jest dziewczyną ze wsi i wraca od ukochanego, który został zatrudniony z okazji balu jako kucharz. Na szczęście nikt jej nie zatrzymał, a nawet nie przyjrzał się uważniej.

Kłopoty zaczęły się w zabudowaniach mieszczących stajnię i psiarnię. Spodziewała się, że będzie tam zupełnie ciemno, kiedy jednak wyszła zza rogu budynku w kształcie podkowy, zobaczyła, że pali się kilka latarni, a na podwórzu kłóca się mężczyźni: Tristram, Penn i trzeci, ubrany w żółtą liberię Wrothamów, bez wątplenia stajenny. Ukryła się w ciemnej siejii. Penn zwał się właśnie na ziemię, Tristram i koniuszy pomagali mu wstać.

- Nie chcę do łóżka! - wydzierał się Penn, usiłując się uwolnić. - Chcę do wsi. Skończyła mi się brandy, niech was diabli! Muszę mieć następną butelkę. Smollet, jesteś cholernym kundlem... kapusiem. Oto, czym jesteś. Miałem rację, że chciałem cię odprawić.

- Tak, sir - odparł stajenny unieżenie.

- Powinieneś być wdzięczny, że Smollet nie pozwolił ci jechać. - W głosie Tristrama brzmiała furia. - Pewnego dnia skręcisz kark, a przy okazji zmarnujesz dobrego konia.

Brat i służący na poły nieśli, na poły wlekli TristF&ma przez podwórze. Catherine nie czekała, aż się zbliżą. Przeszła wzdłuż psiarni, zaczęła się za rogiem. Kłótnia Tnstrama z Pennem rozbudziła psy, które zaczęły wściekle ujadać, rzucając się na drzwi drewnianych boksów. Nie przerwały naszczekiwania, gdy ludzie zniknęli już w mroku.

Długo jeszcze Catherine trwała w bezruchu, serce jej łomotało. Potem szybko i cicho wróciła na podwórze. Stojący przy konowiazie wałach podniósł łeb, kiedy podeszła. Był łśniący-czarny, ze sterczącymi do przodu uszami i rozszerzonymi nozdrzami. Wielkie czarne oczy patrzyły raczej z zaciekawieniem niż strachem. Catherine miała wrażenie, że i ona poddawana jest starannym oględzinom.

- Pięknyś, koniku - szepnęła. - Ty jesteś Charon Tnstrama, czyż nie tak? Andaluzjczyk. Jesteś tak dobry, jak powiadają?

Przecięgnęła ręką po długiej gładkiej szyi - koń cicho zarżał. Sprawdziła popręg, dociągnęła. Rozejrzała się, po czym dosiadła wierzchowca na męską modłę. Koń zareagował natychmiast na delikatne ściśnięcie kolanami, ruszył stępa. Od dającej schronienie ciemności dzieliło ich kilka kroków. Psy wciąż ujadały. Minie trochę czasu, nim się uspokoją i nim wróci Smollet, aby obrządzić konia Tristrama. Catherine miała nadzieję, że stajenny dojdzie do wniosku, iż Charon spłoszył się i uciekł, kiedy rozszczekały się psy. Po powrocie do zamku zamierzała puścić wolno wałacha, aby pomyślano, że sam odnalazł drogę do domu.

Dotarła do podmokłych łąk, skręciła. Na łagodnym wzniesieniu rozejrzała się. Bryza marszczyła powierzchnię rzeki, powietrze pachniało jakąś pierwotną świeżością, było chłodne jak księżyc nad jej głową. W oddali płonęły światła wioski.

Charon nie był zadowolony z postoju. Walił kopytami, szarpał wędzidło, tańczył, kiedy Catherine usiłowała go okiełznać. Zupełnie jakby mówił dziewczynie, że nie musi być taka lękliwa, bo on ma śmiałości za ich dwoje.

Roześmiała się, czując rosnącą ekscytację. Zdawało się, że wieki upłynęły od czasu, kiedy dosiadała konia takiej klasy jak

Charon. Mięśnie zwierzęcia drgały i napinały się. Wyczuwała drżącą w nich siłę, którą mogła wyzwolić jedną komendą. Był jej posłuszny. Czy mogła się temu oprzeć?

Popuściła cugli i pozwoliła andaluzyjczykowi biec wedle własnego uznania. Zarżał, ogromnie zadowolony z takiego obrotu sprawy. Podrygiwał i tańczył, przeszedł w krótki galop, wydłużył krok, aż zaczęli unosić się nad murawą niczym jaskółki.

Catherine ani przez moment nie wątpiła, że Charon wie, dokąd zmierza. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa koń, niosąc na grzbiecie Tristrama, wielokrotnie pokonywał tę trasę. Gdyby andaluzyjczyk należał do Penna, nie byłaby zdziwiona, jeśli pobiegłby „Pod Czarnego Dzika” we Wrotham i zostawił ją przy bufecie.

Przypomniało jej to żalną scenę, której dopiero co była świadkiem. Tak, Penn potrzebował pomocy, lecz nie wiedziała, jak się do tego zabrać. Jej ojciec przestał pić, kiedy umarła młoda kobieta, jedna z jego pacjentek. Nie zawinił, lecz mimo to oskarżał siebie o tę śmierć. Po tym wypadku nie pozwalał trzymać alkoholu w domu.

Nagle dostrzegła przybliżający się bezszelestnie cień. Zareagowała natychmiast, zupełnie nieświadomie. Rozejrzała się, opanowała wierzchowca, dotknęła piętami boków zwierzęcia. Charon zebrał się w sobie, spał i bez wysiłku pokonał przeszkodę.

- Niech to szlag! Ogrodzenie! - wymamrotała Catherine.

Koń bezbłędnie wylądował po drugiej stronie. Dziewczyna ściągnęła wodze, odwróciła się, by spojrzeć na płotek, który właśnie pokonali.

Ciemno, lecz księżyc był dostatecznie jasny, aby mogła rozróżnić kształty i cienie. Zorientowała się, że nie jada już tą samą ścieżką, lecz równoległym do niej szlakiem. Z pewnością Tristram i jego koń woleli bardziej niebezpieczne trasy.

- Niech to będzie dla mnie nauczka. Nieroztropnie zdawać się wyłącznie na konia, zwłaszcza gdy jest takim świetnym skoczkiem - powiedziała, klepiąc Charona po szyi.

Wierzchowiec zastrzygł uszami, zupełnie jakby chciał zrozumieć, co powiedziała amazonka. Rzucił łbem, zarżał, spojrzął ku rzece. Dwa jelenie sadziły w podskokach, kierując się w stronę zaniku. Nie było jej jednak dane nacieszyć się widokiem umykających spłoszonych zwierząt. Z ciemności wyłoniły się sylwetki trzech jeźdźców.

Catherine wykazała się refleksem. Złapała za kolbę pistoletu, wyszarpnęła go z wewnętrznej kieszeni płaszcza.

- Kto tam? - zapytał męski głos. Głos Marcusa!

Zamarła na moment. Nie dowierzała własnym uszom. Potem popuściła cugli, zdając się na Charona.

Wszystko wydarzyło się równocześnie. Pistolet wypalił liespodziewanie, kamienie i kawałki torfu uderzyły konia po logach, wierzchowiec stanął dęba tak, że o mało nie wysadził jej z siodła. Przywołała go jednak do porządku i zwierzę ikoczyło do przodu. Jeden z napastników usiłował ich powstrzymać. Tuż nad głową Catherine przeleciała kula. Strzał Btrzegawczy.

- Kenyon, Harley, rozproszyc się! - wydierał się Marcus.

Zwyciężył instynkt. Catherine wiedziała, że mąż dopędzi ją w bezpośrednim pościgu, toteż chciała znaleźć się wyżej, gdzie będą przeszkody do omijania.

Musiała pierwsza dotrzeć do zamku. Jeśli się to nie uda, Marcus zorientuje się, że ma do czynienia z Cataliną. Catherine nigdy nie zabrałaby andaluzyjczyka.

Nie może zdradzić swojej tożsamości, jeszcze nie teraz, nie bez zgody majora Carruthersa. Gdzieś w głębi jej umysłu odżyły dawne wątpliwości. Zelektryzowało ją to - była całkowicie o władnięta myślą, że za wszelką cenę musi uciec przed przeladcom.

Charon ruszył ku drzewom. Catherine obmyśliła sobie trasę. Na północ od zaniku były klify przechodzące w zwykłe wzniesienie. Okrążywszy klify, będzie mogła przedostać się przez las oraz bagniste i podmokłe pagórki, nie dające żadnej Mony prócz kilku karłowatych drzew, kęp jagód i jałowca.

Bliżej zamku płynął strumień, przez który przerzucono drewnianą kładkę. Jeśli przedostanie się na drugi brzeg, będzie bezpieczna.

Przesadziła zwietrzały kamienny mur i kilka wyrwanych odłamków doleciało aż do granicy lasu. Kiepską jednak stanowił osłonę: drzewa były cienkie i bezlistne. Podłoże stało się bardziej pofałdowane i Catherine musiała przyhamować nierówny bieg konia.

Zjeżdżała z nasypów, przeskakiwała rowy i żywopłoty, lecz wciąż słyszała za plecami tętent koni ścigających ją mężczyzn. To była dzika, szalona, lecz jednocześnie odurzająca jazda, podniecająca na wszelkie możliwe sposoby.

Dużo później, kiedy wyjechała już z lasu, ściągnęła cugle. Wedle własnej kalkulacji okrążyła podstawę klifów i znalazła się po drugiej stronie zamku. Droga pogarszała się, ginęła w bagnach i leśnym poszyciu. Przez chwilę Catherine zastanawiała się nad następnym posunięciem. Nim zdążyła popędzić wierzchowca, rozległ się wrzask prześladowcy. Krzyknęła. Charon dał susa, wierzgnął zadem, załomotał kopytami, rżąc z przerażenia.

- Stać! - głos Marcusa dochodził gdzieś z prawej strony.
- Teraz cię mam!

Groźba, że zostanie rozpoznana, dodała Catherine skrzydeł. Jak strzała wyprysnęła ze schronienia, które zapewniały drzewa. Mężczyźni pędzący z tyłu przeklinali, Marcus rozkazywał im wrzeszcząc. Dziewczyna pochyliła się w siodle, przyłgnęła do szyi konia. Pędzili w noc pełną kształtów i cieni.

Kula wystrzelona przez jednego z prześladowców gwizdnęła im nad głowami akurat wtedy, kiedy Charon przesadzał rów. Koń potknął się, zrzucił amazonkę. Usiłowała się podnieść, nie poddając się oszołomieniu spowodowanemu upadkiem. Zwierzę pozbierało się natychmiast, wyprysnęło z miejsca jak zając. W parę chwil później przegalopowały obok, wściekle łomocząc podkowami, konie uwożące Marcusa i jego kompanów.

Catherine była sponiewierana i potłuczona, lecz nie ranna. Wciągając powietrze do płuc, klęknęła, nie miała jednak siły, aby stanąć na nogi. Czekwała więc skulona, aż jej oddech się ustabilizuje.

Poprzez mgłę zaczęły docierać do Catherine nocne odgłosy. Pohukiwanie sowy, trzask gałązki, szmer powodowany przez jakieś małe zwierzę przebiegające kilka stóp od niej. Po paru minutach wstała. Znowu miała kłopoty z oddychaniem. Stwierdziła, że znajduje się na polanie, i wybuchnęła nerwowym śmiechem. Boże, to nie jest odpowiednia chwila, żeby wpadać w histerię! Przecież w Hiszpanii bywała w gorszych opałach. Partyzanci nie popadają w panikę. Zbierają się i ruszają dalej.

El Grandę zawsze ją uczył, że żołnierz musi najpierw zadbać o broń. Namacała pistolet, pokuśtykała do najbliższych drzew. Schowała się za jałowcem, oparta plecami o powalony pień. Teraz, kiedy zaczęła myśleć jak partyzant, poczuła się nieco lepiej.

Z wewnętrznej kieszeni płaszcza wyjęła nie naładowany pistolet i ceratowy woreczek, w którym były kule i rożek z prochem. Kiedy przyjechała do Portugalii, ojciec wyjaśnił jej, jak obchodzić się z pistoletem, lecz dopiero El Grandę nauczył ją, jak szybko przeładowywać broń i oddawać trzy strzały na minutę. Bardzo pożyteczna umiejętność w starciu z doborowymi napoleońskimi jednostkami. Te gesty stały się jej drugą naturą i mogła je teraz wykonywać z zawiązanymi oczami.

Trzymając broń i kulę w lewej ręce, prawą podsypała prochu z rożka. Umieściła pocisk, dwoma uderzeniami stempla wbiła go na miejsce, prędko zlustrowała broń od kolby aż po czubek lufy, odwidła kurek lewym kciukiem. Odrobina prochu na panewce i broń wypali.

Przełożyła pistolet do prawej ręki i dość długo się rozglądała. Nie zamierzała oczywiście strzelać do Marcusa. To była obrona - groźba, do której się ucieknie, jeśli zostanie zagnana w ślepy zaułek.

Poczuła dreszcze. Desperacko walczyła o wolność i nie

przyszło jej do głowy zastanowić się, czemu Marcus jeździł konno o tak późnej porze. Teraz, kiedy zaczęła o tym myśleć, każde wyjaśnienie było bardziej złowieszcze od poprzedniego. Starła się rozumować racjonalnie. Nie mogła wpaść w pułapkę, bo nie planowała tego wyjazdu. Poza tym Marcus nie wiedział, kim jego żona jest naprawdę. I nie dowie się, o ile nie wróci przed nią do zamku i nie zorientuje się, że Catherine nie śpi w swoim pokoju.

Ponaglana taką perspektywą, zmusiła się do powstania. Usiłowała iść w miarę prędko, ale nogi miała zeszytywniałe i obolałe. Potknęła się i usłyszała odgłos rozdieranego materiału.

Drzewa przerzedzały się. Oparła się o pień górskiego jesionu. Od tego miejsca szlak zaczynał stromo opadać ku drewnianej kładce przerzuconej ponad strumieniem. Stajnia i psiarnia znajdowały się daleko w dole, lecz z powodu ciemności nie można było ich dostrzec. Gdyby przedostała się przez mostek, znalazłaby się o parę kroków od zamkowych murów. Wtedy już poradziłaby sobie bez problemów.

Z głębi lasu doleciał jakiś słaby dźwięk. Pochyliła głowę, żeby lepiej słyszeć. Odgłos przybliżał się, rozpoznała go: ujadanie psów.

Teraz nie mogła przedostać się przez kładkę. Musiała zmylić psy, a na to był tylko jeden sposób.

Zadzierając suknie, zesłała do strumienia. Zęby zaczęły jej dzwonić, zanim jeszcze dotarła do lodowatego potoku. Woda zawirowała wokół jej kolan. Materiał ubrania oplątywał uda. Catherine, kaszłąc, brnęła po kamieniach i nierównych gładkach. Nie zaszła jeszcze zbyt daleko, kiedy usłyszała głosy i tętent końskich kopyt. Rzuciła się do przodu, zapewniając sobie schronienie pod mostkiem. Przyłgnęła do filaru, zacisnęła zęby, żeby nimi nie szczekać.

- No i co mamy tu robić, do diaska? - dobiegły ją słowa kogoś z jeźdźców.

Zorientowała się, że głos należy do młodego Harleya, jednego z koniuszych Marcusa.

- Jego lordowska mość wypuścił kilka psów, żeby złapać kłusownika - odpowiedział zwierchnik stajennych.

- Kłusownika? - parsknął ironicznie Harley, — To nie kłusownik. To panicz Penniston na bani.

- Panicz nie strzelałby do brata.

- E tam, po pijaku mógłby. A co, to nie jego kunia złapalim?

- Jeszcze się nie nauczyłeś odróżniać jednego konia od drugiego? - Ton starszego ze służących był lodowaty. - Czasem wydaje mi się, że do niczego nie dojdiesz. To był koń panicza Tristrama. A zresztą w stajniach powiadają, że panicz Penniston nie wyjeżdżał z zamku. I nie nasza to rzecz gadać o poleceniach lorda Wrothama. Płacą nam za to, żebyśmy robili, co nam każą. Rusz tyłek i wypłosz tego cholernego kłusownika, to będziemy mogli wreszcie iść spać. Musi być gdzieś w pobliżu.

Wreszcie przejechali przez mostek. Catherine wydawało się, że trwa to *wieczność** Nie mogła już dłużej czekać, bó w nogach stawał się nieznośny, musiała wyjść z wody. Wygramoliła się na brzeg, padła twarzą na twardy torf. Dyszała przyciskając usta do fałd płaszcza, żeby oddech jej nie zdradził.

Lecz na tym jeszcze nie kończyły się przykrości.

- Kto tam?! - rozległo się gromkie zawołanie starszego stajennego. - Harley, zejdź na dół, zobacz, o co chodzi - zakomenderował, nie doczekawszy się odpowiedzi.

Usłyszała nawet skrzypienie siodła, kiedy Harley zsiadał z konia. Instykt kazał jej trwać bez ruchu, z twarzą wciśniętą w podłóżę, wtopić się w otoczenie. Na odgłos szurania buciorów wstrzymała oddech. Usilne starania, aby nad sobą panować, tak ją wyczerpały, że zaczęła dygotać. Była na krawędzi paniki, przygryzała wargę.

- A więc to tak! - rozdarł się Harley. - Cholerny jeleni Wrothama! To za nim ugania się nasz kłusownik.

- Co tam?

- Jeleń! - krzyknął młodszy mężczyzna. - Poczekaјta, moje śliczności, pewnego dnia i ja sobie wykroję piękny comber z tej dziczyny - dodał pod nosem.

Catherine nie ośmieliła się podnieść głowy, dopóki nie oddalił się odgłos końskich kopyt. Rozejrzała się w końcu. Zobaczyła kilka płowych jeleni pijących ze strumienia. Poruszyła się, więc uniosły łby, aby się jej przyrzuć. W tym samym momencie rozległo się ujadanie. Zwierzęta zerwały się do biegu i pomknęły do lasu.

Dziewczyna pozbierała się powoli. Nogi miała tak zdrętwiałe, że z ledwością nimi powłóczyła. Posuwała się jedynie siłą woli.

Wydawało jej się, że bluszcz i pędy gęsto porastające zamkowe mury wyciągają ku niej macki, chcąc ją pochwycić. Przytuliła policzek do szorstkiego granitu, jakby witała dawno utraconego kochanka. Serce mocno jej waliło, lecz zaczęła schodzić ku południowej bramie.

Dostać się na dziedziniec było jeszcze łatwiej niż go opuścić, tym bardziej że prześliznęła się między odźwiernymi, zajętymi akurat hałaśliwym wyjazdem muzykantów. Służący wciąż sprząтали salę balową. Chwyliła świecę i popędziła schodami.

Dotarła do swojej komnaty, zarygnowała drzwi, zupełnie bezwolna oparła się o nie plecami. Nie była w stanie myśleć racjonalnie, jeszcze nie teraz. Niebezpieczeństwo minęło i zaczęła odczuwać fizyczne skutki swoich przeżyć: mokrą odzież, obolałe kończyny.

Zrzuciła ubranie, włożyła koronkową koszulę nocną. Zmierzwione włosy szesała z czoła i umocowała szpilkami. Spojrzała na pistolet leżący w szufladzie sekretarzyka i poczuła coś dziwnego. Posłyszała jakiś ledwie dosłyszalny odgłos, skrzypnięcie skóry. Zesztywniała. Potem powoli odwróciła się ku fotelowi, który stał przed kominkiem.

- A więc to byłeś ty, Catalino - odezwał się Marcus.

20

Przez moment gapiła się na niego bezmyślnie. Przecież uganiał się za nią z psami! Słyszała go. Skąd więc wziął się w jej komnacie?

Podniósł się z fotela. Potężna sylwetka męża uświadomiła Catherine jej własną kruchość. Marcus był chłodny, ironiczny i wściekły. Mówił spokojnie, lecz nie było żadnych wątpliwości, że kipi w nim gniew.

- Przypuszczasz, że zostawiłem stajennych samym sobie i wróciłem tu po prostu, aby się upewnić, czy nic ci się nie stało, kiedy włóczyłaś się po nocy? Nie zamierzam pobbłażać kogoś, kto nie dalej jak godzinę temu strzelał do mnie na szlaku dojazdy konnej. To byłaś ty, Catalino?

Chciał, żeby protestowała, broniła swojej niewinności, aby wyzywała go od najgorszych. Nawet teraz, upewniwszy się o jej winie, chętnie usłyszałby jakieś przekonujące wyjaśnienie, czemu jest taka przemoczona i ma podarte ubranie. I coś o tym pistolecie wrzuconym do szuflady biurka.

Stała naprzeciw niego niczym porcelanowa figurka, z pobladłą, znieruchomiłą twarzą, i wpatrywała się w niego nie widzącymi oczami. Marcus zacisnął pięści, ogarnięty białą gorączką wobec tak oczywistej zdrady. Mało brakowało, a rozniósłby Cat na kawałki.

Zrozumiał wreszcie, czemu był tak zakłopotany, usiłując

myśleć o nich jako o dwóch kobietach. Spośród znanych mu niewiast tylko Catalina mogła tak galopować na koniu Tristrama. Jak tylko wszedł do jej komnaty, wszystko ułożyło się w logiczną całość.

Na każdym kroku robiła z niego głupca: wpierw w Hiszpanii jako Catalina, potem w Anglii - już jako Catherine. Patrzył przez palce na jej wyczyny, bo chciał, żeby odgrywała rolę żony. No i sparzył się. A wszystko to za jego przyzwoleniem.

Postąpił krok w jej stronę. Wtedy dopiero jej umysł zbudził się z letargu.

- Marcus, posłuchaj! - krzyknęła, cofając się mimowolnie.
- Musisz zrozumieć, że Catalina i El Grandę nie zagrażają ci. Przez wszystkie te tygodnie spędzone razem mogłam zamordować cię z tuzin razy.

- Prawie ci się to, cholera, udało dziś wieczorem.
- Nie strzelałam do ciebie. Pistolet przypadkowo wypalił.
- Dokąd jechałaś? Co robiłaś? Gdzie jest El Grandę? Kim ty jesteś i czego chcesz ode mnie?

Zapędził ją do kąta. Instykt kazał jej podnieść głowę i wytrzymać spojrzenie Marcusa.

- Naprawdę jestem Catherine Courtney. W Hiszpanii byłam brytyjskim szpiegiem, grałam rolę Cataliny. El Grandę udawał mojego brata.

Nie wydawał się poruszony słowami dziewczyny. Kiedy zrobił kolejny krok w jej stronę, wrzasnęła:

- Daj mi szansę wyjaśnić to wszystko!
- Zacznij od tego, gdzie jest twój współnik.
- Nie ma go tu. Przebywa z mnichami w opactwie Marston.
- To El Grandę jest księdzem? - spytał z niedowierzaniem.
- Był nim kiedyś, nim Francuzi najechali Hiszpanię. Teraz jest jedynie świeckim bratem, mieszka z zakonnikami.
- To z kim miałaś się dzisiaj spotkać?
- Z nikim. Nie mogłam zasnąć. Zeszłam do stajni, zobaczyłam przywiązanego andaluzyjczyka, nie mogłam się oprzeć chęci przejażdżki. To wszystko, Marcus.

- Nie jestem pewien, czy ci wierzyć, ale lepiej wyjaśnij mi po kolei, o co tu, u diabła, chodzi. No, gadaj. Tylko od początku. Chcę wiedzieć dokładnie, jak się w to wplątałaś.

Wszystkie zmysły dziewczyny ostrzegały ją, że znajduje się w niebezpieczeństwie. Wiedział, że ona to Catalina, wiedział o El Grande, ale to było właściwie wszystko. Nie chciała dolewać oliwy do ognia i wspominać o majorze Carruthersie, o tym, że nadal pracuje dla brytyjskiego wywiadu.

- Ktoś zamordował tych wszystkich angielskich żołnierzy - zaczęła. - Obawialiśmy się z El Grande, że możesz na nas rzucić podejrzenia. Poprosiłeś mnie, żebym wystąpiła w roli Cataliny, a my pomyśleliśmy, że to doskonała okazja, aby cię wy badać.

Opowiadała dalej nieskładnie, wybiegając w przód i cofając się w czasie, nie dbając o chronologię. Marcus często przerywał. Po chwili miał już jakiś obraz sytuacji. To z pewnością będzie długa noc: rozmawiali, a on dorzucał bryły węgla do kominka.

- Czemu, do diabła, miałbym kłamać? - spytał w pewnym momencie.

- Mieliśmy jedynie twoje słowo na to, że ktoś napadł cię w Londynie. Byłeś podejrzany, nie mogliśmy powiedzieć ci prawdy.

Jego oczy miały gromy. Po dłuższym milczeniu zapytał:

- Wróćmy do Hiszpanii. Czemu zmusiłaś mnie do małżeństwa? Czemu udawałaś, że próbowałem cię zgwałcić?

Górował nad nią. Był wyższy i silniejszy. Zadarła do góry brodę.

«- Podśluchałam dwóch żołnierzy, którzy o tobie rozmawiali. Dowiedziałam się, że nie jesteś zwykłym kapitanem, za którego pragniesz uchodzić, ale earlem Wrotham. Pomyślałam, że drwisz sobie z moich uczuć. - O Amy nie wspomniała oczywiście ani słowem.

- Nie łzyj! Nie jesteś osobą, którą udajesz! Tu chodzi o coś więcej. Usłyszałaś, że mam tytuł, i połaszczyłaś się na niego i na mój majątek! - Był tak wściekły, że wprost ryczał.

Wtedy zareagowała. Chwyciła go za podbródek, odepchnęła, wymknęła się mu. Otworzyła potężną orzechową szafę, wyciągnęła ciepłe okrycie w wiśniowym kolorze, zarzuciła na siebie. Kiedy znów spojrzała na męża, jej oczy płonęły z nienawiści.

- Posłuchaj, Marcusie Lytton. Nawet całe pieniądze chrześcijańskiego świata nie skłoniłyby mnie do małżeństwa z tobą. Kiedy się dowiedziałam, że jesteś earlem Wrotham i że się ze mnie natrząsas, postanowiłam odpłacić ci pięknym za nadobne. Przypuszczałam, że nim upłynie miesiąc, unieważnisz małżeństwo. Nie wiedziałam nawet, czy jest prawomocne. Do głowy mi nie przyszła myśl o twoich bogactwach. Jak trudno się wyplątać z takiego związku, przekonałam się dopiero po powrocie do Anglii.

Cofnęła się, a wtedy Marcus złapał ją i odwrócił ku sobie.

- Jesteś moją żoną. Przez wszystkie te miesiące trzymałaś mnie na dystans, przypominając, że jestem żonaty. Ale, do cholery, to ty właśnie jesteś moją żoną. Mogę cię mieć, kiedy tylko przyjdzie mi na to ochota.

Nie mógł tego przeboleć: on do niej wdychał, a dziewczyna grała mu na nosie. Pozwolił jej decydować o regułach gry między nimi i bez trudu zapędziła go w kozi róg.

- Jeździsz jak kawalerzysta? - Intonacja miała wskazywać, że jest to pytanie. Nim zdążyła się odezwać, sam sobie odpowiedział: - Niech to diabli, widziałem dziś na własne oczy, że pędzisz jak wiatr!

Catherine przestraszyła się, bo Marcus tracił nad sobą kontrolę.

- Potrafisz obchodzić się z pistoletem. - Zaczepnął głęboko powietrza.

- Tak jak ci mówiłam.

Ujął ją pod brodę. Szarpnęła się.

- Na pewno świetnie mówisz po hiszpańsku.

- Tak - szepnęła.

- Na Boga, czy nie ma końca twoim kłamstwom?

Wciąż nie mógł przejrzeć jej gry. Skręcał się na łyśł

o tym, że dwukrotnie zakochał się w tej kobiecie; co więcej, kochał ją nadal, bo inaczej ta podwójna zdrada nie byłaby tak bolesna. Rozmyślał przez chwilę o zemście. Mocno wbił palce w ramiona żony.

- Ostrzegałem cię w Hiszpanii, że kiedyś wyrównamy rachunki. Oszukałaś mnie z małżeństwem. Świetnie. Masz, czego chciałaś. Teraz nadszedł czas zapłaty.

- Co to ma znaczyć?

- To ma znaczyć, że zachowasz się jak żona.

- Marcus, nie bądź śmieszny. - Odpychała go obiema rękami. - Chyba nie zamierzasz wziąć mnie... wbrew mojej woli. Nie spodziewałam się tego po tobie.

Tego też nie był w stanie przeboleć: miał jakieś cholerne skrupuły, trzymał się z dala od niej, a mógł ją mieć na każde zawołanie.

- Wbrew twojej woli? - Zazgrzytał zębami. - Madame, byłaś dojrzała do zbioru, kiedy po raz pierwszy cię ujrzałem. To nie będzie wbrew twojej woli.

Jęknęła, uwolniła się szarpnięciem.

- Ty zarozumiała gburze! Wiesz, Marcus, na czym polega problem? - Cofała się, lecz on parł do przodu, osaczał ją. - Twój problem polega na tym, że kobiety za bardzo na ciebie leciały. Wiele jest takich, które połakomią się na tytuł i wypchaną sakiewkę.

Wyszczерzył zęby, jakby był żądny krwi.

- Sam bym tego lepiej nie wyraził. A ty, moja droga, wiesz prym wśród takich pań. Marzyłem o tej chwili od czasu, kiedy zaciągnęłaś mnie przed ołtarz. Teraz wybiła moja godzina i zamierzam się zemścić.

Schroniła się za jednym z krzesel, zacisnęła palce na oparciu.

- Marcus, przestań! - Ku jej wielkiemu zdziwieniu to poskutkowało. Zatrzymał się na odległość wyciągniętego ramienia. Uśmiechnęła się leciutko. - Może usiądziemy, porozmawiamy jak dwoje rozsądnych, cywilizowanych ludzi.

Zmiotł krzesło z drogi, roztrzaskał o podłogę, a dziewczyna

przylgnęła do ściany. Biust jej falował, puls przyspieszał jak oszalały. Szeroko otwarte oczy wpatrywały się weń bez lęku.

Patrzył na nią teraz i z trudem mógł uwierzyć, że zdołała mu wmówić, iż nie jest Cataliną. Znowu było między nimi to samo zmysłowe napięcie. Wywoływała to samo prymitywne, spalające go pragnienie posiadania - jego kobieta, jego żona. Nigdy nie czuł tego wobec żadnej innej. Boże, jeśli nie będzie jej zaraz miał, oszaleje!

- Nie bój się - wyszeptał - nie zrobię ci krzywdy.

Wyciągnął ku niej ręce. Wrzeszcząc z wściekłości, walnęła go w twarz. Odskoczyli od siebie. Spojrzał na żonę przeciągle i surowo. Nagle odwrócił się na pięcie, ruszył do drzwi. Tego Catherine absolutnie się nie spodziewała, więc na chwilę zastygła jak posąg. Zorientowała się w końcu, że Marcus wychodzi, i rzuciła się za nim. Sięgał już do klamki, gdy oparła się plecami o drzwi, rozpostarła ramiona, uniemożliwiając mu odwrót.

- Marcus, nie. Tak mi przykro. Przez cały ten czas źle cię oceniałam. Proszę, nie złość się na mnie.

Przyszło jej jeszcze coś do głowy - coś, co sprawiło radość. To nie Marcus rozbił latarnię w wieży. Był wściekły, lecz nie chciał jej skrzywdzić.

- Odejdź od drzwi - wychrypiał - albo nie rękę za siebie.

- Wiesz, że to nie tak, Marcus. Zdaję sobie sprawę, że ty to wiesz.

Zacisnąwszy zęby, chwycił ją w talii i odsunął na bok. Nim jednak znalazł się przy wyjściu, dała szczupaka pod jego ramieniem i znowu zatarasowała mu drogę.

- Cat, ostrzegam cię.

- Nie przestraszyłeś mnie, Marcus.

- Cholera, powinienem był - warknął.

Zraniła go, teraz to było oczywiste - nigdy by się tego nie spodziewała. Zawsze sprawiał wrażenie tak pewnego siebie, panował nad sytuacją. Jak więc udało jej się tego dokonać? Poruszyło ją to jak nic innego. Przestała myśleć o sobie, zajęła się wyłącznie nim.

- Przykro mi - wyszeptała - tak mi przykro.
- Chciałem cię tylko odrobinę przestraszyć. Zasłużyłaś na znacznie więcej. Ten policzek był zupełnie zbędny. Nigdy siłą nie zdobywałem żadnej kobiety.

- Wiem, wiem. Oboje jesteśmy przemęczeni. To była straszna noc, straszna noc.

- Czy możesz przestać się powtarzać jak jakaś cholerna papuga i odejść wreszcie od tych drzwi?

Wybuchnęła śmiechem.

- Cat!

- Kochany, mój kochany!

Rzuciła mu się w ramiona, wpiła się wargami w jego usta. Marcus ze zdziwienia szeroko otworzył oczy. Usiłował uwolnić się od dziewczyny, lecz nie potrafił się na to zdobyć. Rychło zaniechał prób.

Wyczuła zmianę w jego zachowaniu. Pocałowała go jeszcze raz, tym razem powoli, prowokacyjnie i zmusiła do oddania pieśczoły.

- Cat - wyszeptał drżącym głosem.

- Mhmm?

- Nie rób tego!

- Czego mam nie robić?

- Dobrze wiesz.

- Tego?

Rozpięła mu guziki koszuli, zaczęła pieścić.

- Nie lubisz? - przekomarzała się. - Marzyłam o tym od tak dawna, od tak dawna.

- To nie jest pora... ach!... Cat, nie masz nic na przeciwko temu, żebyśmy zrobili to w łóżku?

Dała się zaprowadzić bez protestów. W jej oczach wyraźnie było widać, że oboje są równie gotowi. Krew Marcusa wzburzyła się na samą myśl o tym, że i ona go pożąda.

Miała wspaniałe, miękkie i pełne wargi - ich smak działał oszołamiająco. Było w tym jeszcze nie ukierunkowane pożądanie; oczekiwała na właściwego mężczyznę, który je wyzwoli. Lecz już niedługo. Potem nie będzie mogła niczego żałować.

- Cat, jesteś pewna, że tego chcesz? Zdecyduj się teraz, to ostatnia chwila.

Omdlewała. Jeszcze niczego w życiu nie była tak pewna. Zdawała sobie sprawę, że nie myśli racjonalnie, ale jak mogła rozumować w ten sposób po tym, co przeszła dziś w nocy? Lecz było coś jeszcze - wiedziała, że robi to również dla niego.

- Marcus, przestań gadać i pokaż mi, co traciłam przez te wszystkie lata. Tygodniami mnie uwodziłeś. Zrób więc to teraz.

- Nie usiłowałem cię uwodzić. - Był nieco zaszokowany.

- Nazywaj to, jak chcesz, ale przejdź wreszcie do rzeczy.

Roześmiał się, położył obok niej. Rozbierał żonę, a ta przyglądała mu się spod przymrużonych powiek.

- Marcus!

Oswobodził ją z nocnej koszuli, potem sztuka po sztuce sam pozbył się odzieży.

Nie zdawał sobie sprawy, że nagość Catherine przyprawi go o zawrót głowy. Ujrzał doskonałe piersi zwieńczone dojrzalymi jagodami. Czuł, jak jedna z brodawek nabrzmiewa pod jego dotykiem. Posmakował tego owocu. Wierciła się pod jego ciężarem, zanim naturalną koleją rzeczy rozsunała nogi. Zagryzał wargi, nie chciał jeszcze całkowicie dać się ponieść pożądaniu. Przeczesał palcami kasztanowate włosy na jej podbrzuszu. Catherine wiła się i jęczała pod wpływem tych pieszczot.

Uniósł się. Szeroko otwarte oczy dziewczyny płonęły, dyszała, palce zacisnęła na ramionach męża.

- To ty do tego doprowadziłaś. Nie, nie wstydz się. Spójrz na mnie - jestem tylko mężczyzną.

Cat klęknęła i nieśmiało spełniła jego prośbę. Jej delikatne, blade ciało i on - twardy i ogorzały. Silny - to pierwsze nasuwające się określenie. Szeroki w ramionach, wąski w biodrach, o muskularnych udach. Długi, nabrzmiały penis, u nasady otoczony kępką ciemnych włosów.

- Ach, Marcus, Marcus - zdołała wyszeptać.

Kochanek dostrzegł jej zmieszanie. Wyczuwając, co się z nią dzieje, wykorzystał chwilową przewagę.

- Połóż się koło mnie. - Patrząc jej w oczy sprawił, że wykonała to polecenie.

Zaczął ją pieścić, tym razem już nie tak powściągliwie. Używał warg i języka, aby ją pobudzić. Nie chciał dać czasu na myślenie, na zmianę decyzji. Uniósł się, kiedy zaczęła pod nim dygotać, wykrzykując jego imię.

Wpasował się pomiędzy jej uda, lecz nie wziął jej - jeszcze nie. Czekał, aż otworzy powieki i spojrzy na niego. Dał jej ten moment, aby było wiadomo, że oboje pragną tego samego.

- Ach, Cat. - Wszedł w nią z taką samą zachłannością, z jaką całował jej usta.

Szarpnęła się, krzyknęła, protestując przeciw bólowi. Zaciskał zęby, pohamował się, nie zwracał jednak uwagi na odpychające go ręce. Dopiero kiedy zrobiła się wilgotna i uległa, wszedł głębiej. Jęczała, a Marcus ją całował.

- Wszystko w porządku. Wszystko dobrze - uspokajał szeptem.

Catherine czuła się oszołomiona siłą, z jaką w nią wtargnął. Zapewnienia Marcusa jej nie uspokajały. Dostrzegł coś w jej oczach, lecz nie miała czasu się odezwać. Zaczął powoli, przyspieszył, kiedy poczuł ruchy dziewczyny, instynktownie zmuszającej go do większego zaangażowania. Nie chciał się spieszyć, pragnął dać jej rozkosz, sprawić, by mu się nie opierała następnym razem. Zbyt długo jednak pościł, wykonywał więc coraz gwałtowniejsze ruchy.

Cofnął się nieco, zagłębił jeszcze bardziej, wywołał spazmy rozkoszy. Ciało dziewczyny było gorące; ból w lędźwiach narastał. Całkowicie koncentrowała się na ruchach mężczyzny. Wydawało się jej, że unosi się gdzieś bardzo wysoko, sięga wyżyn, których dotąd jeszcze nie poznała.

Nie potrafił już dłużej nad sobą zapanować. Chwycił ją za pośladki, uniósł... i eksplodował.

Długo leżeli w ciszy, Catherine zupełnie bezwolna, nie Potrafiąca zdobyć się na tyle energii, aby pozbyć się ciężaru kochanka. Załamana, poruszona. Lecz przede wszystkim czuła

się oszukana: ta dręcząca ją od tak dawna pokusa okazała się mrzonką. Wyrzekła się wszelkich reguł kierujących jej życiem dla czegoś, co najwyraźniej nie istnieje... Odzyskiwała rozum, czując jedynie wstyd i zakłopotanie. Jak to się mogło stać? Co takiego mogła mu powiedzieć? Rozsunęła dla niego szeroko uda, a on w nią wszedł. Jest kobietą upadłą, a wszystko przez to, że chciała być dla niego miłą. Nic nie rozumiała. Kusiciel nie przyszedł z zewnątrz - on tkwił w środku.

Marcus uniósł się, żeby mogła zaczerpnąć powietrza. Zaczęła pociągać nosem, a on okrywał ją delikatnymi pocałunkami.

- Następnym razem będzie lepiej - obiecał.

Wycofał się z niej, jęknął, zwałił obok. Catherine, nie tracąc czasu, wyśliznęła się z łóżka. Zobaczyła strużki krwi spływające po udach, krzyknęła rozdzierająco, sięgnęła po okrycie. Zawiązała pasek, odwróciła się do kochanka.

Ten uniósł się na łokciach, lecz nie zrobił nic, by ukryć swą nagość. Wyciągnęła więc koszulę ze stosu bezładnie rozrzuconej garderoby i rzuciła mu ją.

- Czy ty w ogóle nie masz wstydu? - spytała.

- Przy tobie nie odczuwam najmniejszego. - Brwi lekko uniósł do góry, lecz mówił łagodnie. - Możesz mi nie wierzyć, ale nadejdzie taki dzień, kiedy i ty zapomnisz przy mnie o skromności.

Odczekała, aż włoży koszulę.

- Czy ty w ogóle masz pojęcie, co myśmy dzisiaj zrobili? - spytała niskim, pełnym furii głosem.

- Nie zapominaj o mnie. - Marcus uśmiechnął się lubieżnie.

Mogła się jedynie mu przyglądać, bo przecież jeszcze przed chwilą leżała naga w jego ramionach.

- Skonsumowanie tego małżeństwa wszystko strasznie skomplikuje - wydusiła wreszcie z siebie.

- My nie skonsumowaliśmy małżeństwa, jak raczyłaś się wyrazić - odparł Marcus.

- Więc co zaszło pomiędzy nami?

- Wzięłem cię - wypalił bez ogródek. - W koni cif

wziąłem. Boże, myślałem, miałem nadzieję, że jesteś namiętna, lecz mężczyzna nigdy nie może być tego pewien, póki nie pójdzie z kobietą do łóżka. Ale na ciebie, moja mała, warto było poczekać.

Zajęty dokładaniem węgla do kominka, nie zauważył efektu, jaki wywarły te słowa. Miał ochotę zanucić sprośną piosenkę - nabrał tego zwyczaju podczas wojaczki - ale powstrzymał się, nie chciał z siebie zrobić chama i rozzłościć dziewczyny. A jednak zachowywał się jak gbur. Kobiety takie jak Catherine nie zadają się z mężczyznami, którzy nic dla nich nie znaczą. Marcus, chcąc się upewnić, czy dobrze zrozumiała to, co powiedział kilka chwil temu w łóżku, bez końca to powtarzał. Pragnął, aby na zawsze zapamiętała tę noc. To była długa noc. Tylko patrzeć, a nadejdzie świt. Marcus był z siebie coraz bardziej zadowolony.

- Założę się, że mówiłeś to wielu kobietom - usiłowała powiedzieć to obojętnie.

- Co takiego?

- Że warto było czekać.

- Jesteś w błędzie, kochanie. Dotąd żadna nie kazała mi czekać. - Podeszedł i objął dziewczynę.

- Cóż za fantastyczna zarozumiałość!

- Po prostu jestem szczerzy - wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Powinieneś mieć więcej przyzwoitości, Marcus.

Zadał głowę, zastanawiając się nad tym, co usłyszał. Odezwał się bardzo poważnie i bardzo cicho:

- Nie zamierzam tłumaczyć się ze swojej przeszłości ani przed tobą, ani przed nikim innym. Więc mnie o nią nie wypytuj.

Strząsnęła z siebie jego ręce.

- Jestem pewna, Marcus, że twoja przeszłość jest fascynująca, ale, szczerze mówiąc, zupełnie mnie ona nie interesuje. Zajmuje mnie przyszłość. Kiedy poznałeś już prawdę o mnie i El Grandę, musimy omówić parę spraw, ale nie teraz. - Dotknęła skroni. - Mam migrenę. Ta noc mnie wykończyła. Będę zobowiązana, jeśli się ubierzesz i zostawisz mnie w spokoju. Muszę sobie to wszystko poukładać.

Przyciągnął ją z powrotem, kiedy usiłowała mu się wyrwać. Oglądał ją uważnie: zaróżowione policzki, błyszczące oczy, wyzywająca linia podbródka.

- Niczego sobie nie będziesz układać. Nic już od ciebie nie zależy. Od tej chwili jedynie ja będę podejmował decyzje - nie ty ani nie El Grandę. Zrozumiałaś, Cat?

- Nie zamierzam dalej udawać twojej żony, nie po tym, co stało się dzisiejszej nocy - rzuciła przez zaciśnięte zęby.

- Cat, ty jesteś moją żoną i co do tego nie ma żadnej kwestii.

- I możesz mieć mnie, kiedy tylko zechcesz, jak sądzę?

- A co w tym złego?

- To, że ja nie mam tu nic do powiedzenia.

- Co za diabeł cię opętał? - dopytywał się Marcus, widząc łzy napływające do oczu dziewczyny.

- Powiem ci, o co chodzi: nienawidzę cię. O to właśnie chodzi.

- Wybrałaś dziwną formę, żeby mi to okazać. - Rozzłościł się.

- Dostałeś, co chciałeś. Teraz się wynos.

- Przecież ty też tego chciałaś.

- Musiałam być niespełna rozumu.

Zbity z tropu zmianą, która zaszła w żonie, sięgnął po swoje rzeczy. Gapił się na nie z wściekłością, potem cisnął w kąt.

- Jeśli to ma być nienawiść, to mogę ją wytrzymać.

- Marcus, przykro mi z powodu Hiszpanii, potwornie przykro. Ale przecież już się na mnie odegrałeś. Jesteśmy kwita.

- A więc to tak. - Zamyślił się. - Cat, zemsta to ostatnia myśl, jaka przyszłaby mi do głowy, kiedy dziś się z tobą kochałem.

- O co zatem chodziło? - Nie była przekonana.

- Proszę, zaufaj mi, Cat.

- Chcę ci zaufać, Marcus. - Nie potrafiła myśleć, kiedy masował jej ramiona. Oblizywała usta.

- Cat! - wymamrotał. Rozciągnął żonę na łóżku, sam położył się obok.

Zaczął ją całować, a ona, na wpół świdomie, usiłowała opóźnić bieg spraw. Nie była pewna, czy tego chce. Chwycił ją za rękę, zacisnął palce kochanki na wyprężonym członku. Wiedziała, dlaczego mężczyzna tego potrzebuje, i to ją samą doprowadziło prawie do szaleństwa. Nie prosił, tylko brał, a jej się to podobało.

Ulegała - nawet nie próbował całować, tylko zsunął z niej koszulę. Pieścił ją dłońmi, brał, dawał, podniecał. Zaczęła dygotać i wtedy w nią wszedł.

Tym razem postanowił, że na nią zaczeka. Uwodził ją powolnym, silnym rytmem, pobudzał do współdziałania. Bez przerwy całował, głęboko penetrował językiem, delikatnie rozbudzał. Czując, że dziewczyna jest już blisko, unióś się na rękach, starał się dotrzeć jak najgłębiej, miotał się jak wściekłe zwierzę, wreszcie skończył. Okrzyk rozkoszy Catherine był najpiękniejszym dźwiękiem, jaki kiedykolwiek słyszał.

Ale to jeszcze nie koniec. Pozwolił jej chwilę się przespać, lecz czuł się jak myśliwy na polowaniu. Ona należała do niego. Po dzisiejszej nocy nigdy już mu nie odmówi.

- Śpij, śpij - odezwał się. Wszedł w nią, nim jeszcze na dobre się rozbudziła. Nie zważał na protesty, nie ustawał w wysiłkach, aż zaczęła myśleć o wszystkim, tylko nie o spaniu.

Dużo później uznał, że nic mu po takiej pasywnej kochance, i pokazał jej, w jaki sposób może sprawić mu przyjemność. Wił się, kiedy posłużyła się tą nowo zdobytą wiedzą; przyszło mu do głowy, że chyba oszalał, oddając tyle władzy w jej ręce.

Zasnęli o świcie.

Marcus obudził się pierwszy, leżał z zamkniętymi oczami, napawał się tym, że trzyma Cat w ramionach. Zalała go krew, Wedy pomyślał, jak długo nie pozwalała mu się tknąć, pod pretekstem, że jest żonaty. Szybko zapomniał o gniewie, wspominając ostatnią noc. W ciągu tych kilku godzin zrekompensowała mu ostatnie miesiące.

Wciąż było wiele pytań, na które szukał odpowiedzi. Im prędzej spotka się z El Grandę, tym prędzej poskłada fragmenty

łamigłówki. Denerwowało go, że wszystko rozpoczęło się bez jego udziału. Catherine okłamywała go, więc był na fałszywym tropie. Teraz nie będzie już kłamstw ani sekretów. Cat należy do niego i zachowa się lojalnie.

Budziła się powoli. Czuła jego oddech, ciepło ciała leżącego obok. Niebieskie oczy napotkały drugą parę oczu tej samej barwy. Lytton pocałował żonę, a ona objęła go za szyję.

- Marcus, Marcus... - To był ledwo dosłyszalny szept.

- Kochaj mnie, Cat. - Jego dłoń wędrowała w stronę uda dziewczyny.

- To nie w porządku. - Zadygotała, nawet w środku coś w niej się trzęsło. Chciała o wiele więcej.

- Nie ma czegoś takiego, jak w porządku i nie w porządku. Nie w naszym przypadku, nie teraz.

Poczuła na sobie jego ciężar, zakwiliła. Im bardziej usiłowała się kontrolować, tym bardziej go podniecała.

Gdy było już po wszystkim, wybuchnęła płaczem. Marcus zdawał się rozumieć, że to on jest przyczyną jej nieszczęścia, ale nie pocieszał ani nie składał fałszywych obietnic.

- Od tej chwili będziemy rozgrywać to po mojemu - oświadczył, ubierając się.

21

Opowiedz mi o El Grandę.

Catherine wygładzała białą haftowaną serwetkę rozpostartą na kolanach. Chwilę potrwało, nim zaspokoiła ciekawość Marcusa. Minęły trzy dni, odkąd mąż ją rozszyfrował. Siedzieli przy śniadaniu w jego domu przy Cavendish Square w Londynie. Wkrótce mieli wyruszyć do opactwa Marston na spotkanie z jej „bratem”. Reszta rodziny została we Wrotham.

- Powiedziałam ci wszystko, co wiem - oznajmiła, dokładając dżemu.

- Powtórz mi to jeszcze raz.

Catherine zdawała sobie sprawę, że nie były to rozmyślnie próby przyłapania jej na kłamstwie. Ilekroć opowiadała tę historię, zawsze przypominało jej się coś nowego. To było nudne i deprymujące. Zapominała, że Marcus podchodzi ją, chce poznać fakty, które pragnęła przed nim ukryć. A było tego sporo. Nie chciała mu mówić o majorze Carruthersie, o swojej roli szpiega, o raportach dla brytyjskiego wywiadu. W jej odczuciu nie było to nielojalnością - sprawa dotyczyła tylko jej i El Grandę.

Opowiedziała mu o rozbitej lampie w baszcie. Natychmiast się zorientował, że przemilczała to wcześniej, podejrzewając, że to on jest odpowiedzialny. Analizował to wydarzenie dziesiątki razy, w końcu zdecydowanie odrzucił sugestię, że było to

rozmyślne działanie któregoś z domowników bądź służących. Wedle jego rozeznania Penn kazał jednemu z pachółków naoliwić zawiasy i stąd całe zamieszanie. Z drugiej jednak strony, jeśli to nie był wypadek, to musiał stać za tym ktoś z zewnątrz - ktoś, kto ukradł liberie Wrothamów, podstępnie się tam ulokował i skorzystał z nadarzającej się sposobności.

Wszystko było bardzo skomplikowane. Nawet sprawa ich małżeństwa nie została rozstrzygnięta. Nie mogła już odgrywać roli Cataliny, chciała powrócić do własnej tożsamości, lecz trzeba coś powiedzieć rodzinie i innym, wytłumaczyć, dlaczego Hiszpanka zniknęła. Mimo to Marcus egzekwował prawa małżonka, kiedy tylko miał po temu okazję. Tak więc spędzała noce lekko zamroczona, a dni wypełniało jej oczekiwanie na kolejną noc.

- Czemu się krzywisz? - spytał Marcus.

- Czego chcesz się dowiedzieć? - Twarz dziewczyny wypogodziła się.

- Dobrze się czujesz, Catherine?

- A czemu miałyby być inaczej? - Pochwyciła jedno z jego spojrzeń, takie spod na wpół przymkniętych powiek. Zniecierpliwiła się. - Czuję się świetnie, naprawdę Marcus. Co chcesz wiedzieć?

- Opowiedz mi, co wcześniej porabiał El Grandę - poprosił.

- To najmłodszy syn markiza de Vera el Grandę i jako taki przeznaczony był do kapłaństwa. To nic niezwykłego, nawet w angielskich rodzinach. Najstarszy dziedziczny tytuł i majątności, następny wstępuje do wojska, a najmłodszy ma do wyboru służbę bożą lub musi sobie radzić tak, jak umie.

- To nie dotyczy mojej rodziny. - Marcus skubnął szynki.

- Nie, jestem o tym święcie przekonana.

- Święcie przekonana? - Zdziwiony uniół brwi.

- Jeśli chodzi o twoją rodzinę... - przerwała, przypomniawszy sobie kłótnię, która nastąpiła, kiedy odnalazł notatki sugerujące, że ma zamiar opisać pociąg Penna do butelki. - Nieważne - dokończyła niezręcznie.

- Nie, mów dalej, Catherine. Naprawdę chciałbym się dowiedzieć.

- Wiem o Wrothamach tyle co wszyscy. Nie zaszkodziłoby zdradzić coś więcej.

- W porządku. Powiedz, co twoim zdaniem powinienem zrobić?

- Cóż - zaczęła ostrożnie - na twoim miejscu zabrałabym ich do Londynu, przedstawiła w towarzystwie, szczególnie Helen i Samanthę. Dziewczynie, jak wszystkim jej rówieśnikom, potrzebny jest pobyt w stolicy. A Tristram mógłby po studiach wyruszyć w jakąś długą podróż.

- Zapomniałaś o Pennie.

- Zupełnie nie wiem, co powiedzieć na jego temat. Może mógłby pojechać do Irlandii i pomagać Davidowi w prowadzeniu majątku? Jest jeszcze coś, czego nie rozumiem.

- Przyjrzała się mężowi. - To przykre, że David, będący twoim jedynym kuzynem, traktowany jest jak zwykły znajomy. Nigdy nie wspominałaś o jego ojcu, który musi być twoim stryjem.

- Myślę, że istotnie był - odparł Marcus, uśmiechając się.

- Cóż, jak już kiedyś napomknąłem, nie jesteśmy bardzo żyłą rodziną. Wiem, że ojciec co kilka lat odwiedzał brata, a ten czasami przyjeżdżał z Irlandii z Davidem, lecz słabo pamiętam stryja. - Dostrzegł jej zaniepokojenie. - Dlaczego tak bardzo interesujesz się moją rodziną? Co w takim razie powiesz mi na temat swojej?

Oczy jej zalsniły, wbiła wzrok w talerz.

- Powiem ci, co się stało. Byłam przekonana, że stąkam po mocnym gruncie, a nagle okazało się, że to kruchy lód.

Nawet nie wiedziała, kiedy łzy zaczęły kapać jej z oczu, choć na płacz zbierało się jej już od jakiegoś czasu.

- Mów dalej - zachęcił Marcus.

- Miałam dwanaście lat, kiedy moją matkę złożyła gorączka. Nigdy się nad tym nie zastanawiałam, nie przyszło mi do głowy, że może się z tego nie wykaraskać. Nie przejęłam się

więc gorączką, zwłaszcza że ojciec był lekarzem. Poszłam spać, nie martwiąc się o nic. Nazajutrz moje życie zupełnie się zmieniło.

- Tej nocy umarła twoja matka - powiedział cicho.

Przytaknęła.

- Naprawdę nie wiem, co się później z nami stało. Chyba przestaliśmy być rodziną. Ojciec zaczął pić. Zamieszkała z nami ciotka. Nie był to szczęśliwy dom.

- Ojciec pił ponad miarę?

- Był pijakiem - powiedziała bez ogródek.

- Ale przezwyciężył nałóg?

Skinęła głową.

- Zmarła pacjentka, a on obwiniał się za jej śmierć. Potem nie tknął już ani kropli.

- Rozumiem. - Zamyślił się. - Wydaje mi się, że miałaś też starszą siostrę?

- Kto ci o tym powiedział? - Poderwała głowę.

- Twoja przyjaciółka, pani Lowrie.

Nie chciała mu jeszcze opowiadać o Amy. Kolejny problem, jeszcze jedno dzielące ich kłamstwo, lecz nie czuła się na siłach, żeby teraz to wyjaśniać. W jedno w każdym razie przestała wątpić: Amy ją okłamała, Marcus nie był zdolny do popełnienia gwałtu.

- Tak, miałam kiedyś siostrę. Uciekła z kochankiem i ojciec zabronił wymawiać jej imienia. - Przez chwilę wygładzała serwetkę, którą zmięta. - Kiedy taty nie było, najczęściej do powiedzenia miała ciotka. Kładłam się do łóżka, bojąc się, że ojciec zwróci się i przeciwko mnie. Byłam przekonana, że nie mogę popełnić żadnego błędu - to straszny ciężar dla dziecka. Dziwne, ale znów poczułam, że mam rodzinę, dopiero kiedy byłam z partyzantami.

Marcus patrzył na żonę zamyślony, usiłując to wszystko pozbierać razem. Ciotka - słyszał o niej od Emily Lowrie - była purytańską megierą. Starsza siostra się zbuntowała, Catherine dostosowała - rozumiał teraz dlaczego. Rozumiał

zresztą znacznie więcej spraw, których do tej pory nie mógł pojąć.

Po raz pierwszy zobaczył, jaka naprawdę jest jego żona. Zawsze ją podziwiał, lecz widział tylko to, co najbardziej go poruszało. Teraz to było tak, jak spojrzeć w zabrudzone lustro i zobaczyć własne odbicie. Jako dzieci oboje byli samotni.

- Przypuszczam - powiedział Marcus - że traktowałeś El Grandę jak brata.

- Niezupełnie - powiedziała to niemal wyzywającym tonem.

- On był naszym przywódcą, podejmował decyzje, które nie zawsze były popularne. Na przykład zarządzał egzekucje kolaborantów - Hiszpanów mogących być synami lub braćmi partyzantów.

- Pamiętam, jaką miał reputację. Nazywano go barbarzyńcą. Obruszyła się.

- To ta wojna była barbarzyńska. On walczył, żeby zwyciężyć. Co byś zrobił na jego miejscu, wiedząc, że Francuzi zachowują się jak dzikie zwierzęta? Powiem ci jedno: nie było pomiędzy nami nikogo, kto nie oddałby życia za El Grandę. Wszyscy byli lojalni aż do tego stopnia.

- Nie usiłuję wytykać mu błędów, lecz jedynie zrozumieć.

- Mówił prawdę, choć do tej pory nie uświadamiał sobie, że Catherine otaczała El Grandę kultem bohatera.

- Co on robi tu, w Anglii? Czemu po skończonej wojnie nie wróci do Hiszpanii, nie zacznie tam żyć od nowa?

Cierpliwie powtórzyła to, co powiedziała mu już przedtem.

- Z Hiszpanią łączy się dla niego zbyt wiele bolesnych wspomnień. Francuzi wymordowali całą jego rodzinę. On lubi Anglię i Anglików. - Wzruszyła ramionami. - Sama nie rozumiem tych wszystkich subtelności, Marcus. El Grandę powiada, że przygotowuje swoją duszę. Wróci do Hiszpanii, kiedy do tego dojrzeje, lub nie wróci tam nigdy.

- Przygotowuje duszę? Czy chodzi o pokutę?

- Tak myślę. Spróbuj zrozumieć: przed wojną był w seminarium, uczył się, żeby zostać księdzem. On był, a raczej jest,

człowiekiem przeznaczonym Bogu. To, co robił, pomagając rodakom wygrać wojnę, mocno zaciążyło na jego sumieniu. Czemu ciągle go podejrzewasz?

Zbył pytanie, patrząc na zegarek.

- Lepiej już ruszajmy - oznajmił.

Catherine przytaknęła, usiłując ukryć zdenerwowanie. Nie miała żadnej szansy, aby dać znać El Grandę czy majorowi Carruthersowi, że Marcus ją zdemaskował - mąż nie spuszczał jej z oka. Wiedziała, że Lytton zamierza zaskoczyć Roberta, a tego w żadnym wypadku nie chciała.

- O co chodzi, Catherine? Dziwnie wyglądasz.

Przypatrywał jej się bacznie. Nienawidziła tego spojrzenia. Prawda była taka, że żadne z nich nie mogło w pełni zaufać drugiemu.

- Myślałam o El Grandę - odparła i była zadowolona, że przeszedł nad tym do porządku.

Opactwo Marston leżało zaledwie pół godziny drogi od Londynu, przy trakcie pocztowym do Sevenoaks. W bramie powitał ich mnich w białym habicie, potężny Irlandczyk. Marcusowi przypominał pewnego boksera, któremu niegdyś sprawił tegie lanie, wygrywając przy okazji sporą sumkę.

Zakonnik wypytał ich o nazwiska i zostawił w furcie. Minęło dobre dziesięć minut, nim powrócił z wiadomością, że brat Robert może ich przyjąć.

Marcus prawie nic nie wiedział o życiu zakonnym, więc zadawał mnóstwo pytań, gdy brat Fineas odprowadzał ich do głównego budynku. Dowiedzieli się, że opactwo było pierwotnie rezydencją ziemiańską, potem zostało odkupione przez zakon i zamienione na klasztor.

- Jesteśmy benedyktynami - mówił brat Fineas. - Zakonnicy noszą habity białe, świeccy bracia brązowe. Modlimy się, uczymy i pracujemy.

- Proszę mnie poprawić, jeśli jestem w błędzie - odezwał się

Marcus - ale sądziłem, że Henryk VIII skasował wszystkie zakony, kiedy wszedł w konflikt z papieżem.

Zakonnik spojrział na niego chłodno.

- To było prawie trzysta lat temu. Czasy się zmieniają.

Wysadzana cisami aleja prowadziła w dół ku brukowanemu dziedzińcowi. Pomiędzy budynkami z kamienia kręciło się tam wielu braci, ubranych na biało i brązowo.

- Prawdziwa farma - skonstatował Marcus, kiedy mijali stado owiec zaganiane przez braci do zagrody.

Brat Fineas szedł prosto przed siebie wyłożoną kamieniami drogą. Niespodziewanie wyrósł przed nimi pałac. Przeszli przez sklepiony portyk zwieńczony herbem, przez wewnętrzny dziedziniec i wkroczyli w następne drzwi. Znaleźli się w ogromnym hallu wysokim na dwa piętra. Stało tam z tuzin stołów opartych na kozłach, przy każdym siedziało czterech lub pięciu mnichów pochłoniętych lekturą.

Brat Fineas kazał gościom zaczekać w westybulu. Kobiet nie wpuszczano do pewnych miejsc w klasztorze, do innych miały wstęp tylko w stosownym ubraniu. Dlatego też Catherine odziana była od stóp do głowy w czerń; czarna jedwabna woalka zakrywała nawet jej twarz.

Marcus spoglądał na brata Fineasa idącego pomiędzy rzędami stołów. Zastanawiał się, kiedy ręka mnicha dotknie ramienia El Grande.

- *Señor, señora*, tędy proszę.

Zdumiony Marcus odwrócił się, słysząc za plecami to spokojne zaproszenie. Mnich w brązowym habicie prowadził Catherine ku drzwiom znajdującym się obok kamiennych schodów. Lytton ruszył za nimi.

Pomieszczenie, w którym się znaleźli, było prawie pozbawione mebli: jedynie prosty stół na kozłach, cztery krzesła, okazały, lecz wygaszony kominek. Marcus zobaczył to wszystko jedynie kątem oka. Wpatrywał się w młodego mnicha obejmującego Catherine. Dziewczyna wyjaśniała, raczej chaotycznie, dlaczego się tu znaleźli, a on miał chwilę, by przypatrzeć się

„bratu” żony. Wtedy w Londynie El Grandę zaledwie mu mignął. Teraz nie wyglądał na charyzmatycznego przywódcę, którego spotkał w Hiszpanii; wyglądał po prostu jak zakonnik.

Lecz nie był zwykłym zakonnikiem. Ten drobny podstęp z udziałem brata Fineasa - zaskoczenie ich z opuszczoną gardą - należała do elementarnych zasad wpajanych oficerom wywiadu: odwrócić uwagę przeciwnika, nadejść z najmniej oczekiwanej strony. Marcus poczuł się jak kiepski amator w obecności mistrza.

- Widzę - odezwał się - że znalazłeś doskonałą kryjówkę.

Catherine spojrzała podejrzliwie na męża. El Grandę uśmiechnął się.

Marcus wyciągnął dłoń.

- Nigdy nie zostaliśmy sobie oficjalnie przedstawieni. Jestem Wrotham.

- A ja jestem Robert. - W ciemnych oczach El Grandę widać było prawdziwe rozbawienie.

Uścisk dłoni miał mocny, lecz Marcus zwrócił uwagę na coś innego: stwardniała skóra świadczyła, że jest to ręka robotnika.

- Proszę, zechcecie usiąść - zaproponował Robert.

Marcus nie miał zamiaru owijać niczego w bawełnę. Kiedy tylko usiedli, przystąpił do rzeczy.

- Nie mogę zrozumieć tego, co Catherine mówiła mi o tobie. Kto może kłamać i oszukiwać, jednocześnie poświęcając swoje życie Bogu?

Catherine stała przy oknie. Zerwała z twarzy woalkę. Dysząc z gniewu, podeszła do męża.

- Obiecałeś, że będziesz się hamował!

- Jestem spokojny. Zadałem poważne pytanie i oczekuję poważnej odpowiedzi.

- Ale...

El Grandę spojrzał na nią tak, że umilkła.

- W porządku, Catherine. Jestem mu winien wyjaśnienie. Najkrótsza odpowiedź brzmi: nigdy nie czułem prawdziwego

powołania. Nie zostałem księdzem, lordzie Wrotham, i nigdy nim nie będę. Zbyt zaprzatają mnie doczesne sprawy tego świata.

Marcus długo patrzył w jego szczere oczy, nie mogąc nic z nich wyczytać.

- A co z Hiszpanią? Jesteś ostatnim z rodu. Na pewno nie chcesz tam wrócić, zacząć od nowa?

- Wszystko jest możliwe. - Brat uśmiechnął się leciutko.

- Robert jest kamieniarzem - wtrąciła Cat. - Wznoszą kościół dla zgromadzenia. W pobliżu jest kamieniołom. Powinieneś się tam rozejrzeć, jeśli będziesz miał okazję.

- Lorda Wrothama interesuje co innego - odezwał się El Grandę monotonnym głosem. - Czym mogę służyć, sir?

Marcus poczuł, że zapadła jakaś kurtyna, której on nie zdołał podnieść. We wzroku żony dostrzegł błaganie.

Zrozumiał, że znalazł się w niewłaściwym miejscu. Był jedynie prostym żołnierzem. Nie prowadził takiej walki jak partyzanci. W ich świecie brano zakładników, masakrowano ludność cywilną. Catherine miała rację: nie może osądzać ludzi, nie mając pojęcia, jakie życie wiedli.

Teraz wymownie zmarszczyła brwi. Marcus westchnął i zaproponował gałązkę oliwną.

- Nie wiem, czy starczy czasu, aby zobaczyć wszystko, ale chętnie przejdę się po pałacu, o ile brat będzie mógł oderwać się od obowiązków.

- Będę mógł. A teraz czym mogę służyć, lordzie Wrotham?

- Ton rozmowy stawał się pomału coraz cieplejszy.

- Chciałbym usłyszeć wszystko, co pamiętasz na temat angielskich żołnierzy, którzy byli ze mną w twojej kwaterze.

- Marcus od razu przystąpił do rzeczy.

Opowieść nie zawierała wielu informacji, których Marcus wcześniej by nie znał. El Grandę prawie przez cały czas ich odosobnienia przebywał z misją w Madrycie. Po powrocie niemal natychmiast odstawił ich do linii brytyjskich. Nawet gdyby chciał, nie miał zbyt wielu okazji, aby poznać Anglików.

Partyzanckiemu przywódcy pokazywanie się obcym groziło niebezpieczeństwem.

- Zawsze wracam do tego tajemniczego strzelca, który uciekł - przerwał mu w pewnej chwili Marcus. - Nie sądzę, żeby była jakaś szansa, aby się dowiedzieć, kim on był i co się z nim stało.

- Nie potrafię pomóc - odparł El Grandę. - Może należałoby spytać... - przerwał, bo zobaczył, że Catherine stojąca za mężem energicznie kręci głową.

Marcus odwrócił się.

- Kogo należałoby spytać? - rzekł patrząc na żonę.

- Co o tym myślisz, Catherine? - zadał z kolei pytanie El Grandę.

- Sądzę, że nigdy niczego się już nie dowiemy o tym człowieku. Upłynęło zbyt wiele czasu.

Zapadło długie milczenie.

- Dlaczego chciałeś, żeby Catherine odgrywała rolę Cataliny? - odezwał się w końcu Marcus.

- Mówiłam ci już - wtrąciła się Catherine.

- Ale ja pytam El Grandę.

- Podejrzewałem, że to ty zamordowałaś tych angielskich żołnierzy, którzy byli w mojej kwaterze. Dzięki przedstawieniu odgrywanemu przez Catherine mogliśmy bacznie cię obserwować. - El Grandę nie odrywał wzroku od twarzy Lyttona.

- Dobry Boże, człowieku, czy nie przyszło ci do głowy, co jej mogłoby się stać, gdybym rzeczywiście był mordercą?

- Marcus nie widzi we mnie świetnej agentki, jedynie bezradną kobietę - rzekła do Roberta. Potem zwróciła się do męża: - Pewnie trudno ci w to uwierzyć, ale Francuzi w Hiszpanii wyznaczyli cenę za moją głowę. Nikt mnie nie zmuszał do brania udziału w tym przedstawieniu. Nigdy tak naprawdę cię nie podejrzewałam - to stwierdzenie nie do końca było prawdziwe - a nawet gdyby, to i tak bym wiedziała, jak się o siebie zatroszczyć.

- Ty wiesz, jak się o siebie troszczyć! A co z tym wypadkiem,

który uważasz za rozmyślny atak na ciebie? - Marcus był wściekły.

- Jakim wypadkiem? - spytał Robert.

- Marcus uważa, że to był wypadek, a ja już r>ie wiem, co o tym myśleć.

Catherine opowiedziała o zajściu.

- Być może - podsumował El Grandę - robimy z igły widły. Mnie też napadnięto, kiedy spacerowałem z Amy- Ale to byli tylko szukający zwady młodzi rozrabiacy.

- Z Amy? - zdziwił się Marcus.

- Z panią Spencer. - Robert rzucił mu chłodne spojrzenie.

- Panią Amy Spencer? - upewniał się Marcus. - Mieszkającą przy Pall Mail?

- Widzę, że również ją znasz.

Catherine odwróciła się, ukryła twarz w pelisie. Miała mętlik

czekając, co będzie dalej.

- Znam panią Spencer. - Marcus zrobił pauzę. - Lecz dziwię się, że człowiek, który oddał się życiu religijnemu, utrzymuje również takie kontakty.

El Grandę zmienił się nie do poznania. Sprężył się, oczy mu rozbłysły, potem stały się lodowato zimne. Marcus widział to wielokrotnie w czasach, kiedy prowadził życie hulaki: tak zachowywali się panowie, zanim wyzwali go nř pojedynek. Robert rzucił okiem na Catherine i Lytton wyczuł, że napięcie stopniowo opada.

Brat wzruszył ramionami.

- Nie spędzam całego czasu w klasztorze. Moja praca wymaga, abym bywał w mieście. I właśnie tam pogałem panią pencer. Czy jeszcze coś wymaga wyjaśnienia?

- Tak - potwierdził Marcus. - Chcę być absolutnie pewien jednego. Czy działaliście na własną rękę, czy był w to zamieszany wywiad brytyjskiego Ministerstwa Wdiny?

Catherine nie odezwała się.

El Grandę odrzekł spokojnie:

- Musisz zrozumieć, że nie angażowałem się w działania wywiadu, odkąd opuściłem Hiszpanię.

Dziewczyna przytaknęła.

- Mówiłam ci, że sama chciałam to zrobić.

Nie skomentował tego, zmienił temat i wtedy dopiero Catherine odważyła się wypuścić powietrze z płuc.

Wszedł biało odziany zakonnik. Przyniósł im kubki gorącego korzennego kordiału, by mogli się rozgrzać. Na dworze zaczął prosić śnieg i stało się jasne, że ze zwiedzania klasztoru nic już nie wyjdzie. Konie zaczną gryźć wędzidła.

- Oczywiście - odezwał się Marcus, pociągając z cynowego kubka - nie miałem tak dużo czasu jak wy, żeby się nad tym zastanawiać. Wszedłem z założenia, że to wy jesteście łajdakami, a ja waszą ofiarą. Teraz, kiedy wreszcie dowiedziałem się więcej, wydaje mi się, że musieliśmy być świadkami czegoś.

- Ale czego?

- Gdybyśmy to wiedzieli, znalazłbyśmy mordercę.

- Ciągle mam dzienniki i szkice z tamtych czasów - powiedziała Catherine. - Może chciałbyś je przejrzeć, choć nie widzę w nich nic znaczącego.

Mąż spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Dlaczego wcześniej mi nie powiedziałeś? Szkice? Notatki? Oczywiście, że chcę to zobaczyć!

- Nie powiedziałam, bo wtedy bym się zdemaskowała jako Catalina. O wszystkich niezwykłych zajściach musiałam zameldować. Poza tym nie stykałam się z angielskim żołnierzami. Mówiłam ci już, że trzymałam się od nich z daleka. W przeciwnym razie ryzykowałabym, że mnie rozpoznają przy następnym spotkaniu. Z tobą też tak powinnam postępować, gdyby nie to, że byłeś tak ciężko ranny i wymagałeś pielęgnacji. Na moich szkicach są jedynie partyzanci.

- Zameldować komu?

- Słucham?

- Powiedziałeś, że musiałeś składać meldunki o wszystkich niezwykłych wydarzeniach. Komu, Catherine?

Zawahała się przez moment.

- Majorowi Carruthersowi. W Hiszpanii był moim łącznikiem z wywiadem brytyjskim.

- To może być dobry pomysł, żeby przekopać się przez te papiery. Możesz znaleźć coś, co umknęło uwagi Catherine - wtrącił El Grande, nim Marcus zdążył odpowiedzieć.

Niebawem wyruszyli z powrotem. W powozie natychmiast zrozumiała, że nie dał się im wystrychnąć na dudka.

Nie odzywał się; nie musiał. Patrzył na dziewczynę tak zimnym wzrokiem, że dygotała pod swoim ciepłym okryciem. Po drodze nie padło ani jedno słowo, lecz kiedy dotarli do domu, schwycił żonę za ramię i uwolnił dopiero w sypialni.

Scandalos

22

Posłuchaj mnie bardzo uważnie - rzekł Marcus - nie chcę się powtarzać. Zaczynasz od początku i opowiesz mi całą historię. Żadnych więcej kłamstw, żadnych niedomówień. Chcę usłyszeć o majorze Carruthersie, o Amy Spencer i związkach, które was łączą. - Powoli, starannie wypowiedane słowa maskowały takie okrucieństwo, że aż przyprawiły ją o drżenie. - Nie popełnij błędu, opowiadaj wszystko z najdrobniejszymi detalami, bo inaczej wyzwę twój El Grandę albo wysmagam go szpicrutą.

Zauważył, że słysząc go, gwałtownie pobladła. Grozić jej nie miało sensu. Wiedział jednak, że dziewczyna nie dopuści, aby jej drogiemu El Grandę stała się jakaś krzywda. Jak niedawno powiedziała, gotowa była oddać za niego życie.

- Marcus, nie mówisz tego na serio. - Głos jej się trząsał.

- Możesz mi wierzyć. - Kiedy uznał, że ją przekonał, ciągnął dalej: - Zaczynaj od majora Carruthersa lub od kogokolwiek, kto jest teraz twoim łącznikiem z wywiadem.

Zapadła cisza, Marcus usadowił się, nie proponując jej tego samego. Czowała się jak więzień stojący w ławie oskarżonych i patrzący w oczy sędziemu, który już postanowił go skazać.

Dygotała pod spojrzeniem męża - nie ze strachu, ale ze wstydu i poczucia winy. On nie okłamał jej ani razu, ani razu, a ona oszukiwała go wciąż, począwszy od wymuszenia małżeń-

stwa w Hiszpanii. Może istniały jakieś usprawiedliwienia na to, że podjęła się misji zleconej przez majora, może dało się jakoś uzasadnić jej maskaradę. Ale wszystko to skończyło się tamtej nocy, kiedy Marcus ją zdemaskował, kiedy naprawdę została jego żoną. Nie rozumiała, czemu nie wyznała mu prawdy. Może dlatego, że nauczono ją myśleć jak agentka? Ale była kobietą i kochała tego mężczyznę. Już nigdy go nie okłamie.

Splotła palce, przyglądając się obrączce ślubnej, którą dostała od męża. Swą relację rozpoczęła od dnia, kiedy ją poprosił, żeby odgrywała rolę Cataliny.

Mówiła, a w nim odżywały fragmenty wspomnień. Kiedy składał jej propozycję, był już zadurzony. Wierzył w jej poczucie honoru. A ona z premedytacją umacniała tę ufność. Co więcej, sprawiła, że się zakochał. Wykorzystując jego pragnienia, ukrywała swój prawdziwy cel.

Zamilkła, więc starał się zrekapitulować to, co usłyszał.

- Posłuchaj, czy dobrze cię zrozumiałem. Major Carruthers jest twoim przełożonym i on kazał ci odgrywać Catalinę. Jesteś agentką wywiadu; dostałaś zadanie szpiegowania mnie, bo major podejrzewał, że zamordowałem swoich towarzyszy. Kontaktowaliście się za pośrednictwem innych agentów umieszczonych w moim domu, natomiast we Wrotham twoim łącznikiem był ojciec Granger. Czy coś opuściłem? Ach, tak, El Grandę w tym nie uczestniczył - to właśnie usiłowałaś mi przede wszystkim wytłumaczyć?

- Marcus, chodzi o coś więcej.

- Odpowiedz na moje pytanie!

Przytaknęła, czuła się rozbita. Ta lista grzechów robiła z niej pozbawioną serca, podstępna awanturnicę, która tylko czyhała, by zwabić go w pułapkę.

- Marcus, chciałabym, abyś uwierzył, że próbowałam dobieść twojej niewinności - odezwała się cicho.

- Czekam na odpowiedź na moje pytanie.

- El Grandę nie brał w tym udziału. - Spuściła wzrok.

- Możesz sobie w to wierzyć. Ale według mnie tkwił w tym po uszy.

- Chyba nie podejrzewasz go o zamordowanie tych mężczyzn! - wykrzyknęła z niedowierzaniem.

- Czemu nie?

- Bo, Marcus, ja go znam. Poza tym: gdzie jest motyw?

- A motyw, który ja mógłbym mieć? Ale to nie rozwiązało twoich podejrzeń. - Było wiele goryczy w tym stwierdzeniu.

- Przejdźmy jednak do Amy Spencer. Co cię z nią łączy?

- Amy jest moją siostrą - odpowiedziała po prostu.

Przez chwilę był kompletnie zbity z tropu, potem coś zaczęło mu świtać.

- Ta, która uciekła z kochankiem, kiedy byłaś dziewczynką?

- Tak.

- A jak to się stało, że ta para się spotkała? - Przymrużył powieki i przetrawiał zasłyszane informacje.

- El Grandę poznał ją u mnie w domu. Byłam zaskoczona tak samo jak ty, kiedy powiedziano o ich wspólnym spacerze. Widać, musieli się umówić. Nie mam pojęcia po co, chyba że ona pomaga Robertowi opiekować się ubogimi.

Słowa żony dotarły do niego tylko częściowo. Usiłował ogarnąć sytuację, którą ujrzał w nowym świetle. Amy Spencer to siostra Catherine. Oparł się o słupek podtrzymujący baldachim nad łóżem.

- Twoja siostra. - Przypomniawszy sobie mały domek w Chelsea, Amy rozciągnięta w prowokacyjnej pozie na żółtej sofie, mającą na sobie jedynie kilka błyskotek, które jej podarował. On stał obok i rozbierał się.

Spojrzał na Catherine i zaczerwienił się jak przyłapany na występku uczeń.

Żona wyczytała wszystko z jego twarzy. Już nie czuła się jedyną winną w tym pokoju.

- Tak, to ta Amy Spencer - powiedziała.

- Nie zaprzeczę, że przez jakiś czas była moją kochanką, lecz bardzo dawno temu - przystąpił do defensywy.

- Jeśli sobie przypominam, pierwszej nocy, kiedy spotkaliśmy się w Londynie, szedłeś właśnie do Amy. - Catherine nie dawała za wygraną.

- Na miłość boską, ona wydaje przyjęcia. To przecież nic takiego. Odkąd przestała być moją utrzymanką, łączyła nas jedynie przyjaźń.

- Przyjęcia, na które dżentelmeni chodzą, by spotykać się z damami o podobnych zainteresowaniach - kobietami rozwiązanymi, wyrażając się jasno.

- Byłem kawalerem. Nie znałem cię wtedy. - Przeczesał palcami włosy.

- Byłeś żonaty. Ze mną, z Cataliną.

- Powinnaś mi powiedzieć.

- Czemu powinnam? Zemściłam się, zmuszając cię do małżeństwa.

Stali jak dwa posągi, przypatrując się sobie nawzajem.

- Zemściłaś się? Szpiegowałaś mnie dla zemsty?

- Nie, tego nie powiedziałam, nie o to mi chodziło.

- Więc o co?

- Miałam na myśli, że wtedy w Hiszpanii, kiedy to za-inscenizowałam, nie chodziło mi tylko o to, że dworowałaś sobie z moich afektów.

Walnęła w słupek tak, że aż podskoczyła.

- O co mam się obwiniać? Przede mną miała innych protektorów. Czemu postanowiłaś ukarać właśnie mnie? - Roześmiała się. - Co za głupota! Zetknął nas ślepy traf i ty dostrzegłaś okazję do zemsty. Pozwól sobie coś powiedzieć, ty mała świętoszkowata skromnisiu. - Cofnęła się, a on postąpił krok do przodu. - Nie jest mi przykro z powodu Amy. Sama sobie wybrała taki sposób na życie. Nie mam z tym nic wspólnego. Nie byłem ani pierwszym, ani z całą pewnością ostatnim jej kochankiem.

Wtrąciła się, kiedy przerwał dla nabrania oddechu.

- Czy ty wiesz, co mówisz? „Sama sobie wybrała sposób na życie”. Amy jest moją siostrą. Czy Samanthę równie łatwo spisałybyś na straty?

- Nie rozmawiamy o mojej siostrze, jeśli łąska.

- Rozumiem. Naprawdę świetnie rozumiem. Samantha jest

nieskazitelna. Nie należą z Amy do tej samej klasy, nieprawdaż? Pierwszej przeznaczone jest uświęcone małżeństwo, druga jest zabawką, przedmiotem, który ma dostarczać przyjemności bogatym mężczyznom. A jak ja pasuję do tego schematu? Naprawdę chciałabym wiedzieć.

- Jesteś moją żoną. - Jego głos był zimny i zawzięty.

- A co z kobietami w rodzaju Amy? Czy one też nie mogą zostać żonami?

- Powtarzam: Amy sama wybrała sobie takie życie. Nikt jej do tego nie zmuszał, a już na pewno nie ja. - Mówił teraz jeszcze bardziej cierpkim głosem. - Na Boga, Cat! Nie znasz swojej siostry? Ona mierzy wysoko, lubi to, co można kupić za pieniądze, w niczym ciebie nie przypomina. Nie odpowiadałoby jej życie takie jak twoje.

- I ty o tym wiesz, jak przypuszczam?

- Lepiej niż ty.

Wycofała się, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć, lecz zaraz następna myśl przyszła jej do głowy.

- Chciałeś kiedyś, żebym została twoją kochanką. Czy ja mierzę wysoko? Tak mnie widzisz? Przypominam ci Amy?

- Nie bądź śmieszna. Jesteście zupełnie inne.

- Obrażasz mnie czy Amy?

- Nigdy nie obraziłbym Amy.

- Zatem to ja powinnam czuć się dotknięta. Czemu więc chciałeś ze mnie zrobić kochankę?

Jego frustracja osiągnęła punkt krytyczny.

- Myślałem, że będziemy do siebie pasować. Wiedziałem, że mnie chcesz, tak jak ja pragnąłem ciebie.

- Pasować do siebie! - parsknęła. - Może raczej nie byłam dość dobra na twoją żonę? I co, Marcus, odpowiadam ci?

- Wymawiała słowa szybciej, niż zdążyła się nad nimi zastanowić. - Czy w łóżku byłam równie dobra jak Amy? Jak inne twoje kochanki?

- Nie zamierzam odpowiadać na takie pytania, a ty nie powinnaś ich zadawać. - Zacisnął zęby.

Nagle zupełnie straciła parę. Osłupiała patrzyła na męża. Nie mogła uwierzyć, że powiedziała coś takiego, że ta rozmowa w ogóle miała miejsce. Najbardziej przerażające było to, że zrozumiała, iż jest zazdrosna o siostrę. Sama myśl o Marcusie i Amy raniła bardziej niż smagnięcie batem. Amy była piękna, doświadczona, miała ogładę, podczas gdy ona na całe lata została odsunięta na boczny tor.

- Ta rozmowa w ogóle nie ma sensu. Od dawna nie spotykam się z Amy. Ty jesteś moją żoną, i tyle! - Był błądy, marszczył brwi.

Te słowa wytrąciły ją z zadumy. Przypomniała sobie swoje postanowienie.

- Jest jeszcze coś, o czym powinienś wiedzieć. Chciałam zemsty nie dlatego, że Amy była twoją kochanką- Ona powiedziała mi, że ją zgwałciłeś. Dlatego nienawidziłam nazwiska Wrotham, dlatego zmusiłam cię do małżeństwa.

- Twoja cholerna siostra cię okłamała! - wychrypiął, ledwo łapiąc oddech.

- Teraz to wiem. Widzę, że nie jesteś do tego zdolny, tytedy nie wiedziałam.

- Jak mogę ci w cokolwiek uwierzyć? Nienawidziłaś mnie od początku.

- Kiedyś to mogła być prawda, ale teraz już nie - wyszeptala.

- O nie, Cat, to nie takie proste. Będziesz chciała dcwodu mojej niewinności. Tak się składa, że gwizdżę na to. Możesz mi wierzyć lub nie.

Podszedł do stolika, wziął kartkę papieru welinowego.

- Marcus, co ty robisz?

- Napiszesz list do majora Carruthersa. Użyjesz hasła. Chcę go tu widzieć natychmiast. Teraz.

Dokładnie wypełniła polecenie.

Mąż zabrał list.

- Nie wychodź z tego pokoju, póki nie wrócę.

Nie czekał nawet na odpowiedź.

Major Carruthers uśmiechał się przez cały czas, kiedy lokaj jego lordowskiej mości odprowadzał go do drzwi. Było między drugą a trzecią w nocy i choć kręciło się mnóstwo fiaków dowożących eleganckie towarzystwo na kolejne przyjęcia, major nie mógł złapać żadnego pojazdu. Pomyślał, że Wrotham powinien zachować się uprzejmie i odesłać gościa do domu własnym powozem. Oczywiście był bardzo zaafetowany - Carruthers dał mu wiele do myślenia. Nie była to jednak najlepsza pora na włóczenie się po mieście, zwłaszcza że trzeba było opuścić wytworne okolice Mayfair.

Wygiął swoją trzcinkę, ot tak, na wypadek gdyby jakimś rzezimieszkowi przyszła do głowy paskudna myśl, i zrezygnowany ruszył w długą drogę do domu. Kiedy dotarł tam po godzinie, trochę się rozchmurzył. Miły budynek, niewielkie przytulne pokoje, znacznie sympatyczniejsze od tej wykutej z kamienia stodoły, którą Wrotham nazywał domem.

W westybulu nie paliły się świece: gdy wychodził, żona leżała już w łóżku, a on był zbyt ostrożny, by pozostawić ogień bez dozoru. Po ciemku wszedł po schodach, dotarł do pokoju, który dzielił z żoną. Po chwili, w długiej białej koszuli nocnej i szlafmycy, wsunął się pod kołdrę.

W łóżku zawsze najlepiej mu się myślało. Oparł się o poduszki, zaczął układać sobie wszystko w głowie.

- Cholerne fiasko na całej linii, jeśli chcesz poznać moje zdanie - zwrócił się do śpiącej obok żony.

Nawet przez sen wymamrotała coś uspokajająco - instykt lub sprawa treningu.

- Byli dwojgiem moich najlepszych agentów w Hiszpanii, a teraz patrz! Do niczego się już nie nadają. Jedno zakochało się w głównym podejrzanym, drugiemu dziwka zawróciła w głowie. - Nie wymieniał nazwisk, był człowiekiem bardzo ostrożnym, choć słuchała go jedynie śpiąca żona.

- Dzwinka? - powtórzyła całkiem wyraźnie. Widać, coś musiało do niej docierać.

- Co on sobie myśli: że pozwolę mu wałęsać się po całym

Londynie z najbardziej znaną kurtyzaną i nie będę miał go na oku?

Niezrozumiała odpowiedź.

- Nie żebym coś podejrzewał, nie. Uważam nawet, że mu się to należy za całą pomoc, której udzielili nam partyzanci w Hiszpanii. Sprawy się skomplikowały po zakończeniu kampanii. - Westchnął ciężko. - Mój pierwszy podejrzany bardzo mnie rozczarował. Gdyby za tym stał, mógłby wyeliminować mojego najlepszego agenta. Zamiast tego... no cóż, powiedzmy, że wziął go pod swoje skrzydła.

Niewyraźny pomruk.

- I pomyśleć, że mój agent zatajał przede mną informacje!
- Ziewnął potężnie. - W każdym razie sprawa wymknęła mi się z rąk. Jedyнным podejrzany jest strzelec, a ten oczywiście zdążył już zwiać. Jak powiedziałem jego lordowskiej mości, trop ostygł i możemy jedynie zakładać, że zbir osiągnął cel. Czas, bym odwołał swoich ludzi. Jeśli zaś idzie o morderstwo Freddiego Barnes...
- Charles, wielkie nieba, idź spać! - Żona usiadła na łóżku.

- Skoro się już obudziłaś, kochanie, może by tak małego całusa? - Wyszczrzył się od ucha do ucha.

- Celowo wyrwałeś mnie ze snu! Co robisz? Ty niegodziwy człowieku! Ach, Charles!

Catherine usłyszała, że major opuszcza dom, i śmiało wyszła na korytarz. Ten sam lokaj wciąż pełnił wartę: nie przepuścił jej, kiedy chciała zejść na dół po przyjeździe majora, zatrzyma ją i teraz.

- Tylko zaczerpnąć powietrza - odezwała się kordialnie do służącego.

Sposób, w jaki Marcus ją kontrolował, doprowadzał ją do furii, ale nie będzie wyładowywać się na biednym Williamie. Poczeka, aż mąż przyjdzie na górę, i wtedy mu wygarnie.

Otworzyły się drzwi do biblioteki. Zobaczyła Marcusa.

- Gilles, przynieś mi następną butelkę koniaku!

W chwilę później lokaj nadbiegł z flaszką pod pachą.

Catherine szybko wróciła do pokoju, trzasnęła drzwiami. Ominęła ją rozmowa, ale ci przekłęci mężczyźni widocznie nie uznali za stosowne dzielić się z nią informacjami. Miała raczej, obawiając się mu powiedzieć, że jest jego żoną. Jako panna Catherine Courtnay mogła przychodzić i odchodzić, kiedy jej się podobało. Jako hrabina Wrotham będzie pod pantoflem męża i major w niczym już jej nie wesprze.

Chodziła po pokoju, aż się nieco uspokoiła. Położyła się na pięć minut, znów zaczęła krążyć. Lecz irytacja stopniowo słabła. W końcu szło tu o coś więcej niż tylko o metody wymuszania posłuszeństwa stosowane przez Marcusa.

Usiadła na brzegu łóżka i zaczęła się zastanawiać, co właściwie czuje. Rozczarowanie? Przygnębienie? Raczej rozpacz. Jak zdoła odzyskać jego zaufanie i szacunek po wszystkim tym, co zrobiła? Jak odzyska jego miłość? Wydawało się jej, że nigdy nie widział w niej żony, lecz jedynie kochankę.

Z otwartymi oczami wyciągnęła się na łóżku. Nie wiedziała, co przyniesie im przyszłość, ale rysowała się ona w czarnych barwach.

Catherine zamknęła oczy i czekała na Marcusa.

Usiadła, gdy tylko usłyszała szcęknięcie klamki. Przez wiele godzin nie zmrużyła oka. W świetle świec zauważyła, że zdjął żakiet i fular. Koszulę miał rozpiętą. Uśmiechał się. Wiedziała, że pił, lecz nie sądziła, aby był pijany.

Poczuła lekkie ukłucie strachu, kiedy się zbliżał. Był silnym mężczyzną, a ona nie potrafiła odgadnąć jego nastroju. Pochylił się nad nią; poczuła zapach brandy, lecz opanowała się i nie okazała lęku.

- Przysięgam na wszystkie świętości, że nie zgwałciłem twojej siostry - odezwał się.

- Wierzę ci. - Dotknęła jego pociągłej, szorstkiej twarzy.

- Zapewnij mnie, że nie kochasz El Grandę.
- Nie Kocham go, Marcus. Nie w taki sposób, o jakim myślisz.

- Powiedz mi, że namiętność była prawdziwa. Zrób to w końcu dla mnie. - Pochylił się nad nią jeszcze bardziej.

Musiała odchrząknąć: coś drapało ją w gardle.

- Była prawdziwa. Zawsze. Nawet na samym początku.

To były ostatnie słowa. Marcus pogasił świece, wszedł do łóżka. Wziął ją jak nigdy dotąd. Nie był delikatny ani czuły. Namiętność nim oładnęła, nie pozwalała mu się opanować. Dawał żonie do zrozumienia w jakiś prymitywny sposób, że znalazł odpowiedź w najmroczniejszych zakamarkach jej duszy.

Po wszystkim leżała, drżąc, w jego ramionach. Marcus zsunął się z jej ciała i natychmiast zasnął. Catherine długo jeszcze pozostawała bez ruchu, rozmyślając o przyszłości i o tym, jak sobie z nią poradzi.

Następnego ranka spotkali się na śniadaniu w jadalni. Spędziła na dole cztery godziny, czekając na męża. Nie sprawiał wrażenia człowieka, który z taką dziką pasją wdarł się wczoraj do jej łóżka - wyglądał wytwornie jak zawsze.

Skinieniem odprawił służbę, nalał sobie kawy przy bocznym stolczku.

- Carruthers powiedział wczoraj kilka interesujących rzeczy - oznajmił, kiedy już zasiadł do stołu.

Major nie interesował jej w tej chwili. Chciała usłyszeć coś, co mogłoby naprawić wszystko między nimi - coś, co świadczyłoby o tym, że ten mężczyzna odczuwa nie tylko fizyczny pociąg.

- Co takiego powiedział?

- Ano to, że nie jestem już podejrzany i że zabrnął w ślepią uliczkę.

Duma przysłała jej z pomocą, automatycznie podtrzymywała konwersację.

- Czemu nie jesteś już podejrzanym?
- Bo nie zabiłem cię, kiedy cię zdemaskowałem.
- A kto jego zdaniem zamordował tamtych żołnierzy?
- Nasz nieznany strzelec.

Rzucił na nią okiem, odwrócił wzrok. Nie wyglądała na kobietę, która tak bezwolnie ulegała mu zaledwie kilka godzin wcześniej. Sam czuł się zaszokowany bezlitosną pasją, z którą ją wziął. Nie był cywilizowanym dżentelmenem, za którego zawsze się uważał. Po wyjściu majora spędził w bibliotece godzinę czy dwie, rozpamiętując wszystkie aspekty jej zdrady. Brandy nie pomagała, zniszczyła resztki ogłady. Do głosu doszła prymitywna strona natury: chciał być panem swojej kobiety, zatrzeć pamięć o El Grandę w jej sercu i umyśle. A teraz Catherine nawet na niego nie spojrzy. Boże, co on zrobił?

- Mówiłeś coś, Marcus?

- Powiedziałem, że Carruthers ma pewną teorię. Wszyscy ci żołnierze zostali zamordowani, bo mogli rozpoznać strzelca. Z siebie tylko wiadomych powodów nie chciał do tego dopuścić. Nas troje oszczędził, bo nigdy nie stanęliśmy z nim twarzą w twarz i mu nie zagrażamy. Musi o tym wiedzieć, bo inaczej zabiłby i nas. To rozsądna teoria, nie sądzisz?

- A co z atakiem na ciebie? Co z lampą na schodach baszty?

- Major rozumuje tak: jeśli nie podejrzewalibyśmy, że ściga nas morderca, to co pomyślelibyśmy o tych dwóch faktach?

Patrzyła przez chwilę na Marcusa, zastanawiając się nad jego słowami.

- Pomyślelibyśmy, że napaści na ciebie dokonali złodzieje, którzy zwabili cię biletem od twojej... kochanki, a ta lampa według wszelkiego prawdopodobieństwa po prostu spadła.

- Dokładnie tak. Możemy więc przestać oglądać się przez ramię.

- A jeśli teoria majora jest fałszywa?

- Nie podejrzewałem strzelca od początku jedynie dlatego, iż myślałem, że to ty i El Grandę stoicie za tym wszystkim. Skoro to się wyjaśniło, któż jeszcze mógłby to być?

Posmarował masłem tost, zaczął chrupać. Catherine mieszała zimną kawę. Patrzyła na niego i coś w jej wzroku kazało mu mieć się na baczności.

- O co chodzi? - spytał.

- Rozumiesz, co to oznacza? Możemy teraz robić, co tylko chcemy. Znowu mogę się stać Catherine Courtnay.

- Ty nie jesteś Catherine Courtnay; jesteś moja żona, hrabiną. Ale rozumiem, co masz na myśli. Nie musisz już odgrywać Cataliny. - Bawił się grzanką.

- Przemyślałam to, Marcus, i widzę rozwiązanie. - Nachyliła się ku niemu.

- Naprawdę? - spytał obojętnie.

- El Grandę i ja możemy zaświadczyć, że małżeństwo zostało zawarte pod przymusem. Zostanie anulowane., masz teraz świadków. Każde z nas będzie mogło pójść swoją drogą.

W jego wzroku było tyle okrucieństwa, że szarpnęła się, jakby ją uderzył.

- Mówiłem ci, że od tej pory ja będę decydował. Nie ty, nie El Grandę, ale ja. Rozumiesz, co mówię?

Zerwała się na równe nogi i zalała go potokiem słów:

- Nie obchodzi mnie, jak to zrobisz, ale chcę doprowadzić do końca tego niewydarzonego małżeństwa. Odmawiam grania roli. Nienawidzę brązowych włosów. Chcę wrócić do własnego życia, przyjaciół, rzeczy. Do siebie samej. - Kolana się pod nią ugięły, obu dłońmi wsparła się o blat. - I nie chcę, żebyś traktował mnie tak jak tej nocy.

Oczy miał czarne jak smoła, twarz ściągniętą. Wszystkie cierpienia, które przeżywał w bibliotece, wróciły z pełną mocą. Czuł się zraniony do żywego, nie tylko jej zdradą. Wydawało mu się, że nawet namiętność, którą dzielili, była symulowana i należała do roli.

- A zatem rozwód! - wrzasnął i wybiegł z pokoju.

23

Catherine wróciła do Heath House lśniącą, dobrze resorowaną kolaską podróżną. Co za ulga znaleźć się w domu! Koniec z udawaniem hiszpańskiego akcentu, łganiem w żywe oczy ludziom, których zaczynała lubić, i - największe szczęście - koniec z farbowaniem warkoczy! Godzinami usuwała to paskudztwo z włosów.

No i koniec z Marcusem - tym przeklętym człowiekiem!

Przywiozła masę pudeł, by potwierdzić swą trzymiesięczną podróż w towarzystwie wdowy. Prześledziła nawet na mapie prawdopodobny szlak wyprawy z panią Wallace. Wszystko opanowała niemal do perfekcji, nic nie pozostawiając przypadkowi. Marcus nie odesłał jej do domu z Londynu, lecz postarał się stworzyć wrażenie, iż właśnie przepłynęła Kanał. Ostatni raz widziała go w budynku portu w Dover.

Był uprzejmy, ale pełen rezerwy. Udzielił jej wskazówek. Od czasu do czasu będą się kontaktować, ale tylko po to, aby omawiać szczegóły unieważnienia małżeństwa albo przeprowadzenia rozwodu. Zapewnił ją, że jeżeli kiedykolwiek przetną się ich drogi, nikt się nie dowie, że łączyło ich coś więcej niż tylko znajomość.

- Co powiesz rodzinie? - spytała.

- Nie zastanawiałem się jeszcze. Czy to ma znaczenie?

To miało znaczenie, nawet większe, niżby sobie życzyła.

Nigdy już nikogo z nich nie zobaczy. W czasie krótkiej znajomości żyła się z tymi ludźmi. Teraz i z nimi musi wziąć rozwód. Trudno było się z tym pogodzić.

- Sądzę, że nie - odpowiedziała. - Cokolwiek postanowisz, będzie po mojej myśli.

Niemal od razu po powrocie do Heath House wyciągnęła szkice i dzienniki. Właściwie nie były to prawdziwe dzienniki - raczej notesy, w których zapisywała szczegóły przekazywane potem majorowi Carruthersowi. Wśród niewielu zachowanych szkiców przeważały portrety partyzantów. Była też podobizna Marcusa. Nim przeszła do następnych rysunków, długo, bardzo długo przypatrywała się twarzy męża.

Szkic Juana grającego z *padre* w karty; partyzanci, głównie kobiety, zajęci swoimi sprawami; El Grandę z kilkoma towarzyszami po powrocie z misji. Nie rysowała ich z natury, lecz z pamięci, gdy Robert przeprowadzał akcje w terenie, a jej samotnej czas włókł się w nieskończoność. Często się tak zdarzało.

Po powrocie do własnej tożsamości długo nie widziała Marcusa. Wreszcie przyszedł obejrzyć rysunki. Uprzedził wcześniej o swej wizycie, przysyłając bilecik. Stał w oszklonych drzwiach pracowni, gdy małżonkowie McNally udali się już na spoczynek.

Przejrzał w milczeniu notatki i szkice, lecz nic go w nich nie zafrapowało.

- Nie sądzę, żeby miały jakieś znaczenie - orzekł, przerywając ciszę.

- Ja też tak myślę. Czy widziałeś się już z doradcami prawnymi?

- Trudno będzie mi to teraz załatwić. Wróciłem do miasta tylko na kilka dni.

- Oczywiście.

Znów długie milczenie.

- Może herbaty? Kawy? - spytała, byleby tylko coś powiedzieć.

- Dziękuję, nie. Naprawdę nie powinienem tu być z tobą sam na sam o tak późnej porze. Nie odezwała się, więc zaczerpnęła głęboko powietrza i rzekł: - Nie zrozum mnie źle, ale wynająłem domek niedaleko stąd. Old Dalby. Wiesz, gdzie to jest?

- Wiem - odparła ostrożnie. - Od sześciu miesięcy stoi pusty.

- Umieściłem tam dozorców, żeby wszystkiego doglądali. Państwo Mills. Gdyby coś zaszło i potrzebowałabyś się ze mną skontaktować, możesz skorzystać z ich pośrednictwa.

- A co miałyby się stać?

- Mam nadzieję, że nic. Wciąż jednak jesteś moją żoną i czuję się za ciebie odpowiedzialny. No właśnie, przypomniało mi się: jak mam ci przekazać pieniądze, które jestem ci wienien? Może być czek?

- Jakie pieniądze?

- Za odgrywanie Cataliny.

- Nie robiłam tego dla pieniędzy! To było zadanie. Wiedziałam, że nigdy nie dostanę ani pensa.

- Oczywiście. Jak mogłem o tym zapomnieć? - Na twarzy Marcusa znać było napięcie.

Niebawem się pożegnał, a Catherine spędziła bezsenną noc, usiłując rozszyfrować każde jego spojrzenie, każde wypowiedziane słowo. Zastanawiała się, o czym myślał, kiedy milczeli.

Zupełnie gładko powróciła do dawnego życia. Mogło się zdawać, że nigdy nie wyjeżdżała. Dobrze wbiła sobie do głowy fikcyjną trasę podróży z panią Wallace, ale, prawdę mówiąc, nikt nie usiłował przyłapać jej na nieścistościach. Kiedy myliła daty czy miejsca, wszyscy okazywali zrozumienie: nie mieli podstaw, by podejrzewać, że nie mówi prawdy.

Nawet odmowa opisanego tego, co rzekomo widziała, nie spowodowała kłopotliwych pytań. A.W. Euman zajmował się poważnymi problemami, a wakacje w towarzystwie pani Wallace stanowiły temat zbyt błahy.

Długo biła się z myślami, nim zasiadła do pierwszego artykułu dla „The Journal”. Zdecydowała w końcu, że nie może

się kierować odczuciami Marcusa. Napisała o własnym ojcu, lecz myślała o Pennie. Był to tekst płynący prosto z serca. Wiedziała, że Helen i Samantha czytają jej kolumnę, i chciała dać im promień nadziei.

W drugim tygodniu po powrocie niby przypadkiem spotkała Marcusa, kiedy jeździła po wrzosowiskach. Otaksował wzrokiem Vixen, damskie siodło, dostrzegł zaciśnięte usta żony.

- Moja biedna Cat - stwierdził i oboje się roześmieli.

Powiedział jej, że widział się z doradcami. Rozwiązanie ich małżeństwa okazało się trudniejsze, niż przypuszczali. Panowie Brown i Armitage badali wszystkie ewentualności; kiedy będzie miał jakieś nowe informacje, odwiedzi ją ponownie.

Choć rzadko opuszczała Hampstead, państwo Lowrie namówili ją pewnego razu na wspólną wyprawę do teatru. Emily wydawało się, że dziewczyna wygląda na wymizerowaną i powinna się rozerwać. Amy była w swojej loży, piękna jak zawsze, lecz Catherine odniosła wrażenie, że orszak jej adoratorów się przerzedził. Emily wskazała inną lożę. Zasiadała w niej Julia Bryce, obwołana wschodzącą gwiazdą przez wianuszek otaczających ją dżentelmenów. Im bardziej rosły jej akcje, tym bardziej spadały notowania rywalki.

- Tak to jest w tym *demimonde*. Miejsca starcza tylko dla jednej królowej. Wiesz, żal mi pani Spencer.

Kurtyna poszła w górę, rozpoczęło się przedstawienie.

Podczas przerwy Catherine zetknęła się z siostrą twarzą w twarz. Amy jednak potraktowała ją jak powietrze. Nie zaszczyliła jej słowem ani spojrzeniem.

Mimo to następnego ranka Catherine otrzymała list. Rozpoznała pismo siostry i serce jej waliło, kiedy otwierała kopertę. To był długi list, zaczynający się od przeprosin. Po nich nastąpiła spowiedź: Amy wyznała, że wyrządziła wielką krzywdę earlowi Wrotham, i oznajmiła, że chciałyby to naprawić.

Catherine czytała i wiedziała dokładnie, co Amy chce powiedzieć. Złościła się i roztkliwiała na zmianę. Gdyby tylko wiedziała to wszystko, zanim spotkała Marcusa; gdyby nie

znalazła Amy w stajni; gdyby poszła za głosem serca i w szczerzej rozmowie z Marcusem sprawdziła wersję siostry. Gdyby można było cofnąć wskazówki zegara.

List Amy wyjaśnił jedną kwestię, która dręczyła Catherine: siostrę do tych wyznań skłonił niewątpliwie El Grandę. Był księdzem. Lub prawie księdzem, co nie czyniło wielkiej różnicy. Widać, wziął Amy pod swoje skrzydła. To musiało się stać podczas tego ich wspólnego spaceru.

Tej nocy Catherine ubrana w partyzancki strój wyruszyła na Vixen na wrzosowiska.

Najnowsze plotki o Marcusie przekazała jej Emily.

- Cóż tam u earla Wrotham? - spytała Catherine, starając się, żeby zabrzmiało to zdawkowo.

Oddychała głęboko, delektując się świeżym powietrzem. Wcześniej była w kościele, teraz postanowiła przejść się po wrzosowiskach.

- Cała rodzina zjechała do miasta - wszyscy, z wyjątkiem najmłodszego, który wrócił na uniwersytet. Londyn aż trzęsie się od plotek.

- Dlaczego?

- No cóż, wiesz oczywiście, że ojciec hrabiny wdowy był rzeźnikiem - nigdy nie przyjmowano jej na salonach!

- Był krawcem - poprawiła Catherine.

- Nieważne, nie przerywaj. Chodzi o to, że earl szepnął słówko, że gdziekolwiek on bywa, tam mają być i oni.

- Emily klasnęła. - I poskutkowało! Pokazują się wszędzie!

Catherine miała ochotę zerwać z głowy czepek i podrzucić go wysoko do góry.

- A co się mówi o żonie Wrothama?

- Ach, ona wróciła do domu odwiedzić chorych krewnych czy coś w tym rodzaju. Naturalnie jest wiele spekulacji na ten temat.

- To oczywiście - skwitowała Catherine.

Doszły do jeziora ukrytego wśród wrzosowisk. Zatrzymały się na chwilę, żeby odetchnąć i popatrzeć na kaczki. Wokół było wielu spacerowiczów i kilku jeźdźców trenujących konie.

Catherine uczuła mrowienie w karku. Odwróciła się i zaczęła lustrować twarze kręcących się za jej plecami ludzi.

- O co chodzi? - zainteresowała się Emily.

- Doznałam dziwnego wrażenia, że ktoś mnie śledzi. Ostatnio zdarza mi się to od czasu do czasu.

Emily spojrzała przez ramię.

- Nikogo nie widzę. - Odchrząknęła i rzuciła okiem na przyjaciółkę. - Catherine, znalazłam dla ciebie doskonałego partnera.

- Nie ma kogoś takiego, jak doskonały mężczyzna.

Pani Lowrie zignorowała tę cyniczną uwagę.

- Właśnie pojawił się na scenie: wynajął posesję Smythe'ów przy Church Row. Spotkasz go, kiedy następnym razem przyjdiesz na obiad. Będzie honorowym gościem, nazywa się Nigel Dearing.

- Lubię swoją samotność. - Catherine zatrzymała się gwałtownie.

- I dlatego nikogo nie znasz. - Emily wyprzedziła przyjaciółkę.

Na to Catherine nie znalazła odpowiedzi.

Szykując się do spania, myślała o tym, co Emily opowiedziała jej o rodzinie Marcusa. Fakt, że zastosował się do jej rady, głęboko ją poruszył. Może z czasem stanie się bardziej przystępny, wybaczy jej wszystkie kłamstwa.

Zasnąć nie było łatwo. Odprężyła się, lecz zaraz wracała myślą do chwili, kiedy ostatni raz się kochali. Nieważne było to, że próbował ją upokorzyć. Ciało dawało jej do zrozumienia coś innego: cierpiało z powodu nie zaspokojonego pożądania, tęskniło za dotykiem Marcusa.

Jęczała, zaciskała zęby. Zaczęła liczyć barany.

24

Dwa dni później Catherine wychodziła od miejscowego siodlarza, któremu zaniosała do naprawy wędzidło Vixen. Na zewnątrz czekał Marcus w wynajętym powozie. Nie wysiadł, tylko wystawił rękę i wciągnął żonę do środka. Ruszyli.

- Czy cała ta tajemniczość naprawdę jest konieczna? - zapytała.

Wzruszył ramionami,

- Nie chcę wzbudzać podejrzeń. Wszyscy myślą, że moja żona wyjechała odwiedzić krewnych w Hiszpanii. Jeśli mnie z tobą zobaczą, zaczną gadać. Myślę o tobie, Catherine. - Spojrzała na niego, a on ciągnął dalej: - Będą gadać jeszcze więcej, kiedy rozwiążemy nasze małżeństwo. Wiesz oczywiście, że wszystko wyjdzie na jaw? Nie sposób utrzymać tego w sekrecie. Mam na myśli twoją tożsamość. - Wyglądała na przerażoną. - Będziesz musiała się wystawić na widok publiczny. Kim wolisz być, kiedy będą cię wypytywać: Cataliną czy Catherine?

- Nie zastanawiałam się nad tym - odparła słabym głosem.

- Cóż, pomyśl o tym teraz. Musimy powiedzieć prawdę. Jeśli skłamiemy i później wyjdzie to na jaw, rozwód może zostać unieważniony. Nie mogę się rozwodzić z Cataliną Cordes, nie mieszając do tego Catherine Courtney, która występowała jako moja żona przez ostatnie tygodnie.

Catherine wiedziała, że myśli o sukcesji. Człowiek z taką pozycją musiał mieć pewność, że jego dzieci będą miały prawo do spadku, szczególnie pierworodny. Spojrzała na palec, na którym nie było już ślubnej obrączki, i łzy napłynęły jej do oczu.

- Co... - odchrząknęła - co mówią na ten temat twoi doradcy?

- Jak dotąd powiedziałem im bardzo niewiele. Wpierw chciałem się upewnić, że rozumiesz, co nas czeka. Niestety, okazało się, że ten szkocki rozwód nie wchodzi w grę: korzystało z niego zbyt wielu Anglików. Teraz sądy rozpatrują wyłącznie pozwy Szkotów. Nie bądź taka przygnębiona. Mamy jeszcze inne możliwości.

A jednak była przygnębiona. Puls jej walił, straciła ducha.

- To nieważne - odparła. - Mnie się nie spieszy. Jak zareagowali twoi krewni, kiedy się dowiedzieli, że Catalina została wezwana do chorego krewniaka?

- Zjechali się do mnie *en masse* - Marcus odchrząknął - wypytywać się, o co, u diabła, chodzi. Przybył nawet Tristram z Oxfordu. Powzięli podejrzenie, że źle się między nami układało. Wyłożyłem im wszystko najlepiej, jak potrafiłem. Na razie usłyszeli dość prawdy. - W jego oczach zgasły iskierki wesołości. Spojrzał na nią tak, że musiała opuścić powieki, by ukryć własne uczucia. - Wywarłaś na nich wielkie wrażenie, Cat.

- Nie większe niż oni na mnie - powiedziała ochryple, czując, że serce jej pęka.

Marcus wyglądał przez okno.

- Czytałem twój artykuł w „The Journal”. Miałeś rację, a ja się myliłem. Mam nadzieję, że przyjmiesz moje przeprosiny. Niepotrzebnie tak na ciebie napadłem. Artykuł trafia w sedno, jest pełen współczucia. - Odwrócił ku niej głowę. - Pisałaś to z myślą o Pennie?

Skinęła jedynie głową. Nie mogła wydobyć z siebie głosu.

- Wiesz, Penn przeczytał to, lecz nie sądzę, żeby rozpoznał siebie. On uważa, że jego picie nie stanowi problemu. I rzeczywiście, odkąd przyjechał do miasta, nie tknął ani kropli.

- Penn również przyjechał?

- Helen nalegała. Teraz ja nalegam, żeby zostali na mały sezon. Myślę, że mnie za to pochwalisz.

- Postąpiłeś doskonale, Marcus. Słyszałem, jak zmusiłeś towarzystwo do zaakceptowania Helen. Uważam, że to wspomniała. - Zdobyła się na uśmiech.

- Nie poznałabyś jej. Ani Samantha. Mają swoje wielkie dni. Cierpimy jedynie ja i Penn. Każdego popołudnia i wieczoru odbywamy przypisaną nam turę. Wypełniamy obowiązki, eskortując panie z jednego spotkania na drugie. Namówiłem Davida, żeby i on został w Londynie. Spędza mnóstwo czasu z Pennem, oglądając konie. Na Boże Narodzenie przyjedzie do nas Tristram i będziemy w komplecie.

Każde słowo zdawało się ranić jej serce. Nie mogła tego dłużej słuchać.

- Kiedy zamierzasz powiedzieć rodzinie prawdę?

- To zależy.

- Od czego?

Zawahał się.

- Od tego, czy jesteś w ciąży. - Dał jej chwilę, by dotarły do niej te słowa. - To już prawie miesiąc. Cat, spodziewasz się dziecka?

- Nie, Marcus, nie spodziewam się. - Spojrzała na męża wielkimi smutnymi oczami.

Po powrocie do miasta Marcus poszedł prosto do klubu w St. James na spotkanie z kuzynem.

David zamówił obiad: stek, do tego obowiązkowa butelka burgunda. Marcus zapytał, jak minęło mu przedpołudnie.

Krewniak zrobił strapioną minę, potem roześmiał się. Cały rano wraz z Pennem szukali zarodkowego ogiera dla klaczy kupionej od Marcusa. To zresztą był pomysł jego: chciał, żeby przyrodni brat przez cały czas miał zajęcie, a nie myślał o następnym drinku.

- Jestem przekonany - zaczął David - że Penn uważa, iż nie

odróżniam wałacha od żrebnej klaczy. Innymi słowy: jako hodowca kom praynosuc ujmę, nazwisku Lyttouów. Umówiliśmy się, że jutro pójdziemy razem do Tattersall.

- Bardzom ci zobowiązany - odparł Marcus. - Mówię szczerze. To miłe z twojej strony, że tyle czasu poświęcasz Pennowi.

- Żadne poświęcenie. On wie o koniach więcej, niż ja zdołałbym się nauczyć przez całe życie. Masz szczęście, że zajmuje się twoją stadniną.

- To jest również jego stadnina.

- Nie przypuszczam, żeby on też tak uważał. Jest trochę rozgoryczony. - David spojrział na rozmówcę. - Przepraszam, nie powinienem był tego mówić.

- Nie rozumiem, czemu Penn stał się taki przewrażliwiony - odparł Marcus, puszczając przeprosiny mimo ucha. - Dawniej taki nie był. Jak twój befszytk?

Zbierali się już do wyjścia, kiedy wypatrzył ich Peter Farrel i pospieszył się przywitać. Marcus nie widział go od balu wydanego przez matkę chrzestną, czyli od nocy, kiedy zamordowano Freddiego Barnesę.

- Marcus, cieszę się, że cię zdybatem! - wykrzyknął Peter z właściwą sobie bezpośredniością. - W mieście aż huczy od plotek. - dostrzegł Davida. - Jak się pan ma, panie Lytton?

- Od jakich plotek? - zainteresował się Marcus.

- Powiadają, że ukrywasz swoją żonę, bo sądzisz, że jej życiu zagraża niebezpieczeństwo.

- Czemu miałbym tak myśleć?

- Przecież rozmawialiśmy o tym wcześniej. Jesteś jedynym z żołnierzy, który ostał się przy życiu po pobycie w tamtym azylu w Hiszpanii.

- Co to ma wspólnego z moją żoną?

- Marcus, nie udawaj głupiego. Skoro jesteś wystawiony na strzał, ona również może być celem.

- Czym celem?

- Skąd mam wiedzieć? Niektórzy przypuszczają, że jednego

z partyzantów. Albo strzelca. Po prostu bądź ostrożny, Marcus. Nie mów, że cię nie ostrzegałem. Dobrego dnia, panie Lytton.

- Farrel począł w swoją stronę.

- Słyszałeś coś o tych plotkach? - Marcus zwrócił się do Davida.

- Owszem, ale ta historia była tak zawikłana, że nie wiedziałem, co o tym sądzić.

- Ja również nie wiem - Marcus zgodził się z kuzynem.

Do domu na Cavendish Square nie było daleko. Przez cały czas dźwięczały mu w głowie słowa Farrela. Zdenerwowało go, że plotki tak niewiele odbiegają od prawdy. Właściwie trafiały w samo sedno. Nie obawiał się o życie Catherine: major Carruthers przekonał go, że morderca dopiął swego, eliminując tych, przez których mógł zostać rozpoznany lub skojarzony z kwaterą El Grandę. Wypadek z latarnią na schodach i atak w Hyde Parku nie miały ze sobą związku. Zagadka wciąż jednak nie dawała mu spokoju: kto był tym mordercą i co go skłoniło do popełnienia tak wielu zabójstw? Czy to ten strzelec, czy - jak sugerował Farrel - jeden z partyzantów? Pomyślał o El Grandę i zaklął pod nosem. Był zazdrosny o tego młodzika i czuł się z tego powodu niezręcznie.

Przypuszczał, że Catherine, uwolniwszy się od niego, może wyjść za Roberta. To również nie była miła sytuacja. Nie miał żadnych wymówek, by odkładać spotkanie z prawnikami; żadnych, z wyjątkiem własnej niechęci. Rozvodu nie mógł zlekceważyć. Myślał o Catherine.

Do cholery! Kogo usiłował przekonać? Przecież tu chodzi o coś więcej. On nie chce się rozwodzić. Stracił ją. A właściwie traci ją w tej chwili. Każdy przytomny jegomość byłby szczęśliwy, uwalniając się od niej. Ale nie on! Smutna prawda: oczarowała go kobieta, która zdradzała go raz po raz.

Nie wiedział, czemu się złości -już od dawna nie doświadczał tego stanu. Rozmyślał o tym nie po raz pierwszy i dochodził do wniosku, że nie można o wszystko obwiniać Catherine. W końcu

była agentką. Wykonywała rozkazy i nie mogła mu nic wyjawić, nawet gdyby bardzo chciała.

Przypomniało mu się coś, co powiedział Carruthers. Major stwierdził, że nie meldując o incydencie na schodach baszty, Catherine przestała być wiarygodna jako wywiadowca. Gdy to usłyszał, wpadł po prostu w furję: nie zameldowała, bo podejrzewała jego o próbę zabójstwa. Potem ochłonał i zdał sobie sprawę, co naprawdę znaczył postępek Catherine. Starła się być lojalna wobec obu stron. Nie czynił żadnych przypuszczeń na temat uczuć żony, lecz jedno stało się pewne: nie chciała zobaczyć go na szubienicy.

On sam też nie był bez winy. Zawsze udawało mu się wyprowadzić ją z równowagi. A kiedy postawiła na swoim, zachowywał się jak nadąsany sztubak. Teraz z trudem mógł uwierzyć, że prosił ją, żeby została jego kochanką. Na swoją obronę miał tylko jedno: nie próbował jej uwieść. Przyszła do niego sama, z własnej woli. Kiedy już dowiedział się o Amy, zrozumiał, ile Catherine musiała mu wybaczyć, nim zdecydowała się na ten krok. I nie chodziło o zgwałcenie siostry - tego nigdy by nie wybaczyła - lecz o to, że Amy kiedyś była jego kochanką.

Nawet teraz czerwienił się na myśl o Amy. Wciąż trudno było mu pogodzić się z faktem, że Amy Spencer jest siostrą Cat. To tak, jakby odkryć, że było się kochankiem przyrodniej siostry. Catherine interesowały jego stosunki z Amy. Niech diabli porwą całą tę historię i jego wraz z nią! Pamiętał dom w Chalsea, który dla niej wynajął, żółtą sofę i własną namietność. To były całe wspomnienia dotyczące tego związku. Miał wtedy dwadzieścia dwa lata i - Cat nie potrafi tego zrozumieć - pożądał każdej kobiety, która wpadła mu w oko. Amy była zaledwie jedną z wielu utrzymanek; żadna z nich nie była kimś szczególnym. Po prostu pech, że kiedyś wybrał siostrę kobiety, która pewnego dnia została jego żoną.

Oczami wyobraźni zobaczył taki obrazek: wszyscy, *en familie*, zasiadają do niedzielnego obiadu, żona na należnym jej miejscu

po drugiej stronie stołu, a jego była kochanka... Warknął coś pod nosem. Mijający go przechodzień spojrzął koso i skręcił w przeciwną stronę.

Amy była oczywiście najmniej ważnym z jego problemów. Ciągle pozostawało pytanie o uczucia Catherine wobec El Grandę. Stawiała go na piedestale. Z drugiej jednak strony Robert bardziej nadawał się na kochanka niż na herosa wykreowanego przez dziewczęcą fascynację. Diabło zimny jako posąg. Wściekle gorący jako kochanek.

Ale przecież ich namiętność nie była udawana. Doszedł do tego, po wielokroć rozmyślając o ostatniej wspólnej nocy. Zaskoczyła ją jego gwałtowność - diabła tam, sam również był zaszokowany tym, że posiadał ją grubo za wcześniej. Czynił z nią rzeczy, których nigdy nie robił z inną kobietą; prosił o to, co wcześniej nie przyszłoby mu do głowy. Lecz nie ma w tym nic złego, skoro są mężem i żoną. Przynajmniej w jego pojęciu. Nie protestowała, nie starała się go powstrzymać. Dała mu wolną rękę: skorzystał i oboje się tym delectowali.

Teraz trzeba o wszystkim zapomnieć. Catherine zażądała rozwodu, więc obiecał się rym zająć. Nie mógł dłużej zwlekać. Jutro. Jutro z samego rana spotka się z prawnikami.

Wszedł do domu z twarzą zastygłą w granitową maskę. Giles, lokaj, pojawił się, aby odebrać kapelusz i okrycie. Jedno spojrzenie na pana wystarczyło, by służący odwrócił się na pięcie i dyskretnie zniknął za doniczkową palmą.

25

Lady Tarrington, matka chrzestna Marcusa, podejmowała przybyłych tłumnie gości w sali balowej, rozświetlonej tysiącem świec, w domu przy St. James Square. Wydawane przez nią rauty zawsze cieszyły się wielkim powodzeniem, lecz ten był szczególny. Choć nie zaczął się jeszcze mały sezon poprzedzający święta Bożego Narodzenia, goście walili drzwiami i oknami, ciekawi Marcusa i jego rodziny.

Wszyscy słyszeli pogłoskę, która rozeszła się po Londynie, jakoby w obawie przed hiszpańską wendetą Lytton musiał ukryć żonę i otoczyć ją specjalną opieką. Dodawało to pewnej pikanterii całemu zebraniu, przyprawiało o dreszczyk emocji nawet tych, którzy już wcześniej znali Marcusa. Gospodyni, choć prywatnie twierdziła, że te plotki to nonsens, skwapliwie je zdyskontowała na rzecz swojego balu.

Oczywiście Marcus nie stanowił jedynej atrakcji. Ciekawość wzbudzała także jego macocha. Lady Tarrington wypatrzyła wdowę Wrotham, której towarzyszyli synowie, Penniston i Tristram. Stali we troje na skraju parkietu, czekając na pierwsze taktory orkiestry. Minęło prawie trzydzieści lat od chwili, kiedy stary Wrotham wywołał skandal, żeniąc się z córką krawca, którą wcześniej porwał i wedle niektórych - uwiódł. Mimo upływu czasu nietrudno było zrozumieć, co poprzedni earl dostrzegł w tej kobiecie. Hrabina, choć zbyt tęga i z włosami

przetykanymi siwizną, nadal miała anielską twarz bez jednej zmarszczki - piękna i zarazem ujmująca fizjonomia. Gospodyni, myśląc o tym czarnowłosym diable, który zmusił do małżeństwa niewinną dziewczynę, zatrzęsa się z oburzenia.

Marcus, dzięki Bogu, nie przypominał ojca. Utemperował się po nieco burzliwych początkach. Mary - zawyrokowała lady Tarrington - byłaby dumna z syna: zrobił to, co stary łotr powinien był zrobić wiele lat temu, gdyby miał choć odrobinę przyzwoitości - wprowadził macochę do towarzystwa.

W ciągu kilku tygodni, które upłynęły od przyjazdu Wrot-hamów do miasta, podjęły ich najznacześniejsze damy, w tym ona sama, dyktująca ton. To zasługa Marcusa. Potrafił być czarujący, a wtedy żadna kobieta nie mogła mu się oprzeć. Szkoda, że Penniston nie był podobny do przyrodniego brata.

Penn, świadom, że poddawany jest oględzinom, wyprostował się. Nie przywykł do takiego zainteresowania. Nie mylił się, sądząc, że nikt specjalnie go nie podziwia: goście przyglądali się jedynie nieznannej latorośli Lyttonów, oczekiwali na jakieś potknięcie. Nie, na pewno publicznie nie skompromituje swojej matki.

Hrabina dostrzegła wyraz twarzy syna, znacząco uniosła brwi. Penn zaczął szeptać jej coś do ucha. Chciał z nią porozmawiać, ale nie w obecności brata.

Tristram nie zauważył tej poufalej wymiany sygnałów, podziwiał bowiem misterne wiązania fullarów i elegancję dżentelmenów. Byłby zażenowany, gdyby wyszło to na jaw, nic jednak nie robiło na nim większego wrażenia niż fontazie noszone przez panów będących *arbitri elegantiarum*. Starał się zapamiętać każdy węzeł i ułożenie tkaniny, by potem móc opowiedzieć o tym kolegom z Oxfordu, do których powróci już jutro.

- Tris - zwróciła się do niego hrabina - Penn i ja chcemy posiedzieć przez chwilę na galerii.

- Proszę? Ach, tak. Nie będziecie mieli mi za złe, jeśli nie będę wam towarzyszył?

- Oczywiście, że nie. Baw się dobrze.

Serce w niej rosło na widok syna, który dołączył do grona młodych ludzi zmierzających do pokoju karcianego. Była pewna, że na sali nie ma nikogo szczęśliwszego od niej. Rozejrzała się jeszcze szukając córki. Dostrzegła ją tańczącą z przystojnym spadkobiercą sir Johna Hantona -jego najmłodszy syn wydawał się jak najbardziej odpowiednią partią.

Penn zaś zachowywał się poprawnie jak nigdy dotąd. Poprowadził matkę na galerię. Dotknęła medalionu zawieszzonego na szyi. Zauważył ten gest.

- Jest piękny - orzekł. - Marcus świetnie wybrał.

Helen zatrzymała się przed długim lustrem umieszczonym na filarze, by jeszcze raz nacieszyć się wisior. Był zachwycający: kamea z czarnego onyksu otoczona rubinami. Relief przedstawiał jej profil, skopiowany z miniatury namalowanej jeszcze za panieńskich czasów. Kiedy przed wyjściem na raut Marcus zawiesił jej medalion na szyi, o mało nie pękło jej serce.

Siedzieli wówczas w salonie.

- Z tyłu wygrawerowana jest data twojego ślubu z ojcem - powiedział Marcus, nie siląc się na sentymentalizm. - Wprowadzam nową tradycję: od dziś każda oblubienica Wrothamów dostawać będzie wisior z kameą.

- Zastanawiam się, co się stało z tamtą bransoletą? - zainteresował się Tristram.

- Myślę, że nigdy się nie dowiemy - odpowiedział mu przyrodni brat. - Skradziona? Zgubiona? Pewnie jej nie odzyskamy.

Teraz Helen zwróciła się do starszego syna:

- Prawdę powiedziawszy, Penn, wolę ten wisior niż bransoletę Wrothamów. Będę go kiedyś mogła dać Samancie. Bransoleta, jeśli się znajdzie, będzie należała do Catherine.

Penn usadowił matkę na sofie stojącej we wnęce pod oknem, sam jednak nie siadał.

- Słyszałem coś, o czym powinnaś wiedzieć.

- Chodzi ci o to zamieszanie z wendetą? Wiem o nim, ale Marcus je bagatelizuje.

- Nie o to idzie... Byłem wczoraj u prawników i Armitage mówił mi bardzo niepokojące rzeczy.

- Co takiego powiedział?

- Odniosłem wrażenie, że Marcus stara się unieważnić małżeństwo.

- Ach, nie! Przecież on i Catalina są dla siebie stworzeni.

- Mamo, nie zastanawiałaś się nad wszystkimi konsekwencjami. A jeśli Catalina nigdy nie wróci? - tłumaczył cierpliwie.

- Co zamierzasz uczynić? - Strach pojawił się w jej oczach.

- Jeśli mam rację, wiesz, co musimy zrobić.

Usłyszała te słowa i wszystkie jej nadzieje rozsypały się jak domek z kart.

Kilka minut później Marcus spojrzął na zegarek i wyszedł z przyjęcia. Spełnił swój obowiązek. Miał nadzieję, że wszystko zostało załatwione. Bal potrwa do świtu, ale on musi iść gdzie indziej.

Teraz nadszedł czas, by sprawić sobie przyjemność.

Gwizdnął. Podjechał jeden ze stojących rzędem powozów i zatrzymał się przy trotuarze.

- Hampstead - rzucił Marcus woźnicy, wsiadając.

Po drodze wciąż myślał o tym, co powiedział Peter Farrel, kiedy delektowali się cygarem w pokoju bilardowym. Tematem rozmowy była wendeta i Marcus robił wszystko, by przekonać znajomego, że to tylko pogłoski. Wtedy Peter przedstawił własną interpretację.

- W takim razie - odezwał się - poszukałbym bliżej domu.

- Co masz na myśli? - zdziwił się Marcus.

- Kto najwięcej zyska, jeśli coś przytrafi się twojej żonie?

- Nie myślisz chyba o Pennie! - W głosie Marcusa zabrzmiało niedowierzanie, kiedy pojął, że tamtemu rzeczywiście chodzi o jego brata. - A inne zgony? Freddie Barnes?

- Teraz to jasne: tamte zabójstwa miały podtrzymywać wersję o zemście. Krótko mówiąc, jeżeli coś przytrafi się tobie lub twojej żonie, nikt nie będzie podejrzewał spadkobierców.

- Przecież Penn nie był w Lizbonie ani w Londynie, kiedy mordowano tych ludzi.

- Jesteś pewien? Mógł przecież wynająć kogoś do brudnej roboty.

Rozmowa urwała się z chwilą wejścia Tristrama i jego znajomych. Marcus myślał o tym, siedząc teraz w powozie, i po prostu nie mógł sobie wyobrazić brata w roli mordercy. Penn nie był święty, ale miał swój honor. Mógł zresztą z łatwością ograbić Marcusa, kiedy ten walczył na wojnie. Zamiast tego doprowadził posiadłości i dzierżawy do prawdziwego rozkwitu.

Odrzucił teorię Farrela i zaczął myśleć o Catherine. Wiedział, że będzie dziś na nieformalnym *soiree* wydawanym przez Emily. Pod wpływem impulsu postanowił zobaczyć się z żoną, choć nie bardzo miał ochotę na odwiedzin u Lowriech; to, co miał do zakomunikowania Catherine, Jepiej powiedzieć w cztery oczy.

Rozmawiał z doradcami. Dowiedział się, że ani unieważnienie, ani rozwód - obojętne w Anglii czy Szkocji - nie wchodzi w grę: węzła, który ich ze sobą połączył, nie da się rozplatać. Prawnicy roześmieli mu się w twarz, kiedy opowiedział, nie wymieniając nazwisk, o zmyślnym przyjacielu zmuszonym do małżeństwa przez kobietę, którą wziął za kogoś innego.

Wyszedł z kancelarii z lekkim sercem. Byli prawdziwym małżeństwem i nie sposób tego zmienić. Może nie takiego związku pragnęli, lecz z czasem pewnie da się coś zrobić. Teraz trzeba tylko przekonać Catherine.

Jaka szkoda, że nie była w ciąży. To rozwiązałyby wszystkie problemy za jednym zamachem.

Z nadejściem wieczoru Catherine coraz trudniej było się skoncentrować. Chciała iść do domu, lecz nie wypadało zakłócać spotkania: któryś z gości na pewno ofiaruje jej swój powóz.

Przyjechała z panem Dearingiem, ideałem Emily, ale nie mogła go oderwać od wymarzonej kobiety - wielkiej, posagowej blondynki, do której natychmiast przylgnął. Biedna Emily była srodze rozczarowana.

Catherine wielokrotnie wracała od przyjaciółki przez wrzosowiska. Postanowiła więc wymknąć się po cichu, nie robiąc zamieszania. Wy tłumaczyła się gospodyni i wyszła, taktownie odrzucając jej protesty.

Nie bała się, choć było ciemno. Przecięła drogę, ruszyła ścieżką. Nie miała daleko ani nie była sama. Wokół wciąż nie brakowało umizgujących się par; jakieś młode towarzystwo urządziło sobie nawet nocny piknik.

Odgłosy ucichły, kiedy weszła w aleję wiodącą do jej domu, potem ustały zupełnie. Żadnych dźwięków, tylko cisza, śmiertelna cisza. Zwolniła, zatrzymała się. Coś było nie tak.

Znała tę okolicę i wiedziała, że na wrzosowiskach nigdy nie jest zupełnie cicho. Włóczący się po nocy lis czy borsuk, drapieżny ptak na gałęzi czy nawet domowy kocur szukający zwady lub partnerki - wszystko to wydawało jakieś dźwięki. Tymczasem teraz otaczała ją kompletna cisza.

Catherine zacisnęła palce na kolbie pistoletu, zeszyła z drogi. Na wrzosowiskach trafiali się rzezimieszkwie, ale działali raczej w mniej uczęszczanych rejonach.

Gdzieś przed sobą usłyszała bardzo cichy dźwięk, czyjeś kroki. Nie wiedziała, czy zbliżają się, czy oddalają. Czekwała z bronią przygotowaną do strzału. Cisza napawała lękiem.

Musiała się ruszyć, nim ten ktoś odetnie jej drogę do domu. Całym wysiłkiem woli powstrzymała się, by nie puścić się biegiem. Przechodziła pomiędzy drzewami najciszej, jak tylko potrafiła. Serce jej waliło, ledwo mogła złapać oddech, kiedy wreszcie dostrzegła w ciemności zarys Heath House. Jedną ręką podkasując suknie, w drugiej trzymając broń - pomknęła brukowaną drogą.

Nagle wyrósł przed nią jakiś ciemny kształt. Szarpnęła się w panice. Krzyk uwiązał jej w gardle, zamienił się w jęk.

- Marcus! Przestraszyłeś mnie na śmierć - odezwała się, chowając pistolet do torebki. - Myślałam, że jesteś rzezimieszkiem. Mogłam cię zastrzelić.

- Jak widzisz, nie jestem zbrojnym.

- Skąd miałam wiedzieć, że to ty? Co tu robisz? - Napięcie opadło.

- Mam ci coś do powiedzenia.

Pociągnął ją za rękę w stronę zaułka na tyłach domu od strony wrzosowisk. Czekał tam jego powóz. Podsadził żonę.

- Dokąd mnie zabierasz? - zapytała, kiedy ruszyli.

- Nigdzie w szczególności. Kazałem woźnicy krążyć. Tu jest bardziej dyskretnie niż u ciebie w domu. Nie chciałem, by ktoś się dowiedział, że cię wywołałem. Mam ci sporo do powiedzenia.

- Co z twoimi stangretami?

- Będą trzymać język za zębami. Są u mnie od lat.

Odpowiedziała, że McNally są równie godni zaufania. Miała potargane włosy, które opadały jej teraz na ramiona.

- Co masz mi do powiedzenia?

Zapadła dziwna cisza, mierzyli się wzrokiem.

- Nie, nie rób tego - zaprotestował, gdy zaczęła poprawiać fryzurę. - Lubię cię z rozpuszczonymi włosami. - Wyciągnął pozostałe spinki. - Są takie piękne. - Dotknął kosmyka.

Zaschło jej w ustach na wspomnienie innej przejażdżki.

- Właśnie sobie uświadomiłem - powiedział niskim i ochrypłym głosem - że nigdy nie widziałem twoich rudych włosów rozsypanych na poduszce. Marzyłem o nich. Nadal to robię. Twoje włosy były zawsze brązowe, kiedy się kochaliśmy.

Ona też miewała swoje fantazje, a właśnie jej ciało zaczęło o sobie przypominać. Nie pamiętała, kto poruszył się pierwszy. Pomyślała o Marcusie i w następnej chwili już była w jego ramionach.

Przyciągnął ją do poły surduta. Przez pewien czas jedynie patrzył na usta żony, pierś mu falowała. Jego oddech stał się płytki - pocałował ją w usta.

Była w tym desperacja granicząca z przemocą. Uświadomiła sobie, jak bardzo jej pragnie i że on też nie jest jej obojętny. Rozchyliła szerzej wargi, jęknęła, a Marcus zamknął ją w stalowym uścisku.

Spokojny rytm toczącego się pojazdu udzielił się i jemu. Łagodnie, z całym rozmysłem dźwignął ją tak, że siadła na nim okrakiem. Oddech Catherine stał się urywany. Usiłowała uklęknąć, lecz chwycił ją za pośladki, uspokoił. Był gotowy na jej przyjęcie i chciał, żeby o tym wiedziała. Jedną ręką przytrzymał ją za kolano, drugą rozpiął płaszcz i zaczął pieścić jej piersi. Opuściła głowę i był już pewien, że pragnie jego dotyku, więc nie przerywał pieczytu.

- Przepraszam, jeśli cię przestraszyłem lub obraziłem naszej ostatniej wspólnej nocy. Nigdy już nie zrobię nic, czego ty nie będziesz chciała.

- Nie przestraszyłeś mnie ani nie obraziłeś. Byłam tak samo bezwstydną jak ty.

Ukąsił ją leciutko w wargę.

- Nie bezwstydni. Zakochani. Byłaś wspaniała, a ja oszalałem z pożądania.

Zamknęła mu usta pocałunkiem. Nie potrzebował już innej zachęty. Rozpiął jej stanik, zaczął ssać sutkę. Cat odchyliła głowę, omal nie zwariowała z rozkoszy. Instynktownie zaczęła poruszać biodrami, opadając na jego twardą ostrogę.

Dłoń Marcusa zaczęła błądzić pod suknią. Mimo podniecenia Catherine zaświtało, że mąż ma zamiar wziąć ją tu, w powozie. Zaczęła go słabo odpychać.

- Nie powinniśmy tego robić. Co będzie, jeśli powóz stanie? Stangret nas znajdzie.

Mruczał jej uspokajająco do ucha, rwąc jednocześnie bieliznę. Protestowała, lecz nie zamierzała go powstrzymać.

Palcami wyczuł jej wilgoć - wsunął rękę głębiej, dotykał, sondował, zmuszał do uległości.

- Cat? - wymamrotał. Jego oddech był ciężki i chrapliwy

jak po długim biegu. Walczył ze spodniami. - Powiedz „tak”, Cat. Powiedz to, proszę.

Dygotała. Burzyła się w niej krew. Marcus zawsze tak na nią działał.

- Tak, Marcus, tak.

Szarpnęła się, gdy w nią wszedł. Leżał spokojnie, chcąc dać jej trochę czasu, lecz gardłowy okrzyk pozbawił go wszelkiej samokontroli. Przycisnął ją do siebie; pchnięcia były mocne, głębokie - dawał jej to, czego chciała. Zadrżała, napięta mięśnie - poczuł, że już dłużej nie wytrzyma, eksplodował. Przeżyli to równocześnie, razem usiłowali złapać oddech.

Długo trwało, zanim któreś z nich zauważyło, że powóz się zatrzymał. Catherine zobaczyła przez okno, że wrócili do Heath House. Klęknęła i usiłowała wydostać się z jego uścisku. Nie mogła uwierzyć, że do tego stopnia straciła głowę, iż pozwoliła mu posiąść się w powozie. W każdej chwili oczekiwała, że drzwiczki otworzą się na oścież i pojawi się w nich stangret.

- Nie - powiedział Marcus, wzmacniając uścisk. - Tę noc chciałbym spędzić z tobą. Nie, nie tutaj: zapraszam cię do domku, który wynająłem.

Wszystko rozgrywało się dla niej zbyt szybko. Chciała się zgodzić, lecz w głowie miała zamęt, nie była pewna swoich uczuć.

- Nie mogę - wyszeptała tylko.

Wstała i zaczęła doprowadzać ubranie do ładu. Marcus nie odzywał się, zapinał spodnie, był rozgoryczony. Nie planował z góry, że do tego dojdzie: teraz jednak oczekiwał, że Catherine zachowa się jak normalna kobieta. Mogła wymagać, by potraktował ją z szacunkiem - zamiast tego wymykała się chyłkiem, zawstydzona tym, co zrobili. On sam się tego nie wstydził. I co, u diabła, znowu było nie tak?

Nie mógł się zdobyć na przekazanie jej wieści od prawników. Skoro nie może jej przekonać do siebie prośbą ani groźbą, nie ma nadziei na wspólną przyszłość.

Gdy byli już gotowi, wysiadł pierwszy, pomógł żonie. Odprowadził ją do tylnego wejścia. Wymówił jej imię.

- O co chodzi? - spytała.
- Jesteś na mnie zła?
- Nie jestem.

Była pewna, że nie czuje złości, choć traciła panowanie nad własnymi doznaniem. Zawsze kontrolowała swoje życie, postępowała według reguł nie podlegających dyskusji. Teraz dryfowała, pozbawiona kompasu.

- Muszę już iść - powiedziała.
- Jeśli chodzi o domek... - zawahał się.
- Tak?
- Gdybyś zmieniła zdanie, będę tam na ciebie czekał.

W milczeniu wpatrywali się sobie w oczy. Rozchyliła wargi. Jego oddech stał się głośniejszy. Marcus pochylił się i pocałował żonę.

Catherine czmychnęła do domu.

26

Ogień płonął, wino było przygotowane. Chciał tym razem zrobić doskonałe wrażenie. Nie miał zamiaru podejmować jej jak rozjuszony rują dzik. Będzie opanowany, delikatny i czuły. Napiją się, porozmawiają, potem może znowu doleje wina. Pocałuje ją w rękę, w usta... Cokolwiek się zdarzy, musi się odbyć zgodnie z jej oczekiwaniami. Postanowił, że nigdy już nie zaszokuje żony swoim wyuzdaniem. Jeśli tylko przyjdzie...

Boże, przecież nigdy nie wdawał się w romanse! Czy to się tak robi?

Upłynęła godzina od chwili, kiedy zdał sobie sprawę, że ona już się nie zjawi. Nie wiedział, czemu jest taki wściekły. Nalał sobie kielich wina, opróżnił kilkoma długimi łykami. Powietrze w domku nagle stało się ciężkie. Zarzucił płaszcz na ramiona i wyszedł na dwór.

Wrzosowiska były ciemne i ciche, lecz nie na tyle, by nie dało się wyłowić szmerów. Po prawej trzasnęła gałązka. Konary nad jego głową szumiały poruszane wschodnią bryzą znad Morza Północnego, niosącą deszcz ze śniegiem. Noc, że nie wypędziłbyś psa. Wyklinając siebie od głupców, postanowił wrócić, gdy nagle coś usłyszał. Westchnienie? Jęk? Człowiek czy zwierzę? Nie potrafił rozpoznać.

- Cat?

Usłyszał coś, co zabrzmiało jak jego imię. Z mroku wyłonił

się cień - i już po chwili trzymał ją w ramionach. Całowali się, jakby to miało być ich ostatnie spotkanie. Trwało to bez końca. Przywarli do swoich ust nieudolnie jak para kochanków umierających z pożądania. Zapomnieli o cierpieniach, nie zważali na deszcz przesiąkający ubrania, zespalający ich sylwetki.

W końcu odsunęli się od siebie ze śmiechem. Pocałunki zatoneły w deszczu.

- I co ja mam z tobą zrobić, Marcusie Lytton? Czuję do ciebie coś, czego nigdy nie czułam, czego czuć nie powinnam.

- Co to takiego, Cat?

- Wszystko - wyszeptała zrezygnowna.

Pocałował ją zachłannie, bo wiedział, co miała na myśli.

Objął ją, poprowadził do domku. Stali przed kominkiem, rozbierali się nawzajem, chichotali bez sensu z powodu jakichś białostek. Nie było siużących, którzy rozwiesiliby ubrania na krzesłach, aby przeschły.

Nalał wina - popijali z kielichów, potem poili się nawzajem ustami. Ale alkohol nie był im potrzebny: on był upojony nią, ona - nim. Wśród śmiechu przewrócili się na łóżko. Pozbywali się resztek odzieży, lecz zarazem i bez troski.

Kiedy oboje byli już nadzy, Marcus rozsypał na poduszce wspaniałą grzywę jej włosów.

- Śniłem o tym - wyszeptał, zanurzając dłonie w ognist rudych kędziurach.

Kłęknęła, rzuciła się na niego. Chciał jej dotykać, lecz mu nie pozwoliła. Skromność i zakazy poszły w ką. Marcus delectował się namiętnością odkrywaną w zonie.

Położyła dłonie na jego jędrnym, muskularnym ciele, tak bardzo różnym od jej własnego. Męczyzna był silny, tak silny, że mogłaby się go bać. Jej jednak nie przerażał - to przecież Marcus.

Całowała jego usta, szyję. Rozczuliła się na widok blizn na ramionach i udach. To od ran otrzymanych w Hiszpanii; opatrywała je w tamtej klasztornej celi.

- O co chodzi, Cat?
- Gdy cię wtedy przynieśli, straciłeś tak dużo krwi. Myślałam, że umrzesz. Wszyscy inni uważali zresztą tak samo.
- Nie umarłem. Cieszę się zresztą, że zostałem tak poważnie ranny. Mogłem znaleźć się w krypcie i nigdy ciebie nie spotkać. Żałujesz, że się poznaliśmy?
- Nie. Nie - powtórzyła szeptem.
- Nie bądź taka smutna. Wszystko będzie dobrze. Obiecuję.
- Nie chcę myśleć o przyszłości, rozmawiać - chcę się kochać.
- Kochaj mnie więc.

Upadła na niego, całowała, pieściła, doprowadzała do szaleństwa. Zupełnie jakby nie mogła się nim nasycić. Dotykała i próbowała każdego centymetra jego ciała. Pozwalał jej na to, dopóki mógł się opanować. Potem przewrócił Cat na plecy, pieścił jej piersi, biodra, brzuch. Rozsunął jej uda, włożył do środka palce. Widział w oczach kobiety, jak bardzo jej się to podoba. W Catherine było coś dzikiego - coś, czego nigdy przedtem nie doświadczył: mógł ją teraz poprosić o wszystko - na pewno mu nie odmówi.

Zaczął od piersi, lecz nie poświęcił im zbyt wiele uwagi. Lizał brzuch, dotarł do miejsca pomiędzy nogami. Jęknął rozkoszy, który wydała, zmusił go, by wreszcie dokończyć dzieła.

Leżąc pomiędzy nogami kobiety, przytrzymywał jej ręce ponad głową. W tym geście było coś prymitywnego. Chciał jej coś przekazać, lecz nie uświadamiał sobie, o co mu chodzi. Cat usiłowała uwolnić dłonie, by móc dotykać męża, lecz stalowy uchwyt sprawił, że zaniechała prób. W jej wzroku wyczytał zaufanie i uległość - serce w nim rosło. W poczuciu prostego samczego triumfu odrzucił głowę i wszedł w nią. Znieruchomiał, kiedy zdał sobie sprawę, że zaspokaja zwierzęcy popęd.

- Cat! - ochryple wyszeptał jej imię.

Nie zauważyła jego zmieszania. Obejmowała go nogami i ramionami. Uśmiechnął się, jęknął, kiedy Cat poruszyła się, żeby przyjąć go głębiej. W końcu oboje bez reszty zatracili się w sobie.

Gdzieś w głębi domu kuranty wydzwoniły godzinę. Marcus przeciągnął się i zobaczywszy, że Catherine nie ma obok niego w łóżku, rozbudził się momentalnie. Usiadł i rozejrzał się po pokoju: nie było śladu po jej pobycie - wstążki, chusteczki ani nawet szpilki do włosów. Klnąc, wyskoczył z łóżka i zaczął się ubierać.

Zasłużył na to przez te wszystkie lata, kiedy wymykał się z łóżka, zanim przebudziła się partnerka. Miał po temu powody: kobiety zawsze łatwo złapać na haczyk obietnic, lecz nigdy nie potrafią się zadowolić chwilową przyjemnością. A teraz, kiedy zdobył się na odwagę, by samemu składać miłosne deklaracje, Cat po prostu odeszła.

Znowu zaklął, usiadł na łóżku. Ciagle był przekonany, że ona go kocha. Inne kobiety mogły mu oddawać swe ciała dla przyjemności, ale Cat nie była taka. Odkąd się dowiedziała, że Marcus to earl Wrotham, było coś szczególnego w ich wzajemnym stosunku.

Z wściekłością spojrział na swoje czarne lakierki. Gdzie ona mogła się podziać?

Jadąc do miasta, zapadł w drzemkę. Przebudził się dopiero, gdy zwolnili. Byli na St. James Street, natłok powozów utrudniał przejazd.

- Jedź przez Pall Mail! - krzyknął z okna do woźnicy.

Lecz i tędy trudno było przejechać. Ostatni odcinek dzielący go od posiadłości matki chrzestnej Marcus postanowił przejść pieszo. W połowie ulicy przystanął - ujrzał dom Amy Spencer.

Było po czwartej nad ranem. Jak na londyńskie stosunki - niezbyt późno. Spodziewał się, że cały dom będzie rozświetlony. Tymczasem paliło się jedynie w dwóch górnych pokojach. Nikt nie wchodził ani nie wychodził, nie słychać było żadnych odgłosów. Cisza jak w zamkniętym na cztery spusty kościele.

Powodowany impulsem, przeszedł na drugą stronę ulicy.

Lokaj usłyszał dźwięk kołatki. Otworzył drzwi, rozpoznał gościa, wpuścił go do przedsionka.

- Pani Spencer nie przyjmuje - oznajmił.

- Czy pani jest sama?

- Tak, psze pana.

Marcusowi powróciła energia. Posłał słudze groźne spojrzenie.

- Ze mną pani Spencer będzie chciała się zobaczyć. Prowadź mnie do niej zaraz.

- Ależ, sir...

- Natychmiast!

- Oczywiście, sir - wymamrotał służący i ruszył po schodach.

Marcus nie czekał, aż zostanie zaanonsowany. Odepchnął lokaja, wkroczył pierwszy do salonu. Amy podniosła się z fotela stojącego przy kominku.

- Marcus - odezwała się - właśnie o tobie myślałam.

Nagle dostał furii. Przypomniawszy sobie, ile musiał wycierpieć z powodu kłamstw tej kobiety.

- To nie jest towarzyska wizyta. Chciałbym się dowiedzieć, czemu oszukałaś Cat. Wyrządziłaś tym więcej złego, niż przypuszczasz.

Patrzyła na gościa, nic nie rozumiejąc, potem zapadła się w fotel.

- Nie chciałam nikogo skrzywdzić. Boże, co ja mam zrobić?

Marcus został przez pół godziny. Nie żeby tego chciał, lecz Amy była zupełnie roztrzęsiona. Przepraszała go i przepraszała bez końca, łkała. Zaczął żałować, że tu przyszedł. Nigdy nie widział przyjaciółki tracącej zimną krew. Nie sądził, by to jego wybuch doprowadził ją do tego stanu. To musiało być coś więcej. Zrozumiał jedynie, że został uwolniony od bezpodstawnych zarzutów.

Dał się na tyle ugłaskać, że odczekał, aż Amy przyjdzie do siebie.

Był już na schodach, gdy za jego plecami znów pojawiła się Amy, nie mogąc złapać tchu. Stała w drzwiach wyjściowych. Jej oczy lśniły, lecz już nie od łez.

- Co Catherine ma z tobą wspólnego, lordzie Wrotham? I skąd wiesz, że ona jest moją siostrą?

- Stał, że ją poślubiłem - odburknął, niemal się nie zatrzymując.

Nie doszedł jeszcze do ulicy, gdy rozległ się huk i coś świsnęło przy samym jego uchu - kula utkwiała w nadprożu. Amy wrzasnęła, przechodzień usiłował się ukryć, spłoszone konie stanęły dęba.

- Morderstwo! - krzyknął ktoś, powiększając jeszcze panikę na Pall Mail.

Marcus chwycił przyjaciółkę za ramię, wepchnął do środka, zatrzaskał drzwi. Kilkomina susami dopadł okna, wyjrzał zza kotary. Na ulicy trwało pandemonium. Nikt nie wiedział, skąd i do kogo strzelano. Ludzie wzywali straż, a woźnice usiłovali zapanować nad końmi.

Odwrócił się. Amy, z twarzą bladą jak pergamin, opierała się o drzwi. Z trudem udawało jej się wydobyć z siebie głos.

- Marcus, kto chciał mnie zabić?

- To nie do ciebie strzelano. Kula była przeznaczona dla mnie. Foley! - wrzasnął.

Lokaj wyglądał na równie roztrzęsionego jak jego pani.

- Masz pozamykać wszystkie drzwi, nie wpuszczać nikogo poza mnie. Zrozumiano? - komenderował.

- Marcus, chyba nie zamierzasz mnie zostawić! - krzyknęła Amy.

- Będiesz tu bezpieczna, Amy. - Jego głos złagodniał na widok paniki malującej się na twarzy kobiety. - Foley zadba o ciebie do mojego powrotu.

- Ale dokąd ty się wybierasz?

- Idę zobaczyć się z majorem Carruthersem - odpowiedział enigmatycznie i ruszył w kierunku tylnego wyjścia.

Z majora był ranny ptaszek, więc Marcus zastał go już ubranego, siedzącego przy śniadaniu. Carruthers jadł w milczeniu, słuchając opowieści o ostatnim ataku. Lytton poprosił jedynie o kawę.

- Proszę mnie poprawić, jeśli czegoś nie zrozumiałem - odezwał się major. - Był pan na balu u lady Tarrington, potem pojechał do Hampstead porozmawiać z Catherine, a wieczór zakończył u pani Spencer.

- No i co z tego? - Coś w tonie oficera nie spodobało się Marcusowi.

- Nic. Zastanawiam się, czemu napastnik wybrał akurat ten moment. Czemu nie po wyjściu z balu albo nie w Hampstead?

- Jeżeli śledził mnie od domu lady Tarrington, to nie miał żadnej sposobności, dopóki nie opuściłem Hampstead. Wokół mojego domu było zupełnie ciemno. Pall Mall natomiast jest świetnie oświetlona, a ja byłem wystawiony na strzał jak kaczka na wodzie. Potem nastąpiło to całe zamieszanie i łatwo było mu się wymknąć.

- Albo celem była pani Spencer.

- Chyba pan nie bierze poważnie takiej możliwości!

Carruthers popatrzył na Marcusa i pokręcił głową.

- Nie, rzeczywiście nie uważam, żeby to miało sens. W tej chwili mogę podać dwa wyjaśnienia. Pierwszy trop zaczyna się w kryjówce El Grandę, gdzie przebywał pan wraz z towarzyszami.

- Pan wierzy w cały ten raban? Że chodzi o wendetę?

- To wciąż nie jest wykluczone w świetle tego nowego zajścia. - Spojrzał na Marcusa. - Oczywiście myślał pan o innych możliwościach - atak na pana w parku, incydent z Catherine na schodach baszty?

- Nie uwierzę, że któryś z moich spadkobierców mógłby się na to zdobyć.

- Nie? To proszę wyjaśnić mi jedno: czy zanim Catherine pośliznęła się na tych schodach, nikomu nie przyszło do głowy, że jest w ciąży, że urodzi kolejnego spadkobiercę?

Marcus już miał odrzucić to podejrzenie, kiedy przypomniał sobie rozmowę przy obiedzie we Wrotham. Wymyślili wtedy wymówkę, by Cat nie musiała jeździć konno, tłumacząc to zadawnioną raną. Nikt jednak im nie uwierzył. Helen wykrzyk-

nęła nawet: „Spodziewasz się dziecka!” I pewnie inni myśleli tak samo.

- Po prostu wszystko rozważam - powiedział Carruthers, widząc wyraz twarzy swojego gościa.

Zapadła cisza, przzerwana dopiero wybuchem Marcusa.

- Nie można tak dalej! Trzeba raz na zawsze z tym skończyć. W interesie wszystkich.

- Co pan sugeruje?

- Nie mam pojęcia. To pan jest ekspertem, niech pan coś wymyśli.

- Można tylko wysłać Catherine do kolonii, umożliwiając jej tam rozpoczęcie nowego życia. Nic innego nie przychodzi mi do głowy.

- Czemu akurat Cat? Ona jest bezpieczna, póki nikt nie wie, że udawała kiedyś Hiszpankę.

- Nie sądzę, byśmy nadal mogli trzymać się tego założenia. Marcus poderwał się na równe nogi.

- Dziękuję, majorze. Zgodziliśmy się przynajmniej co do jednego: zamierzam strzec Cat, nawet gdybym musiał ją zakneblować i związać do czasu, aż morderca zostanie ujęty.

- Podeszedł do drzwi. - I ma pan moje słowo: to nie mój brat stoi za tym wszystkim.

Ale wypowiadając to ostatnie zdanie, nie wiedział, czy wierzy sobie samemu.

27

Trochę później tego samego ranka Catherine zeszła do pracowni, gdzie oczekiwał na nią Marcus. Pani McNally powiedziała jej, że lord Wrotham ma coś ważnego do zakomunikowania, lecz ona przypuszczała, iż przyszedł ją zwymyślać za to, że cichcem wymknęła się z jego domu. Gdy go zobaczyła, przekonała się jednak, że idzie o coś poważniejszego.

- Co się stało, Marcus? Czemu jesteś taki ponury?

Nim zaczął mówić, zamknął drzwi.

- Nie chcę cię przestraszyć. - Poczekał, aż dziewczyna usiądzie. Sam ulokował się naprzeciwko. - Chodzi o Amy. Kilka godzin temu ktoś do nas strzelał. Nie, nie jest ranna, tylko w szoku.

W skrócie opisał całe zajście. Catherine przysłuchiwała się w niemym przerażeniu.

- To się znowu zaczyna! Boże, czy nie będzie temu końca?! Dlaczego Amy? Dlaczego ktoś na nią nastawał? Musiało chodzić o ciebie, Marcus.

Zgadzał się z nią, ale uznał, że najbezpieczniej dla Catherine będzie udawać, iż celem była Amy.

- Niczego nie możemy być pewni. Może morderca wiedział, że Amy to twoja siostra, nie mam pojęcia. Wiem tylko, że jest straszliwie przerażona, i chciałbym, żebyś się nią zaopiekowała.

- Oczywiście, zajmę się nią, jeśli mi pozwoli. Lecz czemu

poszedłeś do mojej siostry? Podejrzywałeś coś? Ona się czegoś spodziewała? - Nagle ta wizyta wydała jej się niezwykła.

- Wracalem na bal do lady Tarrington, przypadkiem znalazłem się pod domem Amy. Pod wpływem impulsu postanowiłem wpaść na słówko.

- Szedłeś na bal o czwartej nad ranem? Po... naszej wspólnej nocy?

- Zbliżała się nawet piąta. W towarzystwie nie zwraca się uwagi na takie drobiazgi, Cat.

Prowokował ją, lecz nie połknęła przynęty. Były teraz ważniejsze sprawy niż jej małostkowa zazdrość.

- Co Amy o tym sądzi?

Musiała zdać egzamin, bo posłał jej uśmiech.

- Przypuszcza, że to jedna z jej rywalek albo ktoś, kto ma do niej żal.

- To niezbyt prawdopodobne.

- No nie.

Podeszła do okna, patrzyła na wrzosowiska: sielski, spokojny widok. A w jej głowie jakby rozerwał się granat. Wszystko było niespójne, fragmentaryczne. Odwróciła się do męża.

- Amy nie może zostać na Pall Mall. Musi przenieść się do mnie.

- Jeśli morderca wie, że ona jest twoją siostrą, to tu będzie szukał najpierw. Musicie ukryć się gdzie indziej.

- A co z tobą, Marcus? Co ty zamierzasz?

- To, do czego powinienem wziąć się już dawno. Muszę wyjaśnić, o co w tym wszystkim chodzi.

- Chcesz zastawić pułapkę na mordercę?

- Spróbuję. Nie możemy po prostu czekać, aż znów uderzy, bo prędzej czy później mu się powiedzie.

- Co konkretnie planujesz?

- Chcę użyć twoich hiszpańskich szkiców i notatek jako przynęty. - Zaczęła protestować, ale ją uciszył. - Zastawię sidła na tego strzelca. My wiemy, że nie zrobiłaś jego portretu, ale on nie ma o tym pojęcia, czyż nie tak? Musisz mi pomóc, Cat.

Proszę, żebyś napisała dla „The Journal” artykuł o bazie El Grandę.

- Jaki artykuł?
 - Przede wszystkim, chcę, żebyś spędziła tydzień na wsi. Wyłumatczę ci wszystko po drodze. Już powiedziałem McNal-lym, że musisz odwiedzić chorą przyjaciółkę w Richmond.
 - Przyjaciółkę?
 - Wdowę Wallace.
 - A dokąd naprawdę pojedziemy?
 - Zabierzemy Amy i udamy się do Chelsea, do domu mojej matki chrzestnej. Przez jakiś czas nikogo tam nie będzie.
 - Czy major Carruthers wie o tym?
 - Nie - odparł stanowczo. - Nie chcę, żeby wszędzie kręcili się jego agenci. Morderca musi poczuć się pewnie, nie może niczego podejrzewać.
 - W razie jakichś kłopotów ja też tam będę. Byłam w partyzantce, umiem posługiwać się pistoletem.
 - Dlatego zaopiekujesz się Amy. Nie spuszcza jej z oka.
 - Nie dał jej czasu do namysłu.
 - Ale... ale co powiedziałeś Amy?
 - Powiedziałem jej wszystko.
 - Wszystko? - Wystraszyła się. - O Hiszpanii, o nas, Catalinie i wymuszonym małżeństwie?
 - Tak, wszystko. A teraz gdzie są te papiery?
- Nacisnęła sprężynę gabloty z książkami - drzwiczki się otworzyły.
- Bardzo pomysłowe - pochwalił i zaczął zbierać szkice i dzienniki.

Marcus zostałby dłużej z Catherine i Amy, ale czas go gonił. Były siostrami i jedno je łączyło: jakiś dziwny rodzaj lojalności silniejszej od dzielących je różnic. Chciałby coś zrobić czy powiedzieć, zatuszować skрэpowanie, ale w tej chwili nie mógł sobie pozwolić na taki luksus.

Sam udawał, że problem nie istnieje. Do Catherine zwracał się jak do żony, a do Amy jak do szwagierki.

Powiedział jej zresztą znacznie więcej, niż przyznał się Cat. Amy miała stanowić pretekst, który pozwoliłby mu unieruchomić żonę na czas, gdy on będzie zajęty tropieniem szubrawca. Wiedział, że Cat zrobi wszystko dla siostry.

Godzinę lub dwie zabrało mu znalezienie odpowiednich służących, którzy zajmą się domem. Potem pojechał do redakcji „The Journal”, tuż przy Soho Square. Z początku Lytton i Gunn odnosili się do siebie z rezerwą. Marcus zrobił się znacznie bardziej serdeczny, dowiedziawszy się, że Melrose właśnie zaręczył się z pewną wdową - wicehrabiną Stranmere.

Gunn trochę dłużej pozostawał chłodny, lecz kiedy Marcus obiecał, że udzieli „The Journal” prawa wyłączności do publikacji historii mogącej stać się przebojem sezonu, również stracił rezerwę.

- Zastawia pan pułapkę?
- To jedyna możliwość.
- Ale jak Catherine się w to wplątała?
- Wszystko się wyjaśni i tylko pańska gazeta będzie mogła zapoznać czytelników ze szczegółami tej afery. Zgadza się pan?

Redaktor popatrzył przeciągle na Marcusa, leciutko się uśmiechnął.

- Dla Catherine zrobię wszystko.
- Marcus uniósł brwi, lecz odwzajemnił uśmiech.
- A więc załatwione.
 - Powodzenia, i niech pan będzie ostrożny - rzucił Gunn za gościem, gdy ten był już prawie w drzwiach.

Marcus wiedział, że znajdzie Petera Farrela w White's, klubie przy St. James. Gdy zasiedli w komfortowych wyściełanych fotelach w bibliotece, racząc się szklaneczką madery, Marcus przystąpił do rzeczy.

- Peter, mam do ciebie prośbę - oznajmił.

- O co chodzi?

Z szarych oczu Farrela zniknął senny wyraz, nadający mu wygląd dobrodusznego niedźwiedzia. Teraz śmiało wpatrywał się w rozmówcę. Marcus uśmiechnął się. To był ten prawdziwy Peter, weteran kampanii iberyjskiej.

- Chodzi o mojego brata, Pennistona.

- Tak?

- Co o nim myślisz?

- Prawdę powiedziawszy, z początku sądziłem, że mamy ze sobą wiele wspólnego. Jest ekspertem od koni, świetnym myśliwym...

- Ale?

- Nie jest zbyt towarzyski, trzyma się z boku, niełatwo się z nim zaprzyjaźnić.

- Wiem. - przyznał Marcus. - Mimo to życzyłbym sobie, żebyś się z nim zaprzyjaźnił. Prawdę mówiąc, chciałbym, żebyś od najbliższego czwartkowego wieczoru nie spuszczał go z oka. Zaproś go do klubu, przedstaw znajomym. To nie potrwa długo - tydzień, coś koło tego. Nie mogę przebywać z nim bez przerwy, to by było zbyt kłopotliwe.

- Dlaczego mnie o to prosisz? - spytał Farrel, udając tępego.

- Na wypadek gdyby Penn potrzebował alibi.

- Co ma się zdarzyć we czwartek?

- Nie mogę ci powiedzieć.

- Możesz na mnie liczyć. - Farrel spojrzał na przyjaciela ze zrozumieniem.

- Wiem.

Wróciwszy na Cavendish Square, Marcus był zmęczony, lecz mimo to nie mógł się położyć. Układał sobie w głowie listę spraw, zastanawiał się, czy czegoś nie przeoczył. Był absolutnie pewien, że kiedy odwoził panie do domu matki chrzestnej, nikt nie jechał za powozem. Więc celem może być tylko on.

Plan Marcusa był prosty. Zasadzał się na założeniu, że

morderca będzie na tyle przebiegły, aby tropić autora artykułu i rysunków, które ukażą się w „The Journal”. Z początku pomyślał o pójściu tropem, który wybrałyby nawet kiep, lecz uznał, że to zbyt proste. W żadnym wypadku nie życzył sobie, żeby zwierzyna nabrała podejrzeń. Człowiek, który za tym stał, był mądry i uparty. Wystarczą mu dwa dni na wytropienie, że artykuł napisała Catherine. I wtedy Marcus będzie już na niego czekał.

Przypomniał sobie rozmowę z Farrelem. Nie podejrzewał Penna; naprawdę chciał go chronić. Nie mógł dopuścić do tego, by major oskarżał jego brata o czyny, do których ten nie był zdolny.

To skierowało jego myśli na El Grandę.

Ani Catherine, ani Carruthers nigdy nie podejrzewali Roberta, lecz Marcus nie podzielał ich pewności. W latach wojny był bezwzględny partyzantem i nie wiadomo, czy od tamtego czasu przeszedł taką zupełną przemianę.

El Grandę przyjechał do Anglii. Po co? Czy naprawdę usiłował znaleźć ukojenie dla duszy u braci z Marston, czy może kierowały nim jakieś złowieszcze pobudki?

Długo rozmyślał o Robercie, potem o Catherine. Powinien był powiedzieć jej już o werdykcie prawników, o tym, że nie mogą liczyć na rozwód. Nie chciał uwierzyć po tej wspólnej nocy - czyżby to była tylko jedna noc? - iż ona nie pragnie następnej.

Dlaczego więc od niego uciekła?

Dużo czasu upłynęło, zanim położył się spać.

Amy i Cat zasiadły do obiadu bardzo późno. Nie porozmawiały jeszcze o niczym istotnym - zostawiły to na później. Przez cały dzień miały mnóstwo roboty; dom stał pusty od lat, nie sprzątany, nie wietrzony.

Teraz, wykapanie i przebrane, przyglądały się sobie, siedząc przy małym stoliku. Catherine wybrała pokój śniadaniowy,

zapewniający większą intymność. Nie wiedziały, od czego zacząć rozmowę. Choć były siostrami - gdyby nie przedziwny zbieg okoliczności, mogłyby się już nigdy nie spotkać.

- Rozumiem - odezwała się wreszcie Amy - że ten dom należy do matki chrzestnej Marcusa?

- Sprowadziła się tu, gdy owdowiała.

Catherine była roztargniona. Obserwowała lokaja, który manipulował przy butelce wina. Nie wyglądał na człowieka, który sobie poradzi z jej otwarciem. W rzeczy samej nie wyglądał również na lokaja. To samo można było powiedzieć o dwóch pozostałych służących najętych przez Marcusa i o kucharce urzędującej w kuchni.

Korek wyskoczył i lokaj ostrożnie nalał wina.

- Zadzwonię na ciebie, jeśli będę czegoś potrzebowała - powiedziała Catherine.

Gdy zamknął za sobą drzwi, kobiety zaczęły wreszcie mówić jedna przez drugą. Cat ustąpiła siostrze pierwszeństwa.

Amy chciała wiedzieć wszystko o hiszpańskiej wendecie, o latach spędzonych przez Catherine z partyzantami, zadawała mnóstwo pytań na temat El Grandę. Cat odpowiadała. Zauważyła zainteresowanie siostry Robertem i zaczęła spekulować. Jej popularność spadała. Amy nie wydawała już hucznych przyjęć, planowała wyjechać na zimę do Włoch. Cat nie przyszło jeszcze do głowy, że Amy się zakochała, lecz czuła, że El Grandę ze swoim darem misjonarza odmienił życie siostry.

- Czy myślisz, że on wróci do kapłaństwa? - spytała Amy.

- Nie wiem. Niewątpliwie ma powołanie.

Uprzątnięto nakrycia, znów zostały same. Zapadła długa cisza. Amy spojrzała siostrze w oczy, odchrząknęła i rozpoczęła swoją opowieść.

- Muszę ci coś wyznać, Cat: naprawdę gorzko, ale to gorzko żałuję, że wiele lat temu okłamałam cię co do Marcusa. Zrobiłam to, żeby wydać się... no nie wiem... kimś wyjątkowym. Nie tobie, ciotce Bei.

- Rozumiem, Amy. Rozumiem, jak to było.

- Naprawdę? - Przyglądała się twarzy siostry. - Wierzę, że rozumiesz. Dzięki ci za to, Cat. - Uniosła kieliszek. - A teraz, nawet jeśli to trochę za późno, chcę wzniesić toast za moją małą siostrzyczkę i życzyć jej szczęścia w małżeństwie.

Uśmiech zniknął z twarzy Catherine.

- Rozumiem, że Marcus nie powiedział ci, że wystąpiliśmy o rozwód?

Amy opuściła kieliszek.

- Dlaczego tak postanowiliście?

- Z wielu powodów, w które raczej wolałabym nie wnikać.

- Marcus nic mi nie mówił. Czy to z mojego powodu?

- sondowała ostrożnie Amy.

- Nie. Powiedziałam ci już, że rozumiem, dlaczego wtedy mnie okłamałaś.

- Nie o to mi chodzi. Czy to ma związek z tym, że Marcus i ja... byliśmy kiedyś... przyjaciółmi?

- Przyjaciółmi? - Catherine uniosła brwi. - Ach, tak, przyjaciółmi.

Ta insynuacja ze strony siostry sprawiła, że Amy przestała się czuć jak zbity pies i odzyskała zwykłą werwę.

- W porządku, mogę to odszczekać. Byłam jego kochanką. I co z tego?

- Co z tego? Jak by ci się podobało, gdybyś poślubiła mężczyznę, który sypiał z twoją siostrą?

Amy, z łokciem na stole, podpierała brodę ręką.

- Myślę - zadumała się - że zawsze zastanawiałabym się, jak wypadam w porównaniu z nią.

- Nic takiego nie przyszło mi do głowy - prychnęła Catherine.

- Naprawdę? W takim razie o czym myślałaś?

- O czym myślałam?

- Chyba słyszysz, co do ciebie mówię.

- Po prostu zastanawiałam się, czy Marcus był dla ciebie miły. Nie do wiary, że prowadzimy taką rozmowę.

- Pozwól mi o nim opowiedzieć, a już nigdy więcej nie będziemy musiały prowadzić podobnej konwersacji.

- Nie chcę tego słuchać.

Amy westchnęła ostentacyjnie.

- Nie był kochankiem, który szczególnie pozostałby mi w pamięci. Bez przesady mogę powiedzieć, że uplasował się gdzieś na końcu listy. Głupi i nietaktowny, nie dostarczał mi żadnej przyjemności. Szczerze mówiąc, nie wiem, skąd wzięła się jego reputacja, ale na pewno nie zdobył jej u mnie. Przypuszczam, że jest parę argumentów, które można przytoczyć w jego obronie. Miał wtedy dwadzieścia jeden lat czy coś koło tego. Chłopcy w tym wieku z zasady nie są dobrymi kochankami.

- Czy mówimy o Marcusie? - upewniła się Cattoerine.

- Ach! - W oczach Amy błysnęło zrozumienie. - Widzę, że nasze doświadczenia są zupełnie inne. Być może nauczył się tego i owego przez te wszystkie lata, lecz bez mojej pomocy. Zdziwiłabym się, gdyby zachował o mnie jakiegoś wspomnienia. No, może z wyjątkiem tego, że byłam bardzo kosztowna. Przysięgam na Boga - mówiła teraz całkiem innym tonem - że to prawda. I jeszcze coś: choć Marcus nie był zachwycającym kochankiem, to jednak nigdy się na nim nie zawiodłam. Lubię go, szanuję i ufam mu - tylko o niewielu byłych adoratorach mogę to powiedzieć. Czy to jest odpowiedź na twoje pytanie?

- Ach, nigdy nie przypuszczałam. To takie krępujące...
- Policzki Cat płonęły. Patrzyła na swoje splecione dłonie. - To zresztą nie ma znaczenia.

Cierpliwość Amy była na wyczerpaniu.

- Cat, długo przedtem, zanim spotkałaś Marcusa, on miał kochankę. Nazywała się Amy Spencer, nie miała nic wspólnego z twoją siostrą. Ta osoba zresztą już nie istnieje. Możesz to przyjąć do wiadomości?

- Nie atakuję ani ciebie, ani Marcusa, naprawdę.

- O co więc chodzi?

Catherine spojrzała wreszcie siostrze w oczy.

- Nie rozumiesz? On nigdy naprawdę nie chciał się ze **mna**

ożenić. Zmusiłam go. Potem znowu mnie spotkał, a ja ciągle kłamałam. Dobry Boże, szpiegowałam go i wysyłałam raporty do brytyjskiego wywiadu.

- Cóż z tego? - spytała Amy.
- Jak to „coż z tego“?! -
- Z pewnością chodzi o coś jeszcze.
- Czy to nie wystarczy?! - krzyknęła Catherine.
- Nie, jeśli się nawzajem kochacie.
- Ach, wiem, że mnie pożąda, ale nie sądzę, by chciał być moim mężem.

Amy zobaczyła łzy wzbierające w oczach siostry i powiedziała trzeźwo:

- O ile znam Marcusa, to jesteś w błędzie. Pomówmy teraz o czymś innym. Naprawdę jesteś strzelcem wyborowym?

Catherine pociągnęła nosem i przytaknęła.

- Mogłabyś mnie tego nauczyć?
- Nie. To przychodzi po długiej praktyce. Ale mogę cię nauczyć, jak obchodzić się z pistoletem: ładować, rozładowywać i takie rzeczy. Nie radziłabym ci jednak teraz ćwiczyć. Lokaje Marcusa mogliby to źle zrozumieć, a my nie chcemy ich zdenerwować, prawda?

- Czemu mieliby się zdenerwować?
- Bo sądzę, że oni też są strzelcami wyborowymi.
- Lokaje?
- Zawsze poznam starego wiarusa.

Roześmiały się obie.

Artykuł Catherine ukazał się na pierwszej stronie „The Journal”, zilustrowany małym szkicem przedstawiającym zrujnowany klasztor, główną kwaterę partyzantów w zimie 1812/1813. Cały Londyn czytał z wielkim zdumieniem: anonimowa autorka przedstawiała się jako Angielka walcząca w partyzanckich szeregach El Grande. Wszystko zostało potwierdzone przez wydawcę, który na dodatek zapowiadał, że to dopiero pierwszy odcinek publikacji: następne będą się pojawiać w każdym kolejnym wydaniu.

Major Carruthers jeden z pierwszych dowiedział się o artykule. Siedział w biurze w Whitehall, kiedy jego młody sekretarz, niedawny absolwent Oxfordu, położył mu egzemplarz na biurku.

- Nie mam czasu na czytanie - powiedział Carruthers, rzuciwszy okiem na periodyk. - Streść, o co tam chodzi.

- Napisano tu o wielu rzeczach - odezwał się młody Crabbe - lecz najbardziej uderzyła mnie zapowiedź, że w następnych wydaniach „The Journal” ukażą się biografie i portrety wszystkich, którzy byli wtedy z El Grande. Autorka wspomina nawet o hiszpańskiej wendecie.

- Dobry Boże! - Major oderwał się od raportu, nad którym ślęczał, chwycił gazetę, przebiegł wzrokiem tekst. Kiedy skończył, siedział jakiś czas w milczeniu z zamyśloną twarzą.

Spojrzał w końcu na sekretarza. - Nigdy nie mówiła mi o portretach ani o dziennikach. Jak mogła?

Crabbe nie odpowiedział, bo uznał to pytanie za retoryczne.

Major przyszpilił go stalowym wzrokiem.

- No dalej, chłopcze. Chcesz zrobić karierę w wywiadzie? Niektórzy sądzą, że posiadasz mózg. Użyj go.

Sekretarz, który bał się owianego legendą pryncypała, musiał odchrząknąć, nim wydobył z siebie głos.

- Czemu nie powiedziała panu o tych portretach i szkicach?

- Na tym właśnie polega kwestia, Crabbe.

- Może nie przypuszczała, że są takie ważne.

- Jestem przekonany, że nie są istotne.

- Nie może pan być tego pewien. - Sekretarz zdobył się na odwagę, wypowiadając tę wątpliwość.

- Świetnie. I morderca nie ma tej pewności. Co byś zrobił na jego miejscu?

Crabbe nie chciał się nad tym zastanawiać.

- Zaszłybym się gdzieś do czasu, aż się przekonam, czy te artykuły mogą mnie zdemaskować, czy też nie.

Carruthers skwitował to ordynarnie.

- Cholera, nie! Nasz łotr układał i doskonalił swój plan przez prawie cztery lata. W tej grze chodzi teraz o zbyt wysoką stawkę.

- Lecz co innego może zrobić? Nie sądzi pan chyba, sir, że chce zabić naszego agenta?

- Właśnie tak uważam. Zacznie, oczywiście, od węszenia za tymi papierami i szkicami.

- Zatem co my mamy robić?

Major przyjrzał się uważnie gazecie, złożył ją, odsunął na bok.

- Nic nie będziemy robić. Może Wrothamowi poszczęści się tam, gdzie my sobie nie poradziliśmy. Jeśli będzie potrzebował pomocy, zwróci się do nas. Na razie trzymajmy się z daleka. Tak zrobimy, Crabbe.

Tego wieczoru w klubie Watier's „The Journal” przekazywano sobie z rąk do rąk. Wyrażano podziw i wzburzenie, wszyscy rozprawiali o odważnej angielskiej dziewczynie, która przystąpiła do partyzantów. Z wyjątkiem Petera Farrela nikt nie łączył artykułu z żoną Marcusa, choć wielu spekulowało, czy Catalina przypomina anonimową Angielkę.

Był tu również Penn. Do tego czasu zdążył się już przyjemnie oszołomić brandy. Zaledwie spozjrzał na gazetę, którą ktoś wetknął mu do ręki. Pomyślał, że Marcus nie miał racji, twierdząc, iż jego brat nie potrafi się powstrzymać od picia, gdy tylko zechce. Byli w mieście już od paru ładnych tygodni - nie pamiętał dokładnie, od ilu - i przez cały ten czas nie tknął ani kropli. Dziś to co innego. Męskie przyjęcie. Wykręcać się od picia to byłoby grubianstwo. Jeszcze jednego - i dość na dziś.

Chciał wstać, lecz, ugięły się pod nim nogi, co poczytane zostało za doskonały żart. Ktoś z kompanów postawił karafkę z brandy tuż przy łokciu chłopaka. Penn przyjrzał się twarzom biesiadników i doszedł do wniosku, że są w gorszej kondycji od niego.

Kiedy usiłował napełnić kieliszek, rozlało się trochę alkoholu.

- Nie mogę wprost uwierzyć - odezwał się bełkotliwie lord Dowling - że dotąd miałem cię za metodystę.

Wszyscy się roześmieli, a najgłośniej Penn. Pomyślał sobie, że oto dzierży w dłoniach cały świat.

Żart Dowlinga pobudził innych: prześcigali się w facecjach, jedna głupsza od drugiej. Najbardziej zdumiewał Penna podtekst tych dowcipów: był naprawdę jednym z nich. To miłe uczucie.

- A ja - Roger Beattie zdecydowany był przebić wszystkich - myślę, że mógłbyś się nawet okazać mordercą.

- Mordercą? - zdziwił się Penn, wybuchając śmiechem.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

Dżentelmeni jeden drugiemu powtarzali uwagę Rogera. Jedynie Farrel nic nie powiedział, uważnie przyglądał się Pennowi.

Beattie rozgadał się, co nie zdarzało się zbyt często, i wyłożył sprawę.

- Rozmawialiśmy o tym - powiedział, wodząc wzrokiem po twarzach zgromadzonych mężczyzn - i nie mogliśmy uzgodnić stanowiska. Ja osobiście uważam, że cała ta hiszpańska wendeta to zwykła taktyka dywersyjna. - Penn nadal nic nie rozumiał, więc Roger ciągnął dalej: - Parę miesięcy temu Marcusa napadnięto w Hyde Parku. Potem wysłał żonę do Hiszpanii albo gdzieś ją ukrył. Najwidoczniej uważa, że jej życie jest w niebezpieczeństwie. No a teraz pytam: kto najwięcej skorzysta na śmierci Marcusa?

- No, kto? - zainteresował się Penn.

- Jego spadkobierca, a nie żaden strzelec, który zbaraniałby w obecności angielskiego oficera czy dżentelmena. Podobnie jak hiszpański wieśniak. Więc to ty, Penn. O tobie mówię.

Przeszli do jadalni, zanosząc się od śmiechu. Rozmowa toczyła się nadal, lecz Penn nie mógł się skoncentrować. Coś go dręczyło, coś w wypowiedzi Beattiego wydało mu się szalenie istotne, ale mąciło mu się w głowie.

Zapomniał o tym, kiedy podano burgunda. Niewypicie kieliszka mogłoby tylko wprawić jego przyjaciół w zakłopotanie, a jemu naprawdę nie zależało, żeby uchodzić za metodystę.

„Morderca”. Ktoś nazwał go mordercą. Ta myśl powracała podczas całego posiłku. Przypominał sobie fragmenty wypowiedzi Beattiego, lecz długo potrwało, nim jego zamroczony alkoholem umysł poskładał je w całość.

Nagle zerwał się na równe nogi.

- Zawołać milicję! - wrzasnął.

Kompani popatrzyli na chłopaka zdumieni i wybuchnęli salwą śmiechu. Penn odsunął krzesło i ruszył do wyjścia. Nie zaszedł jednak zbyt daleko, bo poplątały mu się nogi.

Farrel odwiózł go do domu fiakrem. Penn nie bardzo wiedział nawet, jak się nazywa. Pozwolił, by służący położył go do łóżka, lecz w głowie miał tylko jedno: musi odnaleźć brata i wszystko mu opowiedzieć.

Catherine czytała własny artykuł w „The Journal” chyba już po raz setny. Cisnęła gazetę, westchnęła, sprawdziła pistolet, też chyba po raz setny, położyła broń w zasięgu ręki.

Amy uniosła wzrok znad książki.

- Pewnie robię z igły widły. - Cat uśmiechnęła się z wysiłkiem. - Im więcej o tym myślę, tym bardziej dochodzę do wniosku, że wszyscy zachowujemy się absurdalnie. Nikogo nie da się złowić na przynętę Marcusa. Ktokolwiek to jest, musi zdawać sobie sprawę, że gdybym miała cokolwiek zrobić, zrobiłabym to już wcześniej.

Amy odłożyła książkę. Tak naprawdę to jej nie czytała. Była równie niespokojna jak siostra, nie mogła się na niczym skupić.

- Pewnie masz rację.

Cat nie dało się jednak w ten sposób uspokoić.

- Swoją drogą, Marcus mógłby mieć tyle przyzwoitości, żeby powiedzieć, co się dzieje. Zabrał artykuł i szkice i nawet się nie pokazał.

- On wie, co robi - rzeczowo stwierdziła Amy. - Boi się, że ja mogę być następną ofiarą. Ty masz mnie strzec.

- Wiem i dlatego lękam się, że wziął wszystko w swoje ręce, nie mając nikogo do pomocy.

- Przed chwilą mówiłaś, że sądzisz, iż nic się nie zdarzy.

- Wiem, wiem. Mam zadzwonić, żeby podali herbatę i biskwity? Kucharka już śpi, ale lokaje są jeszcze na nogach.

- Nie jestem głodna.

- Ja też nie.

Popatrzyły na siebie z uśmiechem. Przez trzy dni były uwięzione na terenie małej posiadłości, czekając na to szczególne wydanie „The Journal”. Dobrze się teraz ze sobą czuły. Dużo rozmawiały, choć raczej o wcześniejszych latach. Nie zastanawiały się jedynie nad przyszłością.

- Pogadaj ze mną... Opowiedz mi o Wrotham, o rodzinie Marcusa - poprosiła Amy.

Catherine potrząsnęła głową.

- To na nic, Amy. Muszę do niego iść. Jeśli mu się coś

stanie, a ja nie będę u jego boku, aby go chronić, nigdy sobie tego nie wybaczę.

Amy zaczęła protestować, lecz pomyślała, że jej reakcja byłaby identyczna, gdyby chodziło o El Grandę.

- W takim razie uważaj. I niech cię Bóg prowadzi. - Sama była zaskoczona tą ostatnią uwagą.

El Grande wrócił do celi po całej nocy spędzonej na kolanach w kaplicy opactwa. Modlił się i został wysłuchany: teraz już wiedział, co ma robić. Jutro wyjedzie na zawsze z Marston.

Na małym stoliku zobaczył ostatnie wydanie „The Journal”. Zdziwił się, lecz tylko przez chwilę - jego uwagę przykuł artykuł i szkice Catherine. Zaczął czytać.

Kilka minut później, z zaciętym wyrazem twarzy, zrzucił mnisi habit i zaczął wkładać cywilne ubranie.

Marcus przetarł oczy, ziewnął i rozprostował zdrętwiałe mięśnie. Czuwał w Heath House - gabinecie, gdzie Catherine trzymała swoje hiszpańskie pamiątki - i właśnie był gotów do odwrotu. Przez szparę obserwował oszklone drzwi, srebrzystą poświatę nad horyzontem. Niedługo będzie świtać. To znaczy, że się przeliczył. Tak był pewien, że morderca pojawi się właśnie dzisiejszej nocy, iż przedsięwziął środki ostrożności, odprawiając McNallych.

Trzymał już rękę na klamce, kiedy jakiś cień pojawił się w oknie, potem zamajaczyła twarz. Świece były wygaszone, bo Marcus nie chciał wystraszyć napastnika, lecz jako że dokładał do kominka, w pokoju jaśniał delikatny poblask. Lytton zacisnął w garści kolbę pistoletu i czekał.

Delikatny zgrzyt, trząśnienie - oszklone drzwi otworzy się, powiało zimowym chłodem. Znowu trzasnęły drzwi i zapadł cisza. Intruz podszedł do biurka i zaczął systematycznie

przeszukiwać szuflady. Po paru chwilach zbliżył się do kryjówki Marcusa. Ten postanowił wykonać swój ruch.

- Nie ruszaj się albo rozwalę ci łeb - powiedział, wkraczając do pokoju.

Intruz powoli odwrócił się ku niemu.

- Rzuć broń i podnieś ręce do góry!
- Nie mam broni. - To był głos El Grandę.
- A więc to ty! Słyszałeś, ręce nad głową!

Robert wykonał rozkaz. Marcus wziął fidybus z kominka, zapalił od niego świece stojące w pokoju.

- Popełniasz błąd - odezwał się El Grandę.
- O tak, wszyscy mi to mówią.
- Przyszedłem, żeby ci pomóc.

Marcus uśmiechnął się.

- Przyszedłeś zabić Catherine, lecz wcześniej chciałeś dostać w swoje ręce notatki i szkice. Powinieneś je zniszczyć, kiedy miałeś po temu okazję. Liczyłeś na to, że nie zdajemy sobie sprawy z wartości tego, co mamy. To było skalkulowane ryzyko. Przegrałeś.

El Grandę roześmiał się niedowierzająco.

- Nie mam nic do ukrycia. Pozwól mi powtórzyć: przyszedłem, żeby ci pomóc. Czy to ty przysłałeś mi egzemplarz „The Journal”?

- Niczego ci nie przysyłałem.
- Zatem musiała to zrobić Catherine.
- Nieprawda. A nawet gdyby tak było, to sądzisz, że ci uwierzę, iż przychodzisz tu w nocy z jakiegoś innego powodu? Złapałem cię na gorącym uczynku: przeszukiwałaś biurko Catherine.

- Szukałem broni. Wiem, że tu trzyma pistolet.

- Pistolet? - sztychł Marcus. - To nie przystoi świeckiemu bratu, który ma tak dość wojny, że nie chce już nikogo krzywdzić.

- Doszedłem z tym wszystkim do ładu - odparł spokojnie El Grandę. - Rezygnuję z powinności, które nakłada na mnie

religia. Widzę jednak, że cokolwiek bym powiedział, to i tak nie ma dla ciebie znaczenia.

Głowy obu mężczyzn zwróciły się ku oszklonym drzwiom, które otwarły się ze skrzypieniem. Do środka wkroczyła Cat. Dzierżyła w dłoni pistolet, lecz w przeciwieństwie do Marcusa zwróciła lufę w kierunku podłogi.

- Słyszałam was już w ogrodzie. Co się tutaj dzieje?

- Diabli nadali! - zaklął Marcus.

Nadal trzymając przeciwnika na muszce, przesunął się tak, aby żona nie znajdowała się pomiędzy nimi.

- Przypuszczam, że zamierza mnie zabić - odezwał się El Grandę. - Powziął idiotyczne przypuszczenie, że jestem mordercą. Przyszedłem tu, żeby pomóc, ale on mi nie wierzy.

Marcus zwracał się do Catherine, lecz jego oczy nieustannie śledziły mężczyznę.

- Przyszedł, aby cię zabić i ukraść szkice. Co ty, do diabła, tutaj robisz? Cofnij się, Cat, na litość boską, zejdź mi z linii strzału!

- Zastanów się, co mówisz! - krzyknęła. - To mój przyjaciel. Wiele razy ratował mi życie, ocalił nie wiedząc ilu angielskich żołnierzy. Ciebie też uratował, kiedy wpadłeś w zasadzkę Francuzów.

- Trzeźwo oceniam fakty, Cat. Ty też powinnaś to zrobić.

- Jakie fakty? - prychnęła. Wściekła, z ręką wspartą na biodrze, przyglądała się Marcusowi.

- Narysowałeś jego portret. Nie chce, żeby ten szkic ukazał się w „The Journal”. Myślę, że się do czegoś szykuje - do czegoś, co uczyni go sławnym. Podejrzewam, że zamierza zabić wszystkich, którzy wiedzą, iż występował kiedyś pod pseudonimem El Grandę.

- A co z mnichami z opactwa Marston?! - wrzasnęła. - Widzieli go. Też ma ich pozabijać?

- Dla nich jest bratem Robertem. Nie znają go jako El Grandę.

- Nie mogę uwierzyć, że mówisz takie bzdury.

- To co on w takim razie tu robi?

- Jest tutaj, bo przekupiłam jednego z twoich służących, żeby podrzucił mu egzemplarz „The Journal”. Nie chciałam, żebyś działał sam, zamierzałam zapewnić ci jego pomoc. Wie przecież, że w moich notatkach i szkicach nie ma nic obciążającego kogokolwiek. Mówiłam to, kiedy spotkaliśmy się we trójkę, nie pamiętasz?

- El Grandę, którego znam - Marcus starał się być złośliwy - przeczytawszy „The Journal”, poszedłby prosto do kaplicy pomodlić się. Tymczasem znalazł się tutaj. Nie bez ważnego powodu.

Catherine zaczęła protestować, lecz El Grandę wpadł jej w słowo.

- Cokolwiek byś powiedziała, on i tak nie zmieni zdania.

Długo wpatrywała się w męża, po czym przeszła do działania.

- Może to wpłynie na jego ocenę sytuacji. - Wkroczyła wprost pod lufę, zasłaniając El Grandę, i wetknęła mu pistolet w dłoń.

Robert bez wahania przyłożył broń do skroni dziewczyny.

- Nie ruszaj się. A ty, Wrotham, połóż broń na biurku.

Marcus zaklął szpetnie, lecz nie miał wyjścia: musiał zastosować się do rozkazu. Hiszpan zbliżył się, mierząc mu prosto w serce.

Catherine stała z tyłu, nie odzywając się ani słowem.

- Tak więc oboje jesteście w to zamieszani. - Zalewała go złość, mówił ochryple. - Słusznie podejrzewałem was od samego początku.

- Nie, Wrotham - powiedział El Grandę łagodnie. - Nigdy nie byliśmy twoimi wrogami. Przykro mi, że Catherine wybrała taki sposób, by udowodnić moją niewinność, ale przynajmniej nigdy już nie będziesz jej kwestionował.

Podał Marcusowi pistolet Catherine kolbą do przodu.

- Bierz go. I ten z biurka.

Marcus z wahaniem dotknął obu sztuk broni. El Grandę cofnął się z rękami podniesionymi do góry.

- Skoro uważasz, że jestem winny, zastrzel mnie. Nie zastanawiaj się, strzelaj.

Marcus rzucił oba pistolety na stół i postawił Catherine spojrzenie ścinające krew w żyłach.

- Bardzo sprytne. I odważne. Ale co by było, gdybyście się mylili?

Choć nie przyjechali razem, El Grandę i Catherine pozostawili wierzchowce w tej samej stajni w Hampstead. Teraz, kiedy zaczęło już świtać, poczuli się na tyle bezpieczni, aby otwarcie ruszyć w jej stronę.

Catherine zobaczyła konia przyjaciela i potrząsnęła głową.

- Skąd wzięłeś tę starą chabotę?

Uśmiechnął się, słysząc drwiący ton.

- Braciszki nie dostaną za niego medalu na angielskiej wystawie hodowców, ale Excalibur to nie taka znów szkap. Wygląd może wprowadzić w błąd. Ten koń świetnie mi służy.

Zacisnął popręgi i patrzył na dziewczynę, która bez ruchu stała przy swoim wierzchowcu.

- Nie jedziesz ze mną?

- Nie.

- Sądzę, że powinnaś. Trzeba dać trochę czasu Wrothamowi, żeby ochłonał. Jeżeli się teraz spotkacie, możecie powiedzieć sobie coś, czego oboje będziecie później żałować.

- Nie mogę go teraz opuścić, Robercie, nie w ten sposób. Muszę go przekonać. Zrobisz coś dla mnie? Pojedziesz do Woodside House w Chelsea i powiesz Amy, że wszystko w porządku? Na pewno trafisz, dom jest przy końcu drogi prowadzącej do kościoła parafialnego. Uważaj na siebie - lokaje są uzbrojeni.

- Dlaczego mają broń i czemu Amy jest właśnie tam?

Opowiedziała wszystko o ataku na siostrę i Marcusa. Nie odezwał się ani słowem, lecz poszarzał na twarzy i spośpinał.

- Poczekał tu, na wypadek gdybyś mnie potrzebowała. Jeśli nie wrócisz w ciągu pół godziny, ruszam sam.

Pieszko do domu było zaledwie pięć minut drogi. Zanim weszła do środka, obejrzała się na wrzosowiska. Zabołała ją nie tylko ostatnia uwaga Marcusa: „Ale co by było, gdybyście się mylili?“, ale i ta poprzednia: „Oboje jesteście w to zamieszani“. Wyglądało na to, że nigdy jej nie wierzył. Ilekroć zaczynał jej ufać, spotykał go zawód - potem było jeszcze gorzej.

Nie miała pojęcia, jak długo tam stała, wpatrzona w świat spowity chmurami - takimi samymi, jakie zasnuwały jej duszę. Wreszcie odwróciła się i przeszła przez oszklone drzwi.

Scandalous

29

Wchodząc do pokoju, odruchowo wyprostowała ramiona. Przy kominku stał Marcus. Poblądł na jej widok.

- Myślałem, że wyjechałaś z El Grandę. Dlaczego, u licha, musiałaś wrócić?

Cofnęła się kilka kroków i znieruchomiała. Marcus utkwił wzrok w jakiś punkt za jej plecami. Usłyszała głos wypowiadający imię „Catherine” i włosy zjeżyły jej się na karku.

- Może powinienem powiedzieć: Catalina - przemówił ponownie głos.

Odwróciła się powoli i spojrzała na stojącego z tyłu mężczyznę.

Kuzyn Marcusa, David Lytton, przystawiał jej do skroni pistolet - jej własny pistolet. W drugiej ręce trzymał broń Marcusa.

- Nie ty, David, nie ty. - Oszołomiona, położyła dłoń na oparciu krzesła, chcąc zachować równowagę. „To nie może być on, to nie ma sensu”.

- Gdzie jest El Grandę? - zapytał.

- Odjechał, ale...

- Milczeć!

Znieruchomieli, a David zaczął nasłuchiwać. Szczęśliwy, że Catherine wróciła sama, odezwał się:

- Co robiliście?

- Mieliliśmy wiele do omówienia - powiedziała. - On...

Gniewny gest Davida sprawił, że umilkła. Znowu zaczął nasłuchiwać, jakby dobiegły go właśnie jakieś dźwięki zza szklonych drzwi.

Catherine nie mogła zebrać myśli, serce waliło jej jak aszalałe. Wydawało się, że wszyscy muszą to słyszeć.

Usiłowała się opanować; rozważała swe szanse, zastanawiając się, co robić. Była pewna, że Marcus myśli o tym samym.

David, nieco odprężony, oparł się o biurko.

- Wiesz, że sam lepiej bym tego nie wymyślił - powiedział.

- Bardzo ci jestem zobowiązany, Marcus, żeś nastawał, bym był dzisiaj na służbie. Nie miałem najmniejszej ochoty towarzyszyć twojej matce i siostrze na przyjęciu u lady Heathcote, ale jak mogłem odmówić, kiedy Tristram wrócił do Oxfordu, a ty byłeś dla mnie taki miły? Rozpaczliwie chciałem tutaj dotrzeć, ale iobrze, że się spóźniłem. *Ani przez chwilę* nie podejrzewałem zasadzki. Szczęśliwie dla mnie El Grandę w nią wpadł. Nie miałem pojęcia, że jest w Anglii. Nie muszę ci mówić, iż było kilka niepokojących chwil. Zakładałem, że mam do czynienia wyłącznie z panną Courthnay i El Grandę. Wybornie. Kiedy znajdują wasze ciała, jego będą podejrzewali.

- Nie wierzę własnym uszom - powiedziała Catherine. - Co tu się dzieje, Marcus?

- David miał właśnie wejść do domu, kiedy pojawił się El Grandę. Kręcił się po ogrodzie, kiedy myśmy tu odgrywali mały spektakl. Oto nasz nieznany strzelec, Cat, tyle że to nie strzelec. Pojechał do Portugalii tylko po to, żeby mnie zabić. Śledził każdy mój krok. To nie Francuzi mnie postrzelili. To on. Miał pecha. Potyczka między patrolami nie pozwoliła mu ze mną skończyć. Potem pojawili się partyzanci El Grandę. Oto, iak się rzeczy miały.

- I on ci to wszystko powiedział? - zapytała z niedowierzaniem.

- Ot, takeśmy sobie gwarzyli dla zabicia czasu, ciekawi, -zyś na dobre wyjechała.

- Czy El Grandę był konno czy spieszony? - David wpadł w słowo Marcusowi.

- Konno - odparła, pewna, że taka odpowiedź będzie dla niej korzystna. Dostrzegła jednak, iż się zaniepokoił na myśl o tym, że El Grandę może być gdzieś w pobliżu. Nie wymkniesz się. El Grandę na mnie czeka. Wróciłam tylko po to, żeby pożegnać się z Marcusem.

- Ma się rozumieć - przytaknął David z uśmiechem.

- To prawda.

- Chytrze, tyle że wszystko słyszałem. On tu nie wróci.

David najwyraźniej chciał się upewnić, że zanim zabije ich oboje, El Grandę będzie już dostatecznie daleko. To dawało im kilka dodatkowych minut. Jako że Marcus stał w drugim końcu pokoju i nie mógł zaatakować Davida znieacka, ona powinna spróbować" *go zaskoczyć, Niechże Lytton dalej mówi, nie zobaczy jej ruchów.*

- Chcesz zapewne mieć mój dziennik i szkice? - spytała, spoglądając na Davida. - Nie mam ich tutaj. Schowałam je tak, że nigdy ich nie znajdziesz.

- Dobrze pomyślane - odparł. - Powtarzam jednak, że wszystko słyszałem. W dzienniku nie zapisałaś nic ważnego. Wiem też, że nie masz mojego portretu, bo inaczej zaraz byś mnie rozpoznała.

- Czemu twój kuzyn chce nas zabić, Marcus? - zapytała, nie odwracając głowy.

- Tego musimy się dopiero dowiedzieć - odparł pytany.

- A ja śmiertelnie się bałem, że wpadniecie na trop - wtrącił David. - Dlatego rozpuściłem pogłoski o hiszpańskiej wendecie. Chciałem, byście sobie połamali trochę głowy.

- Udało ci się - zgodził się Marcus - ale nie odpowiedziałeś na pytanie Catherine.

- Ponieważ dziedzicę po tobie, staruszk.

Marcus patrzył na niego bez słowa.

- Toż to niedorzeczność! - wykrzyknął w końcu.

- Wstrząsające, prawda? Nikt nie był bardziej zaskoczony

niż ja, kiedy odkryłem prawdę. Pamiętam z dzieciństwa, że ojciec lubił się przechwalać, ale mu nie wierzyłem. Myślałem, że to pijackie brednie. Kiedy umarł, zostawił mi w spadku szkatułkę z dokumentami i listami, które mogą być poręczeniem moich roszczeń.

- Jakimi listami? - zapytał Marcus.

- Pisanymi przez twojego ojca do mojego. Bardzo ci jestem zobowiązany za brzemienne w informacje wieczór. - Spojrzał na Catherine. - Wiesz, że byłaś bezpieczna, dopóki nie opublikowałaś artykułu o kwaterze El Grandę.

- Kto ci powiedział, że to Catherine napisała artykuł dla „The Journal”?

- Nikt mi nie powiedział. Sam do tego doszedłem. Tak, słyszałem o Catherine Courtnay. Wiedziałem, że się z nią widujesz, ale dopiero po ogłoszeniu artykułu zrozumiałem, że ona i Catalina to jedna i ta sama osoba. Nie było żadnej Angielki w kwaterze El Grandę, chyba że podawała się za kogoś innego. We Wrotham, kiedy wreszcie przyjrzałem się uważnie Catalinie, zdało mi się dziwne, że ma taką jasną cerę i niebieskie oczy. Coś jej nawet powiedziałem na ten temat, na co odparła, że to za sprawą jej angielskich przodków. Po przeczytaniu artykułu złożyłem wszystko w całość. Catalina była Angielką, a ja musiałem się jej pozbyć.

- To ty zostawiłeś stłuczoną lampę na schodach baszty?!
- wybuchnęła.

Potwierdził lekkim skinieniem głowy.

- Myślałem, że jesteś w ciąży. Po tym wszystkim, co odkryłem, z pewnością nie mogłem sobie życzyć, byś dała Marcusowi potomka.

- Nie byłam w ciąży.

- Owszem. Nieźle mnie zaskoczył twój powrót do Hiszpanii. Tyle że ty nie wróciłaś, prawda? Siedziałaś w Hampstead. Kiedy przyszedłem tutaj po raz pierwszy, śledząc Marcusa, nie wiedziałem, co mam sądzić o rudowłosej Angielce o twarzy Cataliny. W pierwszej chwili pomyślałem, że jesteś jego kochanką i że wybrał cię z racji podobieństwa do niej.

- To byłeś ty! - zawołała. - Na Hampstead Heath, kiedy szłam z Emily. Sledzicieś mnie?

- Chciałem sprawdzić, czy moje domysły są słuszne, zacząłem więc przewąchiwać. - Uśmiechnął się. - Wiem teraz o tobie chyba więcej niż Marcus. Był okropnie przebiegły, by cię przede mną ukrywać, ale wystarczająco głupi, by pozwolić ci pisać o partyzantach. Dowiedziałem się wszystkiego. Jesteś żoną Marcusa. Nie ma sensu zaprzeczać. Kiedy usłyszałem dzisiejszego wieczora ciebie i El Grandę, wszystkie wątpliwości się rozwiały. Co nie czyni najmniejszej różnicy. Za dużo wiesz.

- To ty napadłeś na Marcusa w Hyde Parku i na Pall Mail?

- Ja.

- I zacząłeś się na mnie tamtej nocy po przyjęciu u Emily?

- Nie. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że jesteś Cataliną. Czekałem na Marcusa i miałbym go, gdybyś się nie pojawiła.

- Prawie mnie dopadłeś przed drzwiami Amy Spencer - wtrącił kwaśno Marcus.

David uśmiechnął się.

- Pall Mail jest idealne. Znakomicie oświetlone. Zawsze pełne przechodniów i przejeżdżających powozów.

- A jednak chybiłeś - powiedział Marcus.

Uśmiech zniknął z twarzy Davida.

- Tym razem będzie inaczej - oznajmił.

Catherine zrozumiała, że David, pewien, iż El Grandę jest już wystarczająco daleko, by nie usłyszeć odgłosu wystrzału - dwóch wystrzałów - nie będzie dłużej czekał. Przynajmniej się bliżej, zapytała:

- Zechciałbyś zaspokoić moją ciekawość w pewnej kwestii, David? Powiedz mi, proszę, dlaczego musieli zginąć wszyscy żołnierze, którzy byli z tobą w kwaterze El Grandę?

- Nie domyślasz się?

- Obawiam się, że nie. Byłeś dla nas zbyt sprytny.

Uśmiechnął się na te słowa.

- Marcus niemal odgadł, gdy powiedział, że El Grandę coś widać przygotowuje i zabija tych, którzy znają jego tożsamość.

Mylił się tylko, sądząc, że to El Grandę ma motyw. Motyw miałem ja.

- Rozumiem, że chodziło o dziedzictwo - odezwał się Marcus. - Jeśli mówisz prawdę, to pozbywając się mnie, zyskujesz tytuł. To jednak nie wyjaśnia, dlaczego zabiłeś wszystkich moich towarzyszy.

- Spróbuj pomyśleć, Marcus. - David cmoknął, jakby rozczarował go brak przenikliwości u rozmówcy. - Mówiłem ci, że nie byłem strzelcem. Korzystając z zamieszania, ściągnąłem mundur z trupa chwilę przedtem, zanim El Grandę mnie uratował. Ten drugi strzelec nie zdradził mnie tylko dlatego, że uciekł się do szantażu. Tak jak twoi towarzysze podpisał wyrok śmierci na siebie, bo widział moją twarz. Siedzieliśmy zamknięci, a ja kłamałem jak z nut. Nie używałem nawet własnego imienia. Musiałem się ich pozbyć, inaczej nie mógłbym się pokazać w Londynie jako David Lytton. Jeśli chciałem sięgnąć po tytuł, musiałem najpierw zabić ich wszystkich, dopiero potem ciebie.

- Zabiłeś Freddiego Barnesa - powiedział Marcus ostro.
- I pozostałych.

David uśmiechnął się do swoich myśli.

- Ach, Freddie. To długa historia. Nie będę zanudzał cię szczegółami. Dość powiedzieć, że twój przyjaciel Freddie pojawił się w miejscu, w którym nigdy bym się nie spodziewał spotkać kogoś z twoich przyjaciół. Zaprzyjaźniliśmy się. Opowiedziałem mu jakąś bajeczkę, w którą uwierzył. Był mi w tamtym czasie bardzo użyteczny.

Catherine wyczuła za plecami jakieś ruchy Marcusa.

- Ale co z partyzantami?! - krzyknęła, chcąc odwrócić uwagę Davida. - Mogliby cię w każdej chwili rozpoznać.

- Musieliby pojawić się w Anglii, moja droga Catalino, a ja na pewno będę omijał Hiszpanię z daleka.

- Co z El Grandę?

- Raz jeden widział mnie przelotnie. Nie rozpozna mojej twarzy.

Wszystko wydarzyło się w jednej chwili. Kiedy Marcus runął

do przodu, David nacisnął spust pistoletu, który trzymał w lewej dłoni. Marcus zachwiał się i upadł na podłogę. Jeszcze dym nie opadł, gdy Catherine dopadła Davida, usiłując wyrwać mu swój pistolet. Usłyszała jęk męża. Próbował się podnieść. W tym samym momencie David odepchnął ją od siebie i ponownie wycelował broń w kuzyna. W desperacji chwyciła nóż do papieru, który leżał na biurku, i zadała cios.

David odskoczył, zachwiał się, opadł na kolana. Catherine krzyknęła przerażona, widząc nóż tkwiący w jego piersi poniżej ramienia. Zraniła napastnika, ale nie na tyle mocno, by go unieszkodliwić. Jego twarz wykrzywił co prawda ból, na koszuli pojawiła się straszna czerwona plama, nadal jednak David nie wypuszczał pistoletu.

- Cat, uciekaj, szybko! - krzyknął Marcus.

David zaczął się podnosić. Catherine przypadła do Marcusa.

- Uciekajmy razem - powiedziała i podtrzymując go, pociągnęła do francuskiego okna wychodzącego na ogród i wzgórze.

Zaczął padać śnieg. Posuwali się w zółwym tempie. Catherine w każdej chwili spodziewała się usłyszeć kroki Davida za plecami. Zraniła go, ale nie miała pewności, jak poważnie.

- Tędy - powiedziała i ruszyli w dół zboczem między gęsto rosnącymi dębami.

Marcus wspierał się na niej ciężko, drugą ręką od czasu do czasu dotykając rany na udzie, jakby chciał ją osłonić.

Catherine była oszołomiona, wstrząśnięta. David jest kuzynem Marcusa. Lubiła go. To nie do pomyślenia, niewyobrażalne. Równocześnie jakaś część jej świadomości układała najbezpieczniejszą marszrutę do miejsca, gdzie mogliby znaleźć pomoc. Nie było sensu szukać kryjówki na wzgórzu. Niewiele było tu bezpiecznych miejsc; poza tym człowiek tak zatwardziały, który tyle lat planował zbrodnię, nie spocznie, dopóki ich nie znajdzie.

Nie uszli daleko, gdy zoczyła z obranego szlaku. Po prawej

była stroma zapadlina. Pomogła Marcusowi zsunąć się na jej dno i wdrapać na drugą stronę. Znaleźli się przy skałkach dających osłonę przed śniegiem. Zatrzymali się i osunęli na ziemię.

Chciała mu powiedzieć, że w dzieciństwie miała tutaj swoją kryjówkę. Tutaj się chowała, kiedy chciała uciec przed światem. Nikt nie wiedział o tym zakątku, nawet Amy. Dlaczego właśnie teraz o nim pomyślała?

Próbując odpędzić lęk, zajęła się Marcusem. Zdjął z szyi fular i usiłował tamować krew płynącą z rany. Uniosła suknię, oderwała skraj halki i naprędcę zrobionymi szarpianami mocno związała mu nogę. Marcus nie protestował, ale czuła, jak zaciska dłonie w pięści.

- Dlaczego się zatrzymaliśmy? - zapytał. Przeraziła się, słysząc, jak słabo brzmi jego głos.
- Pomyślałam, że te skałki nas osłonią. Musiała się do niego nachylić, by usłyszeć, co mówi.
- Czy ktoś wie, że tu jesteśmy? - zapytał.
- Amy wie, El Grande ma czekać na mnie przy stajniach.
- Zostaw mnie tutaj i idź po pomoc.

Nie próbowała się z nim sprzeczać, ale nie miała też zamiaru zostawiać go samego, wydanego na łaskę czułego kuzynka.

Odegnęła paskudne myśli i spróbowała ocenić ich położenie. Ugodziła Davida w obojczyk, ale przecież nie tak, by nie mógł ruszyć za nimi w pościg. Marcus kulał, nie był w stanie iść szybko. Gdzie zatem podział się Lytton? Co robi? Przyszło jej do głowy, że może iść za nimi po śladach krwi, i natychmiast pojawiła się następna myśl. Na razie śnieg był sprzymierzeńcem, choć trochę kryjąc ich przed oczami prześladowcy.

Dając Marcusowi znak, że chce się rozejrzeć, podniosła się bezszelestnie i ostrożnie wyjrzała zza skalnego załomu. Powoli zaczynało świtać. Wzgórze spało jeszcze, ale nie panowała tu martwa cisza. Catherine słyszała plusk strumienia, nawadniającego jeden ze stawów, odgłosy zwierząt i coś jeszcze - dźwięk, którego nie rozpoznawała. Przechyliła głowę, nasłuchując.

Nagle przywarła do ziemi. W polu widzenia pojawiła się sylwetka jeźdźca na wierzchowcu. Rozpoznała Davida. Poprawił się w siodle i rozglądał dokoła. Teraz zrozumiała, dlaczego nie ruszył za nimi od razu. Musiał osiodłać Vixen, co oznaczało, że własnego konia ukrył daleko od domu i sprowadzenie go zajęłoby mu zbyt wiele czasu. Catherine dziękowała Bogu nawet za tę nieznaczną zwłokę. Widziała pistolet w dłoni Davida, z całą pewnością załadowany, w to nie wątpiła. Nie uległ panice, której ona się poddała, kiedy wybiegała z Marcusem z domu. Nie spieszył się, pomyślał o wszystkim. Dlaczego by nie? Nie mogli mu przecież umknąć, Marcus ledwo powłóczył nogą.

- Catherine! - Głos Davida był stłumiony. - Catherine, nie zrobię ci krzywdy. Musisz mi tylko powiedzieć, gdzie jest Marcus, i puszcze cię wolno.

Odwróciła się szybko. Marcus, słysząc Davida, chciał się poderwać, ale zawiodła go noga i padł twarzą do ziemi. Na odgłos upadku i jęk bólu David wydał triumfalny okrzyk.

Nie było sensu dłużej zachowywać ciszy. Catherine przeskoczyła rów i desperacko próbowała podnieść Marcusa. Strach dodawał jej sił. Podtrzymując go, pomogła pokonać rów. Odgłosy pościgu pchały ich do przodu. Pomimo przerażenia Catherine miała świadomość, że nie wszystko układa się po myśli Davida. Rów stanowił zasadzkę. Teren usłany był odłamkami skalnymi, kamieniami, gałęziami. Uciążliwa droga, zwłaszcza dla jeźdźca.

Dotarli do drzew, gdzie nic już nie mogło przeszkodzić prześladowcy. Catherine czuła, że Marcus opada z sił. Szedł zgięty w pół, ciężko dysząc. Nie zatrzymując się, zeszała ze ścieżki w gęsty młodniak. W samą porę. Kiedy przykucnęli, jeździec wpadł między drzewa i przemknął obok z głośnym tętentem.

Nagle zapadła cisza.

- Cat... - szepnął Marcus.

Położyła palec na ustach, nakazując mu milczeć, i wypowiedziała jedno tylko słowo:

- Podstęp.

Marcus przytaknął i zaczął nasłuchiwać, przechyliwszy głowę. Nic nie było słyhać, tylko ich zdyszane oddechy i gwałtowne bicie serc. Powoli opuścił powieki.

Catherine wydała krótki krzyk, spojrzała na Marcusa. Miał zamknięte oczy, zaciskał z bólu zęby. Pielęgnowała go w Hiszpanii i wiedziała, ile potrafi znieść bez słowa skargi.

Nachyliła się, by sprawdzić zaimprovizowany opatrunek. W mdłym świetle brzasku krew na szarpfach wydawała się czarna. Kiedy dotknęła jego nogi, poprawiając bandaż, wciągnął gwałtownie powietrze i otworzył oczy.

- Musisz mnie tutaj zostawić - powiedział miękko, niemal bezgłośnie. - Zatrzymuję cię. Powinnaś iść po pomoc.

Niepewnie, z wahaniem podniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

Drgnęła gwałtownie na odgłos łamanej gałęzi. Cisza ją zwiodła. Był tutaj. Czekał niczym kot przyczajony przy mysiej dziurze. Czekał cztery długie lata. Teraz nie odstąpi od swoich zamysłów.

Była na swoim wzgórzu. Znała je w najdrobniejszych szczegółach, on nie. Jeśli nie straci głowy, może uda się im uciec.

Pochyliła się i zamknęła w dłoni kilka drobnych kamyków. „Wstajemy” - powiedziała samymi wargami. Marcus skinął głową. Zaciskając zęby, powstał ciężko. Podniosła dłoń i rzuciła kamyki: zachrząściły na ścieżce.

Cisza.

- Ruszajmy stąd. - Wypowiedziane niechęcący słowa przerywały ciszę.

Wpadł na nich spośród sosen rosnących ledwie kilkanaście metrów dalej. Kula świsnęła koło głowy Marcusa, trafiając w pień drzewa. Catherine nie miała czasu myśleć. Prawie ich dosięgnął. Rzuciła przed siebie resztę trzymanyh w dłoni kamyków. Uderzyły w pierś Vixen niczym śrut. Prerażona klacz zarżała, stanęła dęba, wpadła w krzewy. Catherine, nie patrząc, co się będzie działo dalej, chwyciła Marcusa za rękę.

- Tędy, tędy.

Pociągnęła go w zarośla. Schodzili niebezpieczną stromizną, czepiając się młodych drzew. Marcus oddychał ciężko, jedną dłoń trzymał cały czas na udzie. Catherine spoglądała na niego co chwilę, zaniepokojona, ale nie zwalniała, nawet kiedy była już pewna, że mają Davida za plecami. Sama też ciężko dyszała, czuła ostre, dojmujące kłucie w boku. Kiedy uświadomiła sobie, że śnieg przestał padać, załkała przerażona. Gdyby El Grandę mógł przyjść jej z pomocą.

- Co to? - zapytał Marcus.

Pokręciła głową, ale on już zdążył zrozumieć, dlaczego była tak śmiertelnie wystraszona. Drzewa się tu kończyły, przestało padać, przed nimi otwierała się rozległa równina. Ujrzeni niewielkie jezioro czy też staw z wyspką pośrodku. Nigdzie nie mogli się ukryć.

Marcus, wsparty o drzewo, z trudem łapał oddech, rozglądając się na wszystkie strony. Musieliby się albo cofnąć, albo przedostać na wyspkę. Usłyszał odgłos końskich kopyt i to przesądziło o decyzji.

- Nie mamy wyboru - powiedział. - Nie uciekniemy mu, ale możemy go przechytrzyć.

- Co masz zamiar zrobić?

- To zależy od tego, czy nabił pistolety. Musimy ryzykować. Odwróć jakoś jego uwagę, Cat. Resztę mnie zostaw.

W chwilę później między drzewami pojawił się David. Kiedy zobaczył swoje ofiary, krzyknął triumfalnie. Catherine nachylała się nad nieruchomym Marcusem, załamując ręce. David zsunął się z siodła i ruszył w ich stronę. Dziewczynie serce zamarło, kiedy kątem oka dojrzała pistolet. Nie jej ani nie Marcusa. A więc jego własny, z całą pewnością naładowany.

- Nie spóźnij się tylko - mruknął Marcus.

- Nie bój się.

Odczekała, aż usłyszy dźwięk odbezpieczanego zamka - wtedy skoczyła. Mały nóż do rozcinania papieru narobił trochę

szkody. Pożałowała, że nie ugodziła bliżej serca. Dostrzegła na piersi Davida dużą plamę krwi.

Wchodząc w odgrywaną rolę, wskazała na Marcusa i zaczęła płakać.

- Umrze, jeśli nie sprowadzimy zaraz lekarza. Stracił mnóstwo krwi.

- Niech umiera. Nie będę go musiał zabijać.

Spojrzał na bezwładne ciało, potem znowu na Catherine. Odsunęła się od niego, postąpił krok w jej stronę.

- Nie ujdzie ci to płazem! - krzyknęła.

- Nie pogarszaj własnego położenia, Catherine. Jeśli zaczniesz uciekać, zabiję cię. Chyba nie chcesz ginąć?

- Nie strasz. Zraniłam cię. Trafiłam blisko serca. Jeszcze chwila i umrzesz. - Wiedziała, że to nieprawda. Chciała tylko odwrócić jego uwagę od Marcusa.

David spojrział w dół, dotknął dłonią zakrwawionej piersi i w tym momencie kuzyn go zaatakował. Obydwaj zaczęli tarzać się po śniegu, ale Marcus nie miał dość sił, by obezwładnić przeciwnika. Raz jeszcze się przetoczyli, David przygniótł go do ziemi i zaczął dusić, nie wypuszczając pistoletu z dłoni. Catherine doskoczyła doń niczym błyskawica i kopnęła z całych sił. Ugodziła go w ramię, pistolet poleciał szerokim łukiem i wylądował w poszyciu z wrzosów. Pobieglaby po niego, gdyby nie to, że David trzymał Marcusa w śmiertelnym uścisku. Krzyknęła widząc, jak Lytton przyciska jego twarz do ziemi, i rzuciła się na odsiecz.

Marcus nie stawiał już oporu, przeto David natarł teraz na nią, obalił jednym ciosem i skoczył szukać broni. Catherine potrząsnęła głową, walcząc z chwilowym zamroczeniem. Marcus jęczał. Otworzyła oczy i zobaczyła pistolet w dłoni Davida. Lytton odsłonił zęby w groteskowym uśmiechu, z jego gardła dobył się suchy rechot niczym śmiech kostuchy.

Kostuchy, która przyszła po Catherine.

Dziewczyna rzuciła się na Marcusa, instynktownie próbując go osłonić.

- Ty pierwsza? - zapytał z uśmiechem David.

- Prędej ja niż Marcus. - Zaskoczył ją spokój, który usłyszała we własnym głosie.

Stał tak blisko, że czuła odór jego potu.

Uniósł pistolet i odwrócił się raptownie, słysząc straszny wrzask przesywający ciszę. W ich stronę szaleńczym galopem pędził jeździec.

- El Grandę - szepnęła Catherine i łzy napłynęły jej do oczu. Wszędzie rozpoznawały tę postać.

W zasięgu wzroku pojawili się następni jeźdźcy, niewielki oddział milicji w czerwono-białych mundurach, ale El Grandę znacznie ich wyprzedzał.

Catherine spojrzała na Marcusa. Ocierał krew z twarzy, ale i on ich dojrzał.

David Lytton odwrócił się bez słowa i ruszył w stronę swojego wierzchowca. El Grandę był już blisko, Catherine widziała morderczy wyraz jego twarzy, dostrzegła też, że jest nie uzbrojony. David ponownie uniósł pistolet.

- Nie! - krzyknęła. - Boże, nie!

Usłyszała huk wystrzału. El Grandę runął na ziemię, a Excalibur z furią natarł na Davida, tratując go kopytami. Krzyk przerażonego Lyttona urwał się raptownie.

Catherine rzuciła się ku znieruchomiałemu El Grandę. Nadjechała milicja. Było po wszystkim.

30

Drzwi się otworzyły i stanął w nich Penn. Hrabina odwróciła się od okna. Samantha przerwała w pół słowa.

- Marcus chce się z tobą widzieć - powiedział Penn, zwracając się do matki.

- Widziałam wychodzącego lekarza. Wszystko dobrze?

- Tak, kula utkwiała w udzie, nie naruszając kości. Cierpiało bardzo, kiedy doktor ją usuwał. Teraz odpoczywa. Poczuje się lepiej, gdy zażyje przepisane laudanum. Przedtem jednak chciałby z tobą porozmawiać.

Zwilżyła wargi, skinęła głową i ruszyła do wyjścia za Pennem. Samantha najwyraźniej chciała im towarzyszyć, ale brat ją powstrzymał.

- Nie teraz. Później się z nim zobaczysz.

Odezwał się do hrabiny dopiero, gdy byli już na schodach.

- Nie obawiaj się, mamó - powiedział. - Nie żałuję, że wszystko się wydało. Przeciwnie, poczułem wielką ulgę.

Nie tyle była przestraszona, ile zdumiona. To, czego dowiedziała się dzisiejszego ranka, wprawiło ją w pomieszenie, przejęło zgrozą. David Lytton usiłował zabić Marcusa, teraz sam nie żyje. Catalina okazała się Angielką. Ją także Lytton zamierzał zabić. Młodzieniec, który uratował obydwoje, został ciężko ranny. Nikt nie potrafił powiedzieć, czy przeżyje. Byli teraz w Hampstead, w domu Catherine. Przemiały major Carru-

thers przywiózł tu Marcusa. Nalegał na rozmowę z hrabiną w obecności Penna. Dotąd ukrywali najgorsze przed Samanthą. Marcus musi zdecydować, ile należy jej powiedzieć.

Wdowa spojrzała na syna. Wyglądał jak śmierć na chorągwi. Z pewnością znowu pił, ale teraz nie czas było się tym martwić. Marcus chciał z nią mówić. Nie wiedziała, jak się zachować wobec niego i własnych dzieci.

Pod drzwiami pokoju Marcusa zatrzymała się i położyła dłoń na rękawie Penna.

- Nie zostawiaj mnie samej - szepnęła.
- Będę cały czas przy tobie - odparł łagodnie.

Marcus siedział na łóżku. Kiedy weszli, dwóch służących wycofało się dyskretnie. Penn poprowadził matkę do fotela, sam stanął w nogach łóżka, tak by hrabina mogła go cały czas widzieć.

Marcus wyglądał, jakby poturbował go zawodowy zapaśnik: spuchnięta twarz, siniaki na policzkach i skroniach, na czole krople potu. Posłał hrabinie wąty uśmiech.

- Nie martw się, Helen - powiedział. - To, czego się dowiedziałem od Davida Lyttona, nic nie zmienia. Nadal jesteście moją rodziną. Muszę jednak wiedzieć, na czym stoję. Prosiłem Penna, żeby mi wszystko wyjaśnił, ale odparł, że nie on powinien to uczynić.

- Tak, mówił mi o tym.
- Zaczynij zatem od początku i powiedz mi, co się wydarzyło - powiedział łagodnie.

Spojrzała na Penna, ten skinął głową. Wahała się przez chwilę, wreszcie przełknęła ślinę i zaczęła opowiadać o bolesnych wypadkach z własnej przeszłości. Nie patrzyła na Marcusa. Nie mogła. Wpatrywała się w koronkową chusteczkę, którą miała w dłoniach.

- Nigdy nie chciałam poślubić twojego ojca - mówiła.
- Kochałam innego. Miałam ledwie osiemnaście lat, twój ojciec prawie czterdzieści. Wiedziałam, jaką ma reputację. Pił. Był... nie był partią dla uczciwej dziewczyny. Porwał mnie, zawiózł

do Wrotham. Nie zamierzał się żenić. Nie należałam do jego klasy. Chciał uczynić ze mnie swoją kochankę, ale ja się nie zgodziłam. Może i nie należałam do jego klasy, ale pochodziłam z przyzwoitej rodziny. Ojciec miał kilka sklepów w Londynie, otrzymałam staranne wykształcenie. Kiedy earl zrozumiał, że nic nie zwojuje, zaproponował mi małżeństwo. Roześmiałam mu się w twarz. Byłam pewna, że ojciec mnie wyratuje. Tymczasem dostałam list, w którym pisał, że się mnie wyrzeknie, jeśli nie wyjdę za earla. Co miałam począć, pozbawiona pomocy, przyjaciół? Pobraliśmy się w końcu, tak przynajmniej uważałam. Młody kapelan twojego ojca dał nam ślub, zarejestrował nasz związek, a ja byłam zbyt naiwna, by wiedzieć, że bez ogłoszenia zapowiedzi małżeństwo jest nieważne.

Po raz pierwszy spojrzała na Marcusa.

- John miał osiemnaście lat. Nie był kapłanem, nie miał jeszcze święceń. Twój ojciec go zastraszył. Dał mu jasno do zrozumienia, że jeśli nie będzie mu posłuszny, nigdy nie zostanie duchownym. John wyznał mi wszystko wiele lat później.

- John? Masz na myśli mojego kapelana, Johna Reevesa?

- zapytał Marcus. - Dlaczego nikt mi o tym nigdy nie powiedział? Dlaczego John nie został zwolniony?

- Nie chciałam, by ktokolwiek wiedział. Nie chciałam, żeby moje dzieci musiały się wstydzić. John, tak jak ja, padł ofiarą twojego ojca. Od tamtego czasu był mi zawsze prawdziwym przyjacielem.

Przerwała na chwilę, żeby nieco ochłonać, i mówiła dalej:

- Przez wszystkie te lata nic nie podejrzewałam. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że earl może wprowadzić kochankę do rodzinnego gniazda. Twój ojciec pilnował, by wszyscy tytułowali mnie hrabiną. Nic nie sprawiało mu większej satysfakcji, niż kiedy mógł dać światu prztyczka w nos. „Spójrzcie na Wrothama - powiadali jego kompani - żyje jak mu się podoba”. Powinnam się była domyślić, kiedy nie dał mi ślubnej bransolety. Powiedział, że zginęła, a ja uwierzyłam. Kiedy odwiedzali nas jego

przyjaciele, sami, bez żon i córek, twój ojciec zachowywał się jakby nigdy nic. Zapewniał, że jego przyjaciele są ludźmi wysokiego stanu. Patrzyli na mnie z góry, byłam tylko córką krawca. Minęło ponad dziesięć lat, zanim poznałam prawdę.

Marcus spojrział na Penna.

- Sprawa jednak nie nabrała rozgłosu? Nigdy nie dotarły do mnie żadne pogłoski.

- Tak - potwierdził Penn. - Jeśli się pojawiały, były szybko dementowane. Mieszkaliśmy we Wrotham, ty uznałeś nas za rodzinę. Nie masz pojęcia, jaki to był ciężar. Cieszę się, że wiesz. Chciałam ci o tym powiedzieć już wiele lat temu.

- Jeśli o mnie chodzi, to by niczego nie zmieniło - powiedział Marcus z emfazą. - Mów dalej, Helen. Jak dowiedziałaś się prawdy?

Pokręciła głową.

- Wystarczy, gdy powiem, że stało się to przypadkiem. Nasze małżeństwo było oszustwem. Kiedy mu powiedziałam, że o tym wiem, roześmiał mi się w twarz. Chciałam odejść od niego, ale dokąd bym poszła? Nie pozwoliliby mi zabrać dzieci ze sobą, a nawet gdyby - za co byśmy żyli? Zostałam więc.

- Przykro mi - powiedział Marcus. - Tak bardzo mi przykro. Spojrzała na swoje dłonie.

- Widzisz więc, że David Lytton był twoim dziedzicem. Nie uznałam za stosowne ci o tym powiedzieć. Zakładałam, że się ożenisz, będziesz miał dzieci i nikt nigdy o niczym się nie dowie.

- A gdyby coś mi się przytrafiło? Co wtedy?

- Prawda, oczywiście, musiałyby wyjść na jaw - odparł Penn.

- I wszystko przypadłoby Davidowi? - spytał Marcus.

- Właśnie tak.

- Od jak dawna o tym wiedziałaś, Penn?

- Odkąd ruszyłeś na wojnę. Matka uznała wtedy, że powinna mi powiedzieć, na wypadek gdyby coś ci się przydarzyło. Postanowiliśmy nie mówić nic Samancie i Trisowi. To był nasz sekret.

Marcus uśmiechnął się. Coś przyszło mu do głowy.

- Co cię tak bawi? - zapytał Penn.
- Kiedy wojowałem, czułem się odcięty od kraju. Myślałem, że rodzina o mnie zapomniała. A wyście jednak pamiętali, prawda?

Penn wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Zapewniam cię, że nikt goręcej nie modlił się o twój powrót niż matka i ja. - Podniósł się. - Potrzebujesz odpoczynku Marcus. Zostawimy cię teraz.

Sięgnął po kubek z roztworem laudanum i podał go Marcusowi. Ten odebrał naczynie, ale nie miał zamiaru pić. Jeszcze nie skończył rozmowy.

Spojrzał na macochę.

- O co chodzi, Marcus? - zapytała.
- Nie chcę, żebyś się tym trapiła, Helen. Wszystko pozostanie jak dotąd, nie będzie skandalu, przyrzekam ci. Penn i ja panujemy nad sytuacją. Tristram i Samantha nie muszą o niczym wiedzieć.

Skinęła głową, lekko oszołomiona.

- Zatem wszystko w porządku. Muszę porozmawiać teraz z Pennem. Może zechciałabyś poczekać na niego na dole.

Kiedy zostali sami, Marcus przeszedł od razu do rzeczy.

- Cała ta historia dotycząca sukcesji jest nie do zniesienia, Penn. Gotów byłbym zabić ojca za krzywdę, którą wyrządził Helen i wam wszystkim. Tak jak powiedziałem, musimy we dwóch zająć się tą sprawą.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Mówię o tym, że gdyby coś mi się przytrafiło, nie będzie skandalu. Dobry Boże! Małżeństwo jest wpisane do ksiąg w kaplicy. Musimy tylko sfałszować świadectwo ślubu. Nie rozumiem, dlaczego nie pomyśleliście o tym wcześniej, kiedy ja byłem na wojnie.

Penn słuchał w osłupieniu, wreszcie wybuchnął śmiechem.

- Myślałem o tym, ale zapominasz o jednym. Nasz kapelan nie był kapłanem, kiedy udzielał ślubu. Jak mamy to obejść twoim zdaniem?

- To drobiazg. Wpiszemy do ksiąg nazwisko jakiegoś

zaczynającego, który już nie żyje i nie będzie mógł świadczyć. Zresztą nie dojdzie do tego teraz, kiedy macie ustaloną pozycję towarzyską. Co tak na mnie patrzysz?

Penn pokręcił głową.

- Wydawało mi się, że cię znam, ale widzę, że się myliłem. Mamy ze sobą więcej wspólnego, niż sądziłem.

- Świetnie - powiedział Marcus, odchrząknął i oznajmił stanowczo: - Zabierzemy się do tego jutro z samego rana.

- Jak każesz - przytaknął Penn i obydwaj się uśmiechnęli.

- Wróćmy do wydarzeń dzisiejszej nocy. - Marcus zmienił temat. - Nie powiedziałeś mi jeszcze, skąd się wzięła milicja.

- Zwykły patrol. El Grandę musiał ich spotkać po drodze do Heath House. Kiedy zobaczył ślady krwi prowadzące z pokoju na taras, cofnął się i wezwał milicję, by pomogła mu cię odszukać.

- Dlaczego wrócił?

- Nie wiem, ale major powiedział, że chce się jutro z tobą spotkać i omówić pewne sprawy.

- Carruthersa nie było więc z milicjantami, kiedy ci nas znaleźli? Tak mi się wydawało, ale leżałem wtedy prawie bez zmysłów. Pamiętam tylko, jak David przygniatał mi twarz do ziemi, potem zaległa straszna cisza, wreszcie usłyszałem okropne krzyki El Grandę. Zobaczyłem jego, milicjantów - i to wszystko.

- Carruthers pojawił się dopiero na wezwanie Catherine. Posłała po niego, kiedy wnosili cię do domu. Natychmiast wzięła sprawę w swoje ręce. Uważa, że ty i Robert powinniście utrzymywać, że zostaliście napadnięci przez opryszków, a David został stratowany przez konia. Taką wersję opowiedziałem Samancie, to samo powiem Trisowi, kiedy się tu pojawi.

Marcus skinął głową.

- Tak, im mniej będziemy mówić, tym lepiej. Nie chcę, by ktoś zaczął wypytywać, co zyskałby David, zabijając mnie i Catherine. Wiesz coś jeszcze o El Grandę?

- Na razie nie, ale jest młody i silny, a major powiada, że był w gorszych opałach. Wypij teraz laudanum.

- Za moment. Jeśli pojawi się Catherine, natychmiast mnie obudźcie, choćby i w środku nocy. Jasne?

- Jasne, ale muszę ci wyjaśnić jeszcze wiele rzeczy, drogi bracie. Poczekamy z tym jednak, aż staniesz na nogi.

Marcus wypił laudanum i oddał kubek bratu.

- Prześpij się teraz - powiedział Penn zamykając za sobą cicho drzwi.

Zatrzymał się na schodach, rozmyślając o propozycji Marcusa, by uregulować kwestię ślubu matki. Chociaż był pewien, że Marcus doczeka się dziedzica, jego gest wzruszył go do głębi. Równocześnie własne zachowanie napawało go okropnym wstydem. Wspomniał swój niechlubny udział w zdarzeniach ostatniej nocy.

Gdyby znowu się tak nie spał, mógłby zapobiec temu, co się stało w Hampstead Heath. W czasie kolacji uświadomił sobie, że David musi być mordercą, ale palcem nie kiwnął. Bawił całe towarzystwo: ilekroć otworzył usta, przyprawiał wszystkich o spazmy śmiechu. Kiedy Marcus i jego żona walczyli o życie, on spał w swoim łóżku, pijany do nieprzytomności. Głowa mu pękała, w gardle suszyło, jakby połknął Saharę. Ale najgorsze ze wszystkiego było dojmujące poczucie winy.

„Nigdy więcej! Nigdy!”

Stanowczość tych wypowiedzianych w duchu słów niosła iskierkę nadziei. Pewnego dnia poprosi Marcusa o przebaczenie. Było mnóstwo ludzi, których powinien o nie prosić.

Ruszył na dół poszukać matki.

W pokoju na górze Marcus zamknął oczy. Chciał zasnąć, wiedział jednak, że pomimo laudanum sen nie przyjdzie łatwo. Udo rwało, jakby tkwił w nim haczyk wędki. Ostatnim razem, kiedy się tak czuł, była przy nim Catherine.

Nie mógł zapomnieć widoku El Grandę, nie uzbrojonego, pędzącego jak szalony na ratunek swej przybranej siostrze, jakby wiedział, że jeśli zaczeka, aż milicja się z nim zrówna, będzie za późno. A potem Catherine, zanosząca się płaczem nad ciałem El Grandę. Aż do minionej nocy nie pojmował do

końca, jak mocne więzy łączą tych dwoje. Robert wrócił, nadstawiając za nią karku. Ona zaś udowodniła, że jest niewinny. Nigdy w to nie wątpiła. Odkąd się znali, jej lojalność pozostawała niezachwiana. To napawało podziwem i trwogą. Zrobiło mu się zimno na tę myśl.

Lojalność. Czy tylko? Nie kryło się za tym nic innego?

Nie był zazdrosny. To głębsze uczucie, nie zwykła zazdrość. Nie mógł nienawidzić El Grandę. Nigdy nie spłacił długu wobec niego. Żal mu było jednak Catherine i siebie samego. Łączyły ich śluby, od których nie mogli się uwolnić.

Westchnął głęboko i zaciskając zęby, zmienił pozycję. Ku jego uldze laudanum zaczynało działać. Teraz Catherine jest zapewne z El Grandę. Zastanawiał się, o czym też ona myśli. Sfuszerował wszystko, nawet to, że pozwolił się zaskoczyć Davidowi. To jego wina, że wszystko obróciło się w koszmar. Gdyby nie El Grandę, on i Catherine już by nie żyli.

Przeklinał się w duchu, że wstąpił do armii, poszedł na wojaczkę, został uratowany przez El Grandę i przewieziony do jego kryjówki w górach. A już najbardziej żałował, że trafił w ręce Cataliny.

Kiedy zapadał w sen, przyszła mu do głowy zupełnie inna myśl: gdyby nie to wszystko, czego tak teraz żałował, już dawno temu zginąłby z ręki Davida.

Zapadły ciemności. W sypialni na piętrze Heath House leżał bez ruchu blady El Grandę. Przy łożu, w którym spoczywał, siedziała na krześle Amy. Czuwała od wielu godzin, pozwalając Catherine odespać ostatnie przejścia.

Spoglądała na ukochaną twarz, lejąc łzy. Poniechała już chusteczek i wypłakiwała się w ręcznik. Szeptiała cicho do chorego, jakby mógł ją słyszeć. Otwierała przed nim serce, błagała, by jej nie opuszczał. Na darmo. Umierał. Wiedziała, że umiera.

Z rozdzierającym łkaniem wstała i zrobiła kilka kroków, zatrzymała się i spojrzała na El Grandę.

- Nie rób mi tego, Robercie - zaklinała go. - Nie szukałam miłości, nie oczekiwałam cię w swoim życiu. Wdarłeś się w nie, a teraz chcesz mnie opuścić, ot tak, po prostu? Tacy są mężczyźni, nic dodać, nic ująć. A ja ci uwierzyłam!

Znów polały się łzy.

- Powiedziałam siostrze, że się kochamy. Nie uwierzyła i już nigdy nie da wiary. Któż bowiem potwierdzi moje słowa, gdy ciebie zabraknie?

El Grandé nie dawał znaku życia.

- Zapewne jesteś szczęśliwy, że się wybierasz do tego swojego Boga. Wybacz mi, ale niewiele mnie on obchodzi. Nigdy nie był mi przyjacielem, a teraz jest wrogiem. - Wzniosła oczy ku sufitowi. - Słuchasz, Boże? Nigdy nie wpadnę w twoje szpony po tym, co uczyniłeś Robertowi. Dlaczego pozwoliłeś, by mu się to przytrafiło? Tak nieskazitelnemu człowiekowi, tak dobremu. Jeśli chciałeś ofiary, dlaczego mnie nie wzięłeś? - Po tym wybuchu nastąpił kolejny atak szloch. Spójrz na mnie! - zażądała. - Zamieniłam się w fontannę łez i to twoja wina, Robercie. To nie ja. To nie Amy Spencer. Och, wiem, o czym myślisz. - Podeszła do łóżka i spojrzała na niego. - Wydaje ci się, że nawróciłeś mnie na dobrą drogę i zadowolony z siebie odejdziesz do tego swojego Boga, przekonany, żeś uratował moją duszę. Pozwól sobie zatem powiedzieć, że jesteś w błędzie. Jeśli mnie teraz zostawisz, ani chwili nie będę się namyślać. Wrócę do dawnego życia.

Ani cienia reakcji na bladej twarzy.

- Będę klęła jak kawalerzysta. Do jasnej cholery! Niech to szlag! Pieprzę to! Co ty na to? Potrafię jeszcze dosadniej.

Cisza.

- Będę hulać. Będę chodzić do teatru, siadać w swojej łoży. Niech się do mnie umizgują ci obrzydliwi rozpustnicy. Tego chcesz?

Widząc, że na próżno pomstuje, ukłękła przy łóżku i ujęła jego zimną dłoń.

- Och, wróć do mnie, Robercie, a zrobię wszystko, co

zechcesz. Zmienię się. Będę inną kobietą. Pobierzemy się, pojedziemy do Hiszpanii. Otworzę przed tobą serce.

Pochyliła głowę.

- Nie powinnam oczekiwać cudów, ale ten jeden raz uczyni, Boże, cud, a przysięgam, że będę taka, jakiej mnie pragniesz.

- Amy? - W drzwiach stała Cat. - On zamrugał powiekami.

Amy spojrzała na niego, ale nic nie dostrzegła.

- Boże - szepotała. - Proszę cię, Boże.

El Grandę otworzył oczy.

- Amy?

Nachyliła się bliżej, by słyszeć jego słowa.

- Tak?

- Nie zmieniaj się. Kocham cię taką, jaka jesteś.

Amy przysiadła na piętach.

- Słyszałeś? Wszystko słyszałeś!

El Grandę uśmiechnął się słabo.

- Bóg mi wybaczy, ale wiele bym stracił, roniąc choćby jedno słowo.

Amy zaczęła pomstować, ale widząc spojrzenie Cathenne, pohamowała się i wybuchnęła śmiechem przez łzy.

31

Po raz dziesiąty w ciągu ostatnich minut Catherine poprawiła karafkę z sherry i kieliszki na srebrnej tacy. Marcus miał się pojawić lada chwila. Dwa tygodnie minęły, odkąd widziała go po raz ostatni - dwa tygodnie rozterek i oczekiwania, domysłów, dlaczego się nie pokazuje. Wiedziała, że przebywa rekonwalescencję. Penn przychodził codziennie, przynosił najnowsze wieści, dopytywał się, co u nich. Gdyby nie on, nie miałyby pojęcia, jak się Marcus czuje.

Podniosła głowę. Do pokoju weszli El Grandę i Amy. Poczowała ucisk w gardle. Jeśli jakaś para zasługiwała na szczęście, to na pewno oni. Nie mogła uwierzyć, że była taka naiwna, sądząc, że jedynym powodem, dla którego El Grandę widywał się z jej siostrą, była chęć nawrócenia jej na dobrą drogę. Kiedy usłyszała o uczuciu, uznała, że Amy fałszywie interpretuje jego zainteresowanie. Gdy jednak zobaczyła ich razem, doznała olśnienia.

Tak bardzo do siebie pasowali. Życie obeszło się z nimi surowo. Jak powiedział El Grandę, obydwójce szukali swoich dusz. Powiedział coś jeszcze. Nie chciał cofać czasu. Kochał Amy, bo była tym, kim była. Gdyby wiodła inne życie, nie byłaby kobietą, którą pokochał.

- Pomyśleliśmy, że przejdziemy się do wsi - powiedział El Grandę.

- Nie zostaniecie, żeby porozmawiać z Marcusem? - Nie miała ochoty spotykać się z nim sam na sam po raz pierwszy od nocy na wzgórzu i nie potrafiła tego ukryć.

- Niedługo wrócimy. Poproś, żeby na nas poczekał. Macie na pewno wiele spraw do omówienia na osobności.

- Oczywiście - odparła, starając się, by jej głos zabrzmiał w miarę rezolutnie.

Dwa tygodnie czekania na znak od Marcusa, że nie żywi już do niej urazy - to długo. Na jedno jego słowo stanęłaby natychmiast u jego boku. W zamian doczekała się tylko informacji przekazanej przez Penna. Marcus chciał, by pozostała w Heath House, dopóki sprawy między nimi nie zostaną wyjaśnione. Odwiedzi ją, gdy wydobrzeje. Wiedziała już tydzień temu, że wstał z łóżka. Dlaczego tak długo zwlekał z wizytą? Znała odpowiedź i gotowała się na to, co miało nastąpić.

Amy pocałowała ją w policzek.

- Pamiętaj, kochanie, nie ukrywaj swoich uczuć, a zobaczysz, że Marcus cię zaskoczy.

Wyszli ramię w ramię. Catherine obserwowała ich przez okno bawialni, dopóki nie zniknęli jej z oczu. El Grandę szedł o lasce, wsparty na ramieniu Amy. Nie była to już dawna Amy Spencer, lecz dziewczyna, której oczy rozświetlała miłość. Dziwne, ale nikt nie rozpoznawał w niej najszlachetniejszej londyńskiej kurtyzany. Tamta zwykła spędzać zimowe miesiące we Włoszech. Catherine powiedziała sąsiadom, że Amy jest jej przyjaciółką, która wywiozła narzeczonego za miasto, by wydobrzeł po wypadku na drodze. Nawet Emily, która dostrzegła podobieństwo przyjaciółki Catherine do Amy Spencer, uwierzyła w tę historyjkę. Może inaczej byłoby w Londynie, gdzie Amy była powszechnie znana, ale w cichym zakątku, w którym wszyscy znali Catherine, uznano jej wersję bez oporów.

Potrząsnęła głową, jakby chciała uwolnić się od smutku, którym napełniała ją myśl, że Amy i El Grandę już pod koniec tygodnia wyjadą do Hiszpanii, i wróciła do swojego gabinetu. Kilka minut później drzwi się otworzyły i pani McNally

wprowadziła Marcusa. Nie był sam. Towarzyszył mu major Carruthers, ale Catherine dostrzegała tylko męża.

Był blady, jakby szczuplejszy, z podkrążonymi oczami. Miała ochotę paść mu w ramiona, ale wyczuła z jego strony rezerwę, która kazała jej przybrać pozę chłodnej grzeczności.

Po wymianie uprzejmości usiedli ze szklaneczkami sherry w dłoniach. Rozmowa koncentrowała się wokół nocy, kiedy to David usiłował ich zabić. Major Carruthers, najbardziej ożywiony z całej trójki, grał pierwsze skrzypce, zachwycony, że jego teorie okazały się tak bliskie prawdy. Błądził, nie rozumiejąc, jak ściśle wszystko jest ze sobą powiązane. Umilkł, gdy się zorientował, że rozmówcy nie są ani trochę zainteresowani jego koncepcjami.

Marcus wyjął z kieszeni plik pożółkłych ze starości papierów.

- Natknąłem się na to wczoraj rano - powiedział. - Po pogrzebie Davida podszedł do mnie jego adwokat i dał mi kluczyk do skrytki w Ransom Bank na Pall Mail. W skrytce znalazłem listy mojego ojca adresowane do jego brata, z których wynika, że David był moim dziedzicem.

Penn opowiedział jej już historię swojej matki, zdziwiło ją jednak, że mąż mówi tak otwarcie w obecności Carruthersa.

Widząc, że Catherine spogląda kątem oka na majora, Marcus wyjaśnił:

- Major wie o wszystkim.
- Tylko dlatego, że chce, bym zatuszował ostatni incydent w Ministerstwie Wojny - dodał zgryźliwie Carruthers. - Oficjalnie David Lytton został zabity przez opryszków. Jeśli chodzi o angielskich żołnierzy w kwaterze El Grande, przyjęliśmy, że zginęli przypadkową śmiercią. Minister wie tylko, że David zabił Freddiego Barnesa w miłosnej sprzeczce, czemu nie chce nadawać rozgłosu, jako że Barnes był jego kuzynem.

Catherine wygładziła listy, które wręczył jej Marcus, lecz nie zaczęła ich czytać.

Co pan rozumie przez „miłosną sprzeczkę”?

- David i Freddie byli kochankami - oświadczył Marcus matowym głosem.

- Kochankami! Ależ David wydawał się taki... Nigdy bym się nie domyśliła.

- David dobrze baczył, żeby nikt się nie domyślił jego prawdziwych upodobań.

- Skąd o tym wszystkim wiecie?

- W skrytce Davida były również listy od Freddiego. Biedny Freddie! Nie miał pojęcia, że David jest moim kuzynem. Sądził, że jest dezenterem i że dlatego nie chce, by ktokolwiek wiedział, że był w kwaterze El Grandę. Freddie uważał, że go ochrania. Nie rozumiem, dlaczego David wcześniej go nie zabił.

- Ze względu na pieniądze - wtrącił Carruthers. - David tonął w długach. Miał kosztowne gusta, a dzięki Freddiemu niczego mu nie brakowało. Kiedy David postanowił pokazać się w towarzystwie, by zbliżyć się do ciebie, Marcus, musiał wykończyć Freddiego. Tak się domyślałem.

- To również znaleźliśmy w skrytce - powiedział Marcus.

Catherine wyciągnęła dłoń, a on podał jej bransoletkę.

- Ślubna bransoleta Wrothamów - oznajmił Marcus.

Był to piękny klejnot, pięć kamei obsadzonych w złoty filigran. Jedna z nich przedstawiała matkę Marcusa. Catherine odczytała jej imię na rewersie miniatury.

- Ojciec poprosił brata, by ją przechował. Nie powiem ci, co jest w liście, ale jego treść nie czyni zaszczytu mojemu ojcu.

Zwróciła bransoletę Marcusowi. Przemknęło jej przez myśl, że nie wspomniał o umieszczeniu jej podobizny na bransolecie. Chociaż nie przywiązywała zbytnej wagi do owej tradycji, pczuła rozczarowanie.

Rozmawiali jeszcze przez jakiś czas, wyjaśniając sobie różne wątpliwości. Wreszcie major Carruthers podniósł się.

- Przyjechałem tutaj porozmawiać z Robertem - oznajmił.

- Gdzie mogę go znaleźć?

Catherine poinformowała go, że El Grandę i Amy wybrali się do wsi i powinni wrócić lada chwila.

- Ach - westchnął major, spoglądając to na Catherine, to na Marcusa. - Pozwolicie, że wyjdę im naprzeciw. Krótka przechadzka dobrze mi zrobi.

Kiedy wyszedł, zapadła cisza. Marcus spojrział na Catherine, odwrócił wzrok, wreszcie oznajmił pełnym rezerwy tonem:

- Widziałem się ze swoim adwokatem, Cat.

- Tak? - powiedziała ostrożnie.

- Właściwie to rozmawiałem z nim już jakiś czas temu. Powinienem być powiedzieć ci o tym wcześniej, ale byłem zaprzętny zastawianem pułapki na Davida. Szukałem wszelkich sposobów uzyskania rozwodu, na próżno. Musimy pozostać małżeństwem, Cat.

Był bardzo poważny. Serce jej na moment stanęło, ale natychmiast się opanowała.

- Co mówił adwokat?

Odpowiedział najkrócej, jak mógł, po czym znowu zaległa pełna napięcia cisza.

Pojęła bez trudu, na czym polega kłopot Marcusa. Chodziło o coś więcej niż ich osobiste pragnienia. Jeśli Marcus nie będzie miał dziedzica zrodzonego z jego krwi, Helen i jej dzieci będą żyć w ustawicznym strachu, że ich tajemnica wyjdzie na jaw. Penn nie mógł dziedziczyć, Tristram również, podobnie jak ich dzieci. Jeśli prawda zostanie odkryta, skandal zniszczy Helen. Nie wolno jej do tego dopuścić. Ona, Catherine, powinna dać Marcusowi syna.

- A więc musimy sobie z tym jakoś poradzić - powiedziała.

- Przrzekam, że nie będę stawiał ci żadnych żądań. Możemy się nie widywać całymi miesiącami. Dość jest we Wrotham włości i domów; któryś z nich możesz sobie wybrać na własną rezydencję.

Każde jego słowo bolało niczym szpila wbijana w serce. Nie rozumiała, dlaczego jest tak zdumiona. Nigdy jej nie powiedział, że ją kocha, a nawet gdyby - zniszczyła to uczucie swoim postępowaniem, które musiało mu się wydawać jednym pasmem przენiewierstw.

Wstała i powoli podeszła do okna.

- Nie uczyniłabym nigdy niczego, co mogłoby skrzywdzić twoją rodzinę - powiedziała. Kiedy się opanowała, odwróciła ku niemu twarz. - Co im o mnie powiedziałaś?

- Prawdę. Albo coś bardzo bliskiego prawdy. Powiedziałem, że zakochałem się w tobie w Hiszpanii i że się pobraliśmy. Wiedzą, iż jesteś Angielką i pracowałaś dla wywiadu brytyjskiego. Są przekonani, że po powrocie do Anglii ukrywałaś swoją tożsamość, bo nadal byłaś agentką.

- Jak wytłumaczyłaś to, że na powrót stałam się Cataliną?

- Powiedziałem, że zastawialiśmy pułapkę na dawnego wroga, którego podejrzewaliśmy o zbrodnicze zamiary.

- Hiszpańska wendeta?

- Owszem, wykorzystałem to. Tylko Helen i Penn znają prawdę na temat Davida. Powiedziałem im też, że teraz już wiemy, iż pogłoski o wendecie były fałszywe, i możesz wrócić do swojego prawdziwego nazwiska.

- A co oznajmimy światu?

- Dokładnie to samo, co powiedziałem rodzinie. Wiem, że wzbudzi to sensację, ale nie ma innego wyjścia. Chwilowe zamieszanie szybko ucichnie i świat zacznie mówić o czymś innym. Chwyciłem byka za rogi, rozmawiałem z Melrose'em Gunnem, by opublikował naszą historię w „The Journal”, kiedy tylko opuścimy Londyn.

Myśl o tym, że stanie się przedmiotem głośnych plotek, powinna przyprawić Catherine o dreszcze, tymczasem było jej zupełnie wszystko jedno. Czuła odciążenie jak po mocnym narkotyku, który z wolna paraliżuje wszystkie władze umysłu.

- W tej chwili nic nie mogę uczynić - powiedziała. - Zbyt wiele jest do zrobienia. - Czując, że za chwilę się rozpłaczę, odczekała chwilę i mówiła dalej: - El Grandę chce się z tobą zobaczyć. Wiesz, że wraca do Hiszpanii?

Wstał, jego twarz była teraz biała jak kreda.

- Nie wiedziałem, ale myślę, że tak będzie najlepiej - powiedział cicho.

- Oczywiście, że tak będzie najlepiej. Cieszę się za niego.
- Przycisnęła palce do skroni - Wkrótce powinien wrócić. Zostawię cię teraz. Mam mnóstwo pracy. - Rozejrzała się z roztargnieniem. - Nalej sobie sherry.

_ Nie ma potrzeby - burknął i ruszył do wyjścia. - Przejdę się. - Zostawił ją wpatrzoną w zamknięte drzwi.

Zaciskał zęby tak mocno, że rozboleły go szczęki. Nie zdawał sobie sprawy, jak wielkimi sadyi krokami, dopóki nie poczuł bólu w udzie i nie zaczął utykać. Kiedy mijał swój powóz, dojrzał grupkę ludzi zmierzających w jego kierunku. Na przedzie szedł o lasce El Grandę. Boży człowiek, który ostatnie trzy lata spędził z mnichami w Marston. Prawdę mówiąc, nie uczynił nic, by zasłużyć na nienawiść Marcusa, poza tym, że zmusił go do małżeństwa z kobietą, której serce nigdy nie będzie do niego należało.

Kiedy stanęli naprzeciw siebie, El Grandę się uśmiechnął. Marcus usiłował odpowiedzieć tym samym. Carruthers i Amy zatrzymali się kilka kroków z tyłu, taktownie podziwiając kosa siedzącego na gałęzi jarzębiny.

- Nigdy nie miałem okazji podziękować ci za uratowanie nam życia - przemówił Marcus. Zmieszał się pod baczny spojrzaniem El Grandę i ciągnął bardziej już ugodowym tonem:
- Nie wiem, co sprowadziło cię tamtej nocy do Heath House, ale cokolwiek to było, na zawsze pozostanę ci wdzięczny.

- Co mnie sprowadziło? Myśl, że nabrałeś fałszywego przekonania w odniesieniu do mnie i Catherine. Tamtego wieczora dojrzałem w twojej twarzy coś, co mnie zaniepokoiło. Dlatego wróciłem. A może należałoby powiedzieć, że to Opatrzność?

Marcus pomyślał, że powinien uścisnąć dłoń El Grandę i odejść.

- Fałszywego przekonania? - zapytał, pokazując zęby. - Och, nie mam żadnych fałszywych przekonań. Nigdy nie zapomnę cię pędzącego na złamanie karku, bez broni, na ratunek Catherine.

El Grandę przekrzywił głowę. Carruthers i Amy, zapominając o taktce, przysunęli się bliżej, by złowić coś z rozmowy.

- A ja nigdy nie zapomnę Catherine osłaniającej cię własnym ciałem, kiedy ten łotr przystawiał jej pistolet do piersi.

- Osłaniała mnie własnym ciałem? To szaleństwo!

- Nie uczyniłbyś tego samego na jej miejscu?

- To co innego.

- Niby dlaczego?

Ponieważ on ją kochał.

W tej samej chwili podeszła do nich Amy.

- O czym rozmawiałeś z Robertem? - zapytała, nie bawiąc się w uprzejmości.

El Grandę objął ją z uśmiechem.

- Lord Wrotham dziękuje mi za uratowanie życia Catherine - odparł.

Wrogość w jej oczach nieco przygasła.

- Mam nadzieję, że podziękował także Catherine za wszystko, co dla niego zrobiła. Kiedy sobie pomyślę o tym mordercy na wzgórzu, grożącym jej śmiercią, i o tym, że Marcus jej nie pomógł, serce we mnie zamiera.

- Amy - mitygował ją El Grandę.

Marcus patrzył na nich, jakby byli niewidzialni. Myśli, które dotąd tłumił, wracały ze zdwojoną siłą. Przypomniał sobie, jak chronili się przed pościgiem, jak nakazywał Catherine zostawić go samego. Pamiętał też jej opór. I coś jeszcze, kiedy tracił już przytomność: głos Davida, Catherine coś mu odpowiada, wszystko zagłuszają wrzaski El Grandę.

Co takiego powiedział David? Co Cat mu odpowiedziała?

„Ty pierwsza?”

„Prędej ja niż Marcus”.

Carruthers klepnął go w ramię, przywracając do rzeczywistości.

- Gdzie twoje maniery, Wrotham? Nie złożysz młodej parze życzeń długich lat szczęścia? Mają zamiar wziąć ślub w Hiszpanii.

Młodej parze? Amy i El Grandę? Chyba się przesłyszał. Wreszcie dojrzał blask miłości w ich oczach i - tak jak

wcześniej Catherine - prawda raziła go niczym grom z jasnego nieba.

- *Wielki Boże!* - zawołał. - *Co ja zrobiłem!*

Odwrócił się na pięcie i ruszył do Heath House, nie zważając na ból w udzie ani pełne zdziwienia pytania, które go ścigały. Wpadł do domu, wołając ją po imieniu. Francuskie okno w gabinecie było uchylone, pchnął je i poszedł w stronę wzgórza.

Znalazł ją siedzącą na ławce koło sadzawki, w pobliżu miejsca, gdzie rozegrały się wypadki fatalnej nocy. Wykrzykiwał jej imię; nic więcej nie był w stanie powiedzieć. Spieszna wędrownka wyczerpała go zupełnie, był słaby jak kotek. Kiedy stanął przy ławce, usiłując złapać dech, Catherine wstała.

Jeden rzut oka powiedział mu, że to już nie góra lodowa, którą pożegnał kilka minut temu. Policzki miała zaróżowione, oczy jej pociemniały.

- Wiesz, co powiedziała moja siostra na chwilę przed twoim przyjazdem?

Pokręcił głową.

- Powiedziała, żebyim nie ukrywała swoich uczuć.

- Proszę, nie. To jest... chciałem powiedzieć: nie ukrywaj swoich uczuć.

- Świetnie. Nie mów, że się nie napraszałeś.

Wypadki nastąpiły błyskawicznie. Ani się spostrzegł, jak otrzymał potężny cios. Zachwiał się, złapał ją, by odzyskać równowagę, i obojwoje wylądowali w sadzawce.

Wstał, parszając wodą.

Podniosła się, zionąc ogniem.

- Nigdy w życiu nie: spotkałam takiego gburę, nieokrzesarica, niewdzięcznika jak ty! - wykrzykiwała. - Na śmierć się o ciebie zamartwiałam,, a ty czekałeś dwa tygodnie!

- Myślałem, że nie chcesz mnie widzieć. Dlaczego ty nie przyszedłaś zobaczyć się ze mną?

Zignorowała to retoryczne pytanie.

- Jeszcze jedna sprawa. Nie wstydzę się tego, co zrobiłam. Byłam agentem. Ślubowałam dochować tajemnicy. Dobrze

wykonywałam swoją pracę, dopóki ty się nie pojawiłeś. Co sobie wyobrażałeś? Że spojrzę na ciebie i zapomnę o zobowiązaniach wobec przyjaciół i kraju?

- Masz rację, tak właśnie pomyślałem.

Nadal klęczeli w sadzawce głębokiej na pół metra, wściekli *na siebie, niepomni ani miejsca, ani lodowatej temperatury* wody. Marcus zapomniał nawet o rwącym bólu w udzie.

Wymierzyła palec wskazujący w jego pierś.

- Myliłeś się. Cofam wszystkie przeprosiny. Nigdy cię nie zdradziłam. Jeśli kogokolwiek zdradziłam, to siebie i własne zasady.

- Ty mnie przepraszałaś? - Położył dłonie na jej ramionach.
- Nie przypominam sobie, ale teraz nie ma to żadnego znaczenia.
- Och, nie! - parsknęła gniewnie. - Jedyne, co ma znaczenie, to sukcesja. Myślisz tylko o tym, jak zapewnić sobie dziedzica i ochronić rodzinę.

- Sukcesja? - Spojrzał na nią tępym wzrokiem. - A co mnie obchodzi sukcesja! Poza tym zadbałem o wszystko. Pomyślałem o prawach Helen i Penna. Sukcesja jest zabezpieczona.

- Czyżby?

- A jakże!

Nie mogła dłużej się złościć, ujęta jego rozsądkiem. I nie tylko rozsądkiem. W jego oczach tliły się jakieś dziwne błyski.

Kichnęła.

- Żałuję tylko jednego, Marcus: że zmusiłam cię do małżeństwa. Przykro mi. Do końca życia sobie tego nie daruję.

Zacisnął mocnej dłonie na jej ramionach, w jego oczach pojawiła się wściekłość,

- Żałujesz? Żałujesz?! - ryknął. - Wielki Boże, kobieto, gdybyś nie zmusiła mnie do małżeństwa, nigdy więcej bym cię nie spotkał! Ja nie żałuję. Po całym świecie szukałbym Cataliny i nigdy nie odnalazł mojej Cat o cudownie ognistych włosach.

- Marcus, co ty mówisz? - Tu ją zatchnęło.

- Kocham cię, idiotko. Kocham od chwili, kiedy otworzyłem oczy w małej celi i zobaczyłem twoją twarz pochylającą się

nade mną. Kochałem, kiedy byłaś Cataliną i kiedy byłaś Catherine, i wtedy, kiedy ci się wydawało, że spiskujesz przeciwko mnie. Może teraz rzekłabyś mi słówko. Jak ci się zdaje?

- Och, Marcus - odparła, przytulając się do niego. - Nie wiem, dlaczego cię kocham. Jesteś zupełnie niemożliwy.

- Nazwij to przeznaczeniem - poradził. - Od samego początku byłem ci przeznaczony, a ty mnie.

Łzy napłynęły jej do oczu.

- Co tam?

- Pomyślałam o naszym pierwszym pocałunku, o tym, jak popsułam tamtą chwilę. Pamiętasz? Ugryzłam cię w wargę i udałam, że chciałeś mnie zgwałcić.

- Powtórzmy więc ten pocałunek.

Ich wargi spotkały się, zrazu w delikatnym muśnięciu po czym w mgnieniu oka przywarli do siebie tak mocno jakby stanowili jedno.